



Dominika Buczak
Cate piękno
świata





Dominika Buczak
Całe piękno
świata

WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Październik

Listopad

Grudzień

Styczeń

Kwiecień

Maj

Lipiec

Podziękowania

Opieka redakcyjna: DOROTA WIERZBICKA
Redakcja: ELŻBIETA ZARYCH
Konsultacja historyczna: ANDRZEJ BRZEZIECKI
Korekta: ANNA DOBOSZ, EWA KOCHANOWICZ, AGNIESZKA STĘPLEWSKA
Projekt okładki i stron tytułowych: OLGIERD CHMIELEWSKI
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Dominika Buczak
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07750-4

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



PAŹDZIERNIK

DORKA

Tylko Józio dorósł do wielkości ziarna grochu.

Po nim pojawili się jeszcze Ela, Bartuś i Krysia – każde mniejsze od brata o połowę. Pod zamkniętymi powiekami Dorota ustawiała swoje maluchy w rzędku i wymyślała im kolory oczu, włosów oraz cechy charakteru. Najstarszy był zuchem, najmłodsza wchodziła ojcu na głowę. Córeczka tatusia.

Płeć nadała dzieciom sama. Imiona również. Wybrała te, które uważała za najładniejsze, nie musiała ich uzgadniać ze Stachem. Nie spieszyło im się z opuszczeniem jej ciała. Droga na zewnątrz trwała kilka godzin, a w przypadku Eli – nawet parę dni. Kiedy brzuch Dorki napinał się i rozluźniał w takt następujących po sobie fal bólu i ulgi, gdy krew znaczyła jej ubrania ciepłymi plamami, miała czas na wsłuchiwanie się w odgłosy płynące z ciasnych korytarzy wewnątrz. Był to moment, w którym dowiadywała się, z kim przychodzi jej się żegnać tym razem. Nudy nie było: chłopczyk, dziewczynka, chłopczyk, dziewczynka. Rodzina jak z obrazka. Do pełni szczęścia brakowało tylko tego, żeby dzieci zechciały poczekać w niej dłużej, zanim wypłyną na zewnątrz. Żeby mogły poznać jej głos, żeby wtuliły się marmurkowymi ciałkami w brzuch, żeby mogły spojrzeć na matkę szarymi, oślepiionymi życiem, oczami. Żeby w ogóle miały oczy zdolne do patrzenia, uszy zdolne do słuchania i skórę, która oddziela ich wnętrze od świata.

Wróciły do mamy po kolei: i Józio, i Ela, i Bartuś, i Krysia. Pałętają się po jej głowie, spać nie dają, choć wszystkie razem oraz łzy po nich zostały w czasie przeszłym.

W czasie terażniejszym Dorce jest przede wszystkim niewygodnie. Niełatwo znaleźć odpowiednią pozycję, bo oprócz niej i Stacha na brudnej podłodze wagonu rozsiadło się jeszcze osiem innych osób. Pomiędzy kolanami, łydkami, stopami, biodrami, przygarbionymi plecami poniewierają się walizki i pakunki. Dorota się wierci. Próbuje rozprostować zdętwiałe nogi.

Minęły już czasy, w których ludzie przewozili na Zachód cały dobytek. Większość spośród tych, którym zabrano mieszkania, plany na życie, alejki w parku, więzi z ludźmi, dojechała na miejsce miesiąc temu. Ze swoich domów na Wschodzie brali, co się dało: krowy, toaletki z witrażami,

książki, garnki i święte obrazy. To, co najcenniejsze. To, co udało się zapakować i wnieść do wagonów bez dachów. Radzieckim rodzinom, które w progach przebierały już niecierpliwie nogami, starali się zostawić jak najmniej. Ruszali na Zachód, by zająć mieszkania i domy w pośpiechu opuszczane przez Niemców zmuszanych do porzucenia swoich ryneczków, szkół i przyjaciół. Ale nimi akurat nikt się nie przejmował. Zasiali wiatr, to zbierali burzę.

Teraz na Zachód jadą inni ludzie. Raczej ci, którzy chcą, niż tacy, którzy muszą. Nikt ich nie wygonił, nikt nie oddzielił przemocą od ulubionych sąsiadów. Wybrali się w tę podróż dobrowolnie. Nie taszczą ze sobą talerzy, nie przewożą koni czy szaf, ale i bez tego w wagonie jest duszno i ciasno. Czyjaś kanciasta waliza właśnie wbija się Dorocie w plecy.

W tej całej niewygodzie trudno się uspokoić: z zewnątrz przeszkadzają dobiegające odgłosy, stękania i rozmowy oraz marudzenie niemowlęcia, które nie może zasnąć w zaduchu. Od wewnątrz – nadmiar wspomnień i oczekiwań. Ludzie przed czymś uciekają. Ludzie dokądś dążą. Ludzie czegoś pragną. Ludzie wierzą, że będzie lepiej, niż było. Dorka chętnie by się zdrzemnęła, żeby mieć siłę na spotkanie ze swoim nowym życiem, ale myśli nie dają spokoju również i jej. Wszyscy – dziesięć osób w wagonie, cały skład pociągu pełen takich jak oni, podróżni w innych pociągach zmierzających w tym samym kierunku – zastanawiają się, jak będzie wyglądała ich przyszłość w nieznanym. Na horyzoncie czeka obiecany dobrobyt. Na mecie mającą nowe domy, pola, stanowiska oraz możliwości. Po latach strachu i ciemności ludzie zmierzają w kierunku spokoju. Dorka i Stach również. Będą budować swoje szczęście w pocie czoła. Ku chwale ojczyzny.

Przed nimi wspaniały czas przyszły.

W rytmie spokojnego stukotu kół coraz bardziej i bardziej oddalają się od rodzinnej wioski. Zostawili w niej dzieci. Zostawili Józia, który miałby już ze dwa lata, gdyby był, a także jego siostry i brata, którzy pojawiali się po nim w regularnych odstępach. Zostawili też krew, śmierć i przemarsz wojsk, które przyniosły wolność i słońce. Przyniosły też lęk wypełniający szczerze czas między wojną a pokojem.

Dobrych zbawicieli wyprzedzała zła sława. Echo tego, jak świętują oni po ciężkiej pracy, która polegała na przelewaniu własnej, czerwonej jak gwiazda krwi, by uwolnić świat z hitlerowskiego jarzma, niosło się po

Polsce, jak długa i szeroka. Stara i nowa. Ze wschodnimi kresami i zachodnimi pradawnymi ziemiami pierwszych Piastów, które wróciły wreszcie do macierzy, do jej łona, i zostaną już w nim na zawsze. Nie to co Józio, Ela, Bartuś i najmłodsza, Krysia, córeczka tatusia. Brzuch Polski jest dla swoich dzieci bardziej przytulny niż brzuch Doroty.

Nikt nie nazywał głośno, po imieniu, ulubionego sportu dzielnych żołnierzy. Najwyżej szeptem, na ucho, po kątach. Ale w mijanych przez nich wsiach, miastach i miasteczkach bały się go wszystkie kobiety, staruszki, dziewczyny i dziewczynki. Przerazał ich mężów, ojców i synów. Przerazał Dorcę, jej siostry, matkę. Przerazał wszystkie koleżanki – i te, z którymi chodziła do szkoły, i te, które mieszkały za płotem. Żadna z nich nie umiała opowiedzieć głośno o tym, czego się boją. Próbowaly mówić, ale nie potrafiły. Smutek ze środka nie płynął na zewnątrz. Strach nie ubierał się w słowa. Z rozmów wychodziły im głuche telefony, ciuciubabki, na kogo wypadnie na tego bęc.

– Czego się boisz?

– Pomidor!

– Co ci zrobił żołnierz?

– Pomidor!

– Gdzie twoja siostrzyczka?

– Pomidor!

– Czemu ojciec ma oczy szalone, a matka czerwone?

– Pomidor!

– Czyje jest twoje ciało?

– Pomidor!

– Kogo obchodzi, co czujesz?

– Pomidor!

Takie tam dziewczynskie wyliczanki. Kto by się nimi przejmował, gdy w okopach na Wschodzie i na Zachodzie leje się prawdziwa krew. Czerwona jak gwiazda.

Czasami się rozumiały. Najlepiej wtedy, kiedy siedziały blisko siebie, dostrajały serca i głowy. Wszystkie razem – i Anula z czarnymi włosami, i wysoka Iza, i inne dziewczuchy ze wsi. Nawet Grażyna, która zwykle traktowała Dorcę jak powietrze, odwracała się do niej tyłem albo bokiem,

i co najwyżej prezentowała ładny profil, w takich chwilach wydawała się bliska.

Z mózgu do mózgu płynęły całe opowieści bez słów. Usta milczały, ale uda napinały się w tych samych momentach, solidarnie. Wystarczyło, że w jednej z głów pojawiał się gieroj z bratniego kraju, albo przybyły z gór swojski harnaś, któremu po robocie też należała się przecież nagroda. Ciała natychmiast zmieniały się w kamienie. Bolały brzuchy pańienek i żon, ciężarne i puste, rozkwitające i przekwitłe. A im ciszej się o tym szeptało, tylko w kobiecym gronie i nigdy wprost, tym strach bardziej pęczniał. Zdarzały się dni, w których przesłaniał całą radość z końca wojny.

Ale i on należał już do dawnego świata. Trafił tam razem z żołnierzami radzieckimi i polskimi, tymi z prawa, tymi z lewa i tymi z gór. Razem z niemieckimi okupantami. Razem z Józiem, Elą, Bartusiem i Krysią. Razem z Grażyną i jej rodziną, która zajmowała największy dom w całej wsi. Razem ze starym Muchą, ojcem Grażyny, młynarzem, który przed laty był twardym i pracowitym górale, ale wojna odebrała mu i siłę, i chęć do roboty. Razem z Muchową, która miała kiedyś najpiękniejsze włosy i była najcieńsza w pasie ze wszystkich kobiet we wsi. Dzieci narodziła tyle, że i gruby warkocz, i wąska talia pozostałyby tylko wspomnieniami, gdyby nie Grażyna, która od starej Muchowej dostała to, co najlepsze. Włosy miała czarne jak smoła i pas, który każdy chłop mógłby objąć dłońmi, gdyby tylko chciał. Ale od kilku lat chętnych do obejmowania Grażyny nie było wielu. Ostatnio tylko mały Kuba dreptał za nią krok w krok i wtulał zasmarkany nos w spódnicę, gdy wiejskie chłopaki nie chciały z nim gonić po podwórku.

Dorka jechała pociągiem na Zachód. Jechała, żeby o nich wszystkich zapomnieć.

Dwie poprzednie doby wypełnione miała od północy po północ. Co prawda niewielkie walizki i tobołek opatulony szarym papierem spakowali już tydzień wcześniej, ale im bliżej było godziny wyjazdu, im bardziej realna stawała się podróż bryczką do Nowego Targu, a potem dalej do Krakowa, tym więcej myśli atakowało głowę Dorki.

Stach namawiał ją na wyjazd od dawna, wytrwale i nieustępliwie. W końcu uległa. Na początku była przestraszona wizją wyprowadzki daleko od rodzinnego domu, od rodzinnej wsi. Z czasem zaczęła się nią cieszyć. Przez ostatnie tygodnie codziennie odtwarzała w głowie film,

w którym główne role odgrywali ona i Stach. Akcja toczyła się w przyszłym domu. Ich domu. Bez ojca, matki, sióstr Doroty. Bez sąsiadów, którzy znają ich, od kiedy biegali po podwórku z gołymi tyłkami. Bez ciotek, wujków i kuzynów. Będą sami. Będą mieli swoje królestwo, gdzie ona, Dorka, będzie królową, a Stach – królem całego świata, który dla siebie stworzą. A jak już się umebliują i urządzają, to pojawią się królewiatka, tym razem rumiane, tłuściutkie, uśmiechnięte i żywe. Będą żyli długo i szczęśliwie, jak to w bajkach.

Dwa dni przed wyjazdem film w głowie Dorki stanął. Nie chciał się odtwarzać. Nastął czas pożegnania. Uważnie, jak nigdy wcześniej, patrzyła na dom. Chciała zapamiętać każdy szczegół życia, które właśnie mijało. Świerkowe gonty na dachu, bele, z których dziadek i jego ojciec zbudowali ściany, okienka zamarzające każdej zimy. Zwykłą góralską chałupę, jedyny dom, jaki знаła. Widok z okna, pokrzykiwania dzieciaków na podwórku sąsiadów, woń, którą zaciągała się już od sieni i która czasami ją uspokajała, a czasami ścisnęła żołądek. Zapach rodzinnego gniazda: drewno, gotowane ziemniaki, wiatr wnoszony przez domowników. Czasami i mdły smrodek psa, którego ojciec wpuszczał do chałupy, kiedy lało, choć matka pomstowała na to pod nosem.

Dorka chciała zapamiętać smak czerwonych jabłek z sadu za chałupą. W całej wsi nie było tak soczystych. Chropowatą fakturę podłogi, po której latem biegała na bosaka. Każdą drzazgę wyciągniętą ze stopy przez mamę. Ulotne chwile spokoju, kiedy przymglone słońce świeciło na podwórko i można było wygrzewać twarz w jego promieniach. Majową zieleń pól przy głównej drodze. Śnieg, który padał i padał, padał dniami i nocami, tak długo, że za płotem widać było ludzi tylko od pasa w górę. Głos nauczycielki tak miły, tak dźwięczny, jak żaden ze słyszanych przez Dorke dotąd. Starła się mówić jak panna Małgosia nie tylko w szkole, ale i w domu. Uczyla się języka polskiego jak obcego – słownictwo, akcent, wymowa, pisownia. Powtarzała w myślach nowe, eleganckie wyrażenia. Chłoneła panią Małgosię – jej opowieści, sposób poruszania się, wyrozumiałość. Z każdym miesiącem bardziej chciała być podobna do smukłej, delikatnej kobiety, która przyjechała aż z Krakowa, żeby w wiejskiej szkółce pokazać Dorce, że można mówić inaczej niż wszyscy wokół. Że można inaczej żyć.

Wspominała też rodzinne kolacje wigilijne i śniadania wielkanocne. Siostry zaglądały pod ściereczkę, czy baby drożdżowe rosną, by chwilę

później uciekać przed matką wymachującą ręką i krzyczącą, że przeziębiam ciasto. Trzy nosy i trzy komplety palców przywarte do lodowatych szyb oraz trzy pary szarych oczu wypatrujące na drodze kolędników chodzących od domu do domu. Odświętną mamę, codziennego ojca. Jajka gotowane w łupinach cebuli i zdobione ostrym nożykiem. Któregoś roku Michał wydrapał na jednym ich mały domek z Dorką stojącą przed bramą. Tak jej się podobał ten obrazek, że chciała go zachować na zawsze, ale Kaśka huknęła, jak to ona, że nie wolno marnować jedzenia, obrała pisanekę i wrzuciła jajo do świątecznego żuru. Dorka płakała wtedy głośno i długo, aż ubrany w czystą koszulkę ojciec zbeształ ją, żeby już – kruca fuks! – dała spokój, bo on się wnerwi.

Podczas tych ostatnich dni w domu przez głowę Dorki przewijały się wyłącznie dobre wspomnienia. Podczas nocy także. Przyglądała się uważnie wszystkiemu, co ją otacza, i co ją ukształtowało. Przetwarzała, zapamiętywała, zapisywała. Spać się przez to nie dało.

Nadchodzące dni z pewnością wypełnią kolejne dygoty serca, warto by mieć na nie siłę, ale w ciemnym wagonie nie sposób zmrużyć oczu. Dorka próbuje umościć sobie siedzisko w pierzynie, którą przed wyjazdem starannie zawinęła w szary papier i obwiązała konopnym sznurkiem. Otoczona nią próbuje, na tyle, na ile to możliwe, odizolować się od otoczenia – od zapachów, odgłosów, dotyku ludzi. Stach już od godziny rozmawia z jakimś mężczyzną, a ona wolałaby nie widzieć i nie słyszeć towarzyszy podróży. Choćby niemowlaka, który to zasypia zmęczony płaczem, to budzi się i wrzeszczy, niespokojny. Ani jego matki, która ciągle przeprasza i na zmianę to kołysze dziecko, to karmi je piersią. Nic jednak na dłużej nie pomaga, więc sama już wygląda tak, jakby się miała rozpłakać. Ma brudne czoło, mokre od potu włosy i nie więcej niż dwadzieścia lat. Otoczyli ją specjaliści od opieki nad niemowlętami, ci sami, co zawsze. I ich dobre rady, wieczne jak trawa.

– Pobujaj go, przecież widać, że potrzebuje! Bujal się w brzuchu przez dziewięć miesięcy, to teraz tęskni – mówi kobieta z chustką na głowie. Jedna z tych, które w życiu nie miały ani jednej wątpliwości, wszystko robią jak należy. Dziecko nigdy im się nie budziło w nocy, spało jak złoto od północy po świt, niczego się nie domagając, usuwało się z życia matki, żeby jej nie przeszkadzać.

– Pewnie narobił w pieluchę – dodaje łysy mężczyzna około pięćdziesiątki. Przewijanie niemowląt studiował na uniwersytecie. Piątka z teorii.

– Kawalek cukru mu trzeba dać.

– Albo mleko! Głodny przecież.

Przeprowadzają naprędce badania porównawcze na temat jakości macierzyństwa w przekroju historycznym.

– Kiedyś to matka wiedziała, jak ululać dzieciaka. Na rękę brała, przystawiała do piersi i już był spokój. Teraz wszystko nerwowe, przestraszone jakies, to jak mały ma spać.

Dziewczyna z niemowlakiem wbija wzrok w podłogę, nic nie mówi. Nie poprawiła bluzki po ostatniej próbie zatkania dziecku buzi sobą. Jej pierś odcina się od ciemności.

Dorka zamyka oczy, pod powiekami od razu pojawiają się wspomnienia z niedawnej przeszłości. Zrozumiała, że klamka zapadła, kiedy Stach wrócił z urzędu z decyzją o przesiedleniu. To była ich przepustka na Zachód. Patrzyła wtedy na swojego męża, przystojnego, z roziskrzonymi niebieskimi oczami, wymachującego z daleka plikiem kartek, uśmiechniętego od ucha do ucha. Sama też się śmiała. Do tej pory istniały plany, ale raczej dość odległe i stale przesuwane. Bilety nadały im kształt. Z trudem przychodziło Dorce wyobrażenie sobie tego, jak będzie wyglądał świat, w którym się znajdują, ale chciała odnaleźć w nim coś znanego, co zawsze przynosiło jej ukojenie.

– Żebyśmy choć góry z okna widzieli, Stasiu – powiedziała cicho do męża, kiedy kilka nocy wcześniej leżeli spoceni i wtuleni w siebie, a Krysia, która dopiero co skleiła się z kawałka Dorki i kawałka Stacha, maleńka, maluteńka, dzielnie płynęła przed siebie.

– A morza nie chciałabyś zobaczyć? – pytał Stach i całował Dorcę w czubek głowy. Powieki im ciążyły po całym dniu dyskusji o wyjeździe i całym wieczorze tarzania się na łóżku.

– Nie, Stasiu – odpowiedziała. Morza nigdy dotąd nie widziała, to góry były tłem wszystkiego, co przeżyła, każdej chwili. Do nowego życia chciała zabrać coś swojskiego i bliskiego, skoro miało zabraknąć w nim jabłek z przydomowego sadu i kolędników znanych od urodzenia.

– A może jeziora? Na północy są Mazury z wielkimi jeziorami i lasami. Ale płaskie.

– Chcę mieszkać w górach.

Następnego dnia Stach wstał z samego rana i napisał podanie o skierowanie ich w okolice Kłodzka. Sąsiad opowiadał, że to ładne miejsce. Pojechał tam na tydzień i przywiózł dwa rowery, maszynę do szycia i komplet garnków z niemieckimi literami na dnie. Pokazał im łupy i zapewnił, że okolicę też zdążył zwiedzić.

Jechali zatem w góry.

Kiedy Stach przyniósł z urzędu skierowanie i bilety, Dorka i jej siostry przyglądały się im przez godzinę. Siedziały przy stole w kuchni, wpatrywały się w zadrukowane kartki i milczały. Potem zaczęły rozmawiać.

– I to tak całkiem za darmo, Dorka? – pytała cierpko Kaśka, najstarsza i najodważniejsza z nich. – A może wam jeszcze dopłacą za to, że zostawiacie matkę, ojca i dom?

Kaśka uważała, że podróż w nieznaną, podbijanie nowego ładu powinny być jej udziałem. Dorka czuła niewypowiedzianą pretensję siostry. Kaśka nie narzekała, nie komentowała, nie mówiła nic o swoich marzeniach ani o tym, że zrealizuje je Dorka. W zamian za to wbijała w nią szpileczki unurzane w jadzie.

Tym razem jednak Dorka nie poczuła się dotknięta. Kaśka była dzielna, wytrwała, walczyła o siebie, Dorka zawsze podziwiała jej siłę i determinację, jakiej sama nie potrafiła w sobie wskrzesić. A teraz to ona będzie żyła życiem Kaśki, choć zwykle dotąd siedziała cicho w kącie i jej jedynym osiągnięciem było to, że zdołała – sama nie wie, jakim cudem – złapać i zaciągnąć przed ołtarz najpiękniejszego chłopaka z całej wsi. Chłopaka, który zabiera ją teraz w świat. Reszta zostaje.

– Za darmo, Kasiu – odpowiedziała łagodnie. – Wszyscy, którzy chcą się osiedlić na Zachodzie, dostają bilety za darmo. Ale nikt im do tego nie dopłaca.

– Bilety za darmo, domy za darmo, pole za darmo – zrzędziła Baśka, najmłodsza w rodzinie. – Za darmo umarło. Za darmo nic nie ma, pamiętaj, siostra.

Dorka się nie odezwała. Patrzyła z uśmiechem na swoje bilety i wodziła palcami po szarotkach wyrzeźbionych na kuchennym stole. Znała każdy jego centymetr. Solidne nogi, szarotki i blat ze śladami po barszczu, którego nie udało się usunąć z jasnego drewna. To Michał rozlał cały talerz zupy. Nie zniknął wtedy jeszcze z domu na dobre, ale już zdarzało się, że nie wracał przez kilka nocy z rzędu. Dorka przypomniła sobie swoją radość tamtego wieczoru. Matka też się chyba cieszyła, bo nagotowała tego barszczu cały gar i okrasila go cebulką. Do talerza włożyła jajka przekrojone na pół i ziemniaki z obiadu. Tak Michał lubił najbardziej.

– Dzięki, mamuś! – powiedział.

Złapał rękę matki, kiedy stawiała przed nim talerz, i cmoknął ją. Dorka już siadała jak zawsze blisko brata. Już zaczynał się z nią droczyć, już mu odpowiadała ze śmiechem.

Przy stole był i ojciec, zmarszczki przecinające czoło miał płytsze niż zwykle i uśmiechał się pod wąsem. Kaśka i Baśka zносиły z kuchni chleb, łyżki, kubki. Jeszcze na dobre nie zasiedli wszyscy, jeszcze nie zaczęli świętować, że są razem, obok siebie, mimo wojny, gdy usłyszeli łomot. Walenie pięściami w drzwi i niemieckie okrzyki. Dorka nie od razu zrozumiała, co się dzieje, ale Michał już otwierał kuchenne okno, łapał kozuch, wciągał buty i biegł przed siebie. A Kaśka, przytomna i czujna, błyskawicznie to okno zamykała.

Groza sytuacji dotarła do Dorki dopiero wtedy, gdy zobaczyła niemieckiego żandarma celującego pistoletem w brzuch ojca i wykrzykującego łamaną polszczyzną:

– Gdzie syn jest? Gdzie syn jest, Kulas?

– Nie ma – odpowiedział ojciec spokojnie. – Dawno nie było go w domu.

Dorka zamknęła oczy, żeby nie naprowadzić żandarmów na trop brata. Bała się, że spojrzy w okno, by zobaczyć, czy Michał dobiegł już do lasu, albo na stół, gdzie z przewróconego podczas ucieczki talerza barszcz wciąż lał się na podłogę. Bała się, że policjanci porachują nakrycia i odkryją, że brat siedział przy jednym z nich ledwie kilka minut wcześniej. Raz, dwa, trzy... liczyła w głowie, stojąc pod ścianą. Gdy doszła do stu, była pewna, że Michał jest już w lesie. Tam czekają na niego przyjaciele. Tam nie zginie. Odetchnęła i otworzyła oczy. Barszcz nadal kapał, żandarm nadal celował w ojca.

Trzech ich było. Zajrzeli do wszystkich pomieszczeń w domu, zrzucili pościel z łóżka, a potem je wyrzucili. Z szafy wyszarpali ubrania. Cały czas wymachiwali pistoletami i ani na moment nie przestawali wrzeszczeć. W końcu, wściekli, wybiegli, trzasnęli drzwiami samochodu i pojechali. Dopiero wtedy Dorka poczuła, że trzęsą się jej nogi i ręce. Osunęła się na podłogę. Przypomniała sobie historię sprzed kilku miesięcy z jednej z sąsiednich wsi. To było chyba w Waksmundzie, ale teraz, w nerwach, nie była tego pewna. Niemcy podłożyli wtedy ogień pod jeden z domów. Otoczyli palący się budynek i nie pozwolili sąsiadom gasić pożaru. Spalili młodą kobietę i jej teścia. Kilkuletni synek próbował uciec, ale jeden z żandarmów złapał go i wrzucił z powrotem w płomienie. Również szukali wtedy chłopaka z lasu, który, bezsilny, z daleka obserwował pożar trawiący jego bliskich. Podobno oszalał z bólu. Podobno wciąż tkwi w szaleństwie.

Tamtego wieczoru Dorka znienawidziła język niemiecki. Zrozumiała, że od tej chwili każde niemieckie słowo będzie przywodziło na myśl strach, który wtedy czuła, o brata, o ojca, o siebie. Każda niemiecka litera będzie budziła w niej lęk.

Obrysowała palcem nieregularną plamę, która przez lata zmieniła kolor z buraczkowego na brązowy. Ciągle tęskniła za bratem. Wszyscy tęsknili. Od śmierci Michała atmosfera u Kulasów była ciężka. Smutek przytłaczał i otulał każdego, kto przekroczył próg drewnianego domku ze spadzistym dachem. Dorka też się w nim taplała. Tygodnie zamieniały się w miesiące, miesiące w lata. Żałoba nie chciała minąć. Na jej straży stał ojciec. Nie był rozmownym człowiekiem, ale każdego dnia przypominał, że nie wie, kto zabił jego syna. Nie wiedziały też tego matka i trzy siostry, ale to ojciec trzymał je na dnie rozpacz. Wystarczyło, że pojawiał się w domu, a nawet, że stawał w progu, milczący, ciągle wściekły, i już domownicy nie mogli zaczerpnąć powietrza w płuca. Oddychali na pół gwizdka. Żyli na ćwierć możliwości. Mijał dzień za dniem, a ojciec wciąż był pomiędzy. Od śmierci syna nie żył, choć nie umarł. Każdego dnia powtarzał, że nie odejdzie z tego świata, dopóki się nie dowie, kto stoi za śmiercią syna. Tymczasem jego córki chciały oddychać. Chciały żyć.

Pierzyna, którą Dorka dostała od babci Hanki, kojarzyła jej się z dobrymi rękami, z wieczorami, które spędzała w domku na skraju wsi, z chlebem posmarowanym miodem od babcinego sąsiada. Kojarzyła się z całym ciepłem, jakiego Dorota doświadczyła w życiu. Zabrała ją ze sobą na drogę w nieznaną. Kiedy na dworcu w Krakowie rozpadał się deszcz, Dorka

starala się uchronić pakunek przed wilgocią. Zniosła go pod ażurowy daszek, ale szary papier mókł, a pierzyna robiła się coraz mniejsza. Stach nic nie mówił, tylko kpiąco patrzył na jej zabiegi. Od początku był przeciwny pomysłowi zabrania pierzyny w podróż przez pół Polski.

– Po co wieźć drzewo do lasu? Nie slyszalem, zeby osadnikom czego brakowalo – mowil. – Tam juz nie zaznaja biedy.

Dorota nie reagovala na jego uwagi, w koncu machnala reką i poszedl do wsi, omowic cos jeszcze z Pietrkiem. Nie protestowal, kiedy obok pelnych walizek polozyla pierzynie zawinieta w papier i obwiazana sznurkiem.

W Krakowie spedzili kilka godzin. Pociąg nie przyjezdzał, deszcz padał, pierzyna się kurczyła. Ludzie wokół żyli, jak mogli. Starszy pan z brodą przysiadł pod wiatą, grał na harmonii i nucił cicho „Góralu, czy ci nie żal...”. Wszystkim wokół i samemu sobie tłumaczył, że „góry porzucić trzeba, dla chleba, panie, dla chleba”. To ten fragment piosenki śpiewał najgłośniej i najwyraźniej.

Dzieciaki gonily między bagażami i nawiązywaly doraźne przyjaźnie. Kobieta z jasnym warkoczem kroila chleb i kiszzone ogorki dla dwóch nastoletnich synów.

– Dawaj, matka, dawaj. Dla mnie ogórka więcej – mowil tubalnym głosem straszyc z nich. – A Kacprowi suchy chleb, bo to gałgan.

Młodszy juz miał cos odpowiedziec, ale machnala reką. Nie powstrzymal się za to przed kopnięciem brata w kostkę.

– Widzisz, mamuska, widzisz?! Rozbija się. Mówilem, że gałgan.

Matka pakowala juz noz i kiwala głową. Zmieniał się cały jej świat, od myślenia puchła głowa, od kilku godzin wszystko było nowe. Tylko dzieci pozostały takie same, jak zawsze.

Starsi państwo w jesionkach przysiedli na walizkach. Mają takie same okulary, takie same beżowe płaszcze i ręce ułożone równiutko na kolanach. Rozmawiają przyciszonymi głosami. Przez gwar, szum i dworcowe życie do Dorki docierają słowa „uniwersytet”, „studenci”, „katedra”.

Patrzy z wdzięcznością na towarzyszy podróży, odważnych zdobywców dzikiego kraju, przyszyłych osadników. Przed nimi wspólna podróż, która potrwa nie wiadomo jak długo. A po niej wszyscy – i pan z harmonią, i pani w jesionce, i Kacper gałgan oraz jego brat, i Dorka ze Stachem – zostaną pionierami. Wkrótce nikt nie będzie pamiętał, że Niemcy przywłaszczyli

sobie tereny, które przecież były polskie od zarania, od samych Piastów. Podniosły nastrój pryska w momencie, w którym pociąg wjeżdża na peron. A nawet chwilę wcześniej – gdy tylko dym z lokomotywy zaczyna majaczyć na dworcowym horyzoncie.

Nawet nie zdążyła się odwrócić i odnaleźć wzrokiem swojego pakunku z wilgotną pierzyną, a harmonia już dynda na zwawych nagle plecach. Smutna pożegnalna piosenka urwała się w pół taktu, biała broda miga przy wejściu do przedostatniego wagonu, starszy pan siedział najdalej, ale przy pociągu jest pierwszy. Tymczasem pani w jesionce już wystawia głowę przez otwór, tuż pod wagonowym dachem, i krzyczy głosem mocnym, o jaki jeszcze przed chwilą Dorka by jej nie podejrzewała:

– Tutaj, Jerzyku, tu! Tutaj jestem!

A profesor, który będzie uczył wrocławskich studentów gramatyki historycznej, sunie w jej kierunku z walizami pod pachą. Profesorową odpycha od okna brat Kacpra. Elegancka pani w stonowanej jesionce protestuje:

– Co? Nie dotykaj mnie, łobuzie!

Gdera jeszcze przez chwilę pod nosem, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

– Matka! – krzyczy młodość i witalność z blond czupryną. – Dawaj tutaj! Mamy luksusowe siedzenia! Kacper już lezie do ciebie po toboły.

I Kacper lezie. Całą poprzednią noc przepłakał z powodu rozstania z dziadkiem, który został w małej wiosce pod Kielcami. Zastępował chłopcom ojca, który zginął podczas strzelaniny na samym początku wojny. Zabierał ich na ryby. Zawsze udało im się coś złapać: tłustego pstrąga w potoku albo nawet szczupaka w rzece. Dziadek rozpałał ognisko i piekł rybę. Nic w całym życiu nie smakowało Kacprowi tak, jak ta ryba zjadana w cieniu rosnącego nad rzeką drzewa. Od poprzedniego dnia łzy napływały mu do oczu za każdym razem, kiedy przypominał sobie wypłowie oczy dziadka. Teraz jednak po wzruszeniach nie ma już śladu na przyszczatej twarzy. Teraz śpieszy się po matkę i ich bagaż, ludzie napierają w drugą stronę, przeszkadzając mu. Odpycha od drzwi profesora, który traci równowagę, potyka się i upada. Okulary podskakują mu na nosie.

Jeszcze zanim starszy pan zdąży się podnieść i wygładzić poły jesionki, już złorzeczy pod nosem:

– Baciarski cholerny! Cham niewychowany! Chuligan!

Kacper go nie słyszy, bo już stoi przy mamie, która w jednej ręce trzyma słoik z ogórkami kiszonymi, a w drugim parcianą torbę. Syn odbiera od niej bagaż.

Profesor mógłby dłużej wyzywać gówniarza, ale nie czas na to. Już stoi, walizki w rękach, bloki startowe. Podróżuje z żoną od wielu miesięcy. Na kilka tygodni zatrzymali się u rodziny w Krakowie. Miasto odżywa po wojnie, mieszkańcy pielęgnują swoje obiady, pisingery i spacerują po linii A–B. Wpasowaliby się – i Jerzy, i jego żona – w tę krakowskość bez trudu, ale nie znaleźli miejsca, które odpowiadałoby jego wymaganiom. A on musi swojej Marysi znaleźć dom podobny do tego, jaki mieli we Lwowie. W starej kamienicy ze stiukami na suficie, ze skrzypiącym parkietem i herbatą pitą z cieniutkich filizanek. Musi wrócić choć cień dawnego świata, bo to, co najważniejsze, stracili na zawsze.

Nie ma już ich Kaziuczka, synka jedyne, wspaniałego, owocu ich życia. Długo na niego czekali, a potem Marysia, wdzięczna losowi, że się wreszcie pojawił, pięknie go wychowała. Nauczył się czytać, gdy skończył cztery lata, i od tego czasu profesor zawsze widywał syneczka z książką. Zaczął studia rok przed wojną i od razu, od października, był najlepszy. Z pewnością zostałby wybitnym naukowcem, wybitniejszym od ojca. Może to dlatego młodego Kaziulka deportowali, a starego profesora zostawili, by cierpiał wojenny głód w swoim pięknym mieszkaniu na pierwszym piętrze lwowskiej kamienicy. Jakiś czas potem dostali list od Kazia z Kazachstanu. Później przyszło jeszcze kilka. A potem już nic. Cisza. Martwa.

Teraz jadą do Wrocławia. We dwoje, bo już nikogo oprócz siebie nie mają. Trzeba z żywymi naprzód iść. Na zachód.

Profesor robi duży krok i już jest z powrotem przy drzwiach, przy których kłębą się ludzie.

– Bardzo przepraszam! – mówi donośnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu. Stosował go często na uniwersytecie, żeby zaprowadzić spokój podczas wykładu. – Proszę mnie natychmiast przepuścić do żony!

Młoda kobieta stojąca już jedną nogą w wagonie waha się przez chwilę i odwraca głowę w kierunku profesora. To błąd, który kosztuje ją utratę przewagi. Zostaje z tyłu, a profesor pewnym krokiem wchodzi wyprostowany do wagonu.

I już stoi obok swojej profesorowej. Już ściąga jesionkę, bo w wagonie duszno i ciepło. Do środka gramoli się teraz młoda kobieta, którą władczy

ton profesora skłonił do ustąpienia mu miejsca. Na rękę ma chłopczyka. Teraz Jerzy stoi z dzieciakiem twarzą w twarz i patrzy, oniemiały. Dwulatek, buzia pyzata, blond loczki i zadarty nosek. Profesor mruga rozpaczliwie, ale łzy nieposłusznie płyną mu na policzki. Wydaje mu się przez chwilę, że widzi Kaziutka, maluszka, najpiękniejszego na świecie, który rodził się przez dwie doby, upuścił matce litr krwi i o mało nie odebrał życia. Profesorowi wydawało się wtedy, że nigdy nie wybaczy dziecku tego, że naraził życie jego Marysienki, ale jak tylko zobaczył becik z drobną główką, to rozpląnął się w miłości. Każdego dnia, w którym mógł towarzyszyć synkowi, patrzeć na niego, słuchać go, rozmawiać z nim, miłości było więcej i więcej. Dzisiaj nie wiadomo, co zrobić z tym całym oceanem.

Ale ten maluch, tu, na rękach kobiety, to nie jest Kaziuczek. Kobieta sadza go na podłodze i mówi:

– Antosiu, teraz mama pójdzie po tatusia.

– Nie! – protestuje dzieciak, ale dostaje do ręki drewniane pudełko, które przykuwa na chwilę jego uwagę. A kobieta wraca po bladego męża bez nogi. I jeszcze raz, po drewniane kule. Każdy stracił na tej wojnie jakąś część ciała, myśli profesor, patrząc na rodzinę, którą wyprzedził w walce o lepsze miejsce. Na przykład Marysia i ja straciliśmy serca.

Po pustoszejącym peronie niesie się przytłumione: „a góral na góry spoziera i łzy rękawem ociera...”. Brodacz z harmonią rozgościł się już w swoim kawałku wagonu. Dorota próbuje wsłuchać się w piosenkę, ignorując otaczające ich szумы, nawoływania, klótnie i przekleństwa. Przez moment słyszy ją wyraźnie, ale zaraz melodię przykrywa czyjś krzyk. A jeszcze chwilę później do jej uszu dociera ostry głos Stacha:

– Dorka! Dorka! No wreszcie, sieroto! Wołam cię i wołam! Bierz tę swoją pierzynę i chodź tutaj. Mamy miejsce!

Głowa Stacha niczym trofeum myśliwskie wystaje z otworu drugiego wagonu za lokomotywą. On też jest z tych, którzy wygrywają. Już umościł im gniazdko na brudnej podłodze i pogania żonę spojrzeniem. Zmrużył oczy i patrzy na peron, ale tylko w stronę, w którą pojedą. W tył nie ogląda się wcale. Chciałby ruszyć. Spiesz mu się.

Spiesz mu się też przed trzema dniami, kiedy do chałupy Kulasów wpadł Pietrek, żeby się z nimi jeszcze raz pożegnać. Stach szybko napełniał kieliszki, szybko mówił. Niby było wesoło, niby tak, jak zawsze z Pietrkiem,

ale czuć było, że to pożegnanie. Kiedy na chwilę zapadała cisza, za każdym razem przerywał ją Stach.

– Życ trzeba, Pietruś – tłumaczył przyjacielowi. – Przestać w końcu myśleć o wojnie, zacząć o pokoju.

Policzki miał czerwone, oczy mu błyszczały, gęba się nie zamykała. Dopiero kiedy nabierał powietrza, Pietrek zdołał wtrącić:

– Ja to właściwie nie wiem, dlaczego ty, Stachu, musisz wyjechać z naszej wioski.

W kuchni, nad starym stołem rzeźbionym w szarotki znowu zrobiło się cicho. Dorka poczuła, że ściska jej się żołądek. Pomyślała, że i ona nie wie. Nie wie, do czego biegną. Nie wie, przed czym uciekają.

– Eee... – Stach machnął ręką. – Nie ma co języka strzępić. Napijmy się lepiej, bo długo okazji nie będzie.

A kiedy kieliszki były już pełne, Pietrek zapytał:

– Pożegnaliście się już z Anulą i Izą?

– Tak, byliśmy u nich wczoraj – odpowiedział Stach.

– A z Grażyną?

– Eee... – Stach machnął ręką jeszcze raz.

– Rozmawiałeś z nią? Bo ona...

– Nie mam z nią o czym gadać – Stach przerwał Pietrkowi nerwowo, a potem powtórzył, kolejny raz tego wieczoru, że „trzeba żyć”.

Dorka poczuła wtedy, że znowu kurczy się jej żołądek.

Teraz, na peronie, bierze pod pachę pakunek, idzie w stronę Stacha. Takich jak ona, tych którzy zostają z tyłu i nie potrafią biec, nie potrafią zwyciężać, bo nie potrafią walczyć, jest jeszcze na dworcu sporo. To oni razem – i ci, którzy siedzą już w pociągu, czekając na znak do odjazdu, i ci, którzy tłoczą się jeszcze przed drzwiami wagonów, ich gromadzona przez lata złość, tęsknota, którą kryją przed obcymi, bliskimi i samymi sobą, a także rozchwiane układy nerwowe – będą budować nową Polskę.

Ale teraz spokój, pociąg jedzie, nadzieja na lepsze jutro rośnie. Ludzie podjadają zabrane na drogę zapasy, próbują spać. Do uszu Dorki docierają słowa męża i niskiego mężczyzny, obok którego przysiadł. Zaczęli rozmawiać jeszcze na dworcu. Na szczęście znużony niemowlak, jego ledwie żywa matka oraz otaczający ich chór doradców w końcu ucichli.

Przez stukot kół, atmosferę gęstą od wydychanego powietrza i potu docierają do uszu Dorki pojedyncze słowa Stacha. Toczy się rozmowa o Kłodzku, nowym mieście na skraju Polski. Stach jest miły, nadzwyczaj uprzejmy, zaśluchany w to, co mówi nowy znajomy. Kiedy ma ochotę, potrafi być uprzedzająco grzeczny i uważny. Szkoda, że nie zawsze. Szkoda, że nie wtedy, kiedy to ona najbardziej go potrzebowała.

Za każdym razem było podobnie. Nie od razu i bez entuzjazmu zbierała się w końcu, żeby powiedzieć Stachowi i matce, że i tym razem nie podołała. Gdy mąż wracał do domu, stawała przy nim, blada, z ciemnymi plamami latającymi przed oczami i mówiła:

– Stachu... Znowu popłynęło.

Na dzieciach powinien znać się lepiej niż ona, ale na wiele i tak nie liczyła. Chciała tylko, by ją objął i powiedział, żeby się nie martwiła. Że ich dziecko jeszcze się pojawi w jej brzuchu i cierpliwie doczeka tam do końca dziewiątego miesiąca. Że będą mieli gromadkę, o której rozmawiali przed ślubem. Że zabiorą ją daleko od wioski, od opowieści o wojnie, od lasu, w którym ziemia ciężka od krwi Michała i matki Stacha. Że postawią nowy piec i upieką własne chleby. Że Stach w końcu nie będzie się budził w nocy z krzykiem, a Dorota przestanie nieruchomieć jak mysz w najmniej oczekiwanych momentach.

Ale Stach nie mówił żadnej z tych rzeczy. Machał tylko ręką i patrzył na nią z wyrzutem. Jakby wszystko: ta krew, te skurcze, ten ból to była wina Doroty. Jakby nie upilnowała, za szeroko rozłożyła nogi i przez jej nieuwagę dzieci uciekły z brzucha. Jakby nie potrafiła im powiedzieć z matczyną troską: „zostańcie we mnie, kochane”, albo z przyganą: „jak będziecie ciągle uciekały, tak jedno po drugim, to wam nogi z dupy powyrywam”. Nie mówiła im tego. Ich dzieci nie miały jeszcze ani nóg, ani dup. Stach milczał, zagryzał wargę, nie patrzył na Dorę, tylko uparcie gapił się za okno. Może tam szukał dzieciaka z różową skórą i tłustymi nóżkami wystającymi z pulchnej pupy.

Matka, zawsze cicha, pochylona nad stołem, nie patrzyła na Dorotę, nabierała powietrza, wypuszczała przez zaciśnięte usta i kiwała głową z niedowierzaniem, jakby chciała powiedzieć: „Weź się, dziewczyno, skup i donoś. Ile razy można dziecko z brzucha wylewać razem z krwią”. A potem, jak już pokręciła głowę i starła okruchy, wchodziła do kuchni i w wielkim garnku nastawiała rosół.

– Dorka, do łóżka! – zaganiała córkę gderliwie, żeby nikt jej przypadkiem nie posądził o czułość. – Odpocząć musisz.

Przynosiła do izdebki Dorki i Stacha miskę z parującą zupą i podawała do łóżka. Nie patrzyła na córkę, nie poprawiała jej poduszki, nie głaskała po policzku. Dorota też na to nie czekała. I przed wojną serca ludzi w wiosce nie były miękkie, a przez ostatnie lata stwardniały na dobre. Krwi widzieli tyle, że te strużki, grudki i strupki ciekące po udach Doroty nie robiły na nikim wrażenia.

Leżała pod babciną pierzyną dzień czy dwa. Jadła rosół na śniadanie, obiad i kolację. Potem wstawiała i wyciągała spod łóżka bieliznę, prześcieradło, czasami koszulę, wszystko co zabrudziła. Plamy z krwi ciężko doprać, więc Dorka nurkowała w szorowaniu czerwieni po łokcie, po pas, po szyję. Zanurzała się w nim cała. Kiedy w końcu gacie i prześcieradła wyszorowane na tarze odzyskiwały biały kolor, ona odzyskiwała nadzieję. Żegnaj, Józiu, żegnaj, Elżuniu, żegnaj, Bartusiu – myślała, kiedy podnosiła się znad balii i prostowała obolałe plecy. Nam nie udało się spotkać, ale jeszcze przyjdą kolejne dzieci do mojego brzucha i pod nasz dach.

Tylko z Krysią było inaczej. Przy Krysi bowiem Stach, patrząc na Dorcę rozwieszającą mokre prześcieradło, powiedział niecierpliwie:

– Inne baby zachodzą co rok i przy spódnicy mają już gromadkę, a ty przez trzy lata jednego dzieciaka nie potrafiłaś donosić.

– Jakie baby? O jakich babach mówisz, Stasiu? – wyrwało się Dorce o wiele za głośno. – I o jakich dzieciakach?

Zazwyczaj nie podnosiła głosu. Zwykle siedziała cicho w kącie. Tamtego dnia była jednak roztrzęsiona, serce biło jej nierównomiernie, ręce drżały. Każdą kolejną utratę znosiła gorzej, po Krysi najchętniej nie wstawalaby z łóżka w ogóle. Ale prześcieradło samo się nie upierze.

– E, nie... – Stach był wyraźnie zaskoczony jej atakiem. – Ja tak tylko, ogólnie...

Dorka przysiadła na ławce, bo kręciło jej się w głowie. Nagle przypomniała sobie rozmowę z Kaśką, która na kilka dni przed ślubem dopytywała, czy jej nie przeszkadza, że cała wioska plotkuje, że Stasiak Bąk nie potrafi portek na tyłku długo utrzymać. Nie niepokoiło jej to wtedy zupełnie.

– A którąś konkretnie masz na myśli? – zapytała jeszcze. Na próżno. Stach opuścił wzrok, stał chwilę, przestępując z nogi na nogę, a potem odwrócił się i odszedł.

Jego słowa o gromadce dzieci uczeplonych matczynej spódnicy wpadły do uszu Dorki i zostały. Jej ciało się zamknęło. Od tego momentu już żadne dziecko nie wybrało jej na mamę. Może i dobrze, myślała teraz. Byłoby ciężko jechać w nieznane wagonem towarowym z dużym brzuchem. A tak, z kolanami pod brodą, ze sterczącymi kośćmi bioder i żeber, nie potrzebuje wiele przestrzeni. Przytula policzek do pierzyny. Przez moment wydaje jej się, że czuje zapach babci Hanki i jej rękę na swojej głowie. Zasypia.

Pociąg kołysze miarowo, w wagonie jest cicho. Stach też skończył już rozmowę z nowym znajomym. Ostrożnie przesuwają się po podłodze, uważając, żeby nie nadepnąć komuś na dłoń czy stopę. Ludzie posnęli. Siada wreszcie obok Dorki, szturchając ją niezgrabnie.

– Śpisz? – szepcze najciszej, jak umie, jednak na tyle głośno, by się ocknęła.

Nie mógł wiedzieć, że właśnie udało jej się zasnąć, nie oczekiwała od niego jasnowidzenia. W zasadzie od początku nie miała wobec męża niemal żadnych oczekiwań. Nie przyszło jej do głowy, że Stach może jej zaoferować cokolwiek poza tym, co już wniósł w jej życie: błękitne spojrzenie, umięśnione ramiona, siłę i przekonanie, że wie, co robi. Od pierwszego dnia, w którym patrzył na nią dłużej niż na jej koleżanki, liczyła tylko na jedno. Nie pragnęła cudów-niewidów. Nie oczekiwała czerwonych koralików, ptasiego mleczka ani morskiej pianki. Chciała tylko, żeby wziął ją za rękę i przeprowadził przez życie. Żeby chronił przed światem i każdym niebezpieczeństwem. Żeby podejmował decyzje. Żeby nie musiała za dużo myśleć i rozważać wszelkich za i przeciw, z którymi i tak by sobie nie poradziła. Domaganie się czegośkolwiek ponad to byłoby nadmierną brawurą, Dorka to rozumiała. A jednak pamięta wyraźnie, że tamtego dnia, przed sznurem, na którym rozwieszała bieliznę ze spranymi śladami po Krysi, trzepotała powiekami mocno, żeby przegonić łzy. Ich gorzki smak czuje nawet teraz w wagonie, siedząc na tłustych plamach po oleju. Przelyka je, ale nie mówi nic. Od tego pociągu towarowego do miejsca, w którym Dorota zacznie mówić, co czuje, droga jeszcze daleka. Na zachód i wschód jej serca, na jego północ i południe. Zanim mu powie, co myśli, zanim odkryje, czego pragnie, i dowie się, dlaczego on, piękny

Stach, wybrał ją, Dorkę z mysim ogonkiem, musi spróbować wytyczyć swoje tory, wyznaczyć kresy i własne góry do zdobycia. Odzyskać swoje ziemie. Na razie milczy. Mówi za to Stach. Przekazuje, czego się właśnie dowiedział od już przysypiającego mężczyzny.

– Ten Zieliński – wskazuje podbródkiem w jego stronę. – Już tam był. Dojechał do Kłodzka, a potem stamtąd do małej wioski, tuż pod samą granicą.

Senność Dorki rozplynęła się w ciemności. Słucha męża uważnie i patrzy na niego. Jedyne, co widzi, to błyszczące oczy. Są tak bardzo błękitne i tak bardzo białe, że nawet w sunącym przez noc wagonie widać je wyraźnie.

– I co tam zastał? – pyta podekscytowana. Chciałaby posłuchać o ich przyszłym domu.

– Mówi, że wioski ładne i bogate, otoczone górami.

– To dobrze.

– No, dobrze, Dorka, dobrze. Przecież ci obiecałem, że będą góry. Ale jest inny problem. Zieliński mówi, że coraz więcej gospodarstw jest już zajętych.

– Starczy dla nas?

– Starczy, Dorka, starczy. Ale będziemy musieli poszukać, żeby było ładnie, a nie byle co. Zieliński już znalazł dom i gospodarstwo. Powiesił na nim biało-czerwoną flagę i dogadał się z urzędnikiem w Kłodzku, że to jego. Domek jest kamienny, otoczony polami i sadem pełnym jabłoni. Niemcy zostawili maszyny i krowy. Na razie dbają o to wszystko przyszli sąsiedzi Zielińskiego, ale słono sobie za tę uprzejmość każą płacić. A on wrócił do Miechowa po żonę i dzieciaki.

– Ale, Stachu, czy on się nie boi o ten swój przyszły dom? Kto wie, co tam się dzieje.

– Boi się, Dorka, boi. Opowiadał, że spać nie może, w nocy przewraca się z boku na bok. Albo planuje, jak się urządzi, albo martwi się, czy mu szabrownicy nie plądrują chałupy.

Stach jest ożywiony. Przypomina tego Stasia, którego znała ze szkoły, i Staszka sprzed ślubu. Tego, z którym zjeżdżali razem na sankach z góry za stodołą. Ona, Anula i Iza, Baśka i Kaśka, Michał i Stach. Wszystkie patrzyły w Stacha jak w obrazek, bo trudno było na niego nie patrzeć. A on

się śmiał, jak oni wszyscy, głośno, długo i nieustannie. Z czego się wtedy tak śmiali? Nie było jakiegoś szczególnego powodu. Byli po prostu młodzi, zdrowi i czekali na to, co przyniesie im życie. To była ich ostatnia beztrioska zima. Na przednówku zastrzelili Michała, a chwilę wcześniej zginęła mama Stacha.

Może to wtedy, na górcie, wśród śmiechu i śniegu, zanim otoczyła ich śmierć, Stach zwrócił uwagę na Dorcę?

A może później, kiedy wszyscy u Anuli grali we flirt towarzyski – grę, która przez kilka tygodni, dopóki wiosna nie rozszalała się na dobre, wypełniała ich wieczory.

Stach zachodził każdego wieczoru do Kulasów i zabierał siostry do domu Anuli.

– Nie siedźcie same w izbie z ojcem i matką. Trzeba żyć – powtarzał im codziennie. – Trzeba żyć, choćby nie wiem co.

Szły więc wszystkie trzy obok niego, a wieś patrzyła. Idzie Stasiek Bąk po wiosce. Obok niego siostry Kulasówny. Cała czwórka w pokorze, cała czwórka na czarno. Ciekawe, która najbardziej go interesuje, szepczą baby po kątach. Ciekawe, czy stary Kulas weselisko będzie szykował, jak pozrucają czarne szmaty, zastanawiają się chłopcy nad piwem w karczmie. Kaśka i Baśka podczas tych marszów po wiosce powoli zaczynały dostrzegać, że na drzewach i krzakach pojawiają się pączki, które zaraz pękną, zakwitną i wydadzą owoce. Takie prawo natury. Tu koniec, tam początek. Śmierć brata przygniotła je do ziemi. Brodziły w smole, tak samo jak rodzice i Dorka, ale podczas spacerów z pięknym Stachem ich świat powoli odzyskiwał barwy, choć na początku raczej pastelowe.

Dorka nadal tkwiła po kolana w bagnie i nie mogła się z niego ruszyć nawet o krok. Stanowili z Michałem zgrany duet. Kaśka i Baśka miały wspólny język, wspólne sprawy i szeptanki przed snem. A ona była siostrzyczką Michała. Był od zawsze, wytyczał drogi, podsuwał rozwiązania. Nosił na barana i zabierał do wsi, kiedy nudziła się na podwórku. Do niego była najbardziej podobna. Z nim najchętniej spędzała czas.

To Pietrek przywiózł z Krakowa karty do flirtu. To on pokazał im, jak się nimi posługiwać. Dorka nie pamięta szczegółowo tamtych wieczorów. Nie wie, co wtedy czuła, nie wie, co myślała, wiele momentów całkiem się rozmyło. W głowie wciąż miała zaskakująco chude ciało Michała leżące na

katafalku w otwartej trumnie, a przed oczami już pytanie, które podsyłał jej Stach: „Czy odczuwasz brak mej osoby?”.

Odpowiadała machinalnie:

– Karta 19, numer 11.

I Stach czytał: „Być może!”. Uśmiechał się zadowolony pod nosem, więc Dorka też była zadowolona, choć serce miała puste i nieżywe. Pompowało krew, ale nie krzesало iskier. Bo przecież brakowało jej kogoś innego.

– Numer 8.

Stach oddawał tę samą kartę: „Jedno tylko serce mam, jedną tylko Ciebie znam”.

A Dorka na to: „Z Ciebie numer, co to na loteryi nie wychodzi”.

Stach puszczał do niej oczko, a jej przypominały się oczy brata. Nie takie niebieskie, nie takie błyszczące, raczej szarobure, ale łobuzerskie i wesołe. Śmiały się chętnie, śmiały się dużo. Od zawsze, aż do jego powrotu z lasu. Wtedy i on, i jego oczy przestały się radować, a Dorka zrozumiała, że brata gniecie jakaś leśna tajemnica. Nie dowiedziała się, co to było, i już się nie dowie. Gdy widziała Michała ostatni raz, w trumnie, szarobure tęczęwki przykryte były bladymi powiekami.

Tymczasem przy stole toczył się flirt towarzyski. Stach słał odpowiedź, a Dorka na to dowcipną ripostę. On do niej. Ona do niego. I jeszcze jeden, i jeszcze raz. Wieczór po wieczorze. Wymiana kart pomiędzy pięknym Stachem i małą Dorką nie umknęła uwadze Kaśki. To czujna siostra i głowę ma na karku. W końcu i sama Dorota dostrzegła, że coś się święci, i ani się obejrzała, a już zrzuciła czarne szmaty i szła ze Stachem do ołtarza.

Część wsi – ta młodsza i ładniejsza – była rozczarowana. Stasiek Bąk był pięknym mężczyzną, to i niejedna dorodna panna ukradkiem się za nim oglądała, choć w sumie nie miał niczego poza problemami. Nie miał ojca ani matki, a rozwalającą się chałupkę zostawił Rózi. Wprowadził się, tak jak stał, do domu Kulasów i zamieszkał razem z Dorką w małej izdebce za kuchnią. Co go tak gnało do tej chudej Kulasówny, skoro mógł przebierać w pannach?

Dorka poczuła się pewniej dzięki Stachowi, dzięki jego pocałunkom, rękom na jej ciele, jego uśmiechowi, twarzy ogorzalej od słońca, szerokim ramionom. Wszystko to było istotne, ale najważniejszy był dla niej fakt, że

to ją wybrał spośród całej gromady okolicznych dziewczuch. Z dumą przechadzała się po wsi pod ramię z mężem. Sąsiadki były zazdrosne i mierzyły ją niechętnie spod zmrużonych powiek. Pochlebiało jej to. Tylko Grażyna odwracała głowę, gdy tak paradowali wystrojeni, w niedzielę po obiedzie, ale Dorka nie zamierzała sobie zaprzętać nią głowy. Pamiętała, że Stach czasami zabierał młynarzównę na spacer w pola czy do lasu, ale nie ją jedną przecież. Stasiek Bąk znany był we wsi z tego, że różne dziewczyny w różne miejsca prowadził. Ale tylko Dorkę zaprowadził do ołtarza, i to ona spacerowała przy jego boku. Nic jej nie psuło dobrego nastroju, nawet szeptki za plecami. Baby pytowały wtedy o nich po domach każdego wieczoru. A i chłopcy przy kuflu w karczmie też nie żalowali języka.

Nikt nie pojmował, co piękny Stach dostrzegł w drobnej dziewczuszcze, na której sukienki wisiały jak na strachu na wróble. Kontrast między nimi był tak jaskrawy, że wieś najpierw jednogłośnie uznała, że nie dostrzegł nic. Potem spekulacje rozwijały się w rozmaitych kierunkach. Uczuciowi zakładali, że może Stach sierota chciał się pogrzać przy rodzinnym ciepełku. Mogło być i tak, tylko dlaczego akurat u Kulasów, skoro stary Kulas w konkursie na najmilszego teścia w okolicy to by nie wygrał. Twardo stąpający po ziemi obstawiali to, co zwykle. Wpatrywali się w brzuch Dorki i sprawdzali, czy rośnie. Nie rósł w ogóle, ani tuż po ślubie, ani potem. Wszyscy pewni byli jednego: dziewczyna powinna się cieszyć, że złapała Pana Boga za nogi.

I cieszyła się, a jakże.

Jeden tylko ojciec Dorki miał na temat zamążpójścia córki zdanie inne niż reszta świata. Nie witał zięcia z otwartymi ramionami, nie przystawał z nim na pogawędkę z rana, nie napełniał bimbrem dwóch kieliszków wieczorem. Napełniał jeden, jak zawsze. A pod nosem mruczał, niby cicho, ale tak, żeby Stach usłyszał.

– Gołodupiec – mówił. – Biedny jak mysz kościelna.

Bo mąż Dorki wprowadził się do nich tak, jak stał. Wszystko, co miał, zostawił Rózi i dzieciom. Jak zresztą miałby zabrać ze sobą kawałek nieurodzajnego pola czy liche meble, które rozsypałyby się podczas transportu?

– Przyszedł goły jak święty turecki. Do zeniaczki się bierze, a zarobić to nie łaska.

Stach z całej siły zaciskał zęby, żeby z ust nie wypadły mu słowa, których trudno będzie zapomnieć. Ale Dorka widziała, że na skroniach i szyi pulsuje mu wzburzona krew.

Ojciec patrzył na Stacha spod byka. Stach – ojcu prosto w oczy, ale nie było to przyjazne spojrzenie. Nie odzywał się prawie wcale. Może nie wiedział jak. Nie rozmawiał za wiele i ze swoim ojcem, który jeszcze przed wojną chudł i sechł, aż usechł na dobre. Stach nie pamiętał go zdrowego. We wspomnieniach syna na zawsze pozostał słaby, zmęczony, o szarej twarzy i ciężkim oddechu. A później przez całe dni leżący w łóżku.

O matce Stach miał jeszcze mniej do powiedzenia. Gdy Dorka próbowała się czegoś o niej dowiedzieć, odpowiadał jej jednym zdaniem albo ucinał temat. Dorka pamiętała z kościoła wysoką, czerstwą góralkę, która minę miała zaciętą, a oczy niebieskie takie jak Stach. Siedziała w pierwszej ławce w czerwonej chuście na głowie. Pierwsza wychodziła po mszy, z nikim nie przystawała na pogaduszki. Wracała do domu szybkim krokiem, prawie biegnąc. Jakby ktoś ją gonił albo ktoś tam na nią czekał.

Z półsłówek Stacha Dorka dowiedziała się, że to jego matka w czasie choroby i po śmierci męża trzymała całą rodzinę razem. Nie brakowało im ziemniaków ani chleba, ale na mięso mogli liczyć tylko od święta. Zginęła w czasie wojny, podobno zastrzelona przypadkowo, a w ich małej chatce po drugiej stronie drogi została czwórka rodzeństwa Stacha. Dorastającymi dziećmi zajmowała się Rózia, najstarsza po nim. Jakoś sobie radziła. Stach odwiedzał ją od czasu do czasu – to coś naprawił, to drewna przyniósł do kuchni. Za każdym razem wracał do domu Kulasów ze smutkiem w oczach. Za każdym razem powtarzał:

– Kiedyś będzie mnie stać, żeby kupić dzieciakom buty, a Rózi dawać pieniądze na życie.

Wtedy Dorka myślała, że Stach to dobry człowiek i że się jej poszczęściło. Jednak nieraz zastanawiała się, jak to się stało, że ten mężczyzna każdej nocy leży z nią w jednym łóżku, a każdego dnia siada przy stole Kulasów.

Przy wspólnych posiłkach atmosfera była ciężka. Wieczorami Dorota połykała gorące ziemniaki błyskawicznie, żeby jak najszybciej znaleźć się pod pierzyną. Stach wchodził do ich izdebki zdenerwowany, ale na widok żonki czekającej na niego w łóżku twarz mu się rozpogadzała. Leżeli przez chwilę cicho i nasłuchiwali, kiedy matka skończy sprzątać po kolacji.

A potem to już Dorka skupiała się głównie na tym, żeby zaciążyć. W łóżku nie myślała ani o Stachu, ani o sobie. Myślała o dziecku. Czasami miała wrażenie, że i Stach rytmicznie podnosi tyłek w górę i opuszcza w dół, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, w rytmie marsza, ale nie ma w tym jego głowy ani serca. Nie przejmowała się jednak, bo trzeba było przemówić maluchowi do rozsądku: „Tylko zostań we mnie, nie uciekaj. Wyjdiesz, jak dorosiesz. Na razie siedź, czekaj grzecznie!”. Za każdym razem było jednak tak samo: matka mówiła, dzieciak milczał, a potem i tak robił to, co uważał za stosowne. Jak w tylu rodzinach.

Dopiero po Krysi Dorka zaczęła zwracać uwagę na to, co czuje. Dopiero wtedy zauważyła, że lubi, jak Stach ją najpierw dotknie, uśmiechnie się do niej, pocałuje w usta, albo i w szyję. Wtedy robiło jej się miło i miękko. Wtedy otwierała się chętnie i czekała na niego, zaróżowiona i wdzięczna. Czasami jednak brał się do jej ciała jak rolnik cepem do młócenia zboża. Wtedy czekała tylko, aż skończy, niech już ma, skoro musi. Na szczęście szybko dawał jej spokój. Po wszystkim Stach odwracał się do niej tyłem i nic nie mówił, a chwilę potem słyszała jego chrapanie. Nie przeszkadzało jej. Podnosiła nogi w górę i opierała je o ścianę. Matka mówiła, że to pomaga zatrzymać dziecko w brzuchu. Może i komu pomogło, ale Dorce nie bardzo. Jej dzieciaki musiały być zbuntowane od poczęcia.

Otworzyła oczy, bo nagle zrobiło się ciszej. Pociąg stał.

– Już? – zapytała głośno. – Stasiu, czy to już? Dojechaliśmy?

– Nie wiem, Dorka – odpowiedział mąż wyrwany ze snu. – Poczekaj, zaraz sprawdzę.

Do wagonu wpadało szare światło. Nie było już ciemno, mogła się przyjrzeć towarzyszom podróży. Matka niemowlaka, wypoczęta, wyspana, wyglądała zupełnie inaczej niż wczorajszego wieczoru. Oczy miała okrągłe, bystre, a króciutkie włosy kręciły się na wysokości uszu. Uśmiechnęła się do Dorki i położyła palec na ustach.

– Ciii! – szepnęła, wskazując na dziecko. Spało, wreszcie spokojne, wtulone w mamę. Spali też inni podróżni.

Dorka i Stach wstali najciszej, jak potrafili, i wyjrżeli przez otwór pod sufitem. Ich wagon zatrzymał się dokładnie naprzeciwko napisu „WROCŁAW”. Na peronie stało kilka osób z ich pociągu. Dorka widzi profesora Jerzyka i jego eleganckie, przedwojenne walizki. Widzi, jak podaje rękę żonie, która wysiada z wagonu, bezwiednie dotykając

woreczka zawieszona na piersi, pod swetrem. Bizuterię w nim schowaną dostała od ciotki – to po niej nosiła imię. Oddałaby wszystko – perły i złoto, które czuje przy ciele, i Jerzego, który chciał wiernie z nią stawić czoło przyszłości. Oddałaby bez wahania swoje kruche istnienie, wraz z imieniem odziedziczonym po ciotce Marii. Wszystko. Byle tylko Kaziulkowi dane było żyć. Doświadczać szczęścia i smutku. Leżeć nagim obok kobiety, którą kocha. Trzymać na rękach swoje dziecko. Pławić się w zachwytach profesorów z uniwersytetu i mierzyć z ich krytyką. I płakać na pogrzebach swoich rodziców, a potem odwiedzać ich groby – najpierw często, potem co tydzień, co okazja, aż wreszcie raz do roku, w listopadzie.

Tego wszystkiego Kaziulek nie doczeka. Za to Marysia z Jerzykiem spróbują jeszcze pożyć. Znajdą piękne mieszkanie, profesor szybko zacznie wykłady. Ona urządzi kuchnię i salon i znajdzie jakąś wrocławską Andzię do pomocy w prowadzeniu domu, bo przecież zaraz będą jakieś herbatki, przyjęcia, śledziki i brydże. Ale Kaziulka już nigdy przy nich nie będzie.

Profesorowa zerka na Jerzego. On też na nią patrzy tym swoim wiernym spojrzeniem.

– Już nigdy nie będziemy szczęśliwi, Marysiu – nie mówi tego na głos, ale ona i tak to słyszy.

– Nigdy, Jerzyku. Już nigdy – odpowiada mu bez otwierania ust.

Tymczasem Dorka przygląda się pasażerom, którzy powoli przecierają oczy, przeciągają się, stękają, próbują rozprostować zdrętwiałe kończyny.

– Będziemy mieli cały dom dla siebie – szepcze Stach prosto do ucha Dorki. – Tylko my i nikogo za ścianą. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Nie potrafi. Przez całe życie otaczali ją ludzie. Przez całe życie chciała poukładać swoje naczynia w swojej kuchni według własnego widzimisię. A łóżko postawić tam, gdzie się jej spodoba.

Od dawna chciała meblować swoje życie po swojemu.

Uśmiecha się do Stacha.

A cóż to rusza za nimi? Co to za pociąg, zwiewny i lekki, zabawka, nie stal? Nie ciężka maszyna, zziajana, zdyszana, lecz fraszka, igraszka? Ulepiony jest z mgły, z błota, z koszmarów niedających spać, z łez i skurczów serca. Nie widzi go nikt – ani Dorka, ani Stach, ani Kacper, ani profesorowa, ani

jej mąż wciąż stojący na peronie. Wszyscy jednak czują, że jest. Zawsze tam, gdzie ich cień.

Zamarudził trochę dłużej na stacji, bo Kaziutek zagapił się i o mało nie pojechał dalej. Jak zawsze roztargniony, jak zawsze z głową w chmurach, a nosem w książce. „Ciuciuropa” wołali na niego koledzy w szkole. Wysiada w pośpiechu, porozpinany, chce zostać przy mamie i tacie, w ich nowym mieszkaniu, w nowym życiu, w nich na zawsze.

A pociąg utkany z chmur już jedzie, już dogania, już jest. Dalej, na zachód. I pełno ludzi w każdym wagonie! A w jednym Michał. A w drugim matka Stacha. A w trzecim tata Kacpra.

Dorka i Stach uciekają przed siebie, przed smutkiem, przed swoimi bliskimi. A tamci, cali z mgły, cali ze skurczów serca i z łez jadą sobie wiernie za nimi. Zawsze ich dogonią. Wszędzie ich znajdą. I nie opuszczą. Aż do śmierci.

EVA

Stoi oparta o czereśniowe drzewo. Włosy ma jasne, proste, zebrane w warkocz. Cała jest jasna i prosta. Cała silna, wysoka i postawna. Jedyne koszula rozchełstana na piersiach obnaża miękkość i czułość, których trudno dopatrzeć się w naprężonej sylwetce i poważnej minie.

Na imię ma Eva.

W tym miejscu była pierwszą kobietą.

Przymyka powieki, twarz wystawia do słońca, żeby zdążyło namalować na niej jeszcze kilka piegów, zanim chmury przykryją je na miesiące.

Życie co roku najwięcej cudów obiecuje Evie wczesną jesienią. Ziemia oddycha spokojnie, jabłonie w sadzie są czerwone od owoców, najcięższe prace zakończyły się razem z wrześniem. Wioska jest wyciszona po dzikiej wiośnie i pracowitym lecie, barwy – rozmyte i wypalone. Świat cieszy się owocami. Eva też powinna. Minęła już pełna niepewności młodość i wczesna dorosłość wypełniona pracą. Mogłaby żyć spokojnie, tak jak Lichtenwalde w październiku. Ale kiedy rano staje na progu domu i nabiera powietrza w płuca, czuje, że na końcu wdechu czai się już zima. Czeka ją łyse drzewa i roztopy.

Koniec świata, który kocha.

Otwiera oczy i spogląda na córkę. Inga stoi metr od niej. Ma dziesięć lat i minę równie nieprzeniknioną jak matka, taki sam podbródek i gruby warkocz na plecach. Za to nos zadarty, bez jednego piega, po ojcu. Dziewczynka jest skupiona, czujna, ani drgnie. Z uwagą wpatruje się w ludzi, którzy pojawili się na ścieżce prowadzącej do ich domu. Rzadki widok. Ostatnio wręcz niespotykany.

Eva ma przestronną kuchnię, z dużym piecem w rogu oraz stołem pośrodku. Może przy nim siedzieć wygodnie i z dziesięć osób. Ma kredens i szafkę z szufladami. Wszystko się w nich mieści w ordnugu, poukładane, błyszczące. Przez wiele lat była przekonana, że porządek w kuchni jest odbiciem ładu w jej życiu. Z przyjemnością przyglądała się swoim rządkom i stosikom. Ostatnio nie ma cierpliwości do polerowania szybek w kredensie dwa razy w tygodniu i składania ścierek w kwadraty równe co do milimetra. Jak wyjdzie, tak jest.

Pod oknem wpuszczającym niewiele światła Peter ustawił trzy fotele i mały stolik, które kupili razem w Habelschwerdt i przywieźli bryczką do domu, pod górę, pod las.

– Po co ci takie w kuchni? – komentowała jej mama za każdym razem, gdy je widziała. – Nie mieszkasz w mieście.

Eva uśmiechała się pod nosem i nie odpowiadała. Lubiła żyć ładnie. Lubiła otaczać się ładnym. Lubiła mieć poczucie, że robi z życiem to, co chce, nawet jeśli Lichtenwalde leży na końcu świata.

Gdy Helga przychodziła w odwiedziny, rozsiadały się w tych fotelach niepasujących do wioski, w której rytm życia wyznaczały żniwa, karmienie krów i smażenie powideł z lichtenwaldzkich śliwek, słynnych na cały region. Na stoliku stawiały talerzyki z ciastem i kubki z kawą. A gdy kawy już nie można było kupić ani w Habelschwerdt, ani w Glatz, to z herbatą. Z czasem zabrakło i herbaty. Ulice sąsiedniej wsi Bad Langenau zaciemniły się od mundurów. Nawet u nich, pod kościołem i sklepem, pojawiali się żołnierze. W tamtym czasie radio w kuchni Ewy grało godzinami od rana do wieczora. Ciche szemranie było tłem każdego jej dnia.

Polubiła to niewymagające towarzystwo, kiedy Peter zainstalował antenę przy oknie wychodzącym na sad. Sięgała aż do najbliższej jabłoni. Jakość sygnału poprawiła się od tego wyraźnie i bez wysiłku można było wsłuchiwać się w słowa płynące z głośnika. Podczas burzy, żeby uniknąć

pioruna, przekręcali niewielką wajchę obok futryny, która odcinała połączenie z anteną. Któregoś ranka, po nocy pełnej błysków i grzmotów, Eva nie podłączyła jej z powrotem do odbiornika. Tak już zostało.

Gazety, które Peter przywoził od czasu do czasu z miasta, chciała wyrzucać od razu po tym, jak je przejrzał. Niemal wyrywała mu je z rąk.

– Mogę zabrać? Przeczytałeś? – pytała szybko.

Mąż odpowiadał podirytowanym głosem:

– Dopiero je otwieram, Eva.

Gazety psuły jej i tak już kiepski nastrój. Przypominały o tym, co nieuchronne. Patrzyła na rozłożoną na stole płachtę i czuła, że robi się jej zimno. Lodowato. Ciarki na plecach, suchość w ustach, ucisk w żołądku. Wystarczyło czytać kolumny uważnie, by wyczytać z nich przyszłość.

W tamtych tygodniach programy w radiu i artykuły w prasie nadal bezustannie relacjonowały to, co działo się na froncie, ale od jakiegoś czasu nie były to już pokrzepiające doniesienia o zwycięskich szarżach na Wschód i Zachód, do których wódz przyzwyczał ich od początku wojny. Armia niemiecka nie zmiatała już z drogi każdej przeszkody, którą ustawił przed nią Stalin. Eva nie chciała słuchać o „strategicznym” wycofywaniu się niemieckiego wojska coraz dalej w głąb kraju. Nawet na końcu świata, w Lichtenwalde – zawsze daleko od wielkiej polityki – wiadomo było, że idą cięższe czasy.

Spotykały się z Helgą przy stoliku w kuchni i narzekały, że robienie zakupów nagle okazało się skomplikowanym zajęciem. Wymagało zachodu, kartek, talonów i przydziałów, główkowania i sprytu. Na szczęście śmierć głodowa im nie groziła. Obie miały ogródki i zwierzęta. Miały też siebie. Ciasta na stole u Evy nie zabrakło ani razu. Zamiast herbaty podawała natomiast czasami *Apfelschorle*.

Dom pachnie drugim śniadaniem, podwieczorkiem, pączkującymi drożdżami i owocami. Pachnie niedzielą i w poniedziałek, i we środę. Pachnie chwilą, kwadransiem spokoju, który sąsiadki spędzały niemal każdego dnia nad kubkami. I dzisiaj wystarczy, że Eva usiądzie w fotelu, poczuje zapach kawy, a już przypomina sobie spokojny głos Helgi relacjonującej, co słyhać na dole, we wsi. Albo opowiadającej o nowej maszynie, którą poprzedniego dnia uruchomił w stodole Martin. Albo o tym, że jej mama dodawała do karminadli grzybów z lasu nad leśniczówką. Lepszych kotletów nie robił nikt.

Eva podawała kawę w kubkach z kamionki, tych codziennych, ściąganych z półki już do śniadania. Delikatne filiżanki trzymała za drzwiczkami kredensu. Lubiła patrzeć przez szkło na czerwone kwiaty tłoczone na porcelanie, ale wyciągała je tylko na specjalne okazje, zaledwie kilka razy w roku. Miały im starczyć na długo, może na całe życie.

Kupili je razem z Peterem tuż po ślubie w sklepie Georga Löwy'ego w Glatz, przy Ringu. To był ulubiony sklep Ewy, odwiedzała go za każdym razem, kiedy była w mieście. I za każdym razem, żeby wejść do środka, musiała minąć dzieciaki z nosami rozplaszczonymi na szybie. Całymi dniami wgapiały się w zabawki na wystawie. Georg Löwy układał z nich inscenizacje, scenki rodzajowe, miriady baśniowych światów, od których trudno było oderwać wzrok. Znany był w całej okolicy z uszczęśliwiania najmłodszych klientów.

Uszczęśliwiał też Ewę.

Naczynia kuchenne, talerze, patelnie, kamionkowe kubki Georg Löwy wystawiał na sklepowych półkach. Tam eksponował też porcelanę. Delikatne filiżanki Eva zobaczyła po raz pierwszy, kiedy odwiedziła Glatz razem z rodzicami. Oni skręcili do lekarza w kamienicy po lewej, ona do budynku na prawo. Doktor długo osłuchiwał płuca ojca poparzone gazem w belgijskich okopach. Kazał mu kaszleć, głęboko oddychać, wstrzymywać powietrze. Kręcił głową, marszczył czoło, bezradnie rozkładał ręce. Patrzył wymownie na mamę Ewy, a ona odwracała głowę i udawała, że nie domyśla się, co oznacza takie spojrzenie.

W tym czasie ich córka się zachwycała. Podziwiała filiżanki, dzbanuszki, talerze głębokie, płytkie i deserowe. Piękne były te białe ze złotą obwódką, ale również te zdobione drobnymi niebieskimi płatkami. A drobne, różowe, ustawione na samym końcu, wydawały się takie eleganckie. Serce Ewy jednak od razu skradły filiżanki z czerwonymi kwiatami. Obiecała sobie, że któregoś dnia taki zestaw stanie w jej własnym kredensie, w jej własnym domu.

Gdy wychodziła ze sklepu na Ring, dzieciarnia, jeszcze przed chwilą przyklejona do witryny, już się rozbiegła. Eva przystanęła i przez chwilę w spokoju patrzyła na wystawę. Nie sposób było przejść obok niej obojętnie. Na wprost siedziały lalki z misternie udrapowanymi sukienkami, przy nich stały wózki, miniaturowe kopie tych, w jakich wozi się miejskie dzieci. Były drewniane samochody wszelkich marek

i rozmiarów, a obok – domki, zestawy do małych kuchenek, talerzyki, łyżeczki, widelczyki i minimebelki. Evie kręciło się w głowie od kolorów i przepychu.

Najpiękniejsza scena należała jednak do dziesięciocentymetrowych żołnierzy. Maszerowali po jednej z półek, wystrojeni w błyszczące mundury. Lśnili, przykuwali wzrok, reprezentowali siłę i potęgę Rzeszy. Do taktu przygrywała im orkiestra wojskowa, a pólka powyżej należała do samego wodza. Gwiazdą witryny Georga Löwy'ego nie była lalka ze złotymi lokami i niebieskimi źrenicami, nie był nakręcany kluczykiem volkswagen błyszczący szarą karoserią, ale drewniany Adolf Hitler, odpowiednio wyższy od swoich żołnierzy. Stał tam i z zadowoleniem przyglądał się defiladzie niemieckiego wojska, w regularnych odstępach czasu podnosząc prawą rękę. „*Heil Hitler, żołnierze!*” – pozdrawiał maszerujących. „*Heil Hitler, wodzu!*” – powtarzali z miłością żołnierze, ale ręce się im nie ruszały. Eva nie mogła oderwać oczu od tej sceny. Do domu chciała jednak zabrać ze sobą nie Hitlera wymachującego ręką, tylko filiżanki w czerwone wzorki. I kupiła je chwilę po ślubie z Peterem. To był pierwszy poważny zakup, który wprowadzał ją w dorosłość. W filiżankach zakłute były chwile jej przyszłego szczęścia. Lubiła mu się przyglądać przez szybkę kredensu.

Ostatnio nie jest pewna, czy zdąży się nacieszyć kwiatami na ceramicie. Ostatnio myśli, że lepiej jest świętować dziś, a nie planować na jutro. Gdyby teraz mogła zaparzyć kawę dla Helgi, podałaby ją w filiżance. Ale od wielu miesięcy pija ją sama. Peter ciągle ma coś do zrobienia w drewnutni, w warsztacie albo w stodole. Im więcej myśli kłębi się w głowie Ewy, im są ciemniejsze i cięższe, tym ma mniej okazji, by porozmawiać o nich z mężem. Ilekroć jednak jej wzrok przemknie przez kredens w kącie i zahaczy o czerwone kwiaty, tylekroć ma poczucie, że razem z filiżankami zamknęła za szybką swoje szczęście. Może je pooglądać przez szkło. Nie może go dotknąć.

Ciasto upiekła, jak zwykle. Wszystko płynie, wojna wybucha, kończy się, żołnierze przechodzą przez wioskę, Niemcy, Polacy, Czechosłowacy, Rosyjscy, chłopcy nie wracają z frontu, sąsiedzi znikają. Wczorajsi królowie zostają pariasami. Wczorajsi podludzie dyktują warunki. Trudno nadażyć za wszystkimi zmianami, ciasto jednak rano zagnieść trzeba. Dziś ulubione Ingi, z dżemem, który Eva latem zrobiła z truskawek ze swojego ogródka. A do ciasta herbata, którą nadal można kupić w sklepie w wiosce i wciąż poprosić o nią po niemiecku. Brakuje tylko gości.

W Lichtenwalde nie zostało już wielu ludzi, którzy mieliby ochotę wpaść do Ewy z niezapowiedzianą czy zapowiedzianą wizytą. A teraz dróżką wijącą się między polami zbliżają się do bramy cztery osoby, ale żadna z nich nie zostanie zaproszona na herbatę i ciasto. Eva już to czuje. Można się oszukiwać, że to goście do leśniczówki, że tylko miną ich dom. Racjonalizować, że pewnie to klienci do Petera albo ktoś do Łabowiczów, którzy zajęli dom Helgi i Martina. Przekonywać, że ludzie przecież czasami mylą adresy. Z rozumem można próbować różnych sztuczek. Sercu jednak nie da się nakazać, by nie obijało się szaleńczo o żebra, jak teraz. Serce wie swoje.

Zaparli się oboje, i Eva, i Peter. Trwają w postanowieniu, choć coraz więcej wysiłku kosztuje udawanie, że życie będzie się toczyło bez zmian. Uparli się, że w swoim domu, przy swoim sadzie z jabłonią i czereśniami, obok dróżki do lasu, tuż pod leśniczówką, zostaną na zawsze. Będą pracować, świętować, tańczyć na weselach, płakać na pogrzebach, a na koniec dzieci pochowają ich na cmentarzu przy kościele. Tam, gdzie leżą rodzice i bracia, tam jest i ich miejsce. Ciągłe liczą na to, że uda im się umrzeć tu, gdzie przyszli na świat. Innego życia nie znają, innego sobie nie wyobrażają. Innego nie chcą. Ani Eva, ani Peter.

W Lichtenwalde czas przez stulecia toczył się kołem.

Ludzie rodzili się, wtulali się w matki, uśmiechali się do ojców. Rośli. W tygodniu chodzili do szkoły, w niedzielę do wznoszącego się tuż obok niej kościoła z kwadratową dzwonnica. W grudniu śpiewali *O Tannenbaum, o Tannenbaum, Wie treu sind deine Blätter* i tłoczyli się o północy przed zielonym, pachnącym ołtarzem pięknie udekorowanym sosnowymi gałęziami. W wigilijną noc stawali przed nim wszyscy, nawet ci, którzy na co dzień ani z Panem Bogiem, ani z księdzem Wilhelmem nie żyli w zgodzie. W ten wieczór słuchali, co ma im do powiedzenia. Tego wieczoru co roku wchodzili do tej samej rzeki. Koło czasu toczyło się gładko.

Podobnie było 6 stycznia, gdy ksiądz Hattwig i duchy Trzech Króli ruszali na obchód po domach Lichtenwalde. Błogosławili je, modlili się razem z ich mieszkańcami, a gdy proboszcz opuszczał gospodarstwo, pisał na drzwiach inicjały króli. Błogosławieństwo było jak dobra wróżba na cały nadchodzący rok. Kiedy Eva po raz pierwszy zobaczyła nakreślony kredą napis na domu jej i Petera, poczuła, że jest u siebie.

Niedziela wielkanocna była dniem kobiet. To one odkryły w Jerozolimie, że ciało Jezusa zniknęło. To one spotykały się w kościele w Lichtenwalde już o czwartej nad ranem, żeby modlić się przed pustym grobem:

– Witajcie, siostry zmartwychwstałego Chrystusa! – zaczynał ksiądz Hattwig. Czas zaokrąglął się miarowo.

Dzień później, dla odmiany, w kościele spotykali się mężczyźni. Szli w triumfalnej procesji przez całą wieś, w cieniu rzucanym przez kościelne chorągwie. Akompaniowały im skrzypce i akordeon wygrywające wielkanocne pieśni. Odwiedzali wszystkie cztery przydrożne kapliczki w Lichtenwalde, modląc się i śpiewając. Jezus Zmartwychwstał! Jeszcze raz! Alleluja!

Świat obracał się wzdłuż własnej osi, ale też kręcił wokół Słońca. Dziewczynom rosły piersi, chłopcom podnosił się i obniżał głos. Któregoś dnia podczas zabawy w *Gasthaus zur Düppeler Schanze* ktoś zatrzymywał na kimś spojrzenie. Albo w ogródku *Gasthaus zur Erholung*, w przerwie między tańcami, zagadał się z osobą, którą znał od zawsze. Wszyscy w Lichtenwalde znali się od zawsze. Eva pamiętała Petera Jeschkego jeszcze ze szkoły, ale dopiero w *Gasthaus zur Erholung* zauważyła, że wyrósł na wysokiego mężczyznę i głos ma dźwięczny. Potem był ślub, w tym samym kościele z dzwonnica, który widać z ich sadu. Taki, jak należy, z tłuczeniem szkła, białym welonem, panem młodym przenoszącym pannę młodą przez próg.

Tak żyła babka Ewy, tak żyła jej matka i tak żyje ona sama. Tak miały żyć jej dzieci.

Po weselu bywało różnie: jedni wprowadzali się do rodziców, inni, pracowici, zdolni jak Peter, budowali dom dla nowej rodziny. Kobiety zachodziły w ciążę, rodziły się dzieci. Koło czasu kręciło się ruchem jednostajnym prostoliniowym.

Ewie też szybko urósł brzuch, a w dniu, w którym urodziła Inge, poczuła spokój, jakiego wcześniej nie znała. Wszechogarniające przekonanie, że jest na swoim miejscu, a wszystko toczy się tak, jak powinno. Przekonanie, które pielęgnowała przez lata, choć podróż Ingi do pokoju w domu pod leśniczówką nie była ani szybka, ani gładka. Tego dnia w całym Glatzer Kessel śnieg padał gęsto i równo od dwudziestu godzin. Kiedy Peter wyszedł na podwórko, śnieg sięgał mu do kolan.

– To już? – dopytywał od obiadu. Oddychał szybko, oczy miał okrągłe, dłonie ciągle wycierał w spodnie. Denerwował ją jego strach.

– Nie wiem, Peter. Nie wiem – odpowiadała coraz bardziej podirytowana.

Skąd mogła wiedzieć, czy to już. Nigdy wcześniej nie rodziła dziecka, a poprzedniego dnia też ją co chwilę bolał brzuch. Ale uspokoił się, gdy położyła się pod kocem w sypialni i zasnęła głębokim, ciążowym snem. Spała wśród padającego śniegu i spała. Zbierała siłę na to, co miało nastąpić.

Kiedy w końcu stało się jasne, że skurcze są coraz silniejsze, Peter rzucił się do zaprzęgnięcia bryczki. Koń nie bardzo chciał wyruszać pomiędzy tłuste płatki śniegu, ale nie miał wyjścia. Najpierw przywiózł z dołu mamę Ewy, a potem pojechał do Bad Langenau, po starą Ludmiłę. Szczęśliwie babka przed tygodniem zeszła z gór i mieszkała kątem u jednej z kobiet, która również czekała na dziecko. Przy tej pogodzie nawet najbardziej leniwe dziecko zdążyłoby się urodzić, zanim koń zdołałby się dostać do chaty w górach. Peter gonił konia po świeżym śniegu, więc szybko przywiózł Ludmiłę z sąsiedniej miejscowości do Lichtenwalde.

Eva widziała ją zaledwie kilka razy w życiu. Czasami mijaly się na drodze we wsi, ale nigdy ze sobą nie rozmawiały. Koleżanki opowiadały po cichu, że Ludmiła pomaga w różnych kobiecych problemach – jeśli któraś chce mieć dziecko, albo wręcz przeciwnie, zawsze coś poradzi. Znała też sposoby na to, by bezpiecznie sprowadzić dziecko na świat. Gdy rodziła się Inga, niemieckie noworodki należały już do Rzeszy. Były ewidencjonowane, liczone i od pierwszych chwil życia powoływane na służbę wodzowi. Rekomendowano poród w szpitalu, gdzie od początku można było mieć nad nimi kontrolę. Eva jednak nie miała wątpliwości. Nie chciała jechać do szpitala. Wierzyła, że Ludmiła zna tajemnice i zaklęcia, które sprawiają, że dzieci przychodzą na świat zdrowe, a ich mamy szybko wracają do formy. Już samo imię babki wzbudzało jej zaufanie. Kojarzyło się z tym, co znała od zawsze.

Kiedy była dziewczynką, co wieczór prosiła mamę:

– Opowiedz mi, mammo, o Ludmile! O Ludmile!

A mama wzdychała:

– Znowu?! A może dzisiaj o Liczyrzepie?

Ale Eva nie chciała słuchać o Liczyrzepie. Wszystkie baśnie, opowieści i bajki matki dotyczyły dzielnych i sprytnych mężczyzn. Tylko Ludmiła była wyjątkiem. Rządziła znaną Evie od zawsze okolicą. Była panią potężną i silną. Włosy miała jasne, długie, gęste, okrywały ją jak płaszcz. Oczy zaś błękitne niczym skrawki letniego nieba. Uroda jej nie przemijała i nikt w całym Glatzer Kessel nie wiedział, ile ma lat. Wiadomo było tylko, że całą swoją moc Ludmiła czerpała z ziemi, z tej ziemi, po której Eva chodziła do szkoły i biegała z tatą do lasu, pod leśniczówkę. Chciała słuchać i słuchać tylko o Ludmile, bo mama nie знаła innych opowieści o kobietach.

Ludmiła z gór nad Bad Lagenau nie przypominała pani z legendy. Włosy miała czarne i takie same oczy. Straszyla dzieci bezzębnym uśmiechem i niemytymi kudłami. Nikt nie wiedział, ile ma lat, ale z daleka było widać, że jest stara. Mówiła, używając dziwacznej mieszanki czeskiego i niemieckiego. Wszyscy ją znali, ale nikt nie wiedział, skąd wzięła się w górskiej chacie nad wsią.

Śnieg sypał i sypał, a ból rozszarpywał Evę, rzucał nią po łóżku, robił z nią, co chciał. Cała skupiła się na nim. Nie interesowało jej, co dzieje się na zewnątrz. Ledwie zauważyła, że mąż z Ludmiłą wrócili do domu i że babka odesłała Petera z mamą Evy na dół, do wsi.

– Chłop przeszkadza rodzącej, baba nie może się zająć sobą – powtarzała to po czesku, to po niemiecku. Głos miała nieprzyjemny, zachrypnięty. – Niektóre zamiast się skupić na brzuchu, to chcą mężom obiady podawać. Przy rodzącej lepiej, żeby nie było też matki, bo trudno jej znieść cierpienie swojego dziecka. A tu ktoś inny jest dzieckiem, które trzeba poprowadzić. Idźcie już! Wróćcie rano, powinno być po wszystkim.

Wypychała ich za drzwi z koślawym napisem C+M+B+1936. Widać, że księdzu Wilhelmowi przy pisaniu kredą zadrżała zmarznięta ręka. Ludmiły nie obchodził ani ksiądz, ani Trzej Królowie, ani napis na drzwiach. Miała własne boginie.

Peter oglądał się za siebie, wsiadając do bryczki. Mama Evy go uspokajała:

– Nie martw się, Peter. Dadzą sobie radę. Ludmiła pomogła przy porodzie i twojej mamie, i mnie.

W domu pod leśniczówką zostały we trzy: Eva pozwijana w nawracających skurczach, Inga pchająca się na świat i Ludmiła, która przybyła, żeby im pomóc. Chwilę pokręciła się po kuchni, chwilę

posłuchała krzyków Ewy, chwilę poprzyglądała się przez szybkę filizankom w czerwone kwiaty. W końcu straciła cierpliwość.

– Koniec wrzasków! – zarządziła. – Teraz mnie słuchaj!

Ewa była rozdygotana i przestraszona. Miała poczucie, że wpada w czarny dół, leci, leci, bez ratunku. Patrzyła na Ludmiłę dzikim spojrzeniem, które na babce nie robiło żadnego wrażenia. Widziała już wszystko.

– Słuchasz czy nie? – zapytała sucho.

Ewa się nie wahała. Przytaknęła. Babka była jej jedynym wsparciem. Ludmiła ze skundlonymi włosami zapanowała nad sytuacją w domu pod leśniczówką, tak jak złotowłosa pani Ludmiła panowała nad kotliną.

– Oddychaj! – powiedziała już spokojniej i pokazała Ewie, jak to robić. – Bo inaczej nie dasz rady. I zioła pij, żebyś miała siłę przeprowadzić dziecko przez siebie. Będzie z nami przed świtem.

Wdech, wydech, wdech, wydech, Eva nie przestawała, chociaż wciąż buntowała się przed zadaniem, przed którym stawiało ją jej ciało. Zioła to ją otrzeźwiały, to prowadziły w letarg. Po wielu oddechach i kilku łykach w końcu zrozumiała, że nie chce dłużej uciekać od swojego brzucha. Postanowiła przejść przez poród na własnych zasadach. Po kolejnych kilku łykach i mnóstwie oddechów wstała z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju. Bolało, szarpało, rozrywało, ale czuła się jak królowa. Panowała. Znalazła rytm. Przejęła kontrolę. Teraz to ona prowadziła swoje ciało przez ból i strach. Babka nie miała nic do roboty. Przygarbiona usiadła przy stole i popijała napar z kamionkowego kubka. Eva już jej nie potrzebowała. Nawet na nią nie patrzyła, wzrok skierowała do wewnątrz, na swoje dziecko, które mościło sobie drogę. Maleńkie, piękne, mądre. Prowadziła je przez swój brzuch. Korytarz był czerwony, ciepły. Każdy skurcz, każda minuta bólu to centymetr bliżej do świata. Spokojnie, mały człowieku, mówiła do dziecka. Wdech. Wydech. Wiedziała, co robić.

Kilka godzin później córeczka zawinięta w pieluszki i koc leżała obok niej, a babka tłumaczyła Peterowi, że żona powinna spędzać czas w łóżku i odpoczywać tak długo, jak długo będzie miała na to ochotę.

– Żadnego noszenia, Herr Peter! – mówiła ostrym, chrapliwym głosem. Eva patrzyła na jej rozczochrane włosy i nieliczne czarne zęby. – Największy ciężar, jaki może teraz podnieść, to dziecko. Nic więcej. Musi pan o nią dbać.

Przed wyjściem podeszła jeszcze do Ewy i pogłaskała ją po policzku.

– Dałaś radę – powiedziała. – A gdybyś chciała od dzieci odpocząć, to przyjdź do mnie w góry, coś poradzę. Można mieć w życiu trochę zabawy, ale nie trzeba rodzić dzieciaka co roku.

Zaśmiała się piskliwie. Teraz, kiedy Inga była już na świecie, a oczy zaczęły się kleić Ewie ze zmęczenia, Ludmiła w niczym – poza imieniem – nie przypominała jasnowłosej sudeckiej pani. Nie wzbudzała też już zaufania, ale nie miało to żadnego znaczenia. Bo Eva właśnie poczuła, jak jest silna. Ciągle na nowo odtwarzała w głowie chwilę, w której Inga się z niej wysuwa. Najpierw czeka w tunelu pomiędzy życiem a niezyciem, a chwilę potem łapie oddech i płacze.

Małeńka miała usta w kształcie serca, granatowe oczy, główkę podłużną od przeciskania się na świat. Eva patrzyła, wahała, zakochiwała się w córeczce. Miała piękne dziecko i dobrego, pracowitego męża, dzięki któremu niczego nigdy jej nie zabraknie. Nie przewidywała w swoim życiu zakrętów, nie zawracała sobie głowy nieoczekiwanym. *Christus mansionem benedicat*. Pobłogosławił.

Tak myślała dziesięć lat temu, kiedy jej brzuch boleśnie się obkurczał, dziecko uczyło się ssać i raniło jej brodawki bezzębnymi dziąsłami. Teraz nie jest już pewna, czy życie będzie się toczyło zgodnie z planem, który ułożyła przed laty. Czasami miała wrażenie, że choć ksiądz Wilhelm wciąż odprawia msze w białym kościółku i odwiedza niemieckie domy razem z Trzema Królami, to od roku Chrystus nie pamięta o Lichtenwalde.

Odwraca głowę w stronę domu, żeby jeszcze raz spojrzeć na to, co udało im się stworzyć. Kilka metrów od Ingi siedzi jej dwóch małych braci. Starszy przygląda się znalezionemu przed momentem patykowi, żeby za chwilę zamienić go w karabin, z którego strzela do mrówek. Młodszy wpatruje się w swoje zakurzone rączki. Jasne łebki wystawili do słońca, łapią jesienne promienie, czują, że warto się nimi nacieszyć przed zimą. Starszy może już wiedzieć, że po jesieni przychodzi śmierć. Młodszy nie ma jeszcze roku. Podwórko zwiedza na czworaka. Przesunął się tak blisko brata, jak to możliwe, i próbuje mu wyciągnąć z ręki patyk. Starszy cierpliwie wkłada maluchowi w łapkę to trawkę, to kamień, to kwiatek. Wreszcie oddaje mu także swoją drewnianą broń. Może to lepiej. Lichtenwalde nie potrzebuje już więcej chłopaków z karabinami. Lichtenwalde potrzebuje żyć.

Dom, który wybudował Peter, jest solidny, spory, jasny. W sadzie czerwienią się to czereśnie, to jabłka, wokół małego podwórka rozstawione są pomieszczenia gospodarcze – królestwo Petera. Tam trzyma swoje urządzenia i maszyny. Tam również mieszkają ich zwierzęta. Latem wynajmują do pomocy chłopaków ze wsi, którzy kręcą się po podwórku. Po wypadku Peter potrzebuje czasami pomocy. Ale od jesieni do wiosny jest spokój.

Palce granatowe od jagód. Grzyby z pieca albo smażone na maśle. Nogi poharatane przez leśne chaszczce. Nos i ramiona spalone od słońca. Mała Eva uwielbiała, kiedy tata zabierał ją na wycieczkę do lasu. Znikali na cały dzień – czasami tylko we dwoje, czasami jeszcze z dwoma braćmi. Już z daleka wypatrywała leśniczówki, którą trzeba było minąć po drodze. Duży dom ze spadzistym dachem, schowany wśród owocowych drzew, zieleń różna o różnych porach roku, wydeptana pośród krzaków dróżka do lasu. Eva za każdym razem przystawała i wpatrywała się w budynek zachwycona.

– Tatusiu, proszę, poczekaj na mnie! – krzyczała i dobiegając do ojca, jeszcze oglądała się za siebie.

Nie było tam już słyhać gwaru wioski, nie było ludzi. Był zapach lasu. Był spokój. Szczególnie pięknie robiło się jesienią, kiedy góry złociły się i czerwieniły. Spod leśniczówki w Lichtenwalde widać całe piękno świata, tak myślała, kiedy była dzieckiem. A Peter, gdy mu o tym opowiedziała, postanowił, że ich dom stanie w jej pobliżu. Taki był Peter dwanaście lat temu, kiedy brali ślub, i taki jest teraz. Nie obsypuje jej kwiatami i pięknymi słowami. Buduje na skale. To ona zbiera kwiaty i wstawia je do wazonu. Pięknych słów szeptać sobie sama do ucha nie potrafi. Umie za to bez nich żyć. Ze swojego sadu widzi góry, które właśnie wyłaczają się i czerwienią. Najpiękniejsze w roku.

W życiu na skraju wsi bywało trudno, męczyły ich choroby, spory, tęsknota. Wypadek nadszarpnął zaufanie do świata. Chodzili na pogrzeby, które kruszyły pewność jutra. Życie przynosiło również rozpacz i rozczarowania, ale w Lichtenwalde toczyło się kołem, więc zawsze w końcu nastawał październik. A w październiku Eva przystawała w sadzie, patrzyła na góry, doliny i czuła ten sam spokój, którego doświadczyła tak wyraźnie w dniu urodzenia pierwszego dziecka. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Mieli życie, które zbudowali własnymi

rękami. Szczęście mają ci, którzy na nie zasłużyli, taka bezczelna myśl pojawiała się w jej głowie. Mąż był pracowity i mądry. Ona była zaradna, prowadziła dom czysto i gospodarnie. Żyła, jak należy, modliła się, jak należy, ubierała się, jak należy. Skrupulatnie wypełniała wszystkie wymagania, jakie Lichtenwalde stawiało kobiecie w jej wieku. Spomiędzy ich jabłoni i czereśni widać całe piękno świata. Trudno się dziwić, że nie zamierzają go porzucić.

Z czasem nabrała jednak wątpliwości. Pierwszym dowodem na to, że życie może im przynieść także przykre niespodzianki, było dorastanie Ingi. Wojna okazała się ciągiem nagłych zakrętów. Jej zakończenie dla mieszkańców Lichtenwalde oznaczało głównie niepewność. Lęk wsączał się w Evę niepostrzeżenie, kropelka po kropelce. Było go coraz więcej i więcej, ale wciąż nie ubrała go w słowa. Z Peterem rozmawiała tak, jakby nic się nie zmieniło. Planowali kolejne święta, lato, żniwa, kolejne posiłki, kolejne dobre dni. Kropla po kropli, dzień po dniu, coraz ciężej było jej lekceważyć strach, ale gdy przyglądała się Peterowi, miała wrażenie, że on wciąż czuje się pewnie.

Inga, jej pełna niespodzianek dziewczynka, stoi spokojnie. Nie kręci młynków palcami, co często jej się zdarza w trudniejszych chwilach, nie bawi się kosmykami włosów. Stoi i patrzy z ciekawością na zbliżających się do domu ludzi. Widać już wyraźnie, że jest ich czworo – dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Serce Ewy tłucze się mocno i nierówno przez cały czas. Coś przeczuwa. Czegoś się boi. Ale głowa jeszcze udaje, że to ze zmęczenia. Jest dzisiaj w kiepskiej formie. Młodszy synek budził się w nocy kilka razy i nie mógł zasnąć. Domagał się mleka, wiercił, płakał. Od kilku dni dokucza mu rosnący ząb. Jedynym lekarstwem na ból jak zawsze była pierś Ewy. Wpatrywał się w matkę oczami pełnymi łez, błędził rączkami po jej szyi i twarzy. Powoli, łyk po łyku, wyrównywał oddech. Była jego spokojem. Głaskała jasną główkę i całowała paluszki. Kiedy odłożyła go do łóżeczka i wtuliła się w Petera, zasnęła od razu. Nie na długo.

O kuzynkę z Köslin martwi się każdego dnia, a od niedawna także każdej nocy. Żadnej wiadomości od wielu, wielu dni. Gdy były młodsze, pisywały do siebie regularnie, co tydzień. Dzieci odebrały im czas, zmieniły priorytety, ale one wciąż były sobie bliskie. Nadal co roku spędzały wspólnie część wakacji. Początek lipca u niej, w Lichtenwalde, koniec

sierpnia u kuzynki w Köslin. Już sama wyprawa pociągiem była przygodą. Wycieczki w góry, wyprawy nad morze, maliny prosto z krzaka, bułki ze śledziami, dziewczynskie sekrety szeptane przed snem. Potem dzielenie tego, co kobiece. Teraz cisza. Nie wiadomo, co się dzieje z kuzynką, nie wiadomo, co z jej dziećmi. Im więcej osób wracało z wojny przez Lichtenwalde, tym Eva bardziej się o nich bała.

A ludzie szli.

Wioska, zawsze na uboczu, zmieniała się w trasę tranzytową. Znaną od niepamiętnych czasów drogę zapełniły nieznane twarze. Jedni wracali do. Inni uciekali przed. Wielu wygnano z. Zdarzali się tacy, którzy na przelotowej autostradzie postanawiali zostać i zajmowali kolejno opuszczane domy, ale większość mijała wieś i szła dalej. Któregoś popołudnia Eva stała przed domem pani Kohl i rozmawiała z nią o tym, że pogoda tego roku wyjątkowa dla żniwiarzy i że truskawki udały się znakomicie, a zanoszą się też na urodzaj wiśni w sadzie u pani Kohl. Ta część wsi, która nie czekała na śliwownicę pędzoną w gospodach, liczyła na jej doskonałą wiśniówkę. W pewnym momencie wzrok Ewy przykuła przygarbiona postać. Kuzynka z Köslin! Czy ta kobieta w chuście pochylona nad drewnianym, pełnym pakunków wózkiem to ona? A brudny dzieciak z zapadniętymi policzkami stojący obok to Hans, synek kuzynki, równolatek Ingi? Eva zamilkła. Zostawiła panią Kohl z pytaniem o to, jak obrodziły czereśnie. Odeszła trzy kroki i wpatrywała się uważnie. Czy to oni? Już chciała biec, już chciała otwierać ramiona, ale wystarczył jeden gest kobiety i Eva wiedziała.

– Przepraszam, pani Kohl – przerwała pogawędkę. – Muszę wracać do dzieci. Czas na karmienie.

Obca kobieta i obcy dzieciak poszli dalej w milczeniu na zachód, a Eva została w swoim Lichtenwalde i w swoim strachu. Obejmował ją lepkiimi łapami coraz dokładniej.

Ludzie szli i szli.

Na początku rozmawiała z tymi, którzy wypędzeni ze swoich wiosek i miast szukali nowego miejsca, by spróbować coś jeszcze zbudować, by spróbować jeszcze się rozgościć, by spróbować jeszcze pożyć. Wszyscy wyglądali tak samo. Chudzi, zmęczeni, z oczami okrągłymi ze zdziwienia. Byli w drodze od tygodni, niektórzy od miesięcy, ale ciągle nie przyzwyczaili się do myśli, że nie mają już swoich domów, mieszkań,

swojego życia, które wybudowali w niewłaściwym miejscu. Pechowo porodzili się, poženili, pomnożyli na ziemiach przekazanych zwycięzcom w nagrodę.

Zwycięzcy, jak to zwycięzcy – brali wszystko.

Miedziane patelnie Brigit z domku nad jeziorem. Taka była z nich dumna! Taka dumna! To był prezent ślubny, czyściła je każdego wieczoru, aż błyszcząły i zalewały kuchnię odbitym, złotym światłem.

Łóżeczko małej Elke i jej piękną lalkę z długimi włosami. Rodzice nie zdążyli jej zabrać. Tak bardzo się spieszyli, kiedy uciekali, że wzięli tylko płaszcze dla siebie i ubrania dla córeczki. Elke płacze i płacze, bo tęskni za lalką.

– Wróćmy, mamusiu, wróćmy, tatusiu, po moją Ruth z niebieskimi oczami i jasnymi włosami! Na pewno w domu na mnie czeka! – woła. – Przecież zawsze mówiliście, że jesteśmy do siebie podobne!

Nie wracają. Nie ma po co. Ruth już dawno opuściła ich elegancką kamienicę przy głównej ulicy miasteczka. Nie ma też książek – mama Elke lubiła ustawiać je w rządkach – ani obrazów kupowanych w sklepach z antykami. Łóżeczka też już nie ma – porąbane i spalone w piecu. Lokatorzy, którzy zatrzymali się w ich mieszkaniu na jakiś czas, zmienili jego szczebelki i nóżki w ciepło. Wiosna tego roku długo nie mogła rozkwitnąć. Za to w domach kwitło niejedno. Na środku salonu, który mama Elke dopieszczała przez lata, pomiędzy kawałkami kryształowego lustra znad kominka, rozkwitła na przykład kupa. Wszyscy mówili o kupach, którymi zwycięzcy zdobili podbite tereny, splądrowane sypialnie, przegrzebane szafy, beczki po kiszonej kapuście, ale w tę jedną mama Elke nie uwierzyłaby, nawet gdyby ją zobaczyła na własne oczy. Kupa? W salonie? Na dywanie? Ach nie, dywanu też już nie ma. Może trafił tam, gdzie lalka Ruth z niebieskimi oczami i jasnymi włosami. Śliczna jak mała Elke.

Ławka przed chałupką również była dobrym łupem.

Każdego dnia po południu Agatha siadała na niej, zaciągała się słonym powietrzem i wsłuchiwała w szum fal. Była taka stara, że czasami zapominała, jak ma na imię i jak nazywa się szare morze, ale drogę do niego miała wyrytą w sercu: z chałupki na prawo, do lasu, ścieżką pomiędzy drzewami. Wychodziła na plażę, gdzie z rana znajdowała bursztyny, a po południu grzała kości na miękkim jak mąka piasku.

Wiedziała też, jak trafić z powrotem do domu. Czasami wydawało jej się, że już umarła, skoro nic więcej nie mogła sobie przypomnieć. Siadała wtedy na ławeczce przed chałupką i sprawdzała – szumi czy nie. Dopóki słyszała morze, wiedziała, że jeszcze żyje.

Były już bardzo zmurszałe: i Agatha, i ławeczka, i chałupka. Zwyczajem to nie przeszkadzało. Brali wszystkie, po kolei. Były już takie stare, że narażone na gwałtowne ruchy, mogły się rozsypać na proszek. Żołnierze jednak wygrywali wojnę, nie mieli czasu, żeby się nad nimi rozczulić. Nawrzeszczeli na starowinę w obcym języku i popędzili z chałupy. Nie rozsypała się, o dziwo, nawet wtedy, gdy jeden z nich chciał ją uderzyć. Kiedy zobaczył, że ledwo nogami powłóczy i idzie powolutku, jak jego babcia, opuścił rękę. Na pożegnanie poczęstował ją tylko kopniakiem.

Agatha przewróciła się na drogę i leży, połykając łzy. Słone jak Bałtyk. Tak! Tak właśnie nazywa się morze, które słychać na jej podwórku. *Das Baltische Meer. Die Ostsee* towarzyszyło jej przez całe życie. W szczęściu, kiedy miała męża, przystojnego i wysokiego. Gdy urodził się ich synek, malutki, z jasnymi włoskami. I w nieszczęściu: kiedy wszyscy jej poumierali. Dawno to było, tak dawno, że Agatha nie pamięta już ich imion. Nie jest nawet pewna, czy w ogóle byli, czy może się jej przyśnili. Jedyne, co jest na pewno, to morze, za laskiem, na prawo od chałupki.

Leży Agatha na drodze i płacze. Znowu zapomniła, jak nazywa się morze, zresztą po co jej jego nazwa, skoro już go więcej nie zobaczy. Leży na drodze i nie wie, co zrobić. Próbuje myśleć, coś postanowić, podjąć jakąś decyzję, ale głowę ma pustą. Brzuch ją boli po tym, jak żołnierz rzucił ją na łóżko i się na niej położył. Podskakiwał w górę i w dół, w górę i w dół, a kości klekotały w niej głośno. Miała wrażenie, że rozerwą jej skórę i wypadną przez dziurę na zewnątrz.

W końcu Agatha postanawia, że wstanie z drogi i wróci do chałupki, bo niby gdzie indziej miałyby pójść. Słyszy jakieś krzyki i rozmowy dobiegające przez okno. Ktoś tam jest, w jej kuchni. Ktoś śpi w jej łódeczku. Ktoś je z jej miseczki. Ktoś pije. I śpiewa. Fałszuje. Musiał już wypić trochę. Prawie otwiera furtkę, prawie wchodzi do kuchni, żeby sprawdzić, co się tam dzieje, ale sąsiedzi, którzy opuszczają swój dom, zawracają ją z podwórka i litościwie sadzają na wozie. Biorą ją ze sobą. Spojrzała jeszcze ostatni raz na swoją ławeczkę i pojechali. Błąka się teraz po świecie. Nie

słyszy morza popołudniami, nie czuje skroplonej soli na wargach. Nie jest pewna, czy jeszcze żyje, czy już trafiła do piekła.

Ludzie szli i szli, i szli.

Na twarzach mieli doliny wyżłobione przez łzy. Eva rozmawiała z tymi, którzy przybyli do Lichtenwalde jako pierwsi.

– Kazali iść – tłumaczył jej wysoki, szczupły mężczyzna.

Patrzyła na niego uważnie i spokojnie. Czekwała na kolejne zdania, choć wcale nie chciała znać tej historii.

– Szliśmy za wozem – mówił. – Na wozie matka z ojcem. Mróz był wielki, baliśmy się zatrzymać, żeby nie zasnąć. Szliśmy całą noc, nikt się nie odzywał, żeby nie tracić sił. Dopiero rano zapytałem matkę, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedziała. Ojciec też milczał. Zamienili się w grudki lodu. W trzech chłopów ledwie daliśmy radę odczepić ich od siedzenia. Zostali przy drodze, na łysym polu.

Eva słuchała opowieści o trzaskającym mrozie, ale w głowie miała kwitnące bzy, pachnący sad, jasne wieczory. Bezwietrzna pora dnia, słońce chowające się za górą, zieleń, fiolet, żółć, ziemia pulchna po wiosennej burzy. Co roku spędza majowe popołudnie, sadząc bratki na grobie rodziców. Grzebie w ziemi, sprząta, potem zostawia przodków samych na cmentarzu i wraca do żywych, do domu. Zmarłym zostają na grobach bratki, ulubione kwiaty jej mamy.

Z czasem zadawała ludziom przechodzącym przez wieś mniej pytań, bo z każdym tygodniem trudniej było mieścić w sobie podobne historie. Układać w głowie kolejne straty, kolejne łzy. Chowala się przed nimi w domku pod leśniczówką. Ale one przychodziły same. Przynosiła je Helga, przynosił Peter. Wystarczyło wyjść po zakupy, żeby usłyszeć coś, po czym trudno było spać.

Skończyła się wojna, zaczęło się najgorsze.

Im częściej Eva słuchała opowieści ludzi, którzy mijali Lichtewalde, tym bardziej martwiła się o kuzynkę z Köslin. Myśli o niej w dzień, myśli przed snem, myśli, gdy śpi. Poprzedniej nocy, kiedy w końcu utuliła marudzącego synka i zasnęła, strach wypłynął. Zerwała się, przerażona, i gwałtownie usiadła na łóżku. Peter ocknął się na moment, pogłaskał ją po plecach, szepnął coś uspokajającego, ale troskliwy gest męża nie dodał jej otuchy. Nie zasnęła już do rana, więc oczy ma teraz czerwone i załzawione. Ludzi idących od strony wsi widzi wyraźnie dopiero wtedy, kiedy są już

naprawdę blisko. Dopiero w tym momencie dostrzega, że na przedzie idzie Renate, koleżanka ze szkoły.

Czego ty chcesz od Ewy, Renate? Po co sprowadzasz do jej domu obcych ludzi? Czy nie domyślasz się, że schowała się pod leśniczówką, żeby nie rzucać się w oczy i dać o sobie zapomnieć? Żeby przetrwać w swoim domu niepostrzeżenie aż do śmierci?

Z czasów szkolnych najlepiej zapamiętała chude kolanka Renate, wystające spod przykrótkiej spódniczki, i dwie koleżanki po jej bokach. Zawsze razem, wszędzie we trzy. Pamięta też, że nauczyciel stale zwracał Renate uwagę, by przestała obgryzać paznokcie. W końcu przyniósł do klasy gorzki płyn, którym smarował jej palce. Na każdej przerwie dziewczynka nerwowo biegła do toalety, gdzie szorowała dłonie. Uspokajała się dopiero wtedy, gdy mogła włożyć kciuk do ust.

Teraz chwieje się na polnej drodze, ale dzielnie brnie przed siebie. Pionierka. W butach na obcasie nie wdrapał się tu jeszcze nikt. Eva nie widziała jej od dawna, ale słyszała o niej co nieco. Plotkowano, że Renate ma plany. Że kocha Lichtenwalde i nie zamierza opuścić wsi. Sąsiadki szeptały, że jest zdeterminowana i nie czeka, aż nadejdzie moment, kiedy każą jej odejść. Ona działa. Podejmuje wyzwania. Poznaje, kogo trzeba. Zawsze zwarta, zawsze gotowa. Podobno zaczęła nawet mówić po polsku. Rzeczywiście, do uszu Ewy docierają już pojedyncze słowa i zdania. Renate rozmawia z mężczyzną, który idzie obok niej, przekomarzają się, szczebioczą, szeleszczą, w tym brzydkim, wulgarnym języku. Dawna koleżanka ze szkoły śmieje się perliście, mówi wysokim głosem, kołysze się na obcasach.

Mężczyzna obok Renate to Piotrowski, jego Eva też zna. Jeden z pierwszych Polaków, który zamieszkał w okolicy Glatz. Takich jak on jest więcej – każde miasteczko i miasto, każda wieś i przysiółek, każda gmina zabrana Niemcom i podarowana Polakom ma takiego Piotrowskiego jak ten, który właśnie zerka na nogi Renate. Bardzo dobrze wygląda na tych obcasach, trudno od niego wymagać, żeby podziwiał przyrodę, kiedy pończochy na łydkach Renate migają w słońcu.

Piotrowscy mają jedno zadanie. Władza ludowa dokładnie wytłumaczyła im, czego od nich oczekuje. Ich celem jest zamienić Breslau we Wrocław, Kolberg w Kołobrzeg i Liegnitz w Legnicę. Temu oddają swoje siły, młodość i energię, tym się zajmują od rana do wieczora, to śni im się po nocach.

Piotrowskich poznać łatwo. Pod pachami noszą wypchane teczki, pełne dokumentów, które podstawiają do podpisania. Piotrowscy przywożą Polaków do opuszczonych domów. Niektórzy dysponują samochodami, tak jak tutejszy Piotrowski, ten, który zamienia Lichtenwalde w Porębę. Piotrowscy mają krzepę i wiarę w lepszy porządek, który zamierzają zaprowadzić. Zachowują się, jakby to dzięki nim ziemie zostały odzyskane.

Piotrowski przekazał swoją drogocenną teczuszkę Renate, sam ma ręce zajęte. Taszczy spory pakunek. Szary papier potargał się w wielu miejscach i przybrudził, ale sznurek trzyma mocno. Paczka jest duża, choć nie na tyle, by zasłoniła Piotrowskiemu nogi Renate. Zerka na nie z tym samym entuzjazmem, z jakim buduje pod Kłodzkiem nowy świat.

Za nimi idzie para. Mężczyzna wyprostowany, wysoki, z kpiącym uśmiechem. Patrzy prosto na Evę, a spojrzenie ma świdrujące, bezczelne. Obok kobieta w szarej spódnicy i szarej koszuli, niknie w jego cieniu. Mężczyzna emanuje blaskiem, ją ledwie widać. Każde ma w ręku walizkę. Zadowoleni z życia. Wszyscy czworo roześmiani. Wszyscy zagadani. Młodzi, ładni, ciekawi życia. Czekaający niecierpliwie na mające nadejść dni.

Eva od dawna nie widziała takich pogodnych ludzi. Jakby się wybierali na piknik w jesiennym słońcu. Jakby w teczce pod pachą Renate miała bułeczki, szynkę i sok. Jakby Piotrowski miał zaraz rozłożyć na trawie koc, a para młodych przybyszów – wskoczyć do kąpieliska przy leśniczówce na ostatnie w tym roku pływanie, w słońcu grzejącym tego dnia prawie tak mocno jak latem. W Lichtenwalde nawet Polacy nie byli tacy promienni jak ta czwórka przed Evą. Kiedy zaczęli przybywać do wsi, zajmować domy po sąsiadach, spodziewano się przemarszu triumfatorów, ale rzadko wyglądają na zdobywców. Wielu spośród nich sprawia wrażenie, jakby ciągle się czegoś bali. Weronika, córka gospodarzy, którzy zamieszkali w domu Helgi i Martina, przemyka po ulicy z oczami wbitymi w ziemię, jakby chciała, żeby nikt jej nie zobaczył.

Eva nie mogła polubić ludzi, którzy wprowadzili się po sąsiedzku. Zbyt dobrze pamięta Martina i Petera kopiących fundamenty pod swoje domy, razem, jednocześnie. Postanowili zamieszkać z dala od innych, ale blisko siebie. Postanowili przejść przez życie razem. Postanowili, że spędzą wspólnie wiele wieczorów, a ich dzieci będą się ze sobą przyjaźnić tak jak oni. I tak jak oni – od zawsze i na zawsze. Trudno polubić ludzi, którzy

zajęli miejsce Martina i Helgi, nawet jeśli w ostatnim czasie relacje z nimi bardzo się skomplikowały. Najpierw dlatego, że dzieci rodziły się tylko Evie i nie miały się z kim przyjaźnić. A potem Peter miał wypadek i Martin pojechał na front tylko ze Stefanem. A wreszcie dlatego, że wrócił z wojny odmieniony.

– Nie byłeś tam, Peter – powtarzał. – Nie widziałeś tego, co ja. Nie mów mi, że mam zostać w Lichtenwalde, bo nie zamierzam spędzić wśród Polaków nawet jednego dnia.

Peter zaciskał zęby i nie mówił nic, jak to Peter. Wspólne wieczory wypełnione były napięciem i pretensjami wiszącymi w powietrzu. W końcu narosły tak bardzo, że jej mąż i jego przyjaciel zaczęli się unikać. Helga wciąż przychodziła do Ewy na ciasto i kawę, ale przestały patrzeć sobie w oczy. Pewnego dnia już się nie pojawiła. Tydzień później stało się jasne, że wyjechali. A dzisiaj nawet nie wiadomo, gdzie mieszkają.

Tymczasem nowi sąsiedzi wyglądają, jakby nie chcieli urazić Ewy tym, że burzą jej świat. Jakby nie chcieli kłuć w oczy swoją obecnością. Drobną kobietą, szczupłą mężczyzną i ich wiecznie przestraszona córka żyją sobie cichutko sto metrów od Ewy i Petera. Weronika przemyka do wioski bezszelestnie. Sierpniowa trąba powietrzna uszkodziła dach domu Martina, tak jak wiele innych domów w Lichtenwalde. Eva widzi czasami, że nowi ciągle go jeszcze remontują. Zmęczeni, zapracowani. Nie wyglądają na zwycięzców. Nie wyglądają na zdobywców.

Natomiast tych dwoje, którzy właśnie stoją przed Ewą – przeciwnie. Uśmiechnięci od ucha do ucha. Otwarcie lustrują dom i sad. Ewę i dzieci. Mężczyzna wychyla się i próbuje zajrzeć na podwórko, ogarnia wzrokiem stodołę, drewnię, szopę schowane za bramą. Podoba im się to, co widzą. Spoglądają na siebie z uśmiechem. Mężczyzna stawia walizkę na polnej dróżce. Dotarli. Są na miejscu.

W Lichtenwalde dzień jak co dzień.

Ludzkie potoki przelewają się przez kotlinę, jedni płyną ze wschodu na zachód, inni z zachodu na wschód. Jedni ust nie otwierają w ogóle, inni próbują wyrzucić z siebie obrazy zapisane w pamięci. Muszą opowiedzieć o trupach kobiet ze spódnicami związanymi nad głową, obnażonych od pasa, leżących w kałużach zaschniętej krwi, jedna przy drugiej. O błyszczących muchach latających nad nimi. O smrodzie, który wwiercił się w mózgi tych, którzy je widzieli, i zostanie w nich na zawsze.

Ten obraz wraca do Ewy często. Idzie drogą i wśród leżących wzdłuż niej trupów z zasłoniętymi twarzami i odsłoniętymi podbrzuszeniami próbuje odnaleźć kuzynkę z Köslin. Wpatruje się w kształt nóg, stóp, ud. Tu za chude łydki, a kuzynka ma solidne. Tam za duże stopy. Eva pamięta dobrze kształt jej pięty i palców odbitych na piasku nad morzem. Tu uda i brzuch, który mógłby być kuzynki. Czy to ona? Twarz jest zasłonięta burą szmatą. Eva podchodzi coraz bliżej i bliżej, ale nigdy nie dochodzi do trupa leżącego przy drodze. Za każdym razem budzi się przerażona i złana zimnym potem.

Są i inne historie, które nie dają spać.

Leją się z nich wódka i krew.

Dorastające dziewczynki wyrywane na siłę z ramion bliskich.

Zniszczone domy, drzwi otwarte na oścież, wybite szyby.

Puste miasteczka, wiatr na ulicach, książki w skórzanej oprawie poniewierające się przed restauracją.

Stalin zachęcający swoich chłopaków, żeby się zabawili po robocie. A potem, gdy się mocno rozbrykają, grożący im palcem jak wujek na imieninach: „No, *riebiata*, już bądźcie grzeczni”.

Czas w Lichtenwalde przestał się toczyć kołem. Staął. A potem strzelił jak z bicza i pognał, gdzie chciał. Nic już nie było takie jak zawsze. Otoczone górami Glatz nagle nazywało się Kłodzko. Miastem zarządzali Rosjanie. A za chwilę Polacy. A później pojawili się Czesi z za granicy i też chcieli zakładać swoje urzędy. Przed snem czasami zastanawiali się, w jakim państwie kolejnego dnia się obudzą. Peter nie miał problemu z odpowiedzią, bo on wciąż mieszkał w Niemczech. Jego serce stukało w rytm *Deutschland, Deutschland über alles*.

– Nawet jeśli tu przyjdą Polacy, to i tak na chwilę – powtarzał spokojnie.
– To nie jest naród zdolny do rządzenia, popatrz na ich historię. Wcześniej czy później znowu będziemy u siebie.

Eva chciała mu wierzyć.

Pewnego dnia zeszła do sklepu, do wioski na dole, i zauważyła dziewczynkę, która stała niedaleko kościoła i przeskakiwała z trawy na drózkę i z powrotem. Miło było popatrzeć na dziecięcą zabawę, niezmienną i niezależną od decyzji polityków w garniturach i mundurach. Mała przyciągnęła uwagę Ewy, bo skubała włosy dokładnie tak samo jak

Inga. Miała na imię Hilda i miesiąc wcześniej skończyła osiem lat. Porozmawiały przez kilka minut i chwilę później wspinali się pod górę do domu we troje – Eva, Hilda i jej tata.

Peter, jak to Peter – nie skomentował niezapowiedzianej wizyty ani słowem. Ale patrzył na to, co działo się przy stole, wyraźnie zdziwiony.

Eva nie sprowadzała do domu gości bez zaproszenia, i to z odpowiednim wyprzedzeniem. Na ogół na kolację podawała chleb, ser i wędlinę. A tego dnia, kiedy Hilda i jej tata odpoczywali w pokoju na piąterku, przygotowała gulasz. Pokroiła ogórki. Otworzyła słoik z kompotem. Chciała, żeby goście porządnie się najedli. Chciała, żeby poczuli się jak w domu. Żeby mieli ciepło w brzuchach, ciepło w sercu, żeby choć przez chwilę czuli się bezpieczni.

Peter uniósł wysoko brwi, kiedy zobaczył zastawiony stół, ale nadal siedział cicho. Nie powiedział nic nawet wtedy, kiedy Eva przygotowała dla gości pościel i zaprosiła ich na noc.

Przy kolacji ojciec Hildy niemal się nie odzywał, Peter też raczej milczał. Chłopcy spali już od dawna, a Inga po skończeniu posiłku wstała, uśmiechnięta, od stołu i poszła na piąterko. Eva już dawno przestała uczyć ją dobrych manier.

To Hilda zaczęła rozmowę:

– Na początku była z nami mama – tłumaczyła pogodnie, jakby zdawała relację ze szkolnej wycieczki w słoneczny dzień. – Ciągnęła wózek. Tata prowadził rower, a ja jechałam na ramie. Bardzo było zimno, pamiętasz, tato?

Mężczyzna siedział przy stole i patrzył w talerz. Dziewczynka, niezrażona, opowiadała dalej:

– No i spotkaliśmy polskich żołnierzy, w tym mieście. Jak ono się nazywało, tatusiu?

Brak reakcji.

– Zabrali nam rower i wózek. Mamie zerwali z szyi łańcuszek. Kazali spać w stodole. W stodole też marzliśmy, ale nie tak bardzo jak na zewnątrz. Kiedy weszliśmy, było tam mnóstwo ludzi, nawet dziewczynki trochę starsze ode mnie...

– A był ktoś może z Köslin? – wtrąciła się Eva.

– Z Köslin? Nie pamiętam. A ty, tatusiu?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

– Pamiętam tylko te dwie dziewczynki, z którymi się bawiłam. Jedna miała długie jasne włosy, a druga opowiadała nam historie o duchach. Ale ja się wcale nie bałam, bo duchów przecież nie ma. Dopiero w nocy zaczęłam się bać, kiedy do naszej stodoły przyszli żołnierze, zaczęli głośno krzyczeć i wyciągać za ręce wszystkie panie.

Dziewczynka przerwała na chwilę. Zamilkła. Przy stole było słychać tylko bzyczenie komara. Tata Hildy zacisnął zęby i pięści.

– Moją mamusię też zabrali, strasznie krzyczeli – kontynuuje dziecko. Nie ma już pogodnego tonu jak wcześniej. Eva chciałaby ją przytulić, uściskać, wlać w nią trochę otuchy i siły, ale nie może się ruszyć. – Tatuś nie chciał jej puścić, mocno trzymał za rękę, więc go uderzyli karabinem i jeszcze zabrali mu zegarek. Wyciągnęli też obie dziewczynki, i tę z jasnymi włosami, i tę, która opowiadała o duchach. I na mnie jeden patrzył i patrzył, ale odwrócił się i poszedł.

Hildzie łamie się głos.

Mruga powiekami szybko, jakby chciała nimi wymazać obrazy, które ją męczą, ale to jej się nie udaje. Nigdy jej się nie uda. Będzie próbowała jeszcze wytrwale przez kolejne trzy albo i cztery dekady. Na próżno. Nic jej nie pomoże. Ani szklanki piwa wypijane wieczorami, ani przypadkowi mężczyźni, z którymi pójdzie do łóżka. Nie pomoże nawet synek, piękny, pyzaty, zdrowy. Za każdym razem, kiedy będzie ją rano bolała głowa, kiedy będzie się budziła obok obcej osoby, kiedy dziecko będzie inne, niż miało być – przed oczami stanie jej noc w stodole. Żołnierz ciągnący za ramię jej matkę bezwładną jak lalka. Ojciec bezskutecznie próbujący stanąć w jej obronie. Matka patrząca na Hildę z przerażeniem. I żołnierz, który wyciąga rękę po nią, ale po chwili ją cofa. Pan i władca. Decydujący, kto przeżyje, a co do kogo to się jeszcze okaże. Chłopaki muszą się dzisiaj zabawić.

Dopiero lata później, kiedy będzie miała już głębsze zmarszczki pod oczami i trochę siwych włosów, spotka człowieka, który ją wysłucha. I będzie słuchał tak długo, jak będzie trzeba. A ona będzie mówiła, mówiła i mówiła. Tygodniami. Miesiącami. Będzie odtwarzała obrazy, sceny i fragmenty pamięci. Będzie mówiła to samo jeszcze raz i jeszcze. Stodoła, matka, ojciec, dziewczynka z jasnymi włosami, dziewczynka opowiadająca historie o duchach, żołnierz zostawiający ją w spokoju, chudy warkoczyk,

z którego wyrywała garście włosów, ojciec milczący przez kilka ostatnich lat swojego życia, kolacja w domu u miłej kobiety i pobudka nad ranem. Mieszkanie, które dostali w Berlinie, a które nigdy nie stało się domem.

Dopiero kiedy opowie to wszystko wiele, wiele razy, odnajdzie spokój. Przestanie kręcić loczki z krótkich włosów i wyrywać kosmyki tuż przy skórze. Przestanie gryźć się w ramię, żeby odwrócić uwagę mózgu od wspomnień. Przestanie wlewać w synka lęk, którym została zarażona. Wygadany smutek pozwoli jej w końcu żyć.

Ale teraz kontynuuje opowieść:

– Wszyscy płakali. Rano wróciło kilka kobiet, także ta dziewczynka z jasnymi włosami. Miała ubranie potargane i brudne od krwi. Wszędzie. Na brzuchu i nogach. Nawet na twarzy miała krew. Nic nie mówiła, tylko oczy miała wielkie i okrągłe...

Teraz i Hilda milczy wpatrzona w talerz. Jeszcze mocniej szarpie warkoczyk. Dokładnie tak samo robi Inga, kiedy się denerwuje.

Eva nie myśli o małej Hildze, nie myśli o jej matce i o ojcu, który błady siedzi przy jej stole i nie odezwał się ani razu w czasie kolacji. Zastanawia się nad tym, jak rosyjscy żołnierze potraktowaliby Inge. To przecież dziecko, myśli jak każda niemiecka matka niemieckiej dziewczynki. Jak każda polska matka polskiej dziewczynki. Jak każda matka każdej dziewczynki. Przecież to jeszcze dziecko. Dziewczynka. Maluch. Wczoraj zaledwie była niemowlakiem. Przedwczoraj ją urodziłam. Tydzień temu wierciła się w moim brzuchu. To jeszcze dziecko. Zostawcie w spokoju Inge, krzyczy w głowie Eva.

Zostawcie Hildę, nie dotykajcie jej nawet spojrzeniem. W ogóle o niej nie myślcie. Zostawcie dziewczynę z jasnymi włosami, która ma oczy wielkie i okrągłe. Przez was. Zostawcie też tę drugą, która opowiadała historię o duchach koleżance, żeby ją nastraszyć. Bo to zwykle robią starsze dziewczynki małym dziewczynkom. Natomiast tego, co wy jej zrobiliście, nie robi się dzieciom. Nie robi się ludziom. Zostawcie ją. Zostawcie mamę Hildy. Zostawcie kuzynkę z Köslin. Zostawcie kobiety leżące przy drodze, którym zakryliście głowy, za to obnażyliście podbrzusza. Zostawcie te trupy, które rozpadają się zjadane przez muchy.

Tamtej nocy Eva znowu nie mogła spać. Pod jej czaszką tańczyły cudze opowieści. Znowu słowa, które usłyszała, nabierały pod powiekami kształtów, zapachów i kolorów. Widziała stodołę, Polaków, Rosjan,

dziewczynę z jasnymi włosami i tę drugą, która nie wróciła. Widziała mamę Hildy i jej ojca, który próbował bronić żony. Widziała to wszystko jak film w kinie. Znowu bała się o kuzynkę z Köslin.

Gdy rano wstała, ubrała się i uczesała, zeszła do kuchni, bo chciała przygotować gościom porządne śniadanie. Na chwilę przywołać w ich sercach cień domu. Zrobić cokolwiek, co mogłoby poprawić im nastrój, przynieść chwilową ulgę. Ale Hildy ani jej ojca już w domu pod leśniczówką nie było. W pokoju na pięterku została pościel ułożona w kosteczkę, krzesło ustawione równo przy stole. Jakby nie było u nich nikogo na kolacji. Jakby nikt nie spędził nocy pod ich dachem.

Ale przecież byli, zostawili po sobie ślady. Zakotwiczyli się w Evie mocno: ojciec Hildy, ona sama, jej mama, a także dwie koleżanki, które zniknęły z życia dziewczynki tak szybko, jak się pojawiły. Zakotwiczyła się w niej też mała Renate, koleżanka ze szkoły.

Kobieta, która stoi przed Evą, w niczym nie przypomina dziecka, którym była. Zadowolona, zrelaksowana, słoneczna, jakby nie dotyczyły jej te wszystkie trudy, których doświadczają pozostałe kobiety w Lichtenwalde. Jakby nie bała się nadchodzącej zimy. Jakby nie należała do grupy przegranych, wypędzonych i wypędzanych. Uśmiecha się dokładnie tak samo jak przystojny mężczyzna i jego szara myszka. Jak Piotrowski z paczką pod pachą.

– *Guten Tag!* – mówi w imieniu całej wycieczki. Błyszczą białe zęby, błyszczą czerwone usta, samo zdrowie i uroda. Miss powojnia. Królowa ziem utraconych. – Jak się masz, Eva?

O sterczących kolankach nie ma dziś mowy. O obgryzionych paznokciach tym bardziej. Kolana są okrągłe – wystają spod obcisłej spódnicy. Włożyła też dopasowany zakiet. Widać po nim wojenną przeszłość, uszyty został z munduru jakiegoś dzielnego żołnierza armii bratniej lub wrogiej, ale dziś służy innym celom niż pierwotne. Po zgrzebności i kantach nie został nawet ślad. Uwypukła to, co trzeba, tak, jak trzeba. Doskonale podkreśla zieleń oczu Renate i jej okrągłe kształty. Przykuwa uwagę do wąskiej talii, kontrastuje z rudymi włosami. Fale na rudo, paznokcie na czerwono, obcasy poobijane od wybojów na górskiej drodze. Oto Renate. Minę ma taką, jakby naprawdę cieszyła się, że widzi Evę.

– *Guten Tag!* – mówi raz jeszcze.

Nie widziały się od dawna. W takiej odślonie – Renate na rudo i Eva otoczona dziećmiakami – nie widziały się nigdy.

Ostatni raz Eva słyszała o Renate od Helgi. To od niej dowiadywała się, co słycać na dole. Sąsiadka opowiadała, jak Lichtenwalde się zmienia, kto się wynosi, kto przyjeżdża lustrować domy i ulice. Z niepokojem wypatrywały tego, który zatrzyma się na stałe. W końcu się pojawił.

Miał na imię Paweł. Zajął dom po pani i panu Kohl, którzy nie wytrzymali napięcia i kiedy usłyszeli w radiu kolejny komunikat przekonujący do ewakuacji, spakowali się i ruszyli w świat. Pawłowi spodobał się ich dom – trzy pokoje, ogródek, wiśnia produkująca owoce na nalewkę, którą piło całe Lichtenwalde, o czym on nie miał pojęcia. Zamieszkał sam. Sam także wystawiał świadectwo sobie i całej swojej nacji. Pała, Pawle, za barbarzyńskie zachowanie, za twoją rozpacz, którą wymywa z serca tylko żrąca wódka. I tylko na chwilę. Pała za pokrzykiwanie na niemieckich gospodarzy. Pała za zaczepianie gospodyń, które idą z dziećmi do sklepu. Każde niemieckie słowo, każda niemiecka litera, każdy umlaut kojarzą ci się z tym, co straciłeś. Z życiem, które mogłeś mieć, ale którego nigdy miał nie będziesz. Niedzielne obiady, wizyty w kościele, odprasowane koszule. Żonka miła i oddana, gromadka dzieci o włosach jasnych, jak twoje, Pawle. Takiego życia nie będzie.

Eva nie ma pojęcia o tym, co Pawłowi zabrano, zanim dostał trzy pokoje po Kohlach i starą wiśnię, która rodzi co roku jak szalona. Widzi to, co wszyscy. Ona również spotkała kiedyś Pawła przed sklepem, w południe z butelką piwa i zarośniętą twarzą. Też musiała wysłuchać jego wrzasków. Na szczęście krzyczał po polsku, więc nie rozumiała, o co mu chodzi, ale jasne było, że chce ją obrazić. Widziała też dom Kohlów, popadający w ruinę. Trudno było jej to znieść. Panią Kohl, tę ostoję spokoju, szanowała cała wieś. Eva zawsze zatrzymywała się na drodze, żeby z nią porozmawiać, a kiedy przechodziła obok jej domu, zaglądała do ogródka. Pani Kohl siadywała tam na swoim rozkładanym fotelu, w cieniu starej wiśni, z książką w ręku.

Dziś ogród jest zniszczony, Paweł zamienił go w składowisko rupieci. Na małej przestrzeni gromadzi jakieś materace, metalowe ramy łóżka, kredensy z wybitymi szybkami. Eva nie jest pewna, czy to przedmioty z domu Kohlów, czy znoszone przez nowego właściciela skąd popadnie.

Stara się nie patrzeć, odwraca wzrok za każdym razem, kiedy mijają dom dawnych sąsiadów.

W tym samym czasie, kiedy Kohlowie wyjechali z Lichtenwalde, a Paweł zamieszkał w ich domu, o wyjeździe zaczęli mówić też Helga i Martin.

– Tu będą Niemcy! – próbował przekonać ich Peter. – Urodziłem się w Niemczech i umrę w Niemczech.

– Albo w Czechosłowacji lub w Polsce – przerywał mu Martin. Polityka przewracała ich życie do góry nogami, ledwo nadążali za zmianami.

– Mówię ci, Martin, Rzesza wróci do Glatz, Rzesza wróci do Lichtenwalde.

– Jaka Rzesza?! Jakże wróci?! – irytował się Martin. – Tu będzie Polska, Peter. A ja ci mówię, bracie, że wśród Polaków mieszkać nie zechcesz. Poznałem ich podczas wojny i gwarantuję: nie chcesz ich znać. To naród ciemny i brudny. Ludzie niewykształceni i okrutni. Walizki trzeba pakować, zwijać manatki i jechać do Niemiec, do domu.

W odpowiedzi Peter mówił niezwykle dużo. Że jego życie, życie Ewy i ich dzieci jest w Lichtenwalde. Że chcą od nowa zanurzyć się w kołowym czasie, prowadzić dzieci do szkoły w tygodniu, a w niedzielę do kościoła z kwadratową dzwonnica. Nauczyć ich *O Tannenbaum*, o *Tannenbaum*, *Wie treu sind deine Blätter*, żeby śpiewali to każdego grudnia, a w kwietniu szukać z nimi jajek pod krzakami w ogrodzie. Chodzić na nabożeństwo przy pustym grobie Jezusa i na procesję do wiejskich kapliczek. Przyjmować w styczniu księdza Wilhelma. Patrzyć, jak Inga zmienia się w kobietę, a chłopcy w młodzieńców, a potem w mężczyzn. Wyprawić im śluby, w tym samym kościele z dzwonnica, którą widać z sadu. Takie, jak należy: z tłuczeniem szkła, białym welonem, panem młodym przenoszącym pannę młodą przez próg. A potem odpocząć na cmentarzu obok rodziców, dziadków, braci i ciotek. Jak będzie już po wszystkim.

Ale Martin nie rozumiał tego, że dom Petera i Ewy był w Lichtenwalde. Że to miejsce było najbliższe ich sercu. Że mniej znaczyło dla nich być w Niemczech, a więcej być na podwórku pod leśniczówką. W sadzie, z którego w październiku widać było całe piękno świata.

Zanim oboje zniknęli bez pożegnania, Helga przy kawie i drożdżowym cieście z posypką zdążyła opowiedzieć Evie o Renate.

– Słyszałam, że nosi w brzuchu *Kinderrusse*.

– Co ty mówisz?!

– Ludzie tak plotkują – opowiadała Helga. – Podobno Renate chodziła do domów, w których zatrzymali się Ruscy. Ona i te jej dwie koleżanki.

Zawsze we trzy. Na każdej przerwie razem, nierozłączne i wiecznie szepczące coś sobie do uszka: jedna – drugiej, druga – trzeciej, trzecia – Renate. Trudno było między nie wejść, nie szukały towarzystwa. Z czasem i klasa przestała szukać ich.

– Kiedy Ruscy poszli dalej, na zachód, to dwie zostały z brzuchami. Będziemy miały dwóch Iwanów we wsi.

Żołnierze ruszyli dalej, a one zostały z problemem i sąsiadami z Lichtenwalde. Z porządnymi obywatelami Trzeciej Rzeszy. Mieszanie krwi niemieckiej z krwią wroga nie mieściło się w ich światopoglądzie.

– Stary Liebke podobno codziennie powtarzał Renate i jej koleżance, że nie trzeba było nóg przed Ruskimi rozkładać, toby teraz Iwanów w brzuchu nie hodowały – opowiadała Helga Evie. – Krzyczał to tak głośno, że pół wsi słyszało, co ma na ten temat do powiedzenia.

Helga i Martin wyjechali ze wsi na zawsze i nie dowiedzieli się już, że tylko w jednym z brzuchów dorósł Iwan. I nie był to brzuch Renate. Kiedy chłopczyk przyszedł na świat, okazało się, że skórę ma różową, a włoski rudawe. Iwan jak żywy. A potem wydarzyła się tragedia. Kiedy miał tydzień, jego matka wyszła do kuchni z pokoju, w którym spał. Zaparzyła sobie herbatę, bo tylko tyle jeszcze było jej wolno w domu, w którym od rodziców słyszała każdego dnia tę samą śpiewkę:

– Wstydu nam narobiłaś! – powtarzał ojciec.

– I co płaczesz!? Nie ma co płakać! – wtórowała matka. – Puściłaś się, to masz za swoje.

– Ja na ruskiego bachora płacić nie będę.

– Ja Iwana chować nie pomogę.

Dziewczyna nie miała już siły. Nie miała siły zajmować się dzieckiem. Nie miała siły wymyślić mu imienia. Po co mu ono, gdy przez całe życie i tak wszyscy będą za nim wołać „Iwan”. Nie miała siły znosić uwag ojca i ponurego milczenia matki. Nie miała siły tłumaczyć, że to Renate namówiła je na pójście do Ruskich i zapewniała, że warto ich poznać, bo jak już raz weszli do Glatz, to szybko z niego nie wyjdą. Że gadała i gadała. Powtarzała, że życie im mija między przemarszem jednych wojsk

a zgrupowaniem innych. Że młodsze już nie będą. Że miały z żołnierzami tylko chwilę pogadać, ale ruska wódka paliła w przetyk i odbierała rozum, więc wyszły po wielu godzinach. Że gorzkie zioła od Ludmiły pomogły Renate pozbyć się kłopotu. Ale jej nie.

– Co się stało? – pytali ojciec z matką po pogrzebie, gdy ryży chłopczyk, który nie zdążył dostać własnego imienia i na zawsze został Iwanem, leżał już w małym grobie.

– Nie wiem – odpowiadała koleżanka Renate bez emocji, jakby chodziło o zakupy w sklepie przy głównej drodze. – Zasnęłam z głową opartą na stole. A kiedy się obudziłam, dziecko nie oddychało.

Nie przytulali córki, nie pocieszali jej, nie sądzili, że jest jej to potrzebne. Nie dopytywali o szczegóły, bo jeszcze by im powiedziała coś, czego nie chcieli usłyszeć. W głębi serca każde z nich uważało, że łatwiej będzie wszystkim żyć bez ruskiego bachora. Zdawkowa odpowiedź, że dziecko umarło we śnie, całkowicie ich satysfakcjonowała. Nigdy już do tego nie wracali. Iwan zniknął z ich pełnych zmartwień głów na zawsze. Za to w Lichtenwalde długo komentowano krótkie życie Iwana, bo w końcu zawsze to dziecko, choć ruskie.

Koleżanka Renate rzadko wychodziła wtedy z domu, piła dużo szaławii i obwiązała piersi, żeby nie lało się z nich mleko. Powoli wracała do życia. Ludmiła odwiedziła ją w domu kilka razy. Nie pierwszy raz pojawiała się tam, gdzie była potrzebna. Stary Liebke przestał się wydzierać.

Brzuch Renate nie urósł nigdy. Porządni obywatele Trzeciej Rzeszy nie zadawali jej żadnych pytań, choć szeptali po kątach. A teraz przed bramą stała szczupła, pogodna kobieta. Jakby była z innej gliny niż Eva, jakby nie bała się tego, gdzie przyjdzie jej spędzić resztę życia, jakby nie zamierzała się chować w domu przed Piotrowskim, co robiła reszta mieszkańców Lichtenwalde. Była jaskrawa i nie zamierzała przywdziewać barw ochronnych. Zamierzała błyszczeć.

– Eva, przyprowadziłam ci państwa Bąków. Będą mieszkali w waszym domu, jak już wyjedziecie – powiedziała rozpromieniona, jakby zdradzała jakąś przyjemną niespodziankę.

Eva wiedziała, do czego prowadzi dzisiejsza wizyta. Od kiedy zobaczyła, że do jej domu zbliża się czworo ludzi, przeczuwała to, a w chwili, gdy rozpoznała wśród nich Piotrowskiego – była już pewna. A jednak, kiedy

usłyszała te wypowiedziane z uśmiechem słowa, poczuła się, jakby ktoś ją uderzył.

Najgorsze jednak spotkało ją chwilę potem ze strony przystojnego mężczyzny. Ten bowiem postanowił być szarmancki, poprawił sobie spodnie, obciągnął poły marynarki i ruszył w kierunku Ewy z przyjaźnie wyciągniętą ręką.

O nie! O nie, nie, nie, nie! Nie będzie żadnego powitania, żadnego chleba, żadnej soli. Żadnych uścisków dłoni. Nie będzie „żyli długo i szczęśliwie”, przyjaźni, przesyłania sobie listów i pocztówek. Eva nie zamierza udawać, że akceptuje tych obcych ludzi w swoim domu. Że zgadza się na decyzje polityków, którzy kilkoma podpisami przesuwają miliony istnień na zachód. Że pozwala, by panowie w garniturach i mundurach decydowali, jak ma wyglądać jej przyszłość. Na to wszystko Eva nie wyraża zgody.

Mężczyzna był coraz bliżej. Wycierał rękę o marynarkę, pewnie się spocił w drodze pod górę, w jesiennym skwarze, z ciężką walizką.

Daremny trud, przystojniaku. Poć się do woli, Eva nie zamierza podawać ci dłoni. Nie zamierza z tobą rozmawiać. Nie zgadza się na to, żebyś zajął jej miejsce w jej domu. Żeby to przed tobą kolejne październiki rozścielały całe piękno świata. To nie jest twoje miejsce, choćbyś nie wiem ile błyszczał tymi białymi zębami i słał błękitne spojrzenia. To miejsce nigdy nie będzie twoje. To miejsce zbudował Peter dla niej i dla dzieci.

Eva odwraca się na pięcie. Idzie w stronę domu, szybko, prawie biegnie. Po drodze zabiera młodszego synka z ziemi, starszego łapie za rączkę i ciągnie w stronę drzwi. Ponagla Inge, która zainteresowana przybyszami, niechętnie rusza spod drzewa za matką.

Myśli już tylko o tym, żeby znaleźć się w domu, zatrzaskać drzwi, nie widzieć tych ludzi i ich nie słyszeć.

– *Frau* Eva! *Frau* Jeschke! – dobiegł ją głos Piotrowskiego. – Proszę zaczekać! Musimy porozmawiać! Musimy ustalić szczegóły! Po to tutaj przyszliśmy.

Przestraszone dzieci płaczą głośno.

Eva – cicho.



LISTOPAD

DORKA

– Zostaw to! – mówi Dorota ostro.

Dziewczynka wypuszcza z rąk wiklinowy koszyk, a jego zawartość – kolorowe szpulki i motki – wysypuje się na podłogę.

Inga jest wyraźnie przestraszona. Próbuje zbierać nitki, wyciąga te, które wpadły pod łóżko. Obchodzi się z nimi uważnie, delikatnie odkłada jedną po drugiej. Na koniec wsuwa koszyczek do szafki. Zamyka ją. Nadal siedzi jednak na łóżku Dorki i Stacha i patrzy. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mówi nic.

Jeszcze przed momentem Dorka chciała jej wyrwać wszystkie szpulki. Teraz czuje się jednak nieswojo pod uważnym spojrzeniem wielkich szarych oczu. To przecież dziecko, nie trzeba na nie krzyczeć.

– Wyjdź stąd, proszę – odzywa się, już spokojniej. Wskazuje na drzwi.

Dziewczynka wstaje, poprawia spódniczkę i rusza. Kiedy mija Dorkę, patrzy jej prosto w oczy. Jest od niej niewiele niższa. Oczy mają niemal na tej samej wysokości. Szare oczy – szare oczy, kobieta – dziecko, Polka – Niemka. Trwają przez moment bez ruchu i patrzą, jakby się pierwszy raz zobaczyły. Dorota dostrzega czający się w spojrzeniu Ingi uśmiech, nie pozwala mu jednak rozkwitnąć.

– Wyjdź, proszę – popycha ją delikatnie w stronę drzwi. A potem zamyka je za dzieckiem.

Gdy Niemka uciekła z sadu, stali przez chwilę w oniemieniu i bezradnie przyglądali się sobie nawzajem. Nikt nie wiedział, co robić dalej, nawet Piotrowski stracił rezon. Renate podbiegła do drzwi, kołysząc się na obcasach. Pukała i mówiła coś łagodnym głosem, poruszała delikatnie klamką. Z domu dochodził tylko płacz przestraszonych dzieci.

W tym momencie skrzypnęła brama wejściowa prowadząca na wewnętrzne podwórko. Stał w niej wysoki mężczyzna w roboczych spodniach i płóciennej koszuli z pustym lewym rękawem, zawiązanym w supeł. Skinął głową na powitanie, po czym wszedł do środka. Bramę i drzwi do domu zostawił otwarte.

Brak ramienia nie robił na Dorce wrażenia – wojna zostawiła po sobie zgliszcza i straty wszędzie, gdzie się pojawiała. Urywała ręce, wylewała

oczy z głów, miażdżyła kości. Mężczyzna bez kończyny był stałym elementem krajobrazu.

O wiele większe wrażenie wywarło na niej podwórko. Weszli trochę niepewnie, oglądając się na siebie nawzajem. Renate na Dorcę, Dorca na Stacha, Stach na Piotrowskiego, Piotrowski na pończochy Renate. Stali na równiutko przyciętej trawie, na trójkątnym placu zamkniętym z każdej strony. Dorca nic nie mówiła, rozglądała się wokół z niedowierzaniem. Jeszcze zanim zrozumiała, jakie jest przeznaczenie budynków zamykających podwórko – gdzie stodoła, gdzie drewnitnia, szopa, obora, stajnia i chlew – pojęła, że Piotrowski zrobił tak, jak obiecał Stachowi: poszukał dla nich pięknego, bogatego gospodarstwa.

– Ma jednak pewien mankament – zapowiedział jeszcze w Kłodzku, poprawiając na ramieniu biało-czerwoną opaskę, symbol podporządkowania Kłodzka władzom w Warszawie. Symbol jego władzy nad tymi, którzy przyjechali z różnych stron Polski i czekali niecierpliwie na werdykt. To jego decyzja kształtowała ich przyszłość.

Od momentu, w którym Niemka odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła im drzwi przed nosem, Dorca rozumiała, że mankamentów jest pięć: posągowa kobieta, jej mąż bez ręki, milcząca córka i mali synkowie. Mankamenty uwierały z każdym tygodniem mocniej, ale Dorca miała swoje sposoby na to, by łagodzić napięcie spowodowane ich obecnością. Tym bardziej zirytował ją widok niemieckiej dziewczynki przeglądającej jej najcenniejsze skarby.

Każdy czasami ucieka. Życie męczy, ludzie męczą. Dobrze mieć miejsce, w którym można się schować i poudawać, że wszystko gra. Odpocząć od natłoku. Zaszyć się w najciemniejszym kącie ulubionej kryjówki. Włożyć czapkę niewidkę. Przycupnąć cichutko i wypatrywać lepszych czasów. Może kiedyś nadejdą. Przeczekać niedobrą godzinę. Zły dzień, miesiąc, rok. Złe życie.

Stary Kulas uciekał w milczeniu. Siedział ponury przy stole i wytwarzał ciężką atmosferę, która dusiła domowników. Chodził z głową daleko od ciała. Zawsze był gdzie indziej. Nie uczestniczył w życiu, nie brał udziału w rozmowach, nie słuchał, co mówią ludzie wokół. Każdego ranka tuż po przebudzeniu rozsiadał się pomiędzy swoimi myślami i spędzał w nich cały dzień, aż do wieczora. Czasami coś mruknął pod nosem, kiedy musiał. Wszyscy wtedy milkli i wsłuchiwali się w słowa wypływające z jego ust.

Mówił tak mało, że gdy już się odzywał, świat na moment przystawał. Jakby każde zdanie, które wypowiadał, zawierało w sobie najczystszą prawdę o życiu. Głębokie przesłanie co do sensu i porządku istnienia.

– Kwaśnicy, matka, nagotuj! – mówił do żony, a członkowie rodziny, chłonąc słowa ojca, wychwytywali zakodowany w nich przekaz. Taki na przykład, że Kulas uczynił sobie ziemię poddaną. Zgodnie z prawem Bożym: hoduje krowę, kilka kurek i uprawia niewielkie poletko. Jak należy. Życie ma ciężkie, ziemia na Podhalu jest licha, ale on, stary Kulas, robi wszystko tak, jak głosi na sumie ksiądz proboszcz. Zagonił córki do sadzenia kapusty wiosną, a potem do kiszenia jesienią. Nauczył dzieci, że kiszona tuż przed pełnią smakuje najlepiej. Jest chrupiąca jak trzeba i kwaśna w sam raz.

Gdy nadchodziła pora kiszenia, cała rodzina angażowała się w siekanie, ugniatanie i solenie. Na koniec ciężkiego dnia Michał stawiał beczkę przy piecu w kuchni, żeby powstała w ciepłe przez kilka dni, a potem turlali ją razem do ziemianki, gdzie kapusta spokojnie się kisiła, coraz lepsza z każdym tygodniem. Po miesiącach ciężkiej pracy chłop, nawet taki z lichą, górską ziemią, zasługuje na nagrodę. Jak porządna kwaśnica z własnej kapusty i z własnych ziemniaków.

To wszystko, całą opowieść o świecie i trudnym powojennym losie, słyszały dzieci w krótkim zdaniu wypowiedzanym przez ojca, gdy już raczył otworzyć usta.

– Na deszcz się zbiera, kruca fuks – mruczał pod wąsem, patrząc przez okno. A domownicy wiedzieli, że nie mówi tego po to, żeby z nimi pogawędzić, tylko przypomina im o odwiecznym sojuszu chłopca z ziemią i o tym, jak bardzo człowiek górnym uzależniony jest od kaprysów natury.

Stary Kulas, krynica mądrości, drapał się po tyłku, grzebał w dziurze w zębie, bo mu w nią wlał ziemniak z kwaśnicy. Milczał ponuro. A im się rzadziej odzywał, tym uchodził za większego filozofa.

Jak ojciec uciekał w milczenie, tak matka Dorki, Kulasowa, chowała się w krzątaniu niemającej początku ani końca. Jej kryjówka była wiecznie otwarta. Marcheweczka rach-ciach-ciach, buraczki zasmażane, masło świeżo ubite. Odgłos maselnicy Dorka słyszała na jawie i przez sen. Ziemniaki, kluski, pierogi. Gotowanie lubiła najbardziej. Wymagało koncentracji jak nic innego. Warzywa na zupę trzeba było kroić w skupieniu, bo myśli uciekające w zaświaty zwiększały ryzyko wypadku.

A że matka Dorki nie chciała doprawiać kwaśnicy własnym palcem, więc skupiała się na tym, by marchewkę pokroić ładnie, równiutko, a zupę obficie potraktować pieprzem. Kulas lubi, jak go piecze w gębę.

Śniadanie, obiad, kolacja i gotowe. Kiedy brzuchy członków rodziny były pełne, ulubiona kryjówka Kulasowej przestawała mieć sens. Na gospodynię czekały jednak ciągle inne obowiązki. Miotła, szmata, pranie. Składanie w kosteczkę, w kant. W jednej ręce ściera, w drugiej szufla, w trzeciej targa i już nie trzeba było radzić sobie z powidokiem syna leżącego w trumnie. Przynajmniej nie przez cały czas. Bo przecież wracał, jak żywy, w najmniej spodziewanych momentach. Choćby wtedy, kiedy stawiała przed starym talerz z kwaśnicą. Albo gdy wkładała do skrzyni złożone w kostkę ubrania. Bała się, że za którymś razem wyleje mężowi gorącą zupę na uda, albo i jeszcze na co innego. A złożone pięknie koszule i kalessony rozsypią się po podłodze i cała robota pójdzie na marne.

Na kolanach szorowała podłogę w kuchni, aż deski bieląły. Raz-dwa-raz-dwa. W ruchu, ciągle w ruchu. Pochylona nad blatem polerowała go do czysta, ale omijała starannie płamę po barszczu, który wylało jej dziecko, uciekając przed żandarmami. Dawno już by ją zmyła, gdyby tylko jej na tym zależało, ona, mistrzyni pucowania i kręcenia się po kuchni. Ale wcale tego nie chciała. Wypłowiwały, brązowy ślad po zupie był namacalnym dowodem na to, że Michał był.

A teraz tak bardzo go nie ma.

Cała rodzina od dawna spała mocnym snem, a matka dalej machała szmatą w kuchni, jakby od tego zależało jej życie. Albo życie jej syna. Jakby mógł wyjść z grobu pod dębowym krzyżem i wpaść niezapowiedziany do chałupy, ale tylko pod warunkiem, że będzie tu czyściutko, poskładane, nagotowane. Sprzątała zatem, gotowała i układała. Starła się kłaść jak najpóźniej i jak najbardziej zmęczona, żeby widzieć swojego Michasia w trumnie, skurzonego i zimnego, zaledwie przez chwilę. Pojawiał się w jej głowie każdej nocy przed snem. W ciągu dnia też przychodził, ale często był żywy, różowy, wesoły. Przypominała sobie jego głos, zaraźliwy śmiech i energię, która udzielała się wszystkim w domu. Po śmierci Michał nadal zarażał Kulasów, tyle że już nie radością, ale smutkiem. Im bliżej wieczora, tym większy. A gdy przychodził czas na sen, synek nic już do Kulasowej nie mówił. Przed snem nie żył. Im więc dłużej chowała się

między garami i tarą, tym krócej musiała patrzeć na swoje martwe dziecko.

Stach też miał kryjówkę. Chował w niej przed Dorką swoje sekrety. Nie odpowiadał na żadne pytania. Już mu nawet ich nie zadawała, najwyżej w myślach:

– O jakie baby ci chodzi, Stasiu?

I zastanawiała się, co też mógłby jej odpowiedzieć, gdyby tylko chciał. Ale mąż nawet gęby nie otwierał.

– Opowiedziałbyś coś, Stasiu, o swojej mamie... – myślała, ale nie mówiła głośno. Machnąłby tylko ręką.

– Czy pożegnałeś się z Grażyną?

Odgoniłby jak natrętą muchę.

Łatwo było dostrzec jego kryjówkę, wystarczyła chwila. Piękny Staszek Bąk najbezpieczniej czuł się bowiem w spojrzeniach kobiet. Stroił te swoje piórka, prężył mięśnie, raził błękitem oczu. Spowalniał gesty. Odgarniał włosy spadające na czoło. Brzuch napinał, żeby był twardy i płaski. Nie uśmiechał się zbyt często, a kiedy już na jego ustach pojawiał się uśmiech, to zawsze trochę kpiący. Wiedział, co robić, nie musiał się nad niczym zastanawiać. Prowadził go instynkt łowcy.

Swoją strategię Stach Bąk może i opiera na wyświechtanych trikach, ale co z tego, skoro ma wyniki. Już brzuch wciągnięty, już plecy wyprostowane, już czujność wzmożona, już poszedł sygnał do rozpoczęcia szturm. Gdy tylko myśliwy wychwyci zainteresowanie, gdy poczuje zapach krwi, jeszcze mocniej rośnie w nim pragnienie zwycięstwa. Od razu jest gotowy do walki. Chce zdobywać kolejne szczyty, kolejne gospodarstwa, kolejne ziemie odzyskane i ziemie obiecane. Kolejne kobiety. Jeszcze niejedno niejednemu musi w życiu udowodnić.

On, chłopak z najbiedniejszej chałupy w całej wsi. On, który przez trzy lata musiał mieszkać w domu starego Kulasa, znosić jego ciężki charakter i pozwalać sobą pomiatać. On, który ciągle z tyłu głowy ma gromadę rodzeństwa. Najbliższych ludzi, przed którymi uciekł. Musi jak najszybciej zbudować nowe życie z nowymi ludźmi. Musi jak najszybciej mieć kogoś swojego. Dzieciak jest mu potrzebny, Dorko. Powinnaś to wiedzieć. Dobrze by było, gdybyś zechciała to wziąć pod uwagę, że Stach, twój mąż, potrzebuje własnego dziecka. Dziedzica z małżeńskiego łóża. Powodu do oderwania się od sióstr i braci. Zawiazania nowych więzów, bo te stare

mocno go już uwierają. Nie chce się ciągle zastanawiać, czy zostawił Rózię na pastwę losu, czy ma prawo żyć po swojemu.

Staszek Bąk, najpiękniejszy mężczyzna, jakiego Dorka widziała w całym swoim życiu i który – wciąż niejasnym dla niej zbiegiem okoliczności – został jej mężem, polował na kobiety, bo musiał. Bał się, że jeżeli nie będą go zaszczycaly swoją uwagą, przestanie istnieć. Bał się, że jeśli przestanie nurzać się w ich zainteresowaniu, to wszyscy zrozumieją w końcu, że jest tylko Staszkiem-gołodupcem z najbiedniejszej chaty. Tym, którego ojciec chudł, chudł, aż zniknął. Którego matkę ktoś zastrzelił w lesie. Którego bracia i siostry mieszkają w rozlatującej się chałupie. Bez niego. Bo on zostawił ich pod opieką Rózi. A sam żyje. I czeka na coś, co odciągnie jego myśli od nich. Czeka na własne dziecko. Na własne więzy. Uplecie z nich kokon, w którym będzie mógł się chować od rana po noc.

Niemka natomiast żadnej kryjówki nie miała. Rzuciło się to Dorce w oczy od razu, choć starała się na gospodynię patrzeć jak najrzadziej. Najchętniej nie patrzyłaby wcale, ale niestety, nie miała wyjścia. Dom był spory, ale nie na tyle, by dwie spędzające w nim całe dni kobiety mogły się mijać. Patrzyła każdego dnia i widziała, że niemiecka gospodyni nie daje rady uciec przed dziećmi. Maluchy są najlepsze w wyciąganiu matek z kryjówek. Nawet te, które nie potrafią jeszcze chodzić.

Nie zamieniły ze sobą ani słowa od czasu dziwnego powitania. Gospodyni nie chciała podać Stachowi ręki i uciekła nie tylko przed nimi, ale również przed Renate oraz Piotrowskim. Dorka widziała, że Niemka spogląda na nią z ukosa, z wyrzutem. Ma do nich żal, że przejmują ich dom. To nie do mnie, złości się Dorota. Znajdź sobie żal do tego, Niemko, w piekle jegomościa z wąsikiem, który rozpoczął cały ten bałagan.

A dokąd uciekał tutejszy Niemiec? Tak jak tylu innych ojców i mężów na całym świecie szukał miejsca tam, gdzie cicho, ciepło i nie trzeba nikomu wycierać tyłka ani nosa. Ledwo z łóżka nogę wystawił, ledwo mleko wypił, a już był w pracy. Jeszcze w proggu słyszał, że dziecko zaczyna marudzić, kątem oka dostrzegając, że żona ma zmęczoną twarz. Cóż mógł począć. Miał robotę. Biegiem, biegiem do stodoły, do drewnutni, do szopy. Ciągle do zrobienia było coś niecierpiącego zwłoki. Stale coś go wołało. Wszystkie swoje myśli zostawiał za drzwiami budynków gospodarczych. Wszystkie problemy. Wszystkie trudności. I już tonął w obowiązkach, które porządkowały mu dzień. W swojej wygodnej kryjówce. Taki pracowity

człowiek, zaangażowany, dba o rodzinę. Lichtenwalde doceniało takie oddanie. Żona z bladym uśmiechem podsuwała pod nos pełne talerze.

Peter wracał do kuchni tylko na posiłki. Robota aż furczała, nie miał czasu myśleć o tym, że już niedługo będzie miał zupełnie inną pracę, zupełnie inną kuchnię i inne życie niż to, które buduje sobie w Lichtenwalde od urodzenia. Więc nie myślał. Drewno przygotowywał na zimę, jak co roku.

Dorka świetnie go rozumiała. Sama, kiedy tylko poczuła potrzebę – uciekała. Nie miała daleko. Jej kryjówka mieściła się w wiklinowym koszyku. To w nim, między szpulkami, zwijała się w kłębek i chowała przed światem. Kolorowe kordonki, nitki, włóczki. Kawalki płótna pocięte na różnej wielkości kwadraty i prostokąty. I tamborki – mniejsze i większe. Dostała je wszystkie od babci Hanki. To dzięki niej zbudowała swoje bezpieczne miejsce. Chowala się w nim przed każdym problemem. Wystarczyło, że włożyła rękę do koszyka i poczuła pod palcami gładkie nitki. Wystarczyło, że spojrziała na kolorowe motki, a od razu było jej lżej. Nawet jeśli bardzo męczyły ją niezadane pytania, na które mąż nie zamierzał odpowiadać, koszyczek przynosił ukojenie.

Haftowanie odkryła dla niej babcia Hanka. Odkryła też wiele innych rzeczy, ale to nitki i igły okazały się najcenniejszym dziedzictwem, które wypełniło jej dzieciństwo sensem, i z którego czerpała spokój również w dorosłym życiu. Dorka i babcia spędzały razem całe godziny, pochylone każda nad swoim kawałkiem płótna. Czasami babcia coś opowiadała, a Dorka słuchała. Czasami babcia o coś pytała, a Dorka mówiła. Najczęściej jednak milczały sobie wspólnie, każda zanurzona w swój wzór malowany nitkami. Może babcia nie wiedziała, że w ten sposób pokazała wnuczce, jak radzić sobie z życiem, kiedy głowa wrze, kiedy serce szaleje. A może doskonale o tym wiedziała. Babcia Hanka była mądra.

Najpierw Dorka nauczyła się haftować parzenice. Ale nie brała się za męskie portki, gdzież tam. To były wprawki na kawałkach materiału. Pochylała się nad jasnym płótnem i ćwiczyła to, co pokazała jej babcia: krzyżyki, linie, sznureczki. Babcia znała nazwy wszystkich tych ściegów.

- To jest atłasek prosty, Dorotko.
- Aha – mruzczała dziewczynka.
- A to ścieg zakopiański.
- Dobrze, babciu.

Nawet nie starała się zapamiętać tych słów. Całą energię wkładała w cieszenie się z tego, co powstaje na tkaninie. Grzecznie kiwała głową, słuchała babci, ale cierpliwie czekała na moment, w którym będzie mogła dziergać po swojemu. W którym pozwoli na to, by poprowadziła ją nitka. By dzięki palcom Dorki opowiedzieć swoją historię.

Potem nastął czas pierwszych kwiatków: szarotek, róż, niezapominajek. Wciąż jednak najbardziej lubiła parzenice. Sercowate i bliskie sercu, znane od zawsze. Widywane na ubraniach od urodzenia. Babcia haftowała parzenice jak należy: czarne, czerwone i zielone. Dorka od razu po swojemu.

– Babciu, a czy mogę zrobić żółtą różę? – pytała.

Babcia Hanka też była kiedyś grzeczną dziewczynką i również uczyła się wyszywać szarotki i chabry. Zawsze takie same, nie przyszło jej do głowy, by coś zmieniać. Jako stara kobieta zrozumiała, że jeśli przez całe życie maluje się nićmi obrazki według zasad stworzonych przez innych, to może zabraknąć czasu na stworzenie własnych.

Patrzyła przez chwilę na małą Dorotkę, na jej zaangażowanie, chęć uczenia się i próbowania, na przyjemność, jaką dawało jej malowanie na tkaninie. Nie chciała wsadzać dziecka w ramki sztywne jak tamborek.

– Możesz, kochanie – mówiła do Dorki, podsuwając jej nitki, kordonki i włóczki. – Wybierz, co chcesz.

Róża była niebieska, tło żółte. Babcia Hanka zamknęła oczy i usta. Całe jej ciało wrywało się, by ujarzmić, kierować, pokazywać, co jest właściwe, a co nie. Ale nie mówiła nic. A Dorka dopiero kiedy podrosła, zrozumiała, że gdy się haftuje, nie można myśleć, bo kiedy kierują nami myśli, to nitki błędzą.

– Dorotko, skup się na palcach! – mówiła wtedy babcia.

I Dorka posłusznie wracała do swego haftu.

Z czasem ten koszyk pełen kolorowych skarbów wyciągała w każdej chwili życia, w której narastał ferment. Haftowała, oddychała spokojniej, myśli się porządkowały. Chowala się w koszyku przed stałą emigracją ojca i nerwowym zamiataniem matki, przed złośliwościami sióstr, przed samotnością. Gdy patrzyła w kawałek materiału, który zapełniała kolorami, nie mogła widzieć swojego męża prężącego się przed każdą spotkaną na drodze kobietą. Mogła udawać, że nic nie widzi, a nawet jeśli coś zauważała, to się na tym nie mogła koncentrować, bo nitki błędziły:

– Dorotko, skup się na palcach! – słyszała w głowie głos babci. A grzeczne dziewczynki słuchają starszych.

Tylko raz w życiu Dorka nie znalazła pocieszenia w koszyku, choć nigdy wcześniej ani nigdy później nie potrzebowała go tak bardzo jak wtedy. Ręce bezwiednie wyciągnęły się w stronę szafki, w której trzymała nitki i igły, zaraz po tym, kiedy ojciec wbiegł do domu.

– Leży! Leży pod lasem! Jak dobiegłem, już nie dychał! – krzyczał głośno. Oczy miał szalone. Szalone. Dorka nigdy przedtem nie widziała starego Kulasa obłąkanego.

Kwadrans wcześniej do chałupy wpadł Pietrek, krzyząc od progu:

– Michała ustrzelili! Ludzie! Michała ustrzelili!

Tych kilka słów zmieniło życie w jej rodzinnej chacie na zawsze. Parę minut wcześniej ojciec narzekał, że go zymby bołą. I zastanawiał się, czy kto na niego jakiego uroku nie rzucił. A matka dogryzała mu, że to przeca nie urok, tylko dziury w zymbach jak studnie. A juści, że tak.

Potem nie było już rozmów o zębach czy urokach. Potem Kulas milczał zawzięcie, a Kulasowa szorowała podłogę.

Tamtego dnia matka, ojciec, Baśka i Kaśka, jak stali, pobiegli pod las. Każde z nadzieją, że się Pietrek pomylił. A jak nie, to może kula trafiła Michała w nogę czy w rękę. Niestety, gdy się strzela z bliska, trafia się prosto w serce. Nawet nie usłyszeli tego strzału między zdaniem ojca o uroku a odpowiedzią matki o dziurach jak studnie. A juści, że tak.

Dorka stała, jakby przyrosła do podłogi. Nie mogła podnieść nóg, każda ważyła tonę. Patrzyła przez okno na bliskich biegnących w stronę lasu. Najpierw ojciec, potem Kaśka i Baśka, na końcu mama. Spódnica zaplątała jej się pod nogami. Potknęła się i przewróciła. Już się pochylali nad czymś. Nad kimś. Już słyszała płacz matki. Zawodzenie sióstr. Już widziała, że ojciec pada na kolana. Pomiędzy wysoką trawą i krzakami przy lesie nie było widać jego twarzy. Nie było widać go wcale.

Jak to było, kiedy Michał uciekał przed szwabskimi żandarmami? Dorka miała wtedy oczy zamknięte, ale w głowie widziała go, jak biegnie wysoki, szybki, zgrabny. Nikt go nie mógł dogonić, nikt nie miał szans dopaść jej dzielnego, zwinnego, silnego brata. Aż do dzisiaj.

– Był jeszcze ciepły – powiedział ojciec z dzikimi oczami, kiedy wbiegł po chwili do chałupy. – Już nie dychał, córca. Jeszcze był ciepły, kiedy go

dotykałem, tam, pod lasem. Ale serce mu już nie pukało.

Zza otwartego okna słyszeli płacz matki i sióstr. Pod las dobiegali już sąsiedzi. Najpierw młodzi mężczyźni. Stare kobiety na końcu.

Z tego, co działo się przez kilka kolejnych dni, Dorka nie pamiętała wiele. Twarz Michała leżącego w trumnie na katafalku. Mszę w kościele, taką jak zwykle: chłopcy w ławkach z przodu, baby z tyłu. Dziurę w ziemi. Anulę płaczącą nad grobem. Drewniany krzyż z napisem „Michał Kulas, żył lat 24”.

Przez cały ten czas koszyczek stał na skrzyni. Podchodziła do niego w ciągu dnia kilka razy. Zanurzała dłonie w nici, między chłodne szpulki. Wyciągała materiał, rozkładała równiutko na stole. Nie była w stanie haftować róż ani parzenic. Igła nie chciała tańczyć po wyznaczonych szlakach, palce nie chciały jej prowadzić, rozszalałe serce nie chciało się uspokoić. Nakazywała rękóm, by wypełniały naszkicowane wzory, ale one nie chciały. Nie potrafiły. Minał czas życia według zasad znanych Kulasom. Rozpoczęła się era chaosu.

W końcu, wiele dni po pogrzebie i po szeregu nieudanych prób znalezienia ukojenia tam, gdzie dotąd zawsze na nią czekało, Dorka raz jeszcze rozłożyła materiał na stole. Wygładziła go delikatnie. Zasłonił szarotki i plamę po barszczu. Włożyła lewą dłoń do koszyczka, między nitki, jak tyle razy wcześniej. I usłyszała babcię Hankę. Nie wiadomo, którędy jej głos dotarł do Dorki, bo już od lat leżała na cmentarzu, niedaleko Michała. Ale wyraźnie powiedziała to samo, co zawsze:

– Dorotko, skup się na palcach!

Postanowiła jej posłuchać. Wyciągnęła fioletową nitkę, tak jak chciały palce. Wyciągnęła czarną. Ręka na chwilę zawisła w powietrzu. I jeszcze brązową. Tak wybrały jej dłonie. Drobnie, z okrągłymi paznokciami. Z krótkimi palcami. Pozwoliła im robić to, czego chciały.

Tego dnia Dorka spędziła pochylona nad stołem kilka godzin. Haftowała, póki nie skończyła. Poszła spać dopiero wtedy, gdy szarzało. Wstawał kolejny dzień bez Michała.

Najpierw wyszyła fioletowe lilie. Niemal czuła ich duszący, cmentarny zapach, kiedy palce malowały nitką płatki i żółte pręciki. Potem nadszedł etap czarnej plamy. Długie ściegi, jeden obok drugiego. Duża ciemna dziura. Rysowanie grubą kreską, żadne tam drobne krzyżyki, żaden atłasek prosty. Palce wiedziały, czego chcą. Niebo na górze zrobiły szare, takie

jakie najczęściej można zobaczyć w Polsce. Na końcu została drobna plamka na użycie brązowej nitki. Nią Dorka wyhaftowała krzyż. Tak jak uczyła ją babcia, posłuchała swoich palców. Stworzyły grób Michała. Cmentarz na serwetce.

Wstała od stołu i poszła spać.

Rano matka spojrzała na wyszyty przez córkę obrazek. Wpatrywała się w niego przez chwilę oczami, z których ostatnio ciągle lały się łzy.

– A cóż ty, Dorka, zrobiła? To nad tym siedziałaś do rana?

– Tak.

– I po co to taka robota? Lepiej byś bluzkę ładną sobie wyszyła. Przynajmniej byłby z tego jaki pożytek.

I pokręciła głową z dezaprobatą.

Ale Dorka żadnej już aprobaty nie potrzebowała. Ani od matki, ani od nikogo innego. Wiedziała, że palce już jej nie słuchają. Haftują, co chcą i jak chcą. Że już nie będą wypełniały naszkicowanych wcześniej wzorków, tak jak życie nie będzie się toczyło według stworzonych wcześniej szablonów. Na szczęście wciąż jeszcze mogła wskoczyć do swojego koszyczka, zwinąć się w kłębek i schować przed światem i przed sobą. Kolorowe nitki tak jak kiedyś dawały jej schronienie.

Zainteresowały też córkę Niemki. Małą, milczącą Inge ze starannie zaplecionym warkoczem. Zanim Dorka wyrzuciła ją z pokoju, widziała, jak dziecko wyciąga szpulkę za szpulką i patrzy na każdą uważnie. Układała je równiutko, jedną obok drugiej, delikatnie, z szacunkiem. Dorka stała w drzwiach pokoju, w którym zamieszkała przed miesiącem. Miała ochotę wypchnąć dziewczynę do kuchni, tam, gdzie była jej mama, i zatrzaskać drzwi tak głośno, żeby usłyszał to jej ojciec, który – jak zwykle – cały dzień spędzał w stodole.

Obecność gospodarzy była coraz bardziej uporczywa, poza nimi jednak wszystko Dorkę zaskakiwało i zachwycało. Nawet we wszystkie te nieprzespane noce przed wyjazdem nie wyobrażała sobie, że będzie tu tak pięknie.

Po pierwsze Kłodzko.

Stary most, kamienny, z rzeźbami po bokach: święci, Matka Boska, Jezus. Dobrze pilnowali miasta, wojna niemal nic w nim nie zniszczyła. Żołnierze opowiadali Dorce, że most od stuleci wznosi się na kamieniach

sklejonych kurzym białkiem. Wykusze, balkony, wieżyczki. Ozdobne okna, esy-floresy na ścianach, spadziste dachy kryte dachówką. Wszystko to trwało przez wieki i trwa nadal. Otwarte sklepy. Miejski gwar. Po polsku i po niemiecku. Jasne włosy, śniade twarze, kapelusze, chustki. Złotówki, ruble, marki wojenne i przedwojenne. Życie toczyło się w kilku językach. Ludzie nadrabiali czas, który zabrała im wojna.

Zamieszkali w koszarach. Dorka pamięta, że po wejściu do budynku uderzył ją zapach mokrego tynku. Szli korytarzem, potykając się o leżące pod ścianami narzędzia, wiadra i miotły. W jej zmęczonej głowie zaświtała myśl, że ktoś już zabrał się za porządki i mebluje nową Polskę po swojemu. Następne, co zapamiętała, to smak zupy, którą ich poczęstowano. Wojsko udostępniło im miejsce do spania, wojsko dzieliło się swoją grochówką i ziemniakami z zasmażaną kapustą. Po wielu godzinach spędzonych na brudnej podłodze wagonu smakowały wyśmienicie.

Dwa dni później nadszedł czas na kluczowe decyzje. Papiery, dokumenty, zaświadczenia, podania, prośby, skierowania. Każdy wyciągał to, czym mógł przekonać najskuteczniej. Każdy walczył o najpiękniejszy dom, o swoje marzenia. Nastął moment najwyższej mobilizacji.

W końcu przed oblicze Piotrowskiego trafili Stach i Dorka.

Przy dużym biurku siedzi rozparty na krześle mężczyzna. Pali papierosa i nie patrzy ani na nią, ani na niego. Patrzy na starą niemiecką mapę, która zajmuje cały blat.

– Hmmm? – zaczyna. – Czego potrzeba i dla ilu osób?

Ledwie zaczęli mówić, czego szukają, a on już im przerywa i odpowiada, że nie ma. Gospodarstwa zajęte. Wszystkie. Zostały domki. Widokiem na góry zajmować się nie będzie, to nie koncert życzeń. Zaraz coś dla nich wybierze, ale wróżką nie jest.

Dorka traci rezon, jak to ona, ale Stach wie, co mówić, i wie, jak. Pyta. Prosi. Czaruje. Z zanadrza wyciąga inny zestaw trików niż te niezawodne w przypadku kobiet.

– Panie Piotrowski – mówi. – Pan ma pracę tu taką ciekawą. Pan Polskę buduje, nową, naszą, panie Piotrowski. To musi być wspaniałe.

Urzędnik podnosi głowę i nawiązuje kontakt wzrokowy. Pierwsze zwycięstwo Stacha.

– Panie Piotrowski, a może znalazłaby się tu praca i dla mnie? Bo ja tu przyjechałem działać. To był mój główny cel.

Miód się leje z jego ust, słodki i sztuczny. Dorka nie może się temu nadziwić. Miękki ten jej mąż, przymilny, jak nie on. Piotrowski jednak wygląda na zadowolonego.

Stach szarżuje dalej:

– U nas, na Podhalu, ciężko. Ciągłe nie wiadomo, kto rządzi. Nie wszyscy chłopcy wyszli z lasu, nie wszyscy zeszli z gór. Nie da się nic budować, bo i oni chcą rządzić, i władza ludowa. Tu, na ziemiach odzyskanych, sprawa jest jasna. Wiadomo, po czyjej stronie racja. Więc ja też chciałem się do tego wspólnego budowania przyłączyć.

Piotrowski już nie tylko na nich patrzy. Piotrowski się uśmiecha. Piotrowski czuje, że w tłumie, który przewija się przez jego gabinet dzień za dniem, w końcu odnalazł bratnią duszę.

Po drugiej drodze.

Kilka dni później zawiózł ich samochodem do Poręby. Dorka siedziała między nim a Stachem i oglądała niemiecki kraj, który teraz miał być ich ojczyzną.

Im więcej kilometrów, tym większy spokój. Stach i Piotrowski – już koledzy, już towarzysze broni w walce o nową ojczyznę, już zjednoczeni wspólnym celem – rozmawiali nad głową Dorki. Ona chłonęła świat. Było piękniej, niż sobie to wyobrażała. Góry, które widziała z okien domu w wiosce, mają ostre srebrne szczyty i twarde, lyse skały. Kłodzko otaczają zaokrąglone pagórki i miękkie linie.

Gazik Piotrowskiego, wysłużony na frontach i w walkach, wiózł ich spokojnie przez długie, puste przestrzenie i przez miejscowości – ni to miasta, ni to wioski – otoczone polami, pełne solidnych domów zbudowanych z kamienia i wysokich, tynkowanych kościołów. Gdy Piotrowski zatrzymał się nagle przed małym domkiem przy drodze, serce Dorki zaczęło mocno bić.

– To jeszcze nie tutaj – uspokoił je Piotrowski. – Weźmiemy tylko tłumaczkę, może się nam przydać.

Chwilę później Renate witała się z nimi łamaną polszczyzną, Stach szykował się do emanowania męskim urokiem, a Dorka patrzyła przed

siebie. Ich wioska położona była wzdłuż drogi. Była niewielka, kilkadziesiąt domów, ale wieżę kościelną miała wysoką.

– Tu jest gospoda. – Renate oprowadzała ich jak rasowa przewodniczka.
– Tu szkoła. Tu już wprowadzili się Polacy. Coraz więcej Polaków mamy we wsi.

Po trzecie dom.

Pokój zajęli ze Stachem bez pytania. Nie bardzo elegancko, ale po tym, jak Niemka nie dała im szansy nawet się przedstawić, czuli się rozgrzeszeni.

Niemiec, który ich wpuścił, wspinał się po schodach, nie interesując się tym, gdzie oni mieliby się zatrzymać. Zostali więc na parterze. Otworzyli pierwsze drzwi prowadzące do pokoju po prawej, weszli, postawili walizki. Zobaczyli podwójne łóżko ze świeżą pościelą, nakryte narzutą. Jakby na nich czekało. Była tam też szafa i dwie nocne szafki. W sam raz na przeczekanie, dopóki Niemcy się nie wyprowadzą. Dorce wydawało się wtedy, że to kwestia kilku dni, może tygodnia. Nazajutrz wynieśli z szafy jakieś płaszcze i kożuchy, położyli je na podłodze w kuchni. Rozpakowali swój skromny dobytek. Rozgościli się. Dorka wywietrzyła pierzynę po podróży i ubrała ją w pachnącą pościel, którą znalazła na jednej z półek. Koszyczek włożyła do swojej szafki nocnej. Stamtąd wyciągnęła go córka Niemki,

Chciałaby, żeby ta wielkooka dziewczynka, razem ze swoją mamą, tatą i rodzeństwem jak najszybciej wyniosła się na koniec świata. Żeby ona i Stach mogli we dwoje zacząć żyć własnym życiem, urządzić się wygodnie, rozsiaść w fotelach przy oknie i wprowadzić swoje porządki. Teraz z gospodynią i gospodarzem za ścianą czują się, jakby utknęli pomiędzy czasami przeszłym a teraźniejszym, gdzieś w przedpokoju.

O niej myśli najczęściej „Niemra”. O nim – „Szwab”. Nie potrafi inaczej. Nie chce inaczej. To przez nich chłopcy z podhalańskiej wioski jechali na wojnę. To przez nich z niej nie wracali. Albo – tak jak Michał – wracali, ale nigdy potem nie byli już sobą. To przez nich, przez burzę, którą rozpętali, Michał nie żyje.

Zwijajcie się, Niemcy, jak najszybciej, znikajcie z życia Dorki. Pakujcie się, zabierajcie, co wam się zmieści w bagażu, i jedźcie. Dworzec w Kłodzku czeka. Codziennie Dorota budzi się z nadzieją, że tego dnia

niemieccy gospodarze zaczęli się przygotowywać do wyjazdu z Poręby. Niestety, wciąż nawet nie wyciągnęli walizek.

Wieczorami pytała Stacha:

– Rozmawiałeś z Piotrowskim?

– Nie.

– To porozmawiaj, Stasiu, bo nie wyjadą nam z domu nigdy.

Z domu. Z ich domu. W języku już go zajęła. W głowie już umeblowała po swojemu. Dom był jej, Stach był jej. Na drodze do ich szczęścia stało tylko pięć niemieckich mankamentów.

Nie widziała, jak mąż przewraca oczami, było już ciemno. Słyszała natomiast westchnięcie. Wiedziała, że się niecierpliwi. Nie lubił, gdy mu mówiła, co robić.

– Kiedy nadejdzie czas, to porozmawiam. Nie ciśnij, Dorka. Wiem, co robię – odpowiadał zwykle, odwracał się do ściany i zasypiał. Jemu łatwiej było znieść męczącą obecność gospodarzy. Ona była na nich skazana. On wychodził z domu, ona w nim zostawała.

Z pierwszego popołudnia w nowym domu Dorka nie pamięta niemal nic, bo gdy tylko weszła do pokoju, ściągnęła spódnicę, bluzkę i jak stała, w białym, położyła się w pachnącym łóżku. To nawet nie był sen. Czowała, że spada w dół, na samo dno studni. Że jej ciało wyłącza się z życia na wiele, wiele godzin.

Otworzyła oczy, gdy było znowu jasno, i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Od razu czuła natomiast, że bardzo chce jej się pić. Gardło było zaschnięte. Język skołowaciały. W kącie pokoju stała duża szafa, a obok niej dwie walizki – jedna jej, druga Stacha. Kiedy wkładała świeże ubrania, powoli odtwarzała poprzedni dzień. Obrazy układały się jej w głowie chronologicznie. Najpierw obcasy wesolej Renate, które zapadały się w trawę, kiedy wchodzili pod górę. Samochód został we wsi, Piotrowskiemu pomyliły się drogi i przez chwilę szukali ich przyszłego domu. Schludne podwórko zastawione wokół gospodarczymi budynkami. Niemieckiego gospodarza, który – w przeciwieństwie do żony – kiwnął przynajmniej głową na powitanie. Zapach wsi – konia, krów. Gdakanie kur. Widok z drogi na wioskę: ładną, kamienną, solidną – jak wszystkie inne, które mijali, jadąc gazikiem prowadzonym przez Piotrowskiego. Jest maleńka, może najmniejsza spośród tych, przez które przejeżdżali, ale nawet w niej – jak we wszystkich innych tutaj – można dostrzec coś

miejskiego. Kiedy we czworo szukali właściwej drogi do właściwego domu, zdążyła dostrzec sklep w wysokim budynku, niewielki komin fabryczny, z którego unosiła się smuga dymu, murowane gospodarstwa. Poręba, powtarzała Dorka, wdrapując się pod górę. Poręba, Poręba – mała wioska o pospolitej nazwie i niepospolitej urodzie – ma się stać nową małą ojczyzną pięknego Stacha i Dorki-myszki z Podhala. Poprzedniego dnia była za bardzo rozedrgana i podekscytowana, by o tym myśleć. Teraz powoli docierało to do jej świadomości. Teraz, gdy przyglądała rozczochrane po nieprzytomnym śnie włosy, zaczynała rozumieć, że cała ta przestrzeń, urządzona, przemyślana, potężna, będzie należała do niej.

Ale najpierw woda.

Wchodzi do kuchni. Omiata wzrokiem obszerne, niskie pomieszczenie. Sufit jest solidny, bielony, podparty ciemnymi belami drewna. Okna niewielkie, pod nimi foteliki, dwa kredensy, stół pośrodku, piec w kącie. Więcej, niż jej potrzeba. Szuka wzrokiem naczynia z wodą, ale niczego podobnego znajduje. Widzi piekarnik przy piecu i mały kranik. Żadnego z tych przedmiotów nie miała na Podhalu. Powoli dociera do niej, że życie w Porębie będzie zupełnie innym życiem niż to na Podhalu.

Odkręca kran, do umywalki leje się woda. Podstawia pod nią rękę. Ciepła. Tuż przy suficie, blisko pieca przymocowany jest wielki metalowy pojemnik. Zakręca. Woda płynie między nim a kranem cienkimi rurkami. Odkręca. Zakręca. Odkręca. Pije z dłoni ciepłą wodę. Zakręca. Uśmiecha się do siebie. Podchodzi do drzwi, znajduje kontakt. Włącza. Ponurą kuchnię zalewa ciepłe światło. Wyłącza. Włącza. Odkręca. Zakręca.

Stach siedzi zaspany na łóżku i drapie się w głowę. Słucha opowieści Dorki o kurku i pstryczku z wyraźnym zainteresowaniem. Wstaje, wciąga brudne portki na tyłek i szybkim krokiem idzie do kuchni. Jemu także chce się pić. A potem ucieka. Coraz częściej ucieka. Spotyka się z Piotrowskim, jeździ nim to do Kłodzka, to do Bystrzycy. Ciągle w ruchu. Ciągle gdzieś.

Dorka zostaje w domu na zboczu.

Nie spodziewała się, że napięcie, które wypełniało ją w rodzinnej chacie, dopadnie ją w nowym życiu. Ale w Porębie, w dużym domu, wśród pięknych gór wcale nie oddycha się lżej. Powietrze jest równie gęste jak w drewnianej chałupie na podhalańskiej wsi.

Niemra jest ciągle w ruchu, jak Kulasowa. Kręci się jak bączek, w wiecznym tańcu z domowymi obowiązkami, w miłosnym splecie

z gotowaniem, praniem, wycieraniem rozlanego mleka. Ona chodzi dumna i wyniosła, matka była przygarbiona, starała się zajmować jak najmniej miejsca. Niemka każdego ranka splata płowe włosy w błyszczący warkocz, gruby, dorodny. Matka zbierała siwe kłaczki w lichey koczek. Niemka ma ładne, jasne koszule, świeże i wyprasowane, matka nosiła sprane, zszarzałe. Niemka ma w oczach dumę, matka – zmęczenie.

Ale na kolanach, ze szmatą w rękach, wyglądają tak samo.

Dorka była zmęczona samym patrzeniem na zaangażowanie Niemki. Przebywanie w zasięgu jej zadartego nosa, jej rażącego poczucia wyższości było wykańczające. Szwab z kolei milczał uparcie, dokładnie tak, jak stary Kulas. Sam usuwał się z drogi, a kiedy to było niemożliwe – nie odzywał się, nie patrzył, nie zwracał uwagi. Przy nim Dorka czuła się jak powietrze. Przy niej – jak wróg. Było tak, jakby nigdy nie wyjechali z drewnianej chałupy ze spadzistym dachem. Ale przecież – tłumaczy sobie – Niemcy wcześniej czy później znikną. Wtedy Dorka odetchnie pełną piersią. Wtedy ona i Stach będą u siebie. W życiu, o jakim marzyli.

Dorka stara się wychodzić jak najczęściej, ale możliwości spędzania czasu poza domem ma ograniczone. Listopad, jak to listopad – nie zachęca do spacerów. Odbiera światu piękno. Leje szarym deszczem. Rozpulchnia drogi i wciąga buty w błoto. Zmusza do pozostania w domu.

– Dobrze ci mówić, Stachu. Nie spędzasz z nimi całych dni – próbuje tłumaczyć mężowi, który nie lubi, kiedy mu przypomina, by porozmawiał z Piotrowskim. Nie lubi, kiedy Dorka się odzywa.

Udało jej się poznać najbliższych sąsiadów. Państwo Łabowiczowie i ich córka Weronika mieszkają bliźniutko. Przyjechali jakiś rok przed nimi. Bardzo mili, mówią śpiewnym akcentem. Dorka lubi słuchać, jak ze sobą rozmawiają.

Poznała też Pawła – jego akurat trudno przeoczyć. Stoi przy sklepie i wykrzykuje swoje żale wobec życia. Gdy widzi jakiegoś Niemca, rzuca mu pod nogi bluzgi. Ile się da. Pani Łabowiczowa opowiedziała Dorce, że był robotnikiem przymusowym. Zapamiętała też, że wojnę spędził w Rüsselsheim am Main. Wymawia nazwę miasta z namysłem. Obce litery łamią jej wschodni język przywykły do miękkich zawijasów i falowania, nieprzyzwyczajony do ostrych zakrętów i zderzeń czołowych.

Pawła wywieziono z rodzinnego Żywca na roboty przymusowe, choć tłumaczył, że niedługo ma się żenić z Małgością od sąsiadów. Nikt go nie

słuchał. Zapakowali go do samochodu, jak stał, i zabrali z rodzinnego miasta. Nienawidził Niemców od początku wojny, jak to Polak, ale znienawidził ich jeszcze mocniej w momencie, kiedy przygotowali mu kartę do fabryki. *Raus, raus*, pod ścianę, wrzeszczeli, kiedy tylko wyszedł z łaźni. Włosy miał jeszcze mokre, nie zdążył się ubrać. *Raus, raus, schneller*, trzask. I już. Zdjęcie gotowe. Za każdym razem, kiedy na nie patrzył, przypominał sobie, jak bardzo czuł się upokorzony w tamtej chwili. Miał na nim mokre włosy, stał przestraszony, z wielkimi oczami, bez koszuli. Każdego dnia, gdy wchodził do fabryki i gdy z niej wychodził, pokazywał kartę ze zdjęciem. Za każdym razem, gdy na nie spoglądał, czuł, że nienawidzi Niemców odrobinę mocniej niż poprzedniego dnia. Ale siedział cicho. Widział już takich, co im się stawiali i kończyli z kulką w głowie. I za to też ich nienawidził.

Trafił do fabryki Opla w Rüsselsheim am Main, ale nie skręcał maszyn do szycia, jak to najpierw zaplanował pan Adam Opel. Nie składał też rowerów. Pracował przy produkcji ciężarówek Blitz. To były autka! Zwrotne, sprawne, eleganckie. Chłopcy lubią bawić się samochodami, wiadomo. Część Pawła cieszyła się, że może tworzyć te cacka. Potrafiły poradzić sobie z każdą dziurą i z każdym niespodziewanym pagórkiem. Jak tylko zjechały z taśmy produkcyjnej, wsiadali do nich żołnierze Wehrmachtu i jechali na południe, na zachód, na wschód. Dojeżdżali nawet do Żywca i niszczyli ubitą drogę przed oknami domu Małgośki.

Z każdą oponą, którą ściągał Paweł z taśmy, nienawidził Niemców bardziej. Z każdym samochodem, który opuszczał fabrykę. Każdego dnia przed snem fantazjował, że dziurawi grubą gumę nożem. Że żołnierze, jeden po drugim, wjeżdżają przez to w drzewo i płoną w swoich oplach blitzach. Och, jak bardzo Paweł nienawidził Niemców! Jak bardzo życzył im śmierci w męczarniach, amputacji języków, żeby nie mogli już szwargotać w tym swoim nieprzyjemnym narzeczcu. Ale śrubki dokręcał sumiennie. Widział już takich, którzy próbowali sabotaży, drobnych, na miarę skromnych możliwości, i kończyli z kulką w głowie. I za to też Niemców nienawidził.

Ale najbardziej znienawidził ich za to, że Małgośka na niego nie poczekała. Brat donosił mu w listach, że kilka miesięcy po jego wyjeździe wyszła za mąż za Adama od Nowaków. On dokręcał śrubki w szwabskich felgach, ona paradowała już po miasteczku z brzuchem. Płakał długo, gdy się o tym dowiedział. Płakał w drodze do Polski, jak go już z fabryki Opla

wypuścili. Płakał wieczorem, przed snem, kiedy udało mu się znaleźć jakieś łóżko, płakał w pociągu, który wiózł go w stronę kraju, płakał w górach, przez które się przedzierał, żeby dotrzeć do jakiejś polskiej osady. Gdy w końcu wyplakał wszystkie łzy, zrozumiał, że w Żywcu nie ma czego szukać. Postanowił zostać w pierwszym miejscu, do którego uda mu się dotrzeć. Padło na Lichtenwalde, ale równie dobrze mógł przecież zamieszkać gdzie indziej. Dom już na niego czekał, gotowy do przejęcia. Z meblami, naczyniami, pościelą. Brakowało w nim tylko Małgosi. Niemców miał wokół jeszcze mnóstwo i w końcu mógł im powiedzieć, co o nich myśli. Więc mówił. Wrzeszczał głośniejsze i głośniejsze. Wyzywał każdego, który stanął mu na drodze. Wylewał całą nienawiść, którą zebrał w fabryce Opla, skręcając zwinne autka. Wrzeszczał za zdjęcie, które fotograf zrobił mu nago, kpiąc z niego i wybuchając co rusz obraźliwym śmiechem. Za Małgoškę, za jej brzuch, co to Paweł miał go zmaistrować. Wyobrażał sobie tyle razy, że ją dotyka, całuje po szyi, rozbiera. Wyobrażał sobie tyle razy, że ją kładzie na łóżku goluteńką. Nigdy jej nie położył, a Adamowi od Nowaków się udało. I za to każdemu napotkanemu Niemcowi należała się wiązanka przekleństw i rzeka bluzgów. Więc płynęły z jego ust. Za ople blitze rozjeżdżające Żywiec. Za tę nienawiść, co nie chciała mu dać żyć.

Paweł był pierwszym Polakiem, który osiedlił się we wsi. Z czasem łzy się skończyły, płakać już nie mógł, ale pić – i owszem. W tych swoich trzech pokojach, w pościeli, upranej jeszcze przez Niemkę. Między obrazami przedstawiającymi obce krajobrazy. Gdyby go nie wywieźli z rodzinnego miasta, miałby dom, żonę z brzuchem. A nie miał nic. Poza trzema pokojami, pościelą i obrazkami na ścianach.

Nie wrócisz do swojego Żywca, Pawle. Nie masz po co. Nie mógłbyś żyć, patrząc na to, co pozostało z twoich planów.

Dorka współczuła Pawłowi, ale nie sposób się było z nim zaprzyjaźnić i przesiadywać w niszczonych przez niego pokojach. Nie mogła też spędzać u Łabowiczów każdego dnia. W końcu trzeba było wrócić do gospodarstwa na zboczu i do jego przygniatającej atmosfery. Zamykała się w pokoju i wyciągała koszyczek z nićmi.

Najlepiej się czuła, kiedy Niemka zabierała dzieci i wychodzili razem z domu. To były najpiękniejsze momenty, ściśle jednak reglamentowane przez gospodynię. Wychodziła rzadko. Wtedy wreszcie choć na chwilę

znikał duszący klimat i Dorka była u siebie. W przedpokoju między wczoraj a dzisiaj, w domu, którego status ciągle był nieokreślony, czuła się w końcu jak królowa. Za zwiedzanie swojej przyszłości brała się metodycznie, po kolei. Zakamarek po zakamarku.

Kiedy za pierwszym razem Niemka wyszła z dziećmi z domu dalej niż do ogrodu, Dorka nie rzuciła się do kuchni od razu. Przez chwilę trudno jej było uwierzyć we własne szczęście. W domu była sama.

Podeszła do kredensu. Po kolei otwierała wszystko, co się dało. Półki, szklane i drewniane drzwiczki, schowki, szuflady. Sprawdziała, co na nią czeka, ukryte w ich wnętrzach. Brała do ręki. Dotykała. Odkładała na miejsce, żeby gospodyni nie nabrała podejrzeń. Pierwsza szuflada, druga, trzecia i już rozumiała, że przez te wszystkie lata, przez cały czas wojny, głodu, śmierci, strachu, Niemka żyła w domu na wzgórzu jak pączek w maśle.

Miała kuchnię ciepłą i przestronną, w której toczyło się życie rodzinne, i mały pokój z podwójnym łóżkiem, w którym zamieszkali chwilowo Dorka i Stach. Miała drewniane schody i drewniany stół. Miała rurki, którymi do kranu płynęła ciepła woda. Miała sad z jabłonią, krowy, konia. Miała tyle szczęścia! Spokojnie przeżyła wojnę, mieszkała w pięknym, dużym domu, razem z cichym, ale oddanym mężem i dziećmi. Trójką dzieci o jasnych włosach i oczach.

To wszystko dotarło do Dorki, zanim usłyszała odgłosy dzieci pokrzykujących na podwórku. Pospiesznie zamykała szuflady i szafki.

Za drugim razem dokończyła grzebanie w kuchennych szafkach, co upewniło ją, że gospodyni miała to, o czym Dorka mogła we wcześniejszym życiu tylko pomarzyć: kredens pełen pięknych filiżanek i garnków, szafy pełne białej pościeli i złożonych w kostkę obrusów. Zastanawiała się, co z tego wszystkiego zabierze ze sobą w drogę do Niemiec.

Za trzecim razem już się nie spieszyła. Postanowiła celebrować wyszarpaną chwilę wolności. Zaparzyła sobie herbatę. Wypiła ją spokojnie przy stole. Cieszyła się samotnością. Potem postanowiła ruszyć na górę.

Szła po schodach jak na odkrywanie nowego lądu. Zamierzała zerknąć wszędzie, zobaczyć wszystko, zajrzeć w każdy zakamarek, przeszperać ubrania dzieci i pogrzebać w łóżku Niemców. Planowała odnaleźć najpilniej strzeżone sejfy i przerzucić brudy. Ale kiedy stanęła na pięterku

i zobaczyła wszystkie te drzwi prowadzące do tak wielu pomieszczeń, opuściła ją odwaga. Odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach.

Kilka stopni i stanęła na wprost Niemki ściągającej płaszcz. Gospodyni spojrzała na Dorkę lodowato. A potem przeniosła wzrok na kubek po herbacie stojący na stole. Potem jeszcze raz na Dorkę. Spojrzenie się przedłużało, brwi podniosła do góry, pełnym wyższości spojrzeniem pokazując, jak bardzo nie podoba jej się to, co widzi.

Najpierw Dorka się speszyła, skuliła ramiona, wbiła wzrok w schody. Ale kiedy była już na dole, nagle się wyprostowała. Dosyć! I tak stąd znikniesz, Niemko – pomyślała i wzruszyła ramionami. Wcześniej czy później zostawisz mi to, co masz.

Od tego momentu Dorota z Podhala uważała, że wszystko, co ją otacza w Porębie, w domu na zboczu, należy do niej i do Stacha. Już. Teraz. Nie zamierzała czekać dłużej na wyjazd Niemców. Postanowiła zacząć przyzwyczajać się do dobrobytu od razu. Natychmiast. Z każdym dniem, z każdą minutą bardziej czuła się właścicielką: obrusów, garnków, widelców, łyżek, pościeli złożonej w kostkę, kubków i filiżanek z kredensu. Szaf, szuflad, okien i drzwi. Balii do kąpieli w pomieszczeniu naprzeciw pokoju, w którym zamieszkali. Jej również zaczęli używać bez pytania. Kąpać się można było i codziennie. Dorka czuła się właścicielką kraniku w kuchni. Wajchy, którą przekręca się przy studni, żeby woda płynęła rurkami nie do domu, tylko do wodopoju dla zwierząt. Stajni, obory, studni, dREWutni. Koni, krów, kur. Młockarni i binderki, o których Stach opowiadał z takim zaangażowaniem, z jakim ona przeglądała garnki i patelnie. Drewna gotowego na mrozy, kwiatów czekających na zakwitnięcie, drzew łysych w listopadzie. Stawu. Tunelu pod stodołą, którym można wjechać na podwórko. Dwóch pozostałych bram do domu. Podjazdu z pola prosto na pierwsze piętro stodoły.

To jest przyszłość Dorki. Czeką na nią niecierpliwie. Ale każdym spojrzeniem Niemka przypomina, że nie złożyła jeszcze broni. Ciągle jeszcze uważa, że jest u siebie. Już niedługo.

Dorka wie, że nie musi nic robić.

Wystarczy, że poczeka.

Czeka.

EVA

Musiałyby być ślepa, żeby nie zauważyć, że Polka grzebała w jej szafkach i półkach. Kiedy wróciła ze wsi, ze sklepu i od księdza Wilhelma, szuflada kredensu była niedomknięta, a jedna z filiżanek w czerwone kwiaty włożona w drugą. Eva nigdy tak nie robiła. Dbała o nie bardzo, zwłaszcza od momentu, gdy Georg Löwy przestał prowadzić w Glatz swój sklep z zabawkami i porcelaną.

Któregoś dnia, jesienią, niedługo przed wojną, Peter pojechał do miasta na spotkanie z klientem chętnym do kupienia jabłek z ich sadu. Eva poprosiła męża, żeby przy okazji w sklepie na Ringu kupił dla Ingi piłkę. Dziewczynka miała wtedy dwa lata i nie interesowały jej żadne z zabawek podsuwanych przez mamę. Eva chciała podjąć kolejną próbę.

Peter miał również wejść do pobliskiej Hirschapotheke po pastę do zębów i kilka innych sprawunków.

Wrócił do domu z pastą, która na metalowym opakowaniu miała wytłoczoną swastykę. W tamtym czasie wszystko już miało swastykę. Nie udało mu się jednak dostać do sklepu Löwego, bo poprzedniej nocy został splądrowany.

– Mnóstwo policjantów – opowiadał Peter z przejęciem. – Odganiaли gapiów. Nie wiem, co się stało, nie dało się nawet do nich podejść. Ustawili pachołki i oddzielili taśmą wejście do sklepu.

Niektóre rzeczy pozostały niezmienione. Na wystawie wciąż siedziały lalki, stały samochody i maszerowali żołnierze. A z wyższej półki przez wybitą szybę z gospodarską troską spoglądał na Ring Adolf Hitler. Wciąż wymachiwał także na powitanie prawą ręką.

To, co się stało ze sklepem Löwy'ego, w sennym, przedwojennym Glatz, było prawdziwą sensacją. Tym większą, że tej samej nocy w synagodze wybuchł pożar i spłonęła spora jej część.

– Dym gryzł w gardło aż na Ringu – dodał jeszcze Peter, rozgadany jak rzadko. – Ledwie się dało wytrzymać. Uciekałem stamtąd jak najszybciej.

Po tym incydencie Löwy gdzieś zniknął. Sklep dalej istniał w tym samym miejscu, ale filiżanek w czerwone kwiaty nie było już w ofercie. Niby ciągle można było kupić zabawki, talerze i kubki, ale ani wystawa nie przyciągała

już do siebie tłumu dzieciaków, ani porcelana nie była taka delikatna, krucha i piękna jak dawniej.

A teraz – wiadomo. W Glatz na Ringu otwierają się kolejne polskie sklepy, Eva ich jednak nie odwiedza. Tym bardziej ceni sobie swoje filiżanki w czerwone kwiaty. Nigdy nie wkłada jednej w drugą.

Po powrocie do domu o wiele za głośno zasuwała szuflady, których Polka nie domknęła dokładnie. Chciała być słyszana, chciała, żeby szara mysz miała świadomość, że zostawia po sobie ślady. Tylko święteczną porcelaną odstawiała na miejsce z wyczuciem. Nie wiadomo, co się z nią stanie, ale o nią Eva dba. Wciąż to najpiękniejsze filiżanki, jakie widziała w życiu. Wciąż przypominają o szczęściu zamkniętym za szybką kredensu.

Przeglądaj moje dumne włości, Polko z chudym warkoczem, myśli Eva, kiedy po dokończeniu porządków siedzi przy stole z kubkiem herbaty. Dłonie jej drżą i całą energię wkłada w to, by nie było tego widać. Pije i w myślach wypowiada te wszystkie słowa, które chce rzucić Polce w twarz. Grzeb w moich posagach, prezentach, pieczołowicie wybieranych naczyniach z Glatz. We wszystkim, co miało sprawić, że moje życie będzie lżejsze niż życie mojej matki. Wkładaj w to łapy i szacuj, co twoje, co moje. Co ci zostawię, co zabiorę ze sobą, co zakopię w polu, co potłukę, co rozdaję. Co zapełnisz swoim życiem, co wchłoniesz do polskiego świata. Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze, łąki obrusów, twierdze szaf niezłomnych, prześcieradła rozległe, drogocenna pościel. Szukaj, macaj, szperaj, grzeb. Węszysz cennych kamieni i złota w kanapach, materacach, kołdrach i dywanach. Nieodrodna córko swojego narodu, złodziejko cudzego życia, władczyni ziem nieswoich. O, jak ci się będzie palić robota! Obłoki pierzyn do rąk ci przylgną, w skrzydła zamienią ręce obie!

Mała Polka czuje się w domu pod leśniczówką coraz lepiej. Jest jej w nim więcej i więcej. Mijają tygodnie, a one ciągle nie zamieniły ze sobą słowa. Na początku Polacy przemykali dyskretnie do pokoju przy kuchni. Tam zjadali posiłki przygotowywane niepostrzeżenie, kiedy Ewy nie było w kuchni. Ostatnio jednak oboje poczynają sobie coraz śmieiej, a szczególnie Polka. Gotuje, kiedy chce, bezceremonialnie wyciąga z półek patelnie, garnki i talerze Ewy. Jadają na rogu dużego stołu albo przy małym, tam, gdzie Eva i Helga pijały kawę. Któregoś wieczoru po ich kolacji został nawet brudny garnek. Leżał w zlewie i czekał na zlitowanie. Eva nie może

zasnąć, jeśli jakikolwiek garnek jest brudny. Wyszorowała go więc wściekła i odłożyła na miejsce.

Polka nawet jej za to nie podziękowała.

Idzie szybkim krokiem z kuchni do korytarza, który po obu stronach zakończony jest drzwiami prowadzącymi na zewnątrz budynku. Szuka Ingi. Ostatnio dziewczynka często znika, ale Eva za każdym razem odnajduje ją w tym samym miejscu. I teraz też widzi córkę przez niedomknięte drzwi. Siedzi w pokoju gościnnym, w którym najczęściej zatrzymywała się kuzynka z Köslin. Teraz zajęli go Polacy.

– Inga, *komm!* – mówi Eva podniesionym głosem. – Wychodź stąd natychmiast!

Dziewczynka podnosi wzrok na matkę i patrzy na nią bez większych emocji. Gdzieś tam na końcu spojrzenia Eva coś dostrzega, jakiś mrok, strzępek tego, co czuje jej dziecko. Może to lęk przed gniewem matki? Chyba nie. Raczej żal, że przyłapała ją kolejny raz. Wie już, że będzie musiała schować to, co tak mocno przykuwa jej uwagę.

Znowu wyciągnęła wiklinowy pojemnik z jego kolorową zawartością. Jest nią wyraźnie zafascynowana. Przegląda nitki, dotyka ich uważnie. Układa je w rzędki, jedną obok drugiej. Chwilę potem promieniście, na narzucie przykrywającej pościel, tworzy z nich słońce. Jeszcze później powstają kolorowe kwadraty. Eva wie, że Polki nie ma w domu, poszła gdzieś razem z mężem z samego rana. A mimo to robi wszystko, żeby Inga wyszła z tego pokoju jak najszybciej. Za nic nie chciałaby, żeby zostały tu przyłapanie.

Wchodzi do środka szybkim krokiem i składa szpulki, które jej córka wyciągnęła z koszyka. Zabiera z rąk Ingi nitki, niepotrzebnie zbyt nerwowo. Odkłada na miejsce żółć, czerwień, zieleń i brąz. Składa w kostki kawałki materiału, chowa pudełeczka z igłami i napaństek. Inga patrzy na nią bez ruchu. Minę ma zaciętą i Eva już widzi, że będzie musiała swoje dziecko za rękę, na siłę, ciągnąć na korytarz.

Przypomina sobie wszystkie próby, które podjęła, by tchnąć w swoją niełatwą dziewczynkę iskrę życia. Rozpalić w niej płomień. Jakikolwiek.

Kwiaty w ogródku. Wąchanie, oglądanie, opowieści o tym, jak rosą i dojrzewają – od ziarenka do ziarenka. Wielokrotne, żmudne powtarzanie tych samych historii, z nadzieją, że za którymś razem zainteresują jej dziecko.

Inga błądzi oczami po lesie na horyzoncie.

Niezliczone książki, z obrazkami, z historyjkami dłuższymi i krótszymi, wszystkie, jakie biblioteka przy szkole oferowała dzieciom, zostały przyniesione do domu pod leśniczówką. Nie raz. Z nadzieją, że z kolejną próbą Evie uda się zainteresować córkę pięknie ilustrowanymi baśniami braci Grimm.

Inga gapi się w sufit i kręci kciukami młynki.

Ciasto ugniatane z rana. Codzienne rytuały, których celem jest wciągnięcie małej w to, co dla dzieci atrakcyjne. Muzyka. Piosenki. Taniec. Wyliczanki, które dziewczynki powtarzają każdego dnia. Lalki, szmatki, filizaneczki na miniprzyjęcia. Coś, co da córce radość. Coś, co da jej życie. Cokolwiek.

Ożywiała się jedynie na widok metalowej puszeki, którą trzymała za domem, pod jedną z jabłoni. Wsadzała do niej kamyczki, trawki, szkiełka, a potem je wyciągała i przeglądała, układała w rzędkach, czasami coś dokładała. Denerwowała się, kiedy ktoś dotykał jej skarbów. Eva miała nieraz wrażenie, że puszka była jedyną ważną rzeczą w życiu jej córki.

Aż do momentu, w którym w domu pojawiła się szara Polka i jej mąż.

Kiedy za pierwszym razem Inga zobaczyła tę kobietę pochyloną nad stołem i nakłuwającą materiał w skupieniu i spokoju, stanęła jak zaczarowana. Urzeczona. Śledziła każdy ruch Polki, która wkładała pospiesznie do koszyka nici, gdy Eva wchodziła do kuchni. To były te szczęśliwe dni, w których starały się nie spędzać czasu w tym jednym pomieszczeniu. Nie wchodzić sobie w drogę, nie wchodzić w oczy. Jedna otwierała drzwi, druga je zamykała. W tym akurat były wyjątkowo zgodne.

Z czasem córka zaczęła się wymykać. Biegła do jedynego pokoju na parterze domu i wyciągała nitki z szafki przy łóżku.

Eva wiedziała, że powinna się cieszyć, bo na ślicznej buzi Ingi wreszcie widać zaangażowanie. Ale nie czuła radości. Czuła głównie frustrację. Polka przyjechała i bez wysiłku zrobiła to, co jej się nigdy nie udało. Zajęła jej pokój za kuchnią, zajęła dom, jej życie, a córka sama pozwoliła zająć swoje serce kolorami.

O tym wszystkim myśli Eva, pakując motki porozrzucane przez Inge i zacierając ślady jej pobytu w pokoju na parterze. Już ma wychodzić, kiedy dostrzeżga na podłodze jeszcze jeden kawałek materiału. To wyhaftowany obrazek. Podnosi go. Nie jest jeszcze dokończony, ale już widać, co

przedstawia. Wprawna ręka stworzyła świat, od którego trudno oderwać wzrok. Domek Evy i Petera od strony sadu. Ławka, a na niej kobieta i mężczyzna. Zielen z obrazka aż eksploduje. Jest też liliowy bez, krzak, który w rzeczywistości nie istnieje, ale utalentowana hafciarka wyczarowała go na kawałku materiału. Kazała mu też kwitnąć. Buchać, szaleć. Jak to w maju.

Intruzi liczą na to, że do wiosny zostaną w domku w Lichtenwalde sami, dociera do Evy. Wyhodują krzak, zbudują ławeczkę i na niej usiądą. Będą żyli w miejscu, które Peter zbudował dla Evy i ich dzieci.

Prosto z pokoju przy kuchni Eva wychodzi na podwórko. Staje na trawie. Słyszy dzieci, znowu czegoś chcą. Krzyczą, wołają, potrzebują jej natychmiast, jeden i drugi, a trzecia być może znowu jest tam, gdzie jej nie powinno być.

Eva zamyka za sobą drzwi. Uchylają się. Domyka dokładniej, żeby żadnego z dzieci nie słyszeć. Od dawna nie była sama. Nabiera powietrza głęboko w płuca.

Pierwszy wdech i wydech pozwala oderwać myśli od tego, co za drzwiami.

Po drugim przypomina sobie, że żyje. Ma nogi, brzuch, piersi. I głowę pełną poplątanych myśli, serce rozedrgane od przedłużającej się niepewności, żołądek ściśnięty ze strachu. Czuje się jak zwierzyna wystawiona na odstrzał. Nie ma gdzie się schować, nie ma gdzie zebrać myśli. Uświadamia sobie, jak bardzo jest zmęczona. Młodszy budzi ją wcześniej, ciągle potrzebując jej mleka i obecności. Starszy staje się coraz bardziej zaborczy i niecierpliwy, trudno mu zaakceptować to, że mały rośnie i się rozwija. Eva nie ma w sobie spokoju, by wlać go w dzieci. Nie ma nawet z kim porozmawiać. Nie chce męczyć Petera, nie chce dokładać mu swoich obaw. Dręczą go jego własne.

Trzeci oddech.

Nocami budzi ją kuzynka z Köslin. Ciągle ucieka, goni ją chmara mężczyzn. Cali są ciemni – ubrani na czarno, może w mundury, wszystko jest rozmyte. Czarne buty, czarne włosy, czarne twarze – może mają na nich maski, może to cień, może noc. Już ją łapią, już dopadają. Zdzierają spódnice, targają bluzkę. Kuzynka przewraca się, szamocze, kopie. Nie krzyczy, ale i tak budzi Evę. Każdej nocy to samo. Każdej nocy film pod powiekami. Co z tobą, kuzynko z Köslin? Gdzie twój uśmiech, gdzie dołki

w policzkach, okrągłe kształty, kobiece piersi i talia? Czy twój mąż wrócił z wojny? Gdzie twój Hans, mądry, czytany, którego wszystko wokół interesuje?

Dziecko kuzynki, takie bystre, takie przymilne, zrodziło dystans między nimi. Jej Inga była zupełnie inna. Bolesna różnica między dziećmi z roku na rok stawała się wyraźniejsza. Dopiero starszy syn, z tą swoją blond czuprynką i świdrującymi oczkami, jego urok, jego uważne spojrzenie sprawiły, że Eva znowu z niecierpliwością wypatrywała listów, znów chętnie na nie odpisywała późnymi wieczorami, kiedy w domu pod leśniczówką wszyscy zasypiali i robiło się cicho. Natychmiast poinformowała kuzynkę, kiedy urodził się młodszy syn, ale nie wie, czy list dotarł, bo z Köslin nie było już wtedy żadnego kontaktu. Listy wpadały w czarną dziurę.

Eva patrzy w niebo. Daj sygnał, że żyjesz, kuzynko z Köslin. Chociaż mały, najmniejszy nawet znak.

Niebo milczy. Płuca Ewy są puste.

Czwarty wdech.

Jest samotna. Ta myśl świta w jej głowie, kiedy tylko znalazło się na nią miejsce. Chciałaby porozmawiać z kimś, kto jest w takiej samej sytuacji jak ona, ale dawni sąsiedzi opuszczają Lichtenwalde, dom po domu. Ci, którzy zostali, liżą własne rany i oplakują swoje straty. Nie mają ochoty myśleć o cudzych.

Lichtenwalde przed wojną było niewielkie. Zawsze w cieniu Bad Langenau, przyjmowało z otwartymi ramionami tamtejszych kuracjuszy, zapraszało do zajazdów, oferowało, co miało najlepszego – powidła śliwkowe, placek drożdżowy i śliwownicę. Parkiety zajazdów wytarte od sobotnich potańcówek. Widoki, po które nie trzeba się wspinać na szczyty. Może to piękno tego skrawka świata łączyło mieszkańców Lichtenwalde.

Zimą, długimi wieczorami, gdy w gospodarstwie nie było dużo roboty, nadchodził czas opowieści o dziadach i pradziadach. Przypominano o nich wszystkim synom z Lichtenwalde, żeby nie popełniali ciągle tych samych błędów. Żeby pamiętali o swoich przodkach, którzy w 1622 roku, razem z sąsiadami zza miedzy, z Verlorenwassen, przeciwstawili się żołnierzom pobierającym kontrybucje. Wojna trwała już wtedy kilka lat, a skończyła się dopiero po trzydziestu. Musieli być nią zmęczeni. Musieli być wściekli. Musieli być głodni. Nękanymi kolejnymi najazdami zagonili uzbrojonych

żołnierzy cesarza do Habelschwerdt, tam uwięzili i trzymali, aż biskup wrocławski Karol Habsburg wezwał na pomoc cesarza. Wtedy bunt się skończył.

To byli dzielni ludzie, powtarzali ojcowie synom. To byli ludzie, którzy chcieli mieć czym karmić swoje rodziny do kolejnego lata. Powiedzieli „dość”, ale nie mogli wygrać, bo chłop z kosą nie pokona żołnierza ze sztuceredem.

Żołnierze kawalerii na rozkaz cesarza wycięli waszych praprapradziadków, drogie dzieci, mówili ojcowie. Wyrznęli ich w pień, co do jednego. Każdego, który powiedział „dość”. A potem ci elegancy żołnierze najechali na wieś. Brali z Lichtenwalde, co chcieli, jak to żołnierze. Gęsi, kozy, cielęta, świnie, mleko w garnku, gulasz z pieca, słoninę czy indyka. Kobiętę do skubania pierza albo i do czego innego. Nie mogły na to nic poradzić nasze prapraprababki. I my też nic nie poradzimy. Możemy tylko pójść do Bad Langenau i odwiedzić ich pod dużym cisem, gdzie leżą, zaszlachtowani przez żołnierzy cesarza.

Wieczorami uczono młodych, że lichtenwaldzki chłop i wojna to nie jest dobrana para. Mogą przez chwilę potaćzyć razem, ale nie będą żyli długo i szczęśliwie. Ona zawsze wyjdzie z tego dzikiego uścisku zwycięsko i pójdzie dalej, do sąsiedniej gminy. On skończy pod cisem w Bad Langenau.

Historię o buntowniczych chłopach powtarzano co roku, żeby synowie zapamiętali ją nie tylko głową, ale i sercem. A potem przekazali kolejnym pokoleniom. Bo historia lubi się powtarzać.

Wdech. Wydech.

Eva na własne oczy widziała, co się stało z mieszkańcami Lichtenwalde po Wielkiej Wojnie. Wyrywali się na nią, niektórzy nawet na ochotnika, choć przecież słyszeli o chłopskim buncie i porządkach, które zaprowadzili we wsi żołnierze. Niektórym udało się nawet przeżyć. Wrócił z Wielkiej Wojny ojciec Ewy i jej dwaj wujkowie. Znaleźli pracę w fabryczce opakowań na dole Lichtenwalde, naprzeciwko kościoła. W ciągu dnia produkowali pudełka na szwedzkie zapałki i szwajcarskie sery, a wieczorami zasiadali nad kufkami piwa. Przez pierwsze lata pochyleni nad stołem, zgarbieni rozmawiali ze sobą codziennie. Wspominali.

Z czasem już tylko pili, próbując zgasić piekło, którego kawałek każdy z nich przywłócił z frontu w swoim ciele, w swojej głowie. Ojciec co noc

budził się z krzykiem. Wieczorem znowu pił piwo z dwoma wujkami. Tylko oni go rozumieli.

Wojna znowu zadrwiła z lichtenwaldzkich chłopów.

Szósty wdech.

Potrzebowali siły. Oni nie leżeli pod cisem w Bad Langenau. Chcieli żyć, ale zapomnieli, jak to się robi. Szukali więc kogoś, kto im przypomni. Kto powie, że nie są przegrani. Że są wielcy. Najwięksi w Europie, w świecie pełnym śmieci, które trzeba posprzątać. Muszą posprzątać cały świat. To chcieli usłyszeć.

I usłyszeli.

Słowa płynęły z radia. Drukowano je na pierwszych stronach gazet. A potem już na wszystkich. Wódz do nich mówił, oni chcieli go słuchać. 20 kwietnia, w dniu jego urodzin, ustanowiono święto. Ojciec i dwaj wujkowie obchodzili je dopiero po pracy w fabryczce, bo Szwajcarzy nie chcieli czekać na swoje sery i nie dali im wolnego.

Usiedli nad kuflami, Eva donosiła jeszcze kielbasę i przekąski.

Niby siedzieli i pili, jak zawsze, ale widziała, że coś się zmieniło. Plecy mieli proste. Twarze – gładsze, bruzd mniej i ogolili się z rana, żeby wyglądać porządnie z okazji święta. Nie mówili już o przeszłości, ale o przyszłości. Nie o minionej wojnie, tylko o tej, która nieuchronnie nadejdzie. Wódz trafiał wprost do serc prawnuków chłopskich buntowników. Armia niemiecka zamierzała podbić cały świat. Oczyszczyć go z brudu. Pokazać ludzkości, jak ma się doskonalić i ulepszać. Jak walczyć i ćwiczyć. Niemcy mieli pokazać światu, jak żyć.

Ojciec rwał się na tę wojnę, może po to, żeby choć raz wygrać, ale go nie wzięli. Najpierw dlatego, że był za stary, a płuca miał zniszczone przez gaz w belgijskich okopach. A potem, gdy młodych i silnych zaczęło brakować, wódz wziąłby i ojca Evy, ale ten już ledwo łapał oddech. Umierając na zapalenie płuc, najbardziej żałował, że nie doczeka nowego świata urządnego przez wodza. Pocięszało go jedynie, że ofiarował mu Franza i Josefa, bliźniaków, młodszych braci Evy.

Skończyło się tak samo, jak zawsze.

O chłopie z Lichtenwalde, kiedy w końcu się nauczysz? Kiedy zrozumiesz, że wojna, ta dziwka, zawsze wystrychnie cię na dudka? Za każdym razem, tak samo jak w 1622 roku.

W Lichtenwalde ani w okolicy nie padł ani jeden strzał. Budynki stały tak jak przed wojną, ale każdy spośród sześciuset sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców stracił kogoś bliskiego. Znowu odszedł pułk lichtenwaldzkich chłopów.

Wdech. Wydech.

Eva układa w głowie listy pomarłych, po kolei, wzdłuż głównej drogi we wsi – od kościoła, w stronę Bad Langenau. Przy szkole mieszkała młoda Klara Gottwald. Wyszła za wdowca, Alfreda. Sama została wdową, jeszcze zanim urodziła się ich córeczka. Zginął w '43 na *Ostfront*. Tak samo Ernst, starszy syn Kohlów. Leo, młodszy, poszedł walczyć tuż po osiemnastych urodzinach. Eva pamięta, jak serce jej się ścisnęło, kiedy jechali razem – Leo Kohl i jej bracia.

– Daj spokój, Eva! – mówił do niej ojciec, pokaszując. – Wódz sam wojny nie wygra, trzeba mu pomóc.

Nie wygrał jej również po złożeniu ofiary z młodych chłopaków.

Franz, Josef i ich kolega z klasy, Leo Kohl, wszyscy zginęli pod Stalingradem. Słuch po nich zaginął.

Matka przestała spać, przestała jeść. Wiele nie płakała, bo niemieckie kobiety znoszą rozpacz po cichu i chowają ją głęboko. Niewylane łzy ciążyły jej w żołądku, wątrobie i jelitach. Brzuch bolał coraz bardziej i bardziej.

Lekarz z Bad Langenau rozłożył ręce.

– Nic nie mogę zrobić, *Frau* Eva – mówił, kiedy matka poszła się ubrać po badaniu. – Mogę dać tylko środki przeciwbólowe. Proszę się modlić, żeby choć trochę pomogły.

Eva się modliła, ale Bóg już wtedy nie pamiętał o Lichtenwalde. Zapomniał też o coraz mniejszej, coraz bardziej żółtej i pomarszczonej mamie Ewy. Pamiętali o niej za to sąsiedzi.

Kiedy tylko lepiej się czuła, przychodzili ją odwiedzić. Wszystkie rozmowy wyglądały tak samo. Matki opowiadały o swoich dzieciach zmarłych na froncie wschodnim, we Włoszech czy pod Berlinem, na początku wojny, w trakcie lub kiedy dobiegała końca. August, Paul, Alois, Christine, Siegfried, Ambros, Anna... – Eva miała przed oczyma sąsiadów i sąsiadki, którzy nigdy nie wrócili. Ginęli na wszystkie sposoby, jakie przygotowała dla nich ta długa wojna: w walce, w nalotach, na zatopionym statku, w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen, skazani przez

Polaków na powieszenie w powojennym sądzie. Ciała mieszkańców Lichtenwalde użyźniają Europę, jak długa i szeroka. Dotarły dalej, niż ktokolwiek z wioski trafił przed wojną.

Mama umarła tuż po poddaniu się Berlina. Pochowali ją obok ojca, pod symboliczną tabliczką upamiętniającą krótkie życie Josefa i Franza.

Wojna wysała z chłopów w Lichtenwalde całe życie. Wyssała też chłopów z Lichtenwalde. Takiego krwawego żniwa nie zgotowała im żadna dotąd. Może nowe pokolenia dzieci z Lichtenwalde nauczyłyby się czegoś wreszcie, tylko że we wsi niemal nie ma już niemieckich chłopców. A ci, którzy jeszcze zostali, siedzą w domach z rodzicami i wspominają tych, którzy odeszli. Wspominają swoje lichtenwaldzkie życie, które właśnie się kończy.

Oddech. Oddech.

Eva spuszcza wzrok. Niebo nadal uparcie milczy, nie śle żadnego sygnału do jej skołatanego serca. Niebo ma inne sprawy, inne miasta, inne wsie i inne problemy do rozwiązania. Eva i jej lęk o kuzynkę z Köslin muszą poczekać w kolejce. Tymczasem powinna sobie radzić sama.

Na podwórku ruch. Ze stodoły wychodzi Peter, tłumacząc coś spokojnym głosem. Tuż za nim drepcze Polak. Stają przed stodołą, trzy metry od Ewy, ale jej nie widzą, pochyleni nad czymś, co jej mąż trzyma w dłoni. Polak zadaje pytanie, po polsku, Peter odpowiada cierpliwie, spokojnie. Po niemiecku. Eva patrzy, nic nie mówi, ale w głowie układają jej się całe szeregi komentarzy. Dlaczego jej mąż rozmawia z tym człowiekiem? Dlaczego tłumaczy, jak działa jakaś maszyna? Dlaczego przekazuje swoją wiedzę ludziom, którzy przyszli na gotowe, chcą zająć ich miejsce i wypchnąć ich z życia, które sobie zbudowali? Dlaczego Peter rozmawia z mężem kobiety, która grzebie w jej szufladach i półkach?

Peter spokojnie i wyraźnie tłumaczy, że przyniesie ze stodoły jeszcze jedną część maszyny, żeby pokazać, jak działa. Polak kiwa głową, jakby nagle rozumiał niemiecki. Kiedy Peter znika w bramie, odwraca wzrok i zatrzymuje spojrzenie na Ewie. Nie peszy go jej obecność. Powoli podnosi głowę, prostuje się i patrząc jej hardo prosto w oczy, uśmiecha się tym swoim cwaniackim uśmiechem. Eva nawet nie drgnie. Jego uśmiech wisi pomiędzy nimi, dopóki nie rozplynie się w wilgotnym wieczorze.

Ostatni prawdziwy oddech na dziś.

Koniec myślenia. Czas się skończył. Dzieci nie podarują jej już ani sekundy. Ich płacz słychać było nawet przez zamknięte drzwi, które właśnie się otwierają. Wychodzi przez nie Inga, uszy ma zakryte dłońmi. Ucieka od głośnego płaczu, od krzyku, od hałaśliwych młodszych braci. Jak zawsze. Eva prawie czuje, jak ich krzyk wwierca się w głowę Ingi. Czasami ma wrażenie, że jest w ciele swojej córki i rozumie jej reakcje. Czasami, że jej dziecko żyje w innej galaktyce. Ona nie ma do niego dostępu, ma go za to Polka.

Nogi zapadają się po kostki, błoto klei się do butów, z każdym kwadransiem gęstsze od zimna. Tej nocy wieś skuje przymrozek. W listopadzie Lichtenwalde pokazuje brzydszą twarz. Wieczór zamienia się w noc nie wiadomo kiedy i Evie trudniej wychodzić na swoje samotne spacery. Ale z nich nie rezygnuje. Kilkadziesiąt minut bez dzieci, bez ich głosów i obecności sprawia, że wraca do domu spokojniejsza i wyciszona. Czasami, gdy Inga i chłopcy są szczególnie trudni, potrzebuje swoich spacerów częściej. Zwykle jednak wystarczą dwa w tygodniu. Kiedy dzieci już śpią, a Peter czyta przy stole w świetle kuchennej lampy, wkłada buty, płaszcz, wiąże na głowie wełnianą chustkę i wychodzi przez bramę.

Potem tylko decyzja – w lewo czy w prawo. Czasami skręca w prawo, w stronę leśniczówki, i ścieżką pomiędzy polami idzie w kierunku lasu. Zboża się zielenią, potem złocą, wreszcie znikają. Mija leśniczówkę, rozgląda się wokół uważnie. Nadal czerpie z tego miejsca moc.

Po chwili wspina się jeszcze trochę pod górę. Nie wchodzi do czarnego lasu, gdzie drzewa są wysokie, dramatyczne, przerośnięte i nadają górskiemu zboczowi przerażający wygląd. Mija je i zatrzymuje się przed przypominającą niewielki kościółek kapliczką. Powstała na pamiątkę ofiar lawiny, która w 1802 roku potoczyła się przez wioskę. Zniszczyła trzy domy i zabiła dziewięciu mieszkańców Lichtenwalde. To stara historia.

To miejsce lichtenwaldczycy nazwali golgotą. Ksiądz Wilhelm zgonił mieszkających w dole chłopów i nakazał im postawić czternaście słupków, a potem przywiózł z Glatz obrazy, na których namalowana była Droga Krzyżowa. Chłopi narzekali, że ich robota niepotrzebna, bo kto będzie chodził do kapliczki pod górę, ale stawiali słupki, jak ksiądz kazał. Wbrew ich wątpliwościom kilka ostatnich Wielkich Piątków cała wieś spędziła pod kapliczką. Od tego czasu stała się im bliższa i cenniejsza niż wcześniej.

W listopadowy mrok Eva nie ma ochoty wędrować wzdłuż ponurego lasu. Dzisiaj skręci w lewo, w dół. Minie światła w oknach sąsiadów i pójdzie na cmentarz. Podczas pierwszego wieczornego spaceru, na który uciekła od malutkiej Ingi, przy kościele nie było jeszcze grobu nikogo z jej bliskich. Teraz jest ich kilka.

Postoi przy nagrobku mamy i taty z tabliczką upamiętniającą Josefa i Franza, jej małych braci, którzy leżą gdzieś, może na dnie Wołgi, może w zakopanym okopie wewnątrz miasta, może na polach pod nim.

Pomyśli o nich, przywoła ich głosy, przypomni sobie, jak dobrze było im razem, przy jednym stole, nad niedzielnym obiadem, kiedy jeszcze wszyscy byli w domu. Kiedy jeszcze byli. Przypomni sobie poważne spojrzenie mamy, tatę w kącie nad kuflem i braci kopiących się pod stołem. Uspokajali się na jedno surowe spojrzenie ojca. Ich krótkie życie wypełniły obowiązki, nauka i – co najważniejsze – ćwiczenia fizyczne.

W czasach, kiedy wódz wlał w społeczeństwo niemiecką dumę, ojciec wstał z ławy i zabrał się do roboty. Postanowił dopilnować, by jego synowie rośli w siłę. Kiedy wracali do domu – oni ze szkoły, a on z fabryczki – wyganiał ich na podwórko. Z czasem urządził na nim małą salę do ćwiczeń pod gołym niebem, przywiózł im nawet z Glatz specjalne stroje do treningów. Niezależnie od pogody podciągali się na drążku, robili przysiady i pompki. Josef i Franz ćwiczyli codziennie. Eva co drugi dzień. Biegli pod górę i w dół – ojciec mierzył im czas na zegarku chowanym do kieszonki kamizelki. Nigdy nie był z nich zadowolony. W kółko powtarzał, że gdyby nie te jego płuca poparzone w Belgii przez gaz, toby im dopiero pokazał, jak się ćwiczy. Jak wygląda porządna pompka. Jak się buduje silną wolę. Jak się buduje silne ciało. Sport i higiena. Niemiecka młodzież musi być czysta i silna.

Eva najbardziej nie znosiła biegów. Nigdy nie spełniała oczekiwań ojca. Pamięta, jak bardzo była z siebie niezadowolona, kiedy leżała w łóżku, wyszorowana i wytarta szorstkim ręcznikiem. Już wtedy miewała problemy z zasypianiem. Już wtedy natłok myśli nie pozwalał jej odpocząć i zebrać siły na to, by była dobrą niemiecką dziewczyną.

Z ulgą wyprowadziła się z rodzinnego domu. Josef i Franz zostali i musieli ćwiczyć codziennie, nawet wtedy, kiedy dorośli.

Josef zaczął pracę w fabryczce opakowań, razem z ojcem i wujkami. Franz najmował się u bogatych chłopów do żniw latem i do pomocy przy gospodarstwie w pozostałe pory roku. Chciał założyć własne. Znalazł nawet dziewczynę w Verlorenwasser i opowiadał Evie, że oświadczy jej się, gdy wróci z wojny. Kiedy chłopcy jechali do Stalina, razem z Leo Kohlem, mieli ciała żylaste i twarde mięśnie. Wódz musiał być z nich zadowolony.

Dziewczyny z Verlorenwasser wyjeżdżały z wioski jedna za drugą. Jedne po ślubach, inne przed, jeszcze inne nie myślały o szybkim zamążpójściu. Eva nigdy nie dowiedziała się, której z nich chciał się oświadczyć jej mały brat Franz.

Wizyta na cmentarzu, jak zawsze, uspokoiła ją i wyciszyła. Wraca do domu, myśli ma poukładane jak obrusy i naczynia w komodzie. Mija sąsiadujący z jej gospodarstwem oświetlony dom i patrzy w okna. Widzi plecy Łabowiczowej i twarz Łabowicza. Jak to możliwe, że nie ma już tych wszystkich ludzi, którzy tworzyli jej świat? Gdzie się rozplynęły tamte dobre chwile? Tak dobrze pamięta wszystkie spotkania, rozmowy, argumenty. Tak bardzo byli przekonani, że mają rację.

Peter nie ćwiczył, nie kazał jej rodzic dzieci ku chwale wodza, tylko dla siebie, do kochania. Peter nie mówił językiem radia, gazet czy ulotek rozdawanych w Glatz. Peter mówił jak człowiek, choć i on popierał wodza oraz jego politykę.

– Po wielkiej wojnie potrzebny nam ktoś, kto ma prosty pomysł i siłę, by go zrealizować – tłumaczył Martinowi podczas jednego z pierwszych spotkań w ich świeżo wybudowanym domu. Kuchnia pachniała jeszcze mocno drewnem ze stropów. Od miesiąca wódz był już kanclerzem. Ewę trochę dziwiło niemal boskie oddanie, którego żądał dla siebie. Rozmawiali o tym z Peterem, śmiali się trochę z małych wąsików i wrzasków, które słyszeli przez radio. Ale tylko we dwoje, w środku nocy, szeptem, w łóżku.

Za dnia jej mąż przekonywał Martina, który miewał wątpliwości:

– Po tym, jak bardzo strzaskała nas wojna, jest nam potrzebny dokładnie ktoś taki. Im więcej będzie miał władzy, tym szybciej staniemy na nogi.

– Ale ja stoję na nogach, Peter – mówił Martin. – I całkiem dobrze się na nich trzymam.

A jeszcze chwilę później było *Gesetz zur Behebung der Not von Volk und Reich*, wódz mógł robić, co chciał. I robił. Tylko że on był w Berlinie, a Eva w Lichtenwalde. Bardzo daleko, na końcu Rzeszy. Miała swoje

październiki, całe piękno świata, nowy dom i nowego męża. Pracowali razem nad tym, żeby wodzowi dać małego Niemca i miesiąc po miesiącu ta praca była coraz bardziej przyjemna. Nie zawracała sobie głowy polityką.

Adolf był daleko, ale swastyki zalały świat. Peter pojechał do Glatz po kamionkowe kubki, bo Eva bała się o ich porcelanowe filiżanki. Swastyki były również na spodzie kupionych przez niego naczyń. Powiewały też na czerwonej fladze zajazdu w Lichtenwalde. Franz i Josef wbiegali pod górę coraz wyżej i szybciej. Płuca ojca łapały każdą bakterię i każdego wirusa. Inga rosła w brzuchu Evy. Wódz powtarzał z radia, że Niemcy będą coraz silniejsze i większe. Muszą się zbroić, żeby się chronić. Mama Evy powiedziała jej któregoś razu, że boi się tego szalonego człowieka. Eva nie rozumiała, o co jej chodzi. Martin coraz częściej przyznawał rację Peterowi: wódz jest Niemcom potrzebny.

A teraz ich nie ma.

Razem z nimi przemija pamięć o Lichtenwalde. Czy ludzie, którzy zamieszkają tu wkrótce, będą wiedzieli, co to za miejsce? Kto im opowie, że w 1802 dziewięć osób udusiły spadające zwały śniegu? Kto powtórzy raz do roku historię o buncie praprapradziadków, którzy nie chcieli opłacać żołnierzy, chcieli za to wykarmić swoje rodziny? Kto opowie o krzywdzie lichtenwaldzkich prapraprababek, z którymi żołnierze cesarza robili, co chcieli? Kto będzie pamiętał o tym, że pod cisem leżą zamordowani buntownicy? Czy mieszkańcy Poręby będą mieli świadomość, że wojna to zawsze zły pomysł?

I kto posadzi bratki na grobie jej mamy?

Żółte bratki to były jej ulubione kwiaty.



GRUDZIEN

DORKA

Na podwórku stał stół. Na stole – krzesło. Na krześle balansował lokalny młody bóg, Stach Bąk. Minę miał niepewną. Nie widział zbliżającej się Dorki, bo całą energię angażował w utrzymanie równowagi. Chwiało się krzesło, chwiało się stół, chwiało się wiaderko z farbą, które trzymał w lewej ręce. Bóg Stach napinał wszystkie mięśnie, które mógł – od ramion po pięty. Zamierzał własnym ciałem utrzymać piramidę: stół, krzesło, ręce i nogi. Jednocześnie – i to było najbardziej wymagające zadanie w zaistniałych okolicznościach – toczył dyskretną walkę o to, by ocalić własną atrakcyjność w oczach Renate.

Lokalna amantka z utrefionymi włosami i uczernionym okiem przytupywała, drepcząc wokół stołu. Nie przystawała nawet na moment. Wyrazu jej twarzy nie było widać, bo usta i uszy próbowała wcisnąć w szalik najgłębiej, jak się dało. Na dopracowanej fryzurze luźno zawiązała chustkę. Dorka dostrzegła ją z daleka i natychmiast poczuła się jak tłusty bałwan. Sama nie miała żadnej fryzury. Miała włosy. Miała mysi warkoczyk i chude kosmyki przyklejone do głowy przez uszatkę. Schodziła do wioski, patrząc uważnie pod nogi. Błoto zamarzło w koleinach, było ślisko. Gdy podnosiła wzrok, od razu kierowała go na Renate i Stacha, witrynę sklepu i biały prostokąt powyżej, który odcinał się wyraźnie od przykurzonej fasady.

Jeszcze poprzedniego ranka przestrzeń nad sklepową wystawą zajmował niemiecki szyld. Mieszkańcy Poręby odwracali od niego oczy. Starali się nie patrzeć na piękne, wysmuklone litery. Starali się nie widzieć historii wioski. Nawet tej najnowszej. Głównie tej najnowszej. Było, minęło, nie wróci.

Świeży wrocławski wicewojewoda niósł im dobrą nowinę: „Ojcowizna Nasza Piastowska odetchnęła po wielowiekowej niedoli szczęściem polskiej mowy, pracy polskiej, polskiego życia. Tak powrócił tu z własnej woli Szczep Piastowy i czy się to komu podoba, czy nie – NA ZAWSZE. BO MY TU GOSPODARZE”. Jego słowa niosły się po wrocławskich ulicach. Jego słowa drukowała „Trybuna Dolnośląska”, która docierała aż pod państwową granicę, do Poręby. Na skraju Polski ludzie potrzebowali słów rozgrzewających dusze jeszcze bardziej niż we Wrocławiu. „Naród wypełnił wolę Ojców swoich”. Dorka miała ochotę podsunąć gazetę pod

nos Niemce, usadzić ją siłą na fotelu w kuchni i zmusić do przeczytania słów wicewojewody. Choćby i po polsku. Mieszka w Polsce, niech się uczy. „W szczęku żelaza pomścił krzywdę wiekową, ziemię starą zrosił obficie krwią i potem, stanął twardą stopą na niej, przekuł miecz na lemiesz i ziemię zagospodarzył”. Prasę czytali też sąsiedzi Dorki i duma rosła w ich sercach. Puchli od niej. Uczyli się kochać swoją Porębę, jakby to w niej przyszli na świat. Jakby w kamiennych domkach na zboczach po obu stronach drogi porodziły się ich matki i babki. „Ściągają Polacy ze wszystkich stron”. I ćwiczą się wytrwale w tej miłości do ziemi, i różnie im ta nauka wychodzi. Czasami drzewo wyrosłe na sokach cudzych przodków szepnie komuś do ucha: „Bardzo dobrze, siadaj, piątka z miłości. Potrafisz kochać ten las tak mocno, jakby był twój”. Innym razem cegła w ścianie zdenerwuje się na Polaka, że nie jest dla niej wystarczająco czuły: „Nic nie rozumiesz, nic nie wiesz. Nie potrafisz dbać o ziemię, która ma być twoja”. Sukcesy goniły porażki, a porażki sukcesy w dziedzinie czynienia sobie porębiańskiej ziemi poddaną. „I ci, co niegdyś za chlebem do obcych powędrowali, i ci, co ich zawierucha wojenna do dalekich krajów zagnała i rozsiała po całym świecie”. Czytali sąsiedzi Dorki, czytała Dorka, czytał Stach. Potakiwali, niejeden łzę uronił. Słowa wicewojewody uspokajały i zapewniały, że ich będzie nad grobem zwycięstwo. Potrzebowali tego. Tak! Ziemia ich własna po tylu wiekach! Przez króla Bolesława do Polski przyłączona, potem odebrana. Wróciła. Znowu odzyskana, znowu polska. I już po drugim policzku płynie łza. Bo ta wojna wygrana przez dzielnych polskich huzarów, na koniach, ze skrzydłami z orlich piór i mieczami odlanymi z polskich czołgów. I ta Poręba taka polska, taka ich, po wiekach niewoli i niedoli. Wreszcie z powrotem w ojczystym domu. „Wszyscy wracają na łono Matki Ziemi. Wracają do ziemi prastarej. TAKA jest wola ludu i mądrość Jego władzy. Tak żywiół polski spełnia swój obowiązek wobec historii wieków”.

Tymczasem niemiecki napis ciągle drażnił nad sklepem naprzeciwko kościoła.

Stach zerwał się z łóżka, cisnął gazetę w kąt i powiedział z mocą:

– Zamaluję! Zamaluję go i nie będę czekał na zgody ani decyzje.

– No wreszcie – poparł go Piotrowski. – Łatwiej będzie nam się żyło, kiedy zlikwidujemy wszelkie ślady po niemieckich okupantach.

„TA ZIEMIA da ci, uczciwy Polaku, plon stokrotny. Ta Ziemia karmiła Ojców Twoich, wykarmi Ciebie i Twoje dzieci. To odwiecznie, na zawsze Twoja Ziemia. Ona pragnie Twojego pługa, Twojego ziarna. Pracuj spokojnie, a mocno. Wykuwaj sobie trwałą byt. Przecież taka Twoja wola, wola chłopska, wola twarda”.

Dorka była okutana, opatulona, zawinięta w kolejne warstwy. Nie marzła, choć Porębę nawiedziła prawdziwa zima. Renate bez wątpienia marzła. Miała cienkie pończochy, płaszcz ściągnięty wojskowym pasem, w którym musiała dorobić dziurkę, żeby podkreślał jej smukłość i kruchość. Fryzurę ułożyła misternie, jak co dnia. Czapka nie wchodziła w rachubę, zniszczyłaby cały wysiłek włożony w poskramianie rudych pukli. Kobieta albo wygląda i marznie, albo stoi bez drzenia na śniegu, przypominając kulkę z czerwonym nosem.

Im więcej wkładała Renate energii w wywieranie wrażenia, tym mocniejszą wzbudzała w Dorce nieufność. Za każdym razem, kiedy się spotykały, Niemka raziła ją wypracowaną elegancją. Nie przystawała do powojnia. Nie można było jej traktować jak tłumaczki, zwykłej współpracownicy Stacha. Ani jeden centymetr kwadratowy Renate nie był zwyczajny. A ostatnio towarzyszyła mu z tą swoją podkreśloną talią coraz częściej, w coraz większej liczbie nowych, absorbujących obowiązków. Każda kobieta, która pojawiała się obok Stacha, budziła w nim myśliwego. Dorka znała ten bezwarunkowy mechanizm i już od dawna starała się nie przejmować wszystkim, co wyprawia jej mąż. Oślepiła nieco, ogłuchła, sercu nie pozwoliła kłuć z zazdrości. Nie zawsze słuchało. Szczególnie odporne było na nakazy płynące z głowy Dorki, kiedy przy Stachu kręciła się szczupła, ruda miss Kotliny Kłodzkiej. Tej przeciwniczki nie potrafiła lekceważyć.

Renate przyciągała spojrzenia. Innego barwnego ptaka w Porębie nie było. Nie było też w sąsiednich wsiach. W okolicznych miasteczkach. Czasy nie sprzyjały barwnym ptakom, ale ten jeden się zrodził z pyłu wojennych zgliszczy i stroił w jaskrawe piórka.

Renate chciało się słuchać. Miała taki miły głos, tak pełen energii, tak żywy. Starala się składać po polsku ładne zdania, ich nieporadność wzbudzała jednak uśmiech.

O Renate się mówiło. O Renate się plotkowało. Renate się komentowało, jak Poręba długa i szeroka. W sąsiednich wsiach również. A także

w okolicznych miasteczkach.

– Jeśli znajdzie polskiego męża – oświeciła Dorkę Zosia – będzie mogła zostać u nas na stałe.

Dopiero kiedy to zdanie wypowiedziane przez nową koleżankę dotarło do Dorki, zrozumiała, że dopasowane żakiety, wąskie spódnice, zaciśnięty pasek to zbroja. Pojęła, że rudości układane w fale i jaskrawa czerwien paznokci to barwy wojenne nakładane przez Renate w walce o swoje życie. Ta kobieta zwycięży albo przegra, ale nie zamierza wywiesić białej flagi, tak jak zrobiło to niemieckie Kłodzko przed Armią Czerwoną. Będzie walczyć do ostatniego maźnięcia krwistą szminką po ustach. A wojna – to wiedział w Porębie każdy – jest nieprzewidywalna. Nie do końca wiadomo, do czego zdolna jest wojowniczką z czerwienią na ustach.

Od kiedy Zosia pojawiła się w wiosce, Dorka więcej rozumie i więcej widzi. Rozmawiają o otaczającym świecie i dzięki temu przekonania, wiadomości, poglądy układają się w głowie w zgrabne ciągi. Mówienie porządkuje myśli. Podczas tych rozmów, podczas godzin spędzonych wspólnie w domu na górze, u Dorki, albo w cichszym, bo bez dzieci, domu na dole, u Zosi, rozumiały, że kobiety w Porębie tworzą trzy plemiona.

Po pierwsze Polki.

Dorka znała je dobrze. To było jej plemię rodowe. Dopiero się konstituowało, członkinie ciągle negocjowały, kto w nowych warunkach będzie tworzył starszyznę i która przywódczyni przejmie w niej władzę.

Polki podnosiły głowy coraz wyżej i starały się żyć, jakby nie miały w świeżej pamięci huk bomb, jakby nie czuły pod językami blizn od zagryzania policzków do krwi. Jakby nie przeglądały się przed snem w smutku, którego doświadczyły. Jakby minionych dni, miesięcy i lat nie wypełnił im strach przed żołnierzami – i agresorami, i wyzwolicielami. Jakby nie musiały w piwnicach i na obrzeżach swoich serc wybudować sarkofagów i pogrzebać w nich wszystkiego, o czym postanowiły zapomnieć.

Dorka nie dawała się na to nabrać. Wiedziała, że każda z nich nosi w sobie sarkofag wypełniony po sufit tym, co siłą wypychane z ciała.

Najbardziej chciały wymazać obrazy, które zrywały je nocami ze snu. Najbardziej chciały żyć. Nie mówić o tym, co było złe. Kogo straciły, co pogrzebały. Szczególnie nie opowiadać o tym dzieciom. One mają być wolne od tego, co dławi matki i babki. Dzieci nie mogą unosić pokrywy

sarkofagu, bo niewyplakane łzy, zatrzaśnięta rozpacz wyfruną na świat i dotkną również ich rozwijających się ciałek, a raz dotknięte rozpaczą będą nią skazane na zawsze. Nie ma takich słów. Nie ma gramatyki, która ułożyłaby wszystkie straty i pogrzeby Polek w reguły i sensory. Matki będą milczały. Zapomną. Muszą żyć, bo kiedy, jak nie teraz. Zaciskają zęby, brzuchy, uda i mięśnie. Starają się. Mają przecież domy. Mają w końcu spokój. Mają kuchnie, łóżka, szafy i schowki pełne cudzych tajemnic. Mają przyszłość w Porębie. Udają przed światem i sobą, że toczy się normalne życie.

Taka jest misja i wizja plemienia Polek.

Wystarczy jednak, by ktoś tupnął mocniej nogą. Wystarczy, że któraś członkini zasłabnie, rozchoruje się, opadnie z sił. Wystarczy powracające wspomnienie przywołane czyimś słowem, snem, albo pojawiające się bez powodu. Każdy sarkofag ma swój termin ważności. Każdy kiedyś zaczyna kruszeć.

Opowieści szamoczą się po ciałach Polek i próbują znaleźć ujście. Niektóre, długo chowane, płyną nieprzerwanym nurtem. Są w nich krew i strach. Są matki, córki, siostry. Są ojcowie, bracia, synowie. Niektóre Polki, z wysoko podniesionymi głowami, muszą je wypuścić na zewnątrz. Choćby szeptem. Choćby same przed sobą. Choćby przed kimś, kogo jeszcze wczoraj nie znały. Mówią i płaczą. Łzy leją dniami i nocami, a jest ich tak dużo, że w końcu układają się w małą, wartką strużkę. Potem w większą. Na końcu z łez kobiet, które uchylły wieka do siebie, powstaje rzeka. Ta rzeka nazywa się Nysa Kłodzka. Jej nurt ożywia całą kotlinę. Nawadnia, karmi solami mineralnymi prosto ze słonych łez Polek z Poręby nabrzeżne łąki, dzięki nim rosną chabry, maki i zboże. Rosną lasy, te łagodniejsze, niedaleko leśniczówki, pełne grzybów i jagód, i te straszne, ciemne, powyżej, do których Dorka nie odważyła się jeszcze zapuścić.

Są też członkinie plemienia Polek, które sznurują usta mocno, nawet jeśli historie w nich walczą o zaistnienie. Całe sarkofagi trzęsą się i podskakują pomiędzy zebrami z głuchym łomotem, bo opowieści domagają się wypuszczenia. Telepią się po nich coraz mocniej i mocniej. Walczą, tańczą, straceńczo, bez planu, bez ostrzeżenia. Uderzają w żołądki, w serca, w żyły i w podbrzusza. Zostawiają po sobie dziury, guzy, zatykają przepływy, przerywają drogi. Im kobiety dłużej zaciskają usta, im spustoszenia wewnątrz są większe, tym na zewnątrz większy ład.

Nakrywają starannie do stołu, sięgają po ponemieckie talerze, wkładają najpiękniejsze sukienki po poprzednich gospodyniach, pilnują dzieci, żeby były czyste i grzeczne. Dziury, guzy, przerwy w Polkach rosną i rozpychają się. Dzieci są coraz czystsze, coraz spokojniejsze, coraz bardziej wystrojone.

Dorka patrzy na swoje sąsiadki, patrzy na siebie. Ciała Polek są dla niej przezroczyste. Przez skórę widzi w każdej sarkofag pełen pogrzebanych lęków i wspomnień. Rozumie, dlaczego niektóre mówią. Rozumie, dlaczego inne milczą. Rozumie, że dzieci trzeba chronić przed sarkofagami matek. Zasady tej wspólnoty dla Dorki są czytelne.

Druga grupa kobiet w Porębie to Niemki.

Wrogie plemię obcych ludzi. Dorka przygląda im się uważnie, analizuje, ale okazji do obserwacji ma niewiele. Niemek ubywa z każdym tygodniem. Dorka widzi, że te, które wciąż pozostały w Porębie, muszą radzić sobie z nieustannie zmieniającą się rzeczywistością. Nim przywykną do jednych zmian, już nadchodzą kolejne.

Wśród Niemek nie ma żadnej starszyny, żadnej silnej samicy, która przejęła rządy w stadzie. Wszystkie struktury, które wypracowały przez wieki, nie mają teraz znaczenia. Rozpadają się budowane z oddaniem relacje, zmieniają się układy sił, członkinie tej wspólnoty tracą grunt pod nogami. Wszystko to Dorka widzi, ale Niemki pozostają dla niej tajemnicą. Są z innej gliny. Nie potrafi zajrzeć im do środka, skóra zasłania szczelnie ich wnętrza, doświadczenia są nieczytelne. Widzi tylko to, co na zewnątrz. Że opuszczają głowy coraz niżej i niżej, a na plecach budują pancierz. Czekają na cios, który ma nastąpić.

Niektóre z grzecznym uśmiechem rozmawiają z Polakami, usłużnie odpowiadają na pytania, pokazują, jak żyć w ich wsi, w ich domach. Mówią tyle, ile chcą, starają się trwać w zgodzie z Polakami przejmującymi ich dobytek, ale nie witają przecież nowych właścicieli chlebem i solą. Nie zdradzają tajemnic Lichtenwalde. Przeszłość spędzona we wsi i lokalne sekrety są tylko ich.

Inne Niemki milczą. To te, które nie zaakceptowały wyroków historii. Zaprzeczają faktom, udają, że nic się nie zmieniło. Czekają, aż ktoś przekreśli podpisy złożone w Poczdamie i z powrotem przyłączy Kłodzko do Niemiec. Wojna przynosiła już przecież niespodziewane zwroty akcji. Kulą się, gdy ktoś mówi o przyszłości. Nie chcą słuchać o polskim królu

Bolesławie, nie chcą czytać ulotek, które nowe władze obficie publikują po niemiecku, a które mają zachęcać Niemców do jak najszybszego opuszczenia terenów dołączonych do Polski.

Takie zachowania Dorka obserwowała w domu. Patrzyła na Evę każdego dnia, ale żadnego sarkofagu w niej nie widziała. Skóra Niemek nie była transparentna. Była mleczna, jasna, kremowobeżowa, jak dobra, tłusta śmietanka, którą niemieckie gospodynie ubijają z mleka ponemieckich krów w maselnicach na prąd. Skóra Niemek nie przepuszczała wzroku Dorki do wnętrza ich ciał, do piekła, przez które musiały przebrnąć, by dotrzeć do grudnia 1946 roku.

Trzecią, osobną, jaskrawą, posypaną brokatem kategorię kobiet w Porębie tworzyła Renate. Było to plemię jednoosobowe.

Na tle wszystkich – Polek z głowami w górę i Niemek z głowami w dół – Renate wyglądała, jakby się przeniosła do Kotliny Kłodzkiej, do niewielkiego murowanego domu niedaleko kościoła, z lepszych czasów.

Renate błyszczała, jakby zdobyła jakiś miejski salon w Kłodzku, Berlinie, Paryżu, a nie wioskę na końcu świata. Nawet przy użyciu skromnych środków była papugą między wróblami. Była jaskrawą plamą wśród szarej masy niosących na plecach ciężar wspomnień mieszkańek Poręby. Rozkwitała i na tle Polek, i na tle Niemek. Nie chce wyprowadzić się z rodzinnego domu, nie chce wyprowadzić się z rodzinnej wsi. Nie kryje się ze swoimi planami, mówi o nich wprost. Wysyła sygnał do świata. A świat już wie, co robić i jak Renate odpowiedzieć. Do przyswojonego przez Dorkę w podhalańskiej wsi katalogu cnót niewieścich, które każda kobieta powinna w sobie solidnie gruntować, brawurowa strategia Renate nie pasuje w żaden sposób.

Taka zuchwałość, takie branie życia we własne ręce, takie eksploatowanie wszelkich dostępnych sposobów, żeby osiągnąć własny cel, peszy ją i dziwi. Uwiera myśl, że kobieta może tak po prostu czegoś chcieć i do tego dążyć. Jej samej nie przyszłoby do głowy, by narzucać światu swoje zdanie i stawiać mu własne warunki. Niezgodę na okoliczności potrafi wyhaftować kordonkami na kawałku płótna, ale nie wpadłaby na to, by marznąć na głównym trakcie Poręby w pończochach i ufarbowanych lokach, którym – żeby robiły wrażenie – trzeba było poświęcić dobre dwa kwadransy. Nie wpadłaby na pomysł, żeby malować paznokcie, wkładać

obcisłe spódnice i zaciskać pasek w talii tak mocno, by wpijał się w biodra i żebra.

Dorka podchodzi do stołu, krzesła, swojego męża i Renate, Niemki, która postanowiła zostać w polskiej Porębie na zawsze. Na razie okrąża stół, to z prawej, to z lewej i mówi:

– Ostrożnie, pan Stanisław. Uważaj!

„R” ma ciągle twarde i obce, ale „I” wychodzi jej już całkiem polskie. Jeszcze chwila, a praktyka uczyni z niej mistrzynię i w kwestiach lingwistycznych także będzie pełna gracji, zwinności oraz elegancji. Polski mąż nie byłby zadowolony z żony, która szwargocze.

Stach, jak to Stach, ma widownię – robi przestawienie. Dorka – kulka owinięta w koszulę, sweter, płaszcz i szalik – przewraca oczami. Te same co zawsze czary-mary, to samo prężenie mięśni, ten sam zniewalający uśmiech. Wszystko w ustalonej od dawna kolejności, wszystko, wypróbowane po wielokroć, żeby robiło wrażenie. Widziała to mnóstwo razy. Obserwowała wiele kobiet, którym wydawało się, że ten monodram aktor przygotował specjalnie dla nich, na wyłączność. Renate, oczywiście, do nich nie należy. To znawczynie damsko-męskich rozgrywek. Nie da się nabrać na kolejne triki, raczej sama owinie sobie cudzego męża wokół zadbanego palca. Tym razem Stach ma jednak trochę za dużo na głowie, by kontrolować wrażenie, jakie wywiera. Musi utrzymywać siebie i farbę w równowadze na szczycie chwiejnej wieży. Musi zacząć malować litery na białym prostokącie. Śnieg sypie coraz gęściej i mocniej. Ledwie druga, ale niebo ciemne, zapowiada grudniowy zmierzch. Mróz szczybie. Jeśli Stach nie zabierze się do roboty od razu, Renate może zamienić się w rudoczerwony soplek lodu, a krzesło w końcu zleci z hukiem na zamarznąłą ziemię.

Biały prostokąt Stach przygotował poprzedniego dnia. Z każdą znikającą niemiecką literą czuł większą ulgę. Podobnie jak przechodzący główną drogą sąsiedzi. Ludzie zapuszczający w Porębie pierwsze, świeże, jeszcze krótkie i nietrwale korzenie, uśmiechali się do niego i zagadywali, zadowoleni. Z ich wioski znikał ostatni niemiecki napis. Cień Lichtenwalde stawał się coraz jaśniejszy i bledszy. Czekali, aż rozpułynie się na dobre.

Za ponemieckimi sztyldami Dorka rozglądała się już w Kłodzku, kiedy wysiadła z przesiadłego pociągu. Spodziewała się wszechobecnych napisów, obcych liter, nieznanymi słów. Myślała, że miasto epatuje jeszcze

niemieckim duchem. Przeczesała wzrokiem budynki i ulice, szukając śladów po wrogach, ale niczego nie dostrzegła. Żadnego szwargotania na poniemieckich murach.

Kiedy tuż po wyjściu z pociągu, nieco zagubiona, rozglądała się wokół, z pierzyną od babci Hani pod pachą, chłopak w kaszkiecie włożył jej do ręki ulotkę. „Polski Sklep Kolonialny”, przeczytała. „Pierwszy sklep polski, otwarty w Kłodzku w 1945 r. Stale zaopatrzone w bogaty asortyment wszelkich artykułów kolonialno-spożywczych”. Nie było niemieckiego ducha. Była montowana na chybcika Polska.

Właściciele sklepu kolonialnego – Władysław Hadt i Józef Kittel – obiecywali cuda. „Kawa – herbata – kakao, własna palarnia kawy. Obsługa szybka, fachowa”. Dorka głośno przełknęła ślinę. Po nocy spędzonej na podłodze wagonu burczało jej w brzuchu. Po latach spędzonych w wojennej podhalańskiej wiosce tęskniła za smakami, fakturami, zapachami. Tęskniła za tym, czego nigdy nie zdołała poznać.

Miasto rozrastało się w cieniu średniowiecznej twierdzy. Mury były niemieckie, budynki niemieckie, ale napisy nad sklepami – nowe i jasne. Na głównym placu nie zastała już jednej niemieckiej literki. Sklep kolonialny mieścił się pod numerem 36, jak obiecywała ulotka, obok była „Apteka pod Murzynem”. Były też pachnące świeżością szyldy „Konfekcja dziecięca” oraz „Fryzjer”. Do tego, co się działo wewnątrz miejskiego organizmu, Dorka nie miała dostępu, ale naskórek Kłodzka był już polski.

Najjaśniejszym blaskiem lśniła niewielka tablica wmurowana w ratusz zajmujący sporą część rynku. Krzyczała z daleka: Tutaj! Tu! Na mnie patrzcie! Ja wam teraz powiem, co jest i jak będzie! Ja wam powiem, kto ma prawo, a kogo już nie ma! Ja wam wytłumaczę, gdzie jesteście i kto ma rację, a kto błądzi! Nie dało się przejść obok obojętnie. Biel kłuła w oczy na tle strzelistego budynku. I napis: „Sprawiedliwością dziejową POLSKA odzyskała KŁODZKO, maj 1945 rok”.

Od razu sprawa stawała się jasna. Kłodzko jest polskie, co zostało wykrzywane wielkimi literami. Sprawiedliwość dziejowa spłynęła na ten skrawek świata w maju 1945 roku. Sam rynek natomiast – żeby rozwiązać ostatnie wątpliwości – nazwany został placem im. Bolesława Chrobrego. Centrum zostało przejęte.

Wojskowy gazik, który zawiózł Dorke i Stacha do Poręby, był pierwszym polskim samochodem w Kłodzku. Już na początku maja 1945 roku, jeszcze

przed końcem wojny, Piotrowski przedzierał się nim, razem z kilkoma innymi urzędnikami i żołnierzami, do miasta. Parę razy podjeżdżali niebezpiecznie blisko frontu, słyszeli świst kul i czuli swąd spalenizny. Bali się, ale nie zawracali. Kto pierwszy, ten lepszy, powtarzali sobie. Trzeba zająć miasto, zanim zajmą je inni.

Potem, kiedy już Stach zaczął z nim współpracować i zaprzyjaźnili się, Piotrowski często opowiadał o tamtym momencie:

– Niemcy się już wtedy nie liczyli. Już wiedzieli, że przegrali. Musieli nosić opaskę na ramieniu, żeby ich było widać. Pewnie nie byli zadowoleni z tego, że się trzeba wynosić z miasta, ale nikt się nimi nie przejmował.

Ludzie przycupnęli w domach, próbują je oswoić. Siedzą niewygodnie, na samym brzegu krzesła, zajmują jak najmniej ławy. Siedzą przy stołach w wiejskich domach i w dużych pokojach w kamienicach blisko rynku. Już jadą Niemcy, powtarzają, już wracają.

Co kilka tygodni w wioskach z polskimi nazwami i w kamienicach z polskimi sztyldami wybuchają plotki, że Niemcy wracają po swoje. Już jadą, powtarzają ludzie. Są coraz bliżej, zaraz będą.

Czas, żeby ludzie wstali, wyszli przed chałupę, zboże zasiali, zebrali jabłka w sadzie, bo opadają. Czas pomalować ściany w pokoju, czas rozpakować liche bagaże i powkładać lniane koszule pomiędzy niemieckie sukienki. Czas rozpakować serca. Tak ludzie mówią. Ale nic nie robią. Siedzą na ławach, na krzesłach siedzą i się boją. Siedzą przy stołach i boją się, zamiast żyć.

Piotrowski powtarza z mocą, że to strachy na lachy. Niemcy nie mają tu czego szukać:

– Największym zagrożeniem dla nas nie byli Niemcy – mawia często i Dorękę za każdym dziwi ta deklaracja. Nie widzi większego zagrożenia dla świata niż to, które niosą Niemcy. – Musieliśmy działać szybko.

Gdy Piotrowski i jego towarzysze dotarli do Kłodzka, pojechali prosto do radzieckiej Wojennej Komendantury Miasta.

– No, to jesteśmy – powiedzieli komendantowi.

Jeden z nich trzymał pod pachą równo złożoną biało-czerwoną flagę. Zamierzali od razu zawiesić ją na głównym budynku w mieście.

– *Zdrastwujtie* – przywitał ich grzecznie komendant. – Wchodźcie, towarzysze, wchodźcie. Koledzy z Czechosłowacji przyjechali już wczoraj.

Piotrowski zrozumiał, że trzeba działać szybko. Przerabiać miasto na polskie, wioski przerabiać na polskie. Na górze niech politycy działają, jak potrafią, na dole tutaj to oni, urzędnicy, działacze, przygotowują teren do przejścia. Będzie gotowy, gdy politycy w Poczdamie podpiszą dokumenty.

Podobno na wiejskich drogach pojawiły się jakieś czeskie czołgi. Podobno kolejowy wóz pancerny jechał torami przez kotlinę od strony granicy. Nic to Czechom nie dało. Piotrowski i jego towarzysze z pierwszego transportu zdążyli już podpisać miasto. Szybko ściągali stare szyldy i kładli nowe. Zmieniali nazwy ulic. Jedną za drugą spolszczali niemieckie tabliczki, a z każdą kolejną kotlina była coraz bliższa Polski. Najwięcej kłopotu sprawiło im samo miasto. Najpierw mówili na nie „Kładzo”, potem „Kładzk”, ale ciągle nie pasowało. Z „Kładzka” ewoluowało „Kładzko”, które ostatecznie zostało „Kłodzkiem”.

Wreszcie przyczepiono tablicę na starym ratuszu, żeby wysysała z niego całą niemieckość. I żeby promieniowała jasnym, polskim blaskiem na okoliczne stare niemieckie kamienice. Tak się właśnie stało. Wysysała i promieniowała. Miasto było podpisane. Miasto było polskie. Musieli to zaakceptować wszyscy: Niemcy, Czechosłowacy ze swoimi historyjkami o wielowiekowych związkach Czech i Kłodzka, a także radziecki komendant. W końcu i do niego dotarło, że Kłodzko było i jest polskie. Już za czasów Bolesława Chrobrego, a także od maja 1945 roku, na zawsze. Taka jest sprawiedliwość dziejowa.

Piotrowski mówił i mówił, a niemiecki napis w Porębie trwał i trwał. Aż do tej chwili. Na białym prostokącie Stach pisał sprawnie, choć krzywo „T” „O” „W” i brał się za „A”. Zimno mu było w rękę i niełatwo pisało się na rozchwianym krześle. Ale brnął dzielnie przez kolejne wyzwania polonizacji. „R” napisał starannie, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Poprawiał niedociągnięcia. Renate miała już fioletowy nos i wcale nie wyglądała jak dama.

– O! Dzień dobry, pani Dorota! – ucieszyła się wyraźnie na widok Dorki.
– Wchodzi pani do sklepu? Wejdę razem z panią.

No pewnie, że wejdiesz. Przykro byłoby, gdybyś zamarzła, taka wyfiokowana, z tym lakierem, szminką i lokami.

Sklep przejął Posiak, ojciec Zosi. Przeprowadzili się we dwoje z Dąbrowy Górniczej przed miesiącem. Miał doświadczenie, bo jeszcze przed wojną prowadził sklep. W Porębie od razu zakasał rękawy. Błyskawicznie

nawiązał kontakty z właścicielami sklepów w Kłodzku, dzięki czemu w małej wiosce na końcu świata można było kupić wszystko, co potrzebne. Dorka cieszyła się, że w ładnym domu na końcu wsi, tuż przy drodze prowadzącej do Długopola zamieszkał kulturalny i przedsiębiorczy człowiek. Ale największym skarbem, jaki wniósł w życie Dorki, nie była herbata czy pachnące zielone mydło. Była nim Zosia. Jego jedyna córka. Jedyny człowiek w Porębie, z którym Dorka lubiła rozmawiać. I jej jedyna koleżanka. Od kiedy była Zosia, miała z kim snuć plany na przyszłość. Miała z kim spędzać czas.

Zosia przypominała Dorce Kaškę. Tę siostrę, której skradła życie. Tę zawsze głodną przygód. Zosia była dzielna i silna. Pomysłowa i przedsiębiorcza, tak jak jej tata. Podchodziła do Piotrowskiego, kiedy go tylko zobaczyła, i zaczynała rozmowę:

– Dzień dobry, panie Piotrowski! Zastanowił się pan nad moją propozycją?

– Dzień dobry, panno Zosiu! To nie jest robota dla pani. Nie zmieniłem zdania.

– Panie Piotrowski, szkoła musi działać. Jan zaraz wyjedzie do Warszawy, nie mówi o niczym innym, sam pan wie.

Jan był kuzynem Piotrowskiego. Mieszkał w niewielkim pokoju z łazienką obok sklepu prowadzonego przez Posiaka. Przed wojną skończył liceum i zdał maturę, a także zdążył zaprzyjaźnić się trochę z działaczami PPS, więc Piotrowski uznał, że idealnie nada się do prowadzenia wiejskiej szkółki w Porębie. Prowadził ją przez chwilę to z większym, to z mniejszym zaangażowaniem, ale ostatnio trudno mu się było skupić na pracy. Z kolejnych listów, które do niego dochodziły z domu, wynikało, że w Warszawie na gruzach rodzi się życie i czeka na niego rodzina. Czeka miasto, czekają tramwaje, czekają inne szkoły, które trzeba poprowadzić. Zamierzał wrócić do domu jak najszybciej.

– Panie Piotrowski – przekonywała Zosia – od przyszłego roku wybieram się do liceum dla pracujących. Przed wojną skończyłam pierwszą i drugą klasę, teraz uzupełnię. Nadaję się do tej pracy.

Dzieci było coraz więcej, potrzebowały nauki. Jan nie chciał mieszkać w Porębie. Zosia była zdeterminowana. Dorka przyglądała się koleżance ze spokojem odpierającej uwagi Piotrowskiego, że nie da rady.

– To robota dla nauczyciela, najlepiej doświadczonego, a nie dla młodej dziewczyny – powtarzał uparcie.

A Zosia, równie uparcie, wracała do tematu. Argumentowała, że jest na miejscu, zgłasza się na ochotniczkę, że chętnie podejmie wyzwanie i że na razie nie ma innych osób chętnych do zajęcia się organizowaniem klas. Powtarzała, że szkoła nie może stać pusta i dzieci nie powinny siedzieć w domach.

Piotrowski machał ręką, wątpiąc w jej możliwości.

– Dziewczyno, to ciężka praca.

Ale Zosia nie zamierzała się poddawać.

Tymczasem Dorka przystanąła obok Renate i zadarła głowę.

– Ładnie, pani Dorota? – zaszcebiotała Niemka. Stach wciąż malował, stojąc na tej swojej chwiejnej piramidzie.

Dorka skinęła głową. Pewnie, że ładnie. Znane litery, nie kłują w oczy, nie oślepiają obcością, nie rażą. Stapiają się z krajobrazem, który jest coraz bardziej swojski, choć kulfonom Stacha daleko do eleganckiej czcionki, która zdobiła szyld nad sklepem jeszcze przedwczoraj. Niemiecki napis zrobiony był przez profesjonalistę. Stach stawia litery, walcząc ze śniegiem, zapadającym szybko zmrokiem i brakiem talentu. Mimo prowizorki przyglądanie się polskiemu napisowi umieszczonemu nad polskim sklepem sprawia Dorce prawdziwą przyjemność.

Uśmiecha się pod nosem i odzywa do męża:

– Stasiu, będziesz na kolacji?

Stach spogląda na nią z rozchwianej wieży i uśmiecha się, również zadowolony, że przykrywa szwabskie umlauty polskimi ogonkami, kropkami i kreskami.

– Będę, Dorotka – mówi z uśmiechem. – Jeszcze tylko parę liter i będę w domu. Dobrze, że mnie Piotrowski namówił do tego malowania, bo chciałem czekać z tym na lepszą pogodę. A popatrz, od razu lepiej.

Lepiej, znowu potakuje Dorka. Lepiej, ale tylko po wierzchu. W momencie, kiedy z ust Stacha wyfrunęło słowo „dom”, przed oczami stają jej kamionkowe kubki Niemki.

Gdy pierwszego dnia chciała umyć jeden z nich i obróciła go do góry dnem, niemal wypadł jej z rąk. Przymknęła oczy. Przez kilka sekund zastanawiała się, czy jej się nie przywidziało, ale po otwarciu oczu

swastyka wciąż była na miejscu. Dorka próbowała ją zdrapać. Bezskutecznie. Była częścią kubka, z którego pili herbatę, mleko, wodę czy kawę.

Razem ze Stachem sięgnęli po emaliowane garnuszki, choć sączone z nich gorące napoje parzyły. Z czasem swastyk, niemieckich napisów i gotyckich liter Dorka znalazła w domu więcej. Patrzyła na nie każdego dnia. Ciemne, wypukłe wzorki przestawały ją razić tak mocno, jak na początku. Wrócili do kubków ze swastykami. Było wygodniej.

Teraz, kiedy Dorka patrzy na męża rysującego uważnie kolejną literę, dociera do niej, że obecności Niemców w Porębie nie da się zamalować raz na zawsze. Choćby Stach wszystkie domy w Porębie i Kłodzku zadrukował we wzorki ułożone z samych polskich liter, choćby napisał na nich „żółć” „tchórz” oraz „gżegżółka”, to i tak zmienią się tylko powierzchownie. Piękne, nowe kłodzkie szyldy, lśniąca tablica na ratuszu, która przypomina o sprawiedliwości dziejowej, bazgroły Stacha nad sklepem porządkują ulice i place, wymiatają z nich Niemców i ich ducha, rządy Hitlera przykrywają białoczerwonymi flagami i kolejnymi przemówieniami polityków o Piastowym szczepie, który zaludnił kotlinę. Te wszystkie słowa zostały już wykrzyczane.

Trudniej usunąć to, co szeptane. Trudniej z tym, co widać po zejściu z ulic i placów, po zamknięciu gazet i wyłączeniu radia. Gorzej z tym, co widać po przekroczeniu progów domów. Tam są kubki kamionkowe ze swastykami na dnie, których nie sposób wydłubać, niemieckie napisy na metalowych maszynach do szycia i wagach kuchennych. Są przejścia z pokoju do kuchni i ze stodoły do szopy, po których nowi lokatorzy ciągle błądzą, mozolnie się ich ucząc od nowa. Tymczasem ci, którzy wybudowali je własnymi rękami, trafiają, gdzie chcą, z zamkniętymi oczami. Choćby Stach nałożył i dziesięć warstw białej farby na to wszystko, ani on, ani Piotrowski nie zamalują tego, że za progami domów Lichtenwalde i Glatz ciągle mają się dobrze. Ich mieszkańców jest coraz mniej, ale pod polskimi napisami zostały stare. Pod prostokątami białej farby wciąż są niemieckie litery.

Biała farba przykrywa ślady tego, co słusznie minęło. Może gdyby przykryła niemieckich gospodarzy domu na zbiegu, zniknęliby w końcu i oni.

Bo wciąż nie wyciągnęli jeszcze walizek.

Dorka rusza w stronę domu.

– Do widzenia, pani Dorota! – krzyczy za nią Renate z tym jeszcze swoim niemieckim „R”.

– Do widzenia, do widzenia – odpowiada zdawkowo.

Lodowate podmuchy unoszą się teraz od ziemi i przedzierają nawet przez rozliczne warstwy ubrań, które włożyła na siebie Dorka. Zerka jeszcze raz na elegancką Niemkę i widzi, że ta nie opuściła swojego stanowiska obok Stacha. Ale przytupuje jeszcze energiczniej niż wcześniej. Kształtny tyłek Renate musi być już naprawdę solidnie wyszczypany.

Idzie. Brnie przez wieś, wchodzi pod górę. W sklepie, który za chwilę będzie miał nowy, cały polski napis, udało jej się kupić laskę cynamonu. Wiejski sklep z cynamonem tuż po wojnie! Posiak zmieni życie Dorki i pozostałych mieszkańców Poręby na lepsze. Handlowiec z doświadczeniem rozumie, że ludzie po wojnie, po przeprowadzce, po zmianach i żałobach, z sarkofagami rozpychającymi się między sercem a żebrami, potrzebują żyć i świętować. Nadchodzi czas pieczenia pierników. Żeby zdążyły zmięknąć przed świętami, trzeba je już powoli zamykać z kawałkiem jabłka w metalowych puszkach. Dorka postanowiła, że schowa swoje w pudełku z łyżwiarzami na pokrywce. Zauważyła takie na jednej z półek w kuchni.

W połowie drogi do domu widzi trzy okrągłe bałwany. Najmniejszy ma krótkie rączki. Sterczą, odstając przez warstwy grzejących ciało ubrań. Stoi nieruchomo i patrzy bez słowa na dwa pozostałe. Na swoją siostrę i mamę. Ta Niemka nie ma w sobie nic z rusalki w pończoszkach i z lokami. Jest nawet bardziej okutana od Dorki, bo do płaszcza doczepiła chustę, w której schowany jest młodszy synek.

Po zamrożonych koleinach na drodze do domu rozsypały się zakupy. Toczy się kolorowa puszka. Moknie lniany worek z cukrem, wilgotna plama jest coraz większa. Niemka nie ma jednak czasu, by się nim zająć. Stoi przy córce, która krzyczy i zakrywa uszy rękami. Jej głos niesie się po śniegu, po pustej drodze, po Porębie. Wwierca się w głowę Dorki. Gospodyni próbuje pogłaskać dziewczynkę, ale ta odpycha jej rękę. Mówi do niej tak delikatnie i czule, że nawet niemiecki szwargot brzmi w jej wydaniu miękko. Chłopczyk-bałwanek ze sterczącymi rękami stoi kilka metrów od nich i patrzy – to na mamę i siostrę, to na rozsypane zakupy. Buzię wykrzywił w podkówkę. Będzie płakał.

W pierwszym odruchu Dorka ma ochotę jakoś pomóc: pozbierać to, co się rozsypało z siatki, pomóc uspokoić dziewczynkę kolorową nitką wyciągniętą z kieszeni. Wziąć za rękę coraz bardziej przestraszonego malucha. Po raz pierwszy patrzy na Evę i widzi w niej kobietę utkaną z tego, co życie dało jej dobrego, i tego, co jej odebrało. Z niełatwą córką. Z workami pod oczami ze zmęczenia. Z niewiadomą przyszłością.

W połowie drogi między wsią a gospodarstwem Eva traci zbroję. Nie staje się dla Dorki przezroczysta, tak jak Polki, które prześwietla na wylot od pierwszego spojrzenia, ale coś spod prześwitującej skóry wystaje. Dorka domyśla się, że pod warstwami ubrań, między żebrami a sercem, także niemiecka gospodyni ma swój sarkofag. Chowa w nim trudy i żałoby, chowa ciężkie dni, chowa tęsknotę za tym, czego już nie ma, i za tym, co właśnie przemija. Chowa lęk. Przez krzyk Ingi dociera do niej, że i Eva ma swoje zmartwienia, mimo to, że w domu na zboczu otaczają ją kochający mąż, trójka dzieci, filiżanki, dziesiątki metalowych i drewnianych pudełek oraz foremki do ciastek w kształcie serca i choinki.

Przez kilka sekund się waha, a potem mija Evę bez słowa.

Odchodzi w stronę domu, nagle lżejsza niż jeszcze chwilę wcześniej, mimo opatuleń, siatki pełnej zakupów i grubej chustki, która zasłania jej sporą część świata. Nagle nieobarczona dziećmi, ich trudami i cierpieniem, nagle wolna. Nagle już na miejscu, już po przeprowadzce, już zapuszczająca korzenie, już hodująca pień i planująca wypuścić liście na wiosnę.

Stoi mocno na obu nogach i patrzy przez chwilę w ciemne niebo, a potem opuszcza oczy na odcinające się od ciemności oświetlone okna domu Łabowiczów. Uśmiecha się do nich. To będzie miłe popołudnie.

Wchodzi do domu zadowolona, spokojna. Planuje, że za moment zabierze się do mieszania piernikowego ciasta, gdy jej wzrok pada na stół. Leży na nim list. Pewnie od Kaśki, myśli. Piszą do siebie częściej, niż rozmawiały, kiedy żyły pod jednym dachem. Siostra donosi, że matka sprząta jeszcze więcej niż zwykle, choć po wyprowadzeniu się Dorki i Stacha oraz po śmierci Michała i porządek w chałupie większy, i gąb ma mniej do wykarmienia. Zadaje mnóstwo pytań. Chce wiedzieć, jak wygląda Kłodzko, jaka jest ich wioska, co zastali w gospodarstwie. Dopytuje, czy Dorka poznała już jakichś sąsiadów, czy na ulicach są jeszcze Niemcy. Dorka odpowiada: „Kochana Kasiu, Kłodzko ładne, z placem imienia

bardzo polskiego króla Bolesława Chrobrego pośrodku. Dom duży, gospodarstwo nowoczesne, woda leje się z kranu – można ugotować, umyć się i nakarmić zwierzęta bez taszczenia wiader. Wystarczy tylko odkręcić kurek w kuchni. Wystarczy tylko przekręcić wajchę przy studni. Masło ubija się w maselnicy na prąd. Ręce, kochana Kasiu, nie omdlewają od monotonnego ruchu. Ręce mogą się zająć czymś innym. Niemcy ciągle pałętają się po ulicach, ale z każdym tygodniem jest ich coraz mniej. Mamy tu urzędnika Piotrowskiego, który usilnie pracuje nad wypędzeniem ich z naszej starej prapiastowskiej ziemi. A Stach mu pomaga, kochana Kasiu. Zaangażował się i pewnie wkrótce sam jakimś urzędnikiem zostanie”.

O jednym tylko nie wspomina siostrze. O niemieckiej rodzinie, która nie wyciągnęła jeszcze walizek i nie zaczęła się pakować. I która zajmuje sporo miejsca w jej pięknym, dużym domu. I w ich nowoczesnym gospodarstwie. O nich Dorka nie pisze ani słowa. Tylko kończy: „Ucałuj, droga Kasiu, matkę i ojca. Ucałuj też Baškę. Bardzo was serdecznie pozdrawiam, wasza Dorka”.

Była szczęśliwa, że może komuś opowiedzieć o tym, co ją spotyka i jak jej się żyje w Porębie. Kiedy pisze do siostry, myśli układają się w jej głowie, tak jak podczas rozmów z Zosią. Znajduje odpowiedzi na pytania, nawet na te, których nie zdołała sobie zadać. Dlatego postanawia, że ciasto na pierniki przygotuje z rana, a na list odpisze od razu.

Ściąga z siebie kolejne warstwy, wyswobadza się z płaszcza, swetra, ciężkich buciorów i za dużej ruskiej czapki, którą ma nie wiadomo skąd, podchodzi do stołu i bierze do ręki kopertę. Przygląda się jej zdziwiona. Nie widzi na niej kulfoniastego pisma Kaśki, tylko drobne, zgrabne literki. To list do Stacha. Dorka czuje, że krew uderza jej do głowy i od razu robi jej się gorąco, choć mocno zmarzła, wracając z zakupów. Napisała go Grażyna z czarnym warkoczem, córka młynarza z największego domu w całej wsi. Dorka podchodzi do pieca i go otwiera. Już ma wrzucić kopertę do ognia, ale zmienia zdanie. Szybko ją rozrywa, przelatuje oczami po małych literkach, ale jest taka wzburzona, że nie wczytuje się dokładnie w ich treść. Jej wzrok zatrzymuje się dłużej na zdaniu, że Kuba wyrasta z ubrań, potrzebuje zeszytów do szkoły i butów. Zwija list w papierową kulkę i rzuca go do pieca.

Idzie do swojego pokoju i z całej siły trzaska drzwiami. Mała Dorka się zbuntowała! Pierwszy raz nie tylko nitką na płótnie.

Kładzie się wściekła na łóżku.

STACH

Żyły wiją się pod skórą jak rzeki hrabstwa kłodzkiego. Stach wyteęza wzrok, śledzi je uważnie, jak przedwojenną mapę, którą znalazł w stodole Petera. Kiedy oczy przyzwyczajają się do kontrastu ciemności w korytarzu i jaskrawego światła w pokoju gospodarczym, widzi bardzo wyraźnie. Niebieskie nitki meandrują pomiędzy gruczołami, które przerabiają czerwień na biel. Krew na mleko. Stach nie może się na nie napatrzeć. Nie może pojąć tego cudu. Chciałby zajrzeć do środka Ewy i na własne oczy prześledzić proces produkcji.

Piersi są duże, jasne. Wyskakują z rozchełstanej koszuli, kiedy Eva pochyla się nad miską, do której wlała wodę. Jak wszędzie w domu i w gospodarstwie, również i w tym pokoju rozwiązania techniczne są nowoczesne, wygodne, niemal miejskie. Ciepłą wodę nalewa się wprost z kraniku przy kotle, który ogrzewany jest ogniem z pieca. Pokój gospodarczy sąsiaduje z kuchnią. Eva pochyla się nad miską i zanurza ręce w wodzie. Za gorąca. Dolewa zimnej z przygotowanego wcześniej dzbanka. A potem – jeśli Stach ma szczęście – ściąga koszulę i staje naga od pasa w górę.

Podgląda Ewę niemal każdego dnia. Nie wie nawet, kiedy to się dokładnie zaczęło, ale powtarza się regularnie i nie wymaga od niego wielkiego planowania. Gdy mieszka się z kobietą pod jednym dachem, nawet jeśli nie zamieniło się z nią słowa, jej zwyczaje nie stanowią tajemnicy. Stach precyzyjnie odgaduje, co oznacza które stuknięcie, jak skrzypią schody pod nogami Petera, jak pod Ewą, wie na pamięć, w jakiej kolejności toczą się sprawy w domu w Porębie.

Dorka zasypia pierwsza, zawsze tak samo. Zapada w sen jak najszybciej, jakby chciała uciec od tego, co na jawie. Może rzeczywiście chce uciec od Stacha, odpłynąć w jakąś bezpieczną przestrzeń, w której będzie w centrum jego świata. W Porębie jest raczej na antypodach zainteresowań męża. Stach spogląda na nią czasami przelotnie, czekając na wieczorną toaletę Ewy, i zastanawia się, co to za nieopierzony kurczak leży obok niego. To brzydkie kaczątko, z którego miał wyrosnąć łabędź, ale

wciąż go nie widać. Wyobrażał sobie, że parę lat po ślubie jego żona będzie otoczona dziećmi, błogosławiona, królewska. Będzie zajęta troszczeniem się o jego synów i córki, karmieniem ich, tuleniem, będzie rozłożysta, macierzyńska. Będzie mówiła ciepłym i spokojnym, ale pewnym głosem. Będzie mocno stała na ziemi wśród jego maluchów, które pozwolą mu zapomnieć o wszystkich innych dzieciakach biegających po podhalańskich podwórkach. Tym bardziej że nawet wyjazd na sam koniec Polski nie pozwolił mu się ich pozbyć z głowy. Biegają po niej, uporczywie w swojej obecności, jak to dzieci. Chętnie zastąpiłyby je chłopcami i dziewczynkami urodzonymi przez Dorcę, ale na razie ich nie widać.

Tymczasem żonę najczęściej widzi skuloną w kącie z igłą w jednej ręce i kawałkiem materiału w drugiej. Denerwuje go jej pochylona nad wyszywanką głowa, ściągnięte ramiona, wyraz skupienia na twarzy. Wygląda jak siedmiolatka ucząca się pisać. Chciał kobiety, ma dziewczynkę. Chciał pełnego brzucha, miękkich kształtów, dojrzałości. Ma chudą, wystraszoną pannicę ze sterczącymi biodrami, kolanami i ramionami. Nie wie, co robić z tym dzieciakiem. Wie natomiast, co zrobić, kiedy Dorca posapuje już przez nos, leżąc na plecach. Wtedy Stach otwiera oczy i wpatruje się w ciemność. Każdego dnia czeka na moment, w którym do jego uszu dotrze skrzywienie schodów, ledwie wychwytywane przez ciemność. Wyraźniej słyszy otwieranie drzwi do pokoju gospodarczego umieszczonego między kuchnią a korytarzem. To ono musiało obudzić go pierwszego dnia.

Pokój gospodarczy ma dwa wejścia. Eva zawsze wchodzi tym od strony kuchni, więc Stach niepostrzeżenie uchyla wieczorem drzwi od korytarza i staje przy nich cichutko, niesłyszany przez nikogo, tonąc w ciemności.

Najbardziej interesują go piersi. Śledzi błękitne rzeki wijące się tuż pod skórą, wpływające w głąb ciała i wypływające tuż pod naskórek. Prawostronne i lewostronne dopływy zaskakująco dużych brodawek. Te piersi hipnotyzują go. Są okrągłe jak ziemia, karmią jak matka. Żadne określenie na temat tego, co kobietom sterczy pod bluzkami, a co Stach zdążył już w życiu zobaczyć i omówić z kolegami, nie pasuje do tego, co widzi, gdy gospodyni ściągnie koszulę. To nie są cycki ani bamboły, to nie są balony czy dydki, wisienki lub też bułeczki. To są piersi. To są piersi Ewy. Niemieckie piersi karmiące małego szwaba. Stach przez lata miał wrażenie, że niemieckie kobiety nie mogą być ładne i z pewnością nie

potrafią być czułe, nawet dla swoich małych hitlerków. Ale okazało się, że to nieprawda.

Bezkarne podgląda niemieckie piersi nocami, a w ciągu dnia, w pełnym świetle ma szansę spojrzeć na nie tylko ukradkiem. Eva, karmiąc synka, nie chowa się po kątach. Widać, że to nie pierwsze jej dziecko, że ta czynność okrzepła w niej i nie krępuje jej cudzy wzrok. Nie przejmuje się innymi, nie obchodzi jej też Stach. Niemiecka Madonna z niemieckim Jezuskiem. Dziecko przyssane do piersi, rzeki hrabstwa kłodzkiego pod białą skórą, czułość na twarzy kobiety i błogość na buzi dziecka. Jego półprzymknięte oczy, jego rączka na jej skórze, jej ręka na jego białych włoskach. Stach nie może oderwać wzroku od tej sceny, choć stara się nie gapić na nich wprost. Sam chętnie wtuliłby się w nabrzmiałe od mleka pagórki otoczone niebieskimi rzekami. Dałby się pogłaskać szwabskiej ręce po swoich polskich, prapiastowskich włosach, pobłądziłby swoją dłonią po obnażonej szyi i dekolcie, chociaż niemieckie. I po piersiach, które hodują nową wrogą armię.

Niemka staje wyprostowana, podnosi ramiona, przeciąga się przez chwilę. Stach nieruchomieje. Cały jest napięty, ledwie oddycha. Za każdym razem to samo. Nie do końca wie, co go elektryzuje w tej kobiecie. Piegi na nosie błyszczące w świetle lampy, a może te pojedyncze na dekolcie i ramionach. Kępki jasnych włosów pod pachami, miękko opadające na twarz kosmyki wymykające się z warkocza, w ciągu dnia ciasno splecionego. Wieczorna miękkość, łagodność, kontrastujące z uporem i hardością płynącymi od Niemki w ciągu dnia. Spokój, którym emanuje Eva, kiedy stoi mocno na silnych, rozstawionych nogach, jej powaga, jej siła. Intymność, którą rodzi mieszkanie pod jednym dachem, możliwość spoglądania na siebie, możliwość bycia razem. To wszystko. A także to, że jest zupełnie odporna na umizgi Stacha. Niewiele kobiet nie reaguje na jego długie spojrzenia, na jego półuśmiechy, na jego białe zębiska i grzywkę opadającą na czoło. A Eva patrzy przez niego, jakby był ze szkła. Od tygodni mieszkają pod jednym dachem, a ona wciąż nawet nie podała mu ręki na powitanie.

Kobieta pochyła się nad miską i bez pośpiechu myje twarz, szyję, ramiona. Kiedy ściąga spódnicę, Stach odwraca głowę. Za każdym razem. Nie śmie patrzeć. Nie jest przesadnie uczciwy, sam to przed sobą przyznaje, na pewno nie jest też skromny. Widział już przecież nagie kobiety, robił z nimi to, na co miał ochotę, patrząc przy tym do woli. Ale

dystans Ewy zatrzymuje go w pół drogi. Góra – tak, ale dół – wzrok skierowany w inną stronę.

Czasami spojrzy z boku na zarys jej bioder i ud. Ale kiedy Niemka staje przodem do drzwi, za którymi ukrywa się Stach, jego powieki automatycznie się zaciskają. Gdy je otwiera, Eva jest już w koszuli nocnej i rozpuszcza włosy. Piersi rysują się pod materiałem. Nadal widzi je wyraźnie, ale napięcie opada. Wraca powoli do regularnego oddechu i rozluźnia ramiona, które przez cały ten czas – nawet nie zdając sobie z tego sprawy – ścigał w napięciu. Opiera się o słupek podtrzymujący drzwi. Przedstawienie powoli się kończy.

Stąpa cicho w ciemności, chce się wycofać, wejść do pokoju, do Dorki, położyć się obok żony z obrazem innej kobiety pod powiekami. Chce zapadać w sen, zawisnąć między jawą a niejawą i nadal widzieć piegi, kępki, krągłości i rzeki hrabstwa. Kiedy idzie tyłem po omacku, starając się, jak co dnia, rękami przeczesującymi noc asekurować każdy swój ruch, potyka się delikatnie o wystający z podłogi kamień. W ciągu dnia nikt nie usłyszałby tego dźwięku, w nocy odbija się od kamiennego korytarza jak grzmot. Staje nieruchomo, wstrzymuje oddech. W smudze światła widzi, że Eva również zamarła. Wzrok skierowała na drzwi do korytarza, za którymi czai się ciemność. Stach nie oddycha. Nakazuje swojemu sercu, żeby przestało walić jak szalone, nie chce, by Niemka je usłyszała. Kobieta podchodzi do drzwi, staje w nich wyprostowana, jak to ona. Światło za nią sprawia, że Stach widzi dokładnie całą jej sylwetkę. Nawet w tej sytuacji uderza go myśl, że jest piękna.

Eva uchyla drzwi i wpatruje się w czarną noc, ale Stach stoi poza zasięgiem światła. Włącznik jest o metr od niej. Jeśli zdecyduje się na naciśnięcie pstryczka, obnaży Stacha, jego intencje, będzie miała i je, i jego jak na dłoni. Zupełnie tak, jak przed momentem Stach miał na dłoni jej niemiecką nagość. Eva rozgląda się w ciemności, przez chwilę patrzy uważnie w miejsce, w którym stoi Stach, marszczy czoło, żeby przedrzeć się przez noc. A potem zamyka drzwi i kieruje się do drugiego wyjścia. Kiedy skrzypią schody pod jej stopami, Stach stoi jeszcze przez chwilę w bezruchu i czeka, aż jego serce się uspokoi. A potem, już bezszelestnie, wchodzi do pokoju, w którym mieszka z Dorką. Zanim zaśnie, mówi jeszcze prosto do jasnych piersi znaczonych niebieskimi rzekami, do piersi, które ma pod powiekami: do jutra.

EVA

Gdy wprowadzili się do domu pod leśniczówką, w życiu zapanował ład. Wszystko było pod linijkę, według planu, jak należy. Eva ułożyła ich mały świat w równe rzędkie i stosiki. Peter dbał o maszyny i zwierzęta. Przy stole siadali naprzeciwko siebie – Eva zawsze bliżej pieca, by łatwiej mogła podawać posiłki, Peter od strony drzwi. Kolejne dzieci sadzane były na krzesłach w porządku, który obowiązywał raz na zawsze. Buty stały w określonych miejscach, ubrania w szafie zawsze w takiej samej kolejności. Słoiki na półce jak żołnierze na wystawie sklepu Georga Löwy'ego, kiedy jeszcze miał w oknie szybę.

Ustalonego porządku nie mieli tylko w łóżku.

Peter raz spał z prawej, raz z lewej. Raz na brzuchu, raz na boku. Przygarniał ją przez sen, całował, zaspany, we włosy. Wtulała się w niego bezwiednie, to przodem, to plecami. W swoim poukładanym, porządnym domu przez lata nie wypracowali żadnych zasad spania. Aż do wypadku. Po nim przez wiele tygodni Peter sypiał sam. Rana goiła się powoli, Eva bała się urazić ją mimowolnie przez sen. Na początku spała na rozłożonych na podłodze kocach, blisko, gdyby jej potrzebował. Z czasem, kiedy przestała się już bać o życie męża, przeniosła się do kuchni i tygodniami spędzała noce obok pieca.

Do teraz potrafi odtworzyć w głowie tamten dudniący krzyk. Pamięta też szalony bieg z domu do drewnutni, gdzie Peter ciął drewno na zimę. Wprawdzie już od lata mieli spory zapas, ale tego poranka, żeby nie siedzieć beczynn timer, mąż postanowił przygotować jeszcze trochę.

Była jesień 1937 roku. Najpiękniejsza pora roku w Lichtenwalde zbliżała się powoli ku końcowi, jednak przez kolejne tygodnie Eva nie miała czasu ani ochoty na podziwianie czerwieniących się i złocących na stokach drzew. Nie miała czasu na dziecko, na gotowanie, na prace domowe. Myślała tylko o swoim mężu.

Krew była wszędzie. Drewnutnia w niej tonęła. Eva miała wrażenie, że z Petera wypłynęło wszystko, do ostatniej kropelki. Jej mąż stał skulony nad roboczym stołem i krzyczał głosem, jakiego dotąd nie słyszała. Obok kręcącej się ciągle piły leżała ucięta tuż pod łokciem lewa ręka.

– Ramię do góry! – przekrzykiwała zwierzęce zawodzenie. – Do góry, Peter, słyszysz?! Trzymaj ramię do góry, biegnę po Martina!

Na szczęście sąsiad właśnie wrócił do domu. Na szczęście nie zdążył jeszcze schować bryczki i odprowadzić konia do stajni. Na szczęście nie stracił zimnej krwi. Kiedy wbiegli razem do drewnutni, Peter już nie krzyczał. Siedział pod ścianą i jęczał cicho. Twarz miał bladą i spoconą, włosy całkiem mokre – od krwi i potu. Eva przytrzymała zranione ramię, gdy Martin zaciskał wokół kikuta kawałek jasnego materiału. Starła się nie patrzeć na kość i nierównomiernie poszarpane mięśnie. Starła się nie widzieć, co jej mąż ma w środku. Szmata na rękawie przeciętej koszuli szybko nasyciła się czerwienią.

Chwilę później już byli na wozie. Do lekarza w domu zdrojowym w Bad Langenau pojechali we troje: Peter, Martin i Eva. Malutka Inga została pod opieką Helgi. Przez całą drogę do sanatorium i z powrotem Eva nawet przez moment nie pomyślała o dziecku. Wiedziała, że jest w dobrych rękach.

A potem nastąpiły długie tygodnie osvajania się z nową rzeczywistością. Peter leżał w łóżku, z kikutem na poduszce. Lekarz nakazał Evie układać go zawsze wyżej od serca. Opuchlizna powoli schodziła, gorączka stopniowo mijała. Doktor z Bad Langenau przyjeżdżał co kilka dni. Sprawdzał, czy rana goi się właściwie, uczył Evę zmieniać opatrunki, pokazywał, jak masować bolące przedramię. Kiedy siadała na brzegu łóżka, Peter krzywił się, zanim jeszcze go dotknęła. Był obolały i słaby.

Najpierw głównie spał. Pocił się bardzo w ciężkim śnie, rzucał na łóżku nerwowo. Bolała go dusza, bolało ciało. Eva w milczeniu głaskała męża po głowie albo trzymała za zdrową rękę. Tak, jak od zawsze robiła z Ingą, tuliła, uspokajała samym dotykiem, samą obecnością.

Ciało Petera przeżywało żałobę po swoim, niezależnie od jego głowy. Najwięcej kłopotów sprawiała mu odcięta dłoń.

– Eva! Eva! – krzyczał, a ona rzucała wszystko, co trzymała w rękach, i pędziła do sypialni przerażona.

– Swędzi mnie. Pomóż! – wołał ze łzami w oczach.

Odcięta kończyzna swędziała, szczypała, parzyła. Robiła wszystko, żeby Peter o niej nie zapomniiał. Robiła, co mogła, by ciągle istnieć w ich domu pod leśniczówką. W jego myślach. W jego snach. Przypominała o sobie w momentach, w których wydawało im się, że życie z mozołem powoli wraca do normy.

W tamtym okresie wsparcie Helgi i Martina było nieocenione.

On znał gospodarstwo Ewy i Petera niemal jak własne. Dbał o zwierzęta, doglądał ich, karmił, kupował maść w aptece przy Ringu w Glatz, bandaż, lekarstwa. Przywiózł też wielkie lustro, które z trudem sam wtaszczył na piętro, do sypialni.

Helga przynosiła codziennie garnek z zupą. Pilnowała, żeby również Eva, między karmieniem Petera a zmienianiem mu opatrunku, nie zapomniała jej zjeść. Inga budziła się i zasypiała z jej twarzą przed oczami. Eva wracała do macierzyńskich obowiązków stopniowo, bo Peter długo potrzebował opieki.

Lustro przywiezione przez Martina z Glatz postawiła przy łóżku, żeby mąż w każdym momencie mógł spojrzeć i przypomnieć sobie, że ręki nie ma, a to, co czuje, to nie ciało, tylko tęsknota. Kiedy już Peter zaczął siadać, całe kwadransy spędzał, patrząc w skupieniu w swoje odbicie. Uczył się nowego wyglądu na pamięć. Uczył się nowego życia.

Wreszcie zszedł na dół. Nie od razu był gotowy, by wrócić do gospodarstwa, ciągle potrzebował drzemki co kilka godzin, ale zabierał się do drobnych prac i znowu zaczął się interesować otaczającym go światem. Eva zrozumiała, że mąż wraca do życia, gdy śnieżnego poranka zobaczyła go zasłuchanego w opowieść Martina.

– Naprawdę? – dopytywał jej mąż. – Przyjechał do Lauterbach?

– Naprawdę, Peter. Wszyscy mówią tylko o tym.

W całej okolicy nie było innego tematu. Sam wódz odwiedził Grafschaft Glatz. Przy okrzykach zdzierających sobie gardła chłopców z tutejszego Hitlerjugend wmaszerował do budynku dawnej szkoły policyjnej. Postanowił spotkać się z oddanymi synami niemieckiego narodu, by osobiście podziękować im za wierną służbę Rzeszy i Niemcom. Szkołę niedawno przekształcono w kurort dla niemieckich oficerów. Przebywali w nim lotnicy regenerujący siły po kilku potyczkach stoczonych przez Luftwaffe w pobliżu granicy.

Otworzono drzwi. Wszedł. Drzwi zamknięto.

I tyle go widziano.

Peter i Martin rozmawiali o tym wydarzeniu, siedząc przy stoliku kawowym w kuchni. Śmiali się, mówili, to jeden, to drugi. Peter miał zaróżowione policzki i patrzył na Martina uważnie. Jak kiedyś, pomyślała Eva. Jest jak kiedyś. Z ręką czy bez – to przecież jej mąż. Ten sam, co zawsze. Ten sam, co zawsze. Ten sam, co zawsze.

Powtarzała to często, bo czuła inaczej. To nie był ten sam mąż. To nie było to samo małżeństwo. On zanurzony w smutku i bólu, słaby i kruchy. Ona zaangażowana w opiekę nad nim przez wiele tygodni, niepamiętająca o świecie, o dziecku, o sobie. Im lepiej czuł się Peter, tym ona – słabiej. On odzyskiwał siły, ona je traciła. Bolały ją głowa i brzuch. Serce waliło nagle, bez żadnego powodu. Gdyby mogła, przesyłaby całe dnie. Wciąż bała się o swoją rodzinę, choć niebezpieczeństwo powoli mijało. Bała się o Petera, choć rozumiała, że życie krok po kroku wraca do normy.

Kiedy Martin przekazał Peterowi najnowsze wiadomości z Glatz i okolic, wyszedł do siebie. Peter stanął przy zmywającej kubki Evie, objął ją prawym ramieniem, pocałował w ucho. Próbowwała się odsunąć, ale trzymał mocno.

– Wróć do naszego łóżka – szepnął.

Poczuła się, jakby to sam Adolf Hitler zaprosił ją do sypialni.

Kochała Petera, swojego dobrego, mądrego i pracowitego męża, ale kręciło jej się w głowie. Nie miała ochoty iść z nim na piętro.

– Nie ten dzień miesiąca, Peter – skłamała. A potem dodała zgodnie z prawdą: – I brzuch mnie boli, jakbym w nim kamienie nosiła.

Spała przy piecu jeszcze ze dwa miesiące. W końcu Peter stracił cierpliwość.

– Wracaj do łóżka, Eva – powiedział zdecydowanie. Cóż było robić. Zabrała poduszkę, zabrała pierzynę z pieca i wróciła.

Szła po schodach niechętnie, kładła się niechętnie, ale kiedy już leżała, poczuła zapach swojej sypialni. Zapach swojego męża, ciepła, dobroci i bezpieczeństwa. Znowu była w domu. Zsunęła koszulę nocną i przytuliła się do Petera. Do jego prawej strony.

Od tyłu miesiący nie leżała obok męża bez ubrania. Skóra przy skórze. Jej miękka, jego szorstka. Jej góry i doliny, jego równiny. Od tyłu miesiący nie kładła głowy na piersi Petera, od tyłu miesiący nie czuła jego ręki na swoich biodrach. Nigdy też jeszcze – nie licząc zmiany opatrunków – nie dotknęła kikuta, który w ciągu dnia jej mąż chował w zwisającym smutno rękawie koszuli.

Usiadła naga na łóżku. Pogłaskała włosy Petera, jasne i sztywne, dotknęła jego twarzy i szyi. Pochyliła się nad leżącym w bezruchu mężem i całowała go długo i spokojnie. Jakby się spotkali po długiej rozłące. Potem

rozpięła guziki koszuli, w której sypiał Peter, i przyjrzała mu się uważnie. To był on. Jej Peter. Jej kochany mąż, jego ciało znane od lat, choć zmienione. To był on i patrzył na nią, jakby się bał, co będzie dalej. Zsunęła materiał z kikuta. Leżał przed nią mały, skurczony, ze świeżymi bliznami, grubymi i brzydkimi. Leżał przed nią jej dobry, pracowity mąż. Nigdy nie przyniósł jej kwiatów ani nie szeptał do ucha słodkich słówek. Ale wybudował dla niej dom, najpiękniejszy na świecie, duży, wygodny, z sadem, z którego widać całe piękno świata. Zwłaszcza w październiku. Dobry człowiek. Jej mąż. A teraz zamiast lewej ręki ma kikut.

Grzbietem dłoni dotknęła szyi Petera, czuła, jak w jej zagłębieniach mocno pulsuje krew. Uspokoił się. Przymknął oczy. Zsunęła rękę na jego ramię. Skóra na bicepsie obwisła, wyglądała jak balon ze spuszczonego powietrzem. Ostrożnie ujęła w dłonie kikut. Starła się uważać na guzek utworzony przez odrastający niepotrzebnie nerw, choć Peter uspokajał ją, że już nie boli tak mocno jak jeszcze niedawno. Patrzyła na zmasakrowaną skórę, która pozrastała się nierówno, krzywo, tu wypukła, tam wklęsła, poszarpana i dzika. Ale żywa. Cała. Jeszcze obca, ale z każdym dniem będzie coraz bardziej bliska. W końcu oboje przyzwyczają się do tego wybrakowanego ciała.

Wypadek i tygodnie spędzone w łóżku odebrały jej mężowi siłę. Odebrały głębokie przekonanie, że da sobie radę ze wszystkim, że zadba o nią i o swoją rodzinę. Że będą żyli długo i szczęśliwie w domku pod leśniczówką, z sadem, z którego w październiku widać całe piękno świata. Eva pocałowała mały, chudy, poszarpany kikut. Pocałowała szyję Petera. Patrzyła na niego, ciesząc się, że żyje. Zabiedzony, wychudzony, z poszarpanym przez piłę ramieniem, ale wciąż tu jest. Leży obok niej ciepły i oddycha głęboko, jakby z ulgą.

W końcu, po tych wszystkich długich, ciemnych, ponurych miesiącach, po tygodniach wypełnionych strachem i opieką nad obłożnie chorym, po dniach spędzonych na przebieraniu przepoconej pościeli i nocach spędzonych na nasłuchiowaniu, czy oddycha, Eva płakała. Niemieckie kobiety nie trwonią łez po próżnicy, ale w słabym, ledwie sączącym się świetle mogła dać im płynąć. Mogła wyrzucić z siebie wszystkie napięcia, blokady, skurcze, w których ukryły się strach o Petera, współczucie, lęk o przyszłość ich rodziny. Płakała. A jej ciało się rozluźniało i miękło. Brzuch przestał boleć, odsłaniał się, drżał, serce nie kłuło, barki i ramiona opadły,

jakby im kto powiedział: spocznij. Płakała i płakała. Łzy kapały na kikut, a ona trzymała go w dłoniach delikatnie, ale mocno.

A razem z nią płakał Peter. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widziała łzy swojego męża. Bo niemiecki mężczyzna, obywatel III Rzeszy, powinien być zdrowy, sprawny i dzielny. Nie płakać. Nigdy. Ale schowany w nocy, obok swojej nagiej żony, obok jej nagich łez, mógł na chwilę przestać być dzielny.

Życie do domku pod leśniczówką wreszcie wróciło. Wiosną Peter dni spędzał już w pracy, bo wiosną chłop z Lichtenwalde musi się przygotować do lata. Stopniowo przejmował kolejne obowiązki. Jeszcze szybko się męczył, jeszcze musiał przysiąść, jeszcze pomagał mu Martin, wierny jak cień, wyręczając w ciężkich pracach bez pytania i bez proszenia. Ale z dnia na dzień Peter potrzebował coraz mniej jego pomocy. Pracował w gospodarstwie, sznurował buty, przytulał Evę i Inge, wieczorami rozmawiał z przyjaciółmi. Nad lewym łokciem umieścił metalową obręcz z haczykiem. Pomagała mu w codziennych czynnościach. Dom funkcjonował tak samo, jak wcześniej, tylko ład panował teraz w każdym pomieszczeniu domu pod leśniczówką. Również w sypialni, gdzie Eva leżała już zawsze po prawej stronie męża.

Nie zliczyła, ile razy przed wojną pomyślała, że wypadek na zawsze naznaczy ich świat cierpieniem. Że szopa tonąca w krwi Petera będzie symbolem jednego z najtrudniejszych momentów ich wspólnego życia.

Nie zliczyła, ile razy potem, gdy wojna rozhułała się już na dobre, myślała o wypadku jako o wydarzeniu, które uratowało jej męża. Im więcej chłopaków ginęło pod Stalingradem bez wieści, im dłuższe były listy nazwisk mężczyzn z Lichtenwalde, które ksiądz Wilhelm wyczytywał podczas niedzielnej mszy, im więcej sąsiadów wkładało czarne ubrania, tym częściej skłonna była myśleć o tamtej chwili jako o szansie od życia. Razem z ręką piła odcięła bowiem zainteresowanie wodza jej mężem.

Chłopak z kikutem nie był dla Adolfa Hitlera atrakcyjny. Dla Evy był natomiast w sam raz. Z czasem zrodziła się w jej głowie myśl, że jest wdzięczna losowi za wypadek. Hitler posłał bowiem już na wojnę wszystkich. I tych za młodych, którzy ginęli, zanim jeszcze na dobre wyjechali. I tych za starych, którzy nie mieli siły uciekać przed pociskami lecącymi z nieba i zostawali na zawsze w okopach całej Europy. Zabrał Gerharda, który mieszkał w dużym domu przy fabryce pudełek, w której

pracował ojciec Ewy. Co roku ciężko chorował, a poprzedniej zimy ledwie wyszedł z zapalenia płuc. I Zygryda, który utykał na prawą nogę, od kiedy któregoś lata spadł z dachu rodzinnego domu. Nadeszły czasy, w których chore płuca czy kulawe nogi wcale już wodzowi nie przeszkadzały. Nie patrzył już, czy kawaler ładny, zdrowy, nadający się do podboju świata. Teraz brał jak leci. I jechali na front bez szemrania, modląc się w duchu, by nie trafić na Wschód, do Ruskich. Choć przecież – myślała Eva – co to za różnica, przez czyją kulę mężczyzna z Lichtenwalde nie wróci do domu. Albo wróci, ciągnąc za sobą smugę cienia.

Peter był cały, choć bez ręki. Peter był zdrowy. Peter nie milkł w połowie zdania, nie wybuchał niekontrolowaną złością, nie pił bez umiaru. Peter po wojnie był takim samym mężem jak przed wojną. Po latach od wypadku Eva miała wrażenie, że zmieniło się tylko to, że zawsze kładła się po prawej stronie męża, żeby mógł ją objąć ramieniem, kiedy rozmawiali przed snem. Od zawsze sporo rozmawiali w łóżku, ale od kiedy w ich domu zamieszkali Dorka i Stach, rozmawiali głównie tam. Jakby w swoim domu nie mieli już nic do powiedzenia. W ciągu dnia Peter najczęściej milczał. W nocy, kiedy w domu było cicho, kiedy nie rozpraszały ich dzieci, obcy ludzie pałętający się po ich kuchni czy stodole, tłumaczył się przed żoną. Ciągle miała pretensje o to, że rozmawia z Polakiem. Przesiadują razem w stodole, w szopie, w oborze. Tu mu pokazuje jakiś silnik, tam prezentuje system pojenia krów. A tamten patrzy zachwycony i beczelnie uśmiechnięty.

– Zadaje mi pytania, więc odpowiadam – tłumaczył Peter cicho. – Co niby mam robić?

– Nie wiem, Peter. Nie wiem – szeptała gniewnie Eva. – Ja z tą kobietą nie zamieniłam ani słowa.

Wypowiedziany ze złością szept odbijał się od ścian sypialni. Eva była bliska niemal krzyku. Źle znosiła wszelkie kontakty Petera z Polakiem, a ostatnio doszło do tego, że opowiadają sobie jakieś polsko-niemieckie żarty i wspólnie się śmieją. Po tych wszystkich dniach, gdy ona uparcie milczała, zagryzała zęby, lekceważyła Polkę, udając, że jej nie widzi, traktowała ją jak powietrze, po tych wszystkich momentach, w których odciągała Inge od koszyka z kolorowymi nitkami, była wściekła. Czuła się przez męża zdradzona.

– Eva, kochana. Ciągłe wierzę, że stąd nie wyjedziemy. – Peter próbował ją uspokoić, głaszcząc po włosach, ale ona słyszała, że w jego głosie nie było co do tego pewności.

– Nieprawda! – zaprotestowała. – Ty już się z tym pogodziłeś!

– Nie chcę zostawić Lichtenwalde. Ale rozejrzyj się. Mamy coraz mniej sąsiadów. Każdego tygodnia ktoś opuszcza swój dom. W Glatz nie ma już ani jednego niemieckiego napisu na Ringu i nawet u nas nasz Polak zamalował szyld nad sklepem...

– Nasz?! – krzyknęła Eva. – Nasz Polak? Zwariowałaś?! Może twój, ale na pewno nie mój!

Przerwała, żeby nie powiedzieć za dużo. Nie zamierzała opowiadać mężowi o przedłużających się spojrzeniach, którymi raczył ją Polak. Nie wspomniała o tym, że zauważyła jego biały uśmiech i silne mięśnie. O czym tu mówić.

Peter odczekał chwilę w ciszy, po czym powiedział:

– Zrobię wszystko, żeby tu zostać. Ale jeśli się nie uda, chciałbym, żeby zajęli się tym miejscem dobrzy ludzie. I żeby nie zniszczyli tego, co budowaliśmy przez lata.

Eva odetchnęła głęboko.

– Chodźmy spać, Peter – powiedziała. – Dziecko znowu obudzi mnie o piątej.

Odwraca się plecami do męża, trochę może zbyt gwałtownie. Jest późno. Ciężkie powieki opadają, ale sen nie przychodzi. Eva nie chce przyjąć argumentów męża. Nie zamierza zacząć rozmawiać z Polką ani słuchać pogaduszek Petera z Polakiem. Leży i wpatruje się w ciemność. Potem zamyka oczy. I znowu otwiera.

Po chwili czuje strach. Zniewalający, potężny. Wdziera się do jej ciała porami, wpełza w nią z każdym oddechem, otacza gęstą mgłą, która nie pozwala wciągnąć powietrza do samego dna płuc. Napływa przez okno. Z sąsiednich gospodarstw. Z domów na dole, w Lichtenwalde. Z innych niemieckich wiosek, z całego hrabstwa kłodzkiego. Z miast, z Breslau, z Berlina.

Musi uciekać. Gonia ją.

Biegnie co sił w nogach, przez pole, przez las. Przez świeżą trawę, przez brukowaną ulicę, przez tory tramwajowe, przez salon w starej kamienicy,

przez plażę, i w górę, wysoko, przez wiejską chatę. Dwa kroki i już jest na skoszonym polu. Przez piwniczne korytarze, przez kręte tunele. Jest całkiem sama, jest w grupie kobiet, mama trzyma ją za rękę, ona tuli do piersi siostry. Tuli do piersi córki i wnuczki. Tuli do piersi samą siebie. Jest noc, jest południe, słońce wschodzi. Dopada ją smród wódki, na ulicy topi się śnieg, słońce praży, jakby miało roztopić ją całą. Gdyby została po niej mokra plama, nie mogliby jej nic zrobić. Chowa się na chwilę w czarnej norze, pod starym drzewem, za rogiem ulicy. Ma nad nimi przewagę, zna ten las, zna to miasto, zna tę drogę. Nogi jej się trzęsą, drga każdy mięsień, łydki, kolana, uda, szczęki. Stoi jak zamurowana, ani drgnie. Zagryza wargi do krwi, wbija paznokcie w dłonie, wtula się w ścianę budynku, jakby chciała, by ta ją pochłonięła. Oddycha ciężko, nie może się uspokoić, żeby tylko nie usłyszeli, jak łapie powietrze. Potem przestaje oddychać. Woli się udusić, niż dać im sygnał, gdzie jest. Woli, żeby serce przestało bić, żeby zamarło, jak ona.

Gonią ją. Słyszy ich kroki, wie, że się czają gdzieś za rogiem. Już ją prawie mają, już jej zdzierają spódnicę, już łapią ją za nogi. Prawie upada, prawie się poddaje. Nie wie, gdzie są, tylko ich słyszy. Widzi wyraźnie. Mają na sobie mundury. Zielone, brązowe, czarne. W czapkach, w hełmach, w butach, w rozchełstanych koszulach.

Jeszcze biegnie, jeszcze ma przewagę, ale dopada ją pijacki rechot Pawła, pierwszego z Polaków w Lichtenwalde, który zajął dom po Kohlach i wywlekl na podwórko ich materac, ramę łóżka i biblioteczkę, w której pani Kohl trzymała książki. Chrypliwym głosem drze się w jej stronę:

– No i co, Niemko? Teraz ci nie do śmiechu? Uciekaj, kurwo, bo cię zaraz dopadną! Złapią cię, szmato, żołnierze nasi, wasi, swoi, obcy! Złapią cię chłopaki, dopadną cię *riebiata* i zrobią z tobą porządek! Zobaczysz w końcu, jak to jest, kiedy ktoś ci odbiera przyszłość! Odbiera teraźniejszość! Odbiera wszystko! Biegnij, Evo, Niemko, biegnij! Dopadną cię i tak. Biegnij, kuzynko z Köslin, póki masz jeszcze siłę!

Eva jest mokra. Koszula przykleiła jej się do ciała, włosy do poduszki. Chciałaby już wstać, ale Paweł nie przestaje krzyczeć:

– Jeśli nie masz już siły, kuzynko z Köslin, to usiądź sobie pod drzewem, na łące przed domem, pod budynkiem. Tam cię dopadną. Już są. Już ich słyszę. Już maszerują, już biją w tarabany. Nasi. Wasi. Ze wschodu. Z zachodu. Już są.

I wtedy Eva na środku ulicy dostrzega dwóch chłopców. Mają krótkie spodenki i wystające kolanka. Mają sznurowane buty. Wełniane marynarki, blond czupryniki i wielkie, przerażone oczy. Mają siebie. Starszy, w wieku Ingi, trzyma za rękę małego. Ani drgną, kiedy Eva próbuje ich wołać:

– Hans! Thomas! Hans! – krzyczy, ile sił w płucach, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk. – Hans! Słyszysz mnie? Thomas! Popatrzcie na mnie! Co z waszą mamą? Gdzie jest wasza mama?! Hans! Thomas!

Nic.

Noc.

Eva wstaje z łóżka i zapala małą lampkę na stoliku. Musi zmienić koszulę. Przemokła na wskroś. Musi zasnąć, żeby od rana mieć siłę zająć się swoimi dziećmi, choć po tym wszystkim, co zobaczyła, wołałaby już dzisiaj nie zamykać oczu. Bo gdy to robi – pod jej powieki wpełza strach.

Skomplikowany układ taneczny.

Niepowtarzalne pas, którego nie można wykonać w miejscu innym niż tereny do Poczdamu niemieckie, po Poczdamie – polskie, i o innym czasie niż powojenny. Improwizacja. Błyskawiczna reakcja na ruch partnerki. Czujność i uwaga. Zbliżanie się i oddalanie. Tango uników z patelnią i nożem. Tango pachnące kapustą, grzybami i pączkującymi drożdżami.

Jedna w kierunku kredensu, druga – wręcz przeciwnie. Druga rozkłada się na stole, pierwsza zwija manatki. Niemiecka noga w prawo, polska w lewo, wygrana na wschód, przegrana na zachód. Byle się minąć w bezpiecznej odległości. Byle nie spojrzeć na siebie w tym samym momencie. Byle uparcie udawać, że nie ma obok tej drugiej. Gospodynie przy pracy. Gospodynie w tańcu.

Czas płynął. Czas biegł. Czas uciekał i choć Eva robiła, co mogła, żeby zatrzymać Lichtenwalde w sobie i siebie w Lichtenwalde, to sekundy zamieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące i nie dało się zachować na zawsze tego, co najlepsze. W adwentowym wieńcu już cztery świece kapły woskiem na kolorowe wstążki. Ciastka wisiały już na *Weihnachtsbaum*. Samo drzewko przyniósł Peter jak zwykle na początku grudnia i stało przez chwilę tyse, zanim Eva się zebrała, żeby je przystroić piernikami i drewnianymi ozdobami kupionymi w sklepie Löwy'ego

jeszcze przed wojną. Przed wojną wszystko było lepsze. Każdego grudnia Eva się cieszy, że zdążyli skompletować wszystkie figurki do *Krippe* od pana Georga. I dobrze, że wciąż są całe. Trzeba je będzie ułożyć pod drzewkiem. Dzieci już czekają.

Trzeba również przygotować wigilijną kolację, a tego roku będzie to zadanie jeszcze trudniejsze niż zwykle.

Kuchnia zamieniła się w zdradziecki parkiet. Dwie gospodynie domu pod leśniczówką próbują przygotować dwie różne wigilie w jednej kuchni i nie zamienić przy tym słowa. W pełnym lekceważeniu niezauważaniu się nawzajem to pierwsza jest doskonalsza, to druga wzbija się na poziom mistrzowski. Do czasu.

Już bowiem jedna, słysząc kroki w korytarzu, spogląda na wejście do kuchni, by sprawdzić, kto stanie w drzwiach. Już druga patrzy na jasne łebki synków bawiących się w rogu i rozgląda się za blond główką z warkoczem. Obie sięgają po miedziany rondel umyty przez Evę i suszący się obok umywalki. Obie dotykają uchwyty w tym samym momencie. Dotykają swoich rąk. I obie, jakby je ktoś poraził prądem, odskakują, sięgając każda po inny garnek. Rondel zostaje na swoim miejscu niezagospodarowany.

Dorka wstawiła warzywa do emaliowanego, białego garnka, zalała je wodą i postawiła na piecu. Wywar do wigilijnej zupy. Eva naląła wodę na wyszorowane ziemniaki. Żadna wigilia w Lichtenwalde nie mogła się obejść bez *Kartoffelsalat*.

Nadal pochylone – każda nad swoim. Zmęczone po równo – Niemka i Polka. Z zakwasami od ugniatania ciasta drożdżowego. Nadal zacięte i milczące. Nadal udające, że każda sama tańczy po kuchennym parkiecie. Ale już im kulawo wychodziły te samotnicze tańce. Można było omijać drugą gospodynię wzrokiem, można było się do niej nie odzywać. Trudno jednak zlekceważyć dotyk. Skóra do skóry. Ciepła, rozgrzana od pracy i od krwi, która płynie od palców prosto do serca i z serca. Tam obok, przy kuchennym stole stoi człowiek. Pełen nadziei i lęków. Pełen miłości i nienawiści. Żywy. Kobieta.

Dotknięcie skóry jak dotknięcie różdżki zmieniło je. Od tego momentu zaczęło się podglądanie. Ukradkowe zerkanie. Spoglądanie przez ramię. Najlepsze drożdżowe ciasto w roku na *Christollen*, ugniatane długo i uważnie, rosło sobie pod ściereczką obok pieca, rozsiewając w domu

zapach świąt. Eva kroїła ziemniaki i ogórki, ale starała się dojrzeć, co przygotowuje Dorka. Jakies placki, coś smażonego, ładnie pachniało. W plackach Polki pieczonych na blasze pieca też były drożdże, ale były i ziemniaki. Podobne te nasze święta w sąsiednich krajach, gdzie podobny klimat rodzi podobne potrawy, pomyślała Eva. Ciągłe zerkała ukradkiem na to, co pichci Polka.

Ale ta już skończyła.

Wyjęła z szafki piękny, duży talerz w niebieskie wzorki i położyła na nim pięć pachnących placków. Były brązowiotkie, pięknie wyrosły. Polka zrobiła na nich kleksy świeżej śmietany i odwróciła się w stronę Ewy. Wyciągnęła rękę z talerzem.

– Proszę – powiedziała po polsku, a Niemka to bez trudu zrozumiała. – Proszę. Smacznego.

Na jej szarej, dziecięcej twarzy nie było cienia uśmiechu i Eva też się nie uśmiechała. Stała sztywno przed Polką i przez chwilę wahała się, co zrobić. W końcu, kiedy moment przedłużał się niezręcznie, wyciągnęła rękę.

– *Danke, Frau Dorota* – powiedziała poważnie, nie patrząc ani na lokatorkę, ani na niebieski talerz z ziemniaczanymi plackami. Gdy już pewnie trzymała go w ręce, Polka odwróciła się w stronę drzwi i wyszła z kuchni.

Frohe Weihnachten!

Wesołych świąt!

DORKA

Gody się skończyły, Maryjce rodził się Jezusek. Dorce nadal nie rodziło się nic. Józiowi, Eli, Bartusiowi i Krysi z każdym tygodniem poświęcała mniej czasu. Wyrodna niedoszła matka. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko to, że niełatwo opiekować się dziećmi, które nie rosną. Zaglądała więc do wyobrażeń o nich coraz rzadziej. Wokół działo się tak dużo, że brakowało czasu na pielęgnowanie tego, co wewnątrz. Mało myślała o swoim brzuchu, nie miała nastroju na przywoływanie do niego kolejnych maluchów. Stach był bardzo zajęty, zamieniał Lichtenwalde w Porębę, rzadko interesował się żoną pod pierzyną. Czasami Dorka myślała, że powinni się sobą nacieszyć,

póki są młodzi, ale wieczorami, wyczerpana, zasypiała w mgnieniu oka. Życie było pełne emocji, głowa była pełna myśli. Tylko brzuch Dorki – jak był pusty, tak pusty pozostał.

Za to mały Jezus rodził się, niezawodny, jak co roku. Na niego zawsze można liczyć. Jedyny noworodek, którym Dorka i Stach mogą się cieszyć.

Zatem świętują.

Dorka święta przygotowała porządnie, tak jak ją nauczyła mama. I – żeby tradycji bożonarodzeniowej stało się zadość – kiedy nadszedł czas wigilijnej kolacji, miała ochotę tylko na jedno. W ten magiczny wieczór Dorka chciała położyć się w ciepłym kącie pod pierzyną babci Hanki i spać nieprzerwanie do rana. Tak jak jej matka w domu, jak każda porządna gospodyni na Podhalu, w Kotlinie Kłodzkiej i w każdym innym miejscu, jak świat długi i szeroki. Wszędzie grudzień wyglądał tak samo. Smażenie, obtaczanie, dogładanie. Czekanie do nocy, czatowanie od rana. Grzyby, ryby, groch. Kapusta kiszona, suszone owoce, mak. Co kto miał, co komu z lata zostało, na co kogo było stać. I jeszcze placek. I jeszcze pieróg. I jeszcze grzyby. I jeszcze jedną noc trzeba zarwać. I nie ma się co skarżyć ani nie ma komu.

Przecież najcięższą robotę i tak wykonała Maryjka. W brzuchu dziecko wyhodowała, urodziła je między bydłętami. Poszli, wierni, skromni, niestrudzeni, do stajenki i pojawił się Jezusek, najbardziej znane dzieciątko na świecie, o niebieskich oczach i jasnych włosach, co można zobaczyć na każdym obrazie, w każdym kościele.

W końcu nadszedł wyczekiwany dzień. Dorka padała ze zmęczenia, jak należy. Ręce jej omdlewały, tak jak powinny. Powieki się kleiły, jak u mamy. Przygotowała najprawdziwsze Boże Narodzenie. Poczęstowała nawet Niemców moskolami, bo przed Wigilią trzeba się jakoś z człowiekiem dogadać. Tak się żyło na Podhalu. Na zbłąkanego wędrowca czekało nakrycie w każdym domu. Zwierzęta odzywały się do siebie ludzkim głosem i nawet udawało się to czasami zwaśnionym sąsiadom. Dorka, Kaśka, Baśka i Michał, napominani przez mamę, wyjaśniali wszystkie niewyjaśnione sprawy. Do wieczerzy siadało się w najładniejszym ubraniu i z czystym sercem. Talerz z moskolami był gestem wigilijnego pojednania z Niemką. Na więcej nie mogła się zdobyć. Nie mogła się też pozbyć myśli, że sposób na trwały spokój między nimi a gospodarzami jest tylko jeden.

Kiedy Niemcy wyjadą z Poręby, nie będzie żadnego powodu, żeby okazywać sobie nawzajem wrogość. W ich relacjach nastanie równowaga.

Pierniki zdążyły zmięknąć. Dorka ozdobiła je wspaniale pod czujnym spojrzeniem Ingi, która, jak zwykle, gapiała się w nią jak sroka w gnata. Smakowały Bożym Narodzeniem. Smakowały wspomnieniami. Chciała, żeby wszystko było tak, jak zawsze. Od tygodnia namawiała Stacha, żeby okadzili zwierzęta święconym zieleńcem dla ochrony od chorób i złych mocy. Niemcy w końcu wyjadą, warto zadbać o to, co pozostawią po sobie. Krowy, konie, świnie, kury zostaną w gospodarstwie. Psa też przecież ze sobą nie wezmą.

– Daj spokój – powiedział Stach niecierpliwie. – Zabobony. Nie żyjemy już w średniowieczu.

Rok wcześniej również nie żyli, a Dorka pamiętała dokładnie, że Stach osobiście dopilnował, by okadzić cały inwentarz Bąków: i starą krowę, i siwiejącego konia, i kilka kurek biegających po podwórku. Sam przyniósł od Rózi poświęcone badyle. Obchodził z nimi zbity z lichych desek kurnik i budę dla psa jeszcze w wigilijne popołudnie, kiedy w domu trwały ostatnie przygotowania do wieczery. Teraz okazuje się, że to średniowieczne zabobony. Niepostrzeżenie jej Stach zrobił się bardzo postępowy. Nawet wyglądał jakoś bardziej nowoczesnie, trochę inaczej niż na Podhalu. Człowiek na miarę nowych czasów i wyzwania, jakie szykowały mu życie i ojczyzna. Ostatnio przywiózł sobie z Kłodzka kaszkiet z małym daszkiem i nosił go, kiedy tylko pogoda na to pozwalała. Cud, że do wieczery zasiadł ubrany tradycyjnie, w góralskiej koszuli i portkach przywiezionych z Podhala. Byli gotowi. Poród już trwał. Jeszcze chwila i na świecie pojawi się kolejny blondyn o niebieskich oczach.

Dorka przypomniawszy sobie życzenia, które jej ojciec składał im co roku. Takie same, od kiedy pamiętała. Stał przy stole i czekał na ciszę. Rodzina była gotowa, ustawieni w rzędzie patrzyli na niego. W końcu zanurzał swój opłatek w miseczkę z miodem i zaczynał mówić. Dorka zamknęła na chwilę oczy i przypomniawszy sobie głos ojca. Jego wigilijne życzenia znała na pamięć:

– Cobyście mieli telo wołków, kielo na dachu kołków. Telo cielicek, kielo w lesie jedliczek. Telo łowiecek, kielo w mrowiecznioku mrowiecek. Cobyście się zgadzali – tu przerywał i surowo spoglądał na Dorke, Michała, Kaśkę i Baśkę – jako w niebie janieli.

Serce ją zabolalo. Dlaczego kłujesz, głupie serce, za czym tęsknisz? Czy za ojcem surowym, co z dziećmi rzadko rozmawiał, a często warczał? Czy za matką-szmatką, poświęcającą więcej uwagi temu, by doprowadzić do błysku podłogę niż problemom ludzi wokół? Za siostrami, które z rzadka zapraszały Dorke do swojego tandemu? Za przygnębieniem ściągającym ramiona? Za rozpaczą? Za pielęgowaną, podlewaną, niekończącą się żalobą?

Tak. Za tym wszystkim. Głupie serce tęskni za tym, co zna. Głupie serce właśnie przekonuje się, że na fundamentach świata, z którego uciekło, niełatwo zbudować nowe życie. Głupie serce, przestań tęsknić. Głupie serce, bierz się do życia. Nie czas na sentymenty. Czas na życzenia. Niemiecki ksiądz nie miał opłatka. Dorka była niepoczyszona. Za rok w Porębie będzie opłatek, obiecała sobie. „Za rok w ich domu” – mantrowała od początku grudnia. Przyszłoroczne święta miała zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, dopieszczony każdy detal.

Tymczasem należało obejść tegoroczne.

Stanęli naprzeciwko. On wystrojony, ona wystrojona. Popatrzyli na siebie trochę zdziwieni. To już? W końcu Stach zanurzył kawałek chleba w miodzie i odezwał się. Był zdecydowanie mniej wylewny niż stary Kulas. I – Dorka widziała to już od jakiegoś czasu – usilnie pracował nad tym, żeby nie było słyhać w jego języku Podhala. Starał się panować nad akcentem słów wyfruwających mu z ust.

– Wszystkiego dobrego, Dorka – powiedział, patrząc na przestrzeń nad nią. – Wesolych świąt!

– Wesolych, Stasiu! – odpowiedziała, próbując przyciągnąć jego spojrzenie. – Oby ostatnich z Niemcami na karku.

Wzruszył ramionami.

– Wyjadą – powiedział. – W końcu wyjadą, Dorka. Przecież wiesz.

Pochylił się nad żoną i nieuważnie cmoknął ją w policzek. A potem zasiadł za prowizorycznym stołem z szafek nocnych, przykrytych białym obrusem, który Dorka wyciągnęła z szuflady Niemki.

Stach nogi rozstawił szeroko, skulił plecy, nie miał się o co oprzeć. Był gotowy do świętowania. Dorka ruszyła do kuchni. Noworodek przeciskał się przez drogi rodne, święta matka parła.

W kuchni było pięknie. Płomyki świeczek migotały na choince. Ich ciepłe światło spływało na uroczystego Niemca, uśmiechniętego, ogolonego gładko, w białej koszuli, Niemkę w jasnej bluzce i trójkę ich dzieci, odprasowanych i odświeżonych. Wszyscy się uśmiechali, nawet dziewczynka, która wyjątkowo uczestniczyła tego wieczoru w życiu rodziny. Na Dorkę nawet nie spojrzała. Jej mama coś właśnie nalewała do talerzy.

Dorka też miała zupę. Tradycyjnie, tak jak w jej rodzinnym domu, barszcz z buraków, które kiszyła już od początku grudnia. Niosła talerze do pokoiku za kuchnią, mijając Niemców bez słowa. Z uwagą patrzyła w zupę, starając się, by nie poplamiła swej najładniejszej koszuli i spódnicy w kwiaty. Pachnące talerze postawiła na udawanym stole i zaczęli jeść. Nie było za bardzo o czym rozmawiać. Z kuchni dobiegał cichy śmiech dzieci i odgłosy krzątania. Niemka serwowała drugą potrawę.

– Smakuje ci, Stasiu? – Dorka przerwała milczenie.

– Tak. Dobra zupa, Dorka – odpowiedział jej mąż. Spojrzenie miał ciężkie, oczy podkrążone. Zmęczony, jakby to on przygotował wszystkie wigilijne potrawy.

Usta otwierali tylko po to, żeby wkładać do nich łyżki.

Brzuchy im się rozgrzały od zupy, od fasoli, od kiszonki, która dojrzewała w słoju tygodniami. Serca pozostały raczej chłodne i niemrawe.

Dorka była apatyczna i zmęczona.

Zebrała talerze i weszła do kuchni pięknej jak z obrazka. Dzieci siedziały z rumieńcami na buziach i próbowały tego, co Niemka nakładała im na talerze. Niemiec z uśmiechem przyglądał się żonie, jedyną ręką jadł sam i pomagał starszemu synkowi. Dziewczynka miała ciekawsze sprawy do robienia niż przyglądanie się Polce, która wprowadziła się do domu jej rodziców.

Dorka przygotowała kilka misek, które zapełniła stojącymi na piecu potrawami. Wszystko pachniało wybornie. Kapusta z grzybami i ziemniakami wyszła jej wyśmienita. Dokładnie taka, jaką robiła mama. Temperatura była idealna, niemieckie miski, w których niosła swoją wigilię do pokoju, wyglądały elegancko. Serwetki haftowane na czerwono i zielono, które położyła na obrusie, też tworzyły klimat. Nie mamy tylko stołu, pomyślała Dorka. Nie mamy stołu, żeby świętować jak tamci. Żeby nucić pod nosem kolędy, żeby wygodnie się rozpierać, żeby patrzeć na

przejęte twarzyczki naszych dzieci. Za rok to my będziemy siedzieć tam, a oni zajmą miejsca przy zupełnie innym piecu. Tak sobie powtarzała, choć gdy patrzyła na niemiecką rodzinę, zaczęła ją uwierać myśl, że w małym pokoju naprzeciwko kuchni brakuje czegoś innego niż stół.

Kiedy weszła, Stach siedział skulony na łóżku. Niczego nie prężył, przed nikim się nie starał, rozluźnił się zupełnie. Gdyby Renate mogła teraz na niego spojrzeć, nie widziałaaby twardych mięśni i kokieterijnego uśmiechu. Widziałaaby wydęty brzuch pełen kiszonych buraków i fasoli oraz opiętą na nim koszulę. Widziałaaby zgarbione plecy i przylizane włosy. A także paznokieć małego palca, którym wydłubywał kawałki fasoli pomiędzy zębów.

Dorka spojrzała na bordową plamę odcinającą się od odświetnej koszuli męża. Postawiła przed nim tacę z kolejnymi daniami. Zaczęli jeść. I znowu nie mieli sobie wiele do powiedzenia:

- Dobra kapusta.
- Dobrze, że ci smakuje.

Jezusek od dawna był na świecie. Barany i cielęta przestały się już dziwić ludzkiemu dziecku, które pojawiło się w ich domu. Dorka zbierała miski i talerze. Kolejna porcja jedzenia czekała na podanie.

Święta to od zawsze były moskole i bukty. Wystarczył ich zapach, żeby Dorka stawała się znowu dzieckiem. Starła się nie patrzeć na niemiecką dziewczynkę i jej rodzinę, choć świeczki na choince wciąż pięknie migotały. W kuchni było tak, jak powinno być w Wigilię przy rodzinnym stole.

Nakładała bukty. Nakładała moskole. Szykowała śmietanę. Szykowała kompot. Już chciała częstować męża kolejnym smakiem świąt.

Ale Stach nie czekał ani na bukty, ani moskole. Nie czekał na śmietanę. I nawet kompot nie był mu potrzebny, żeby popić te wszystkie smakołyki. W nagrzanym od pieca, ciepłych potraw i oczekiwań Dorki pokoiku położył się na chwilę na łóżku. Miętko mu było i wygodnie. Przymknął na chwilę oczy.

Dorka zastała go leżącego na wznak z otwartą buzią i nienaturalnie wygiętą do tyłu głową. Ręce miał złożone na brzuchu, stopy oparte o podłogę. Chrapał tak głośno, że słyszeli go chyba niemieccy gospodarze.

– Stachu! – szturchnęła męża w bok. – Stachu, obudź się! Mam moskole i bukty. Mamy wigilię. Budź się, Stasiu!

Mąż mruknął coś niewyraźnie pod nosem i odwrócił się na bok. Zamlaskał dwa razy i znowu zaczął chrapać.

Następnego dnia obudził się w świetnym humorze.

Kiedy Dorka rozsiadła się wygodnie przy stole Łabowiczów, pomyślała, że czeka ją dobre popołudnie. Dokładnie takie, jakie zawsze chciała mieć. Dokładnie takie, jakie dotychczas mogła sobie tylko wyobrazić. Sama nigdy nie przeżyła bowiem świąt, które płynęłyby wartko, gładko i przyjemnie. W całym życiu nie doświadczyła takiego biesiadowania, takiego bycia razem, dogadzania jedzeniem, opowieści i uważnego słuchania siebie nawzajem. Śmiali się, pili wino zrobione przez Łabowicza z winogron, które wyrosły daleko, na wschodzie, pod Stanisławowem. Słuchali kołęd, które wygrywał na harmonii.

Miała wrażenie, że po podróży, po wyczerpujących zachwytach i rozczarowaniach, po nieodbytych i niedokończonych rozmowach, po przedłużającej się obecności gospodarzy, po tych wszystkich długich tygodniach, wreszcie znalazła się w prawdziwym domu. U Łabowiczów czuła się bardziej u siebie niż u Kulasów na Podhalu, w rodzinnej chacie, gdzie każdego dnia trzeba się było przedzierać przez gęstą mgłę żałoby. U Łabowiczów nie było ani mgły, ani błota. Sąsiedzi Dorki i Stacha wszystkie swoje smutki i nieszczęścia trzymali pod kontrolą.

Jedzenie było pyszne.

Wino było słodkie i szybko uderzało do głowy.

Pani Łabowiczowa chwaliła moskole, Dorka przyniosła ich na srebrzonej tacy Ewy całą górę.

– Wspaniale, pani Doroto – powtarzała. – Proszę jeszcze raz przypomnieć, jak je nazywacie? Moskale?

– Moskole, pani Wando. Mówimy „moskole” – odpowiadała z uśmiechem Dorka. – Często je jadamy, a już w Wigilię obowiązkowo. To nic trudnego.

– Proste jedzenie jest najlepsze.

Łabowiczowa była miła i ciepła. Łabowicz uśmiechał się przyjaźnie. Dopytywał, jak im się żyje w Porębie:

– Miejsca chyba macie dosyć?

– Tak, dom jest duży – odpowiadał Stach. – Podobny do waszego.

– Nasz domek pod Stanisławowem był o połowę mniejszy, ale wygodny. Przyjechaliśmy do Poręby jako jedni z pierwszych. I dostaliśmy gospodarstwo, które jako jedno z pierwszych było wolne.

Uśmiech nie schodził z ich twarzy.

Weronika, cichutka, ładna i spokojna, zносиła na stół kolejne potrawy, pomagała Łabowiczowej bez szemrania i bez proszenia, wyręczała ją w obsłudze gości. Podsuwała Dorce co lepsze kąski.

– Spróbuj pierogów! – zachęcała, z nieschodzącym z twarzy uśmiechem.

– Mama robi najlepsze w całej Porębie. Co tam, w Porębie! Na całym Dolnym Śląsku!

Mówiła miękkim głosem i z miękkim akcentem. Akcent całej trójki topił serca. I tyle w nich było rodzinnej miłości! Każdy powinien mieć mamę taką, jak pani Wanda. Móc wtulić się w bujny biust, pozwolić się karmić oraz rozpieszczać. Każdy zasługuje na tatę takiego, jak pan Tadeusz. Na to, by podstawić głowę pod szorstką dłoń, żeby głaskała, i słuchać spokojnego objaśniania świata. Dać się poprowadzić przez życie za rękę tym mądrym i dobrym ludziom.

Dorka odpoczywała. Dorka czuła ulgę. Dorka przymykała oczy i cieszyła się każdą minutą spędzonego wspólnie czasu. Nikt nie szwargotał. Wreszcie otoczona była ludźmi mówiącymi po polsku.

Dorka była w domu.

Weronika nie poruszała innych tematów poza kulinarnymi. Była niezwykle spokojna. Jak niebo przed burzą. Jak Warszawa w sierpniu trzydziestego dziewiątego. Usuwała się z drogi i wiele o sobie nie mówiła. Dorka nigdy nie widziała jej zdenerwowanej. Nigdy nie widziała jej smutnej. Nigdy nie widziała, by sąsiadka zdradziła, co się w niej dzieje.

Za to słyszała, o czym szeptano po kątach. Wiedziała, że i Weronika ciągnie za sobą bagaż doświadczeń. Miał czarne oczy i czarne włosy, zupełnie inaczej niż polski Jezusek. Inaczej niż Łabowiczowie, płowi i jaśni.

To była pamiątka, którą zostawił w Weronice któryś z żołnierzy. Nie wiadomo który – czwarty z kolei? Szósty? Może dziesiąty? Było ich dziesięciu? Nie wiedziała ilu. Najpierw liczyła, potem płakała, w końcu

trzeci uderzył ją pięścią w twarz i przestała płakać. Potem nasłuchiwała, czy z domu dochodzą jakiegokolwiek odgłosy. Ciężko było usłyszeć cokolwiek z piwnicy przez pijacki bełkot żołnierzy. Pamiętała, że przy pierwszym i drugim docierały do niej płacz i krzyki. Słyszała tatulka i mamulkę, ich lamenty i podniesione głosy. Potem zapadła cisza. Tylko w uszach Weronice dzwoniło i świszczowało po ciosie trzeciego. Cały czas próbowała przez pokrzykiwania żołnierzy złapać jakiś znak życia z góry. Dosłyszeć cokolwiek. Szybciej mijał wtedy czas, który zmieniał Weronikę na zawsze. Zmieniał ją na całe jej życie. Zmieniał to, co myślała o świecie. Zmieniał jej głowę, jej serce. Zmieniał jej ciało. Zmieniał jej rodziców, mamę i tatę. Zmieniał ich trzyosobową rodzinę. Łączył ich ze sobą jeszcze ściślej, nierozzerwalnie.

Kiedy Weronika się ocknęła, leżała na swoim łóżku. Nie było widać żadnych żołnierzy, nie było czuć ich smrodu, nie było słychać odgłosów frontu. Żadnego strzału, żadnego niepokoju w powietrzu, który wypełniał ich wieś, ich dom, ich kuchnię i pokoje, kiedy wojna była blisko. Przez chwilę nie otwierała oczu i udawała, że wszystko, co zaszło, się jednak nie wydarzyło. Że żołnierze – ilu ich było – nie wdarli się do ich chałupy. Że nie zażądali od ojca wódki, którą wypili przy stole na stojąco. Że nie znaleźli jej, schowanej, za piecem, pod derką. Że nie ciągnęli jej za rękę po schodach na dół, że nie ciągnęli jej za warkocz. Że nie rechotali przy tym gardłowo. Że nie zdzierali jej spódnicy już na schodach, że nie słyszała brzdęku odpinanego paska. Brzdęk, brzdęk, brzdęk. Ten odgłos, uderzanie metalu o metal, to była obietnica: zaraz zrobimy z tobą, co chcemy, *diewoczka*. Zaraz cię przeoramy, *krasawica*. Zaraz podejdziemy do ciebie tak blisko, jak jeszcze nikt nie podszedł nigdy. Po kolei, jeden po drugim.

Obietnicę wybrzęczaną przez paski wypełnili co do joty, z nawiązką.

Leżała z zamkniętymi oczami i udawała, że nie boli jej potłuczona głowa. Że nie boli policzek spuchnięty od uderzenia, że nie ma ust spierzchniętych na popiół. Udawała, że brzuch nie boli jak palony ogniem, ale na proch nie chce się spopielić. Przeciwnie, boli, ale kwitnie. Boli, ale pączkuje.

Kiedy w końcu otworzyła powieki, zobaczyła ojca wpatrującego się w nią ze smutkiem. Oko miał podbite, włosy rozczochrane, był blady, jak nigdy wcześniej.

– Matka! – krzyczał, a łzy leciały mu po policzkach. – Matka! Weronika się obudziła!

Słyszała tupot stóp, widziała głowę mamy w futrynie, czuła, że głaszczą ją po dłoniach. Odwracała od nich głowę. Próbowwała odwrócić myśli od tego, co się stało dwie godziny wcześniej, ale ciągle słyszała: brzdęk-brzdęk-brzdęk.

Dziewięć miesięcy potem przyszedł na świat Jaśko – czarnooki i czarnowłosy. U Łabowiczów nigdy takiego nie było. Siedział właśnie na kolanach dziadka Tadeusza i uśmiechał się do Dorki szelmowsko. Niepostrzeżenie próbował ściągnąć ze stołu talerz z barszczem i uszkami.

Jasiek pił mleko krowy od urodzenia, bo mama nie chciała go przystawić do piersi. Nie chciała go także urodzić, zamiast otwierać ciało i cierpieć za grzechy, zamykała je i nie czuła wiele. Dzieciak wyrывał się na świat, ona z nim nie współpracowała. Nie zamierzała. Miała wrażenie, że pomagając mu, pomaga jego ojcu. Pierwszemu, drugiemu albo dziesiątemu. Że pomaga wszystkim takim jak oni. Rozrywającym dziewczyny po piwnicach. Niszczącym ich podbrzusza. Niszczącym ich spokój. Niszczącym ich życie. Nie chciała współpracować z dzieciakiem ani z armią jego ojców. Nie chciała o nich myśleć. Chciała o nich zapomnieć. Maluch w końcu wyskoczył na zewnątrz – nie tak łatwo powstrzymać dziecko, które wyrывa się na świat. Rósł na krowim mleku jak pączek w maśle i nie wiedział nawet, że mama nie chce go tulić do piersi, nie chce go mieć zbyt blisko. Był czarną kropką, która zakończyła dla nich wojnę. Został z nimi. Uczyli się go kochać. Dorka widziała, że sarkofag w Weronice wypełnia ją całą. Dusi, obciąża, przytłacza. Ale Weronika żyje i stara się. Dorka widzi jej dłoń głaszczącą dzieciaka. Widzi zaangażowanie w pomoc mamie. Widzi uśmiech przyklejony na stałe. Widzi też, że jej Stach przy Weronice zachowuje się normalnie. Jeśli się do niej uśmiecha, to swoim normalnym, zawadiackim uśmiechem, a nie tym wypracowanym na potrzeby pań.

Jeśli mówi:

– Poczekaj, Weronika, pomogę ci – to dlatego, że wieża z talerzy, którą dziewczyna ułożyła, chwieje się niebezpiecznie. Zabiera więc część z nich, niekoniecznie prezentując przy tym swoje twarde mięśnie.

Tym bardziej Dorka lubi Weronikę. Patrzy w jej błękitne oczy, patrzy w jej sarkofag i rozumie więcej, niż usłyszała. Wie już, że Weronika nie

może opowiedzieć o tym, co ją spotkało, bo tego nie potrafi. Nie jest jeszcze w stanie pojąć, jakie to będzie miało skutki dla niej, dla jej mamy i taty. I dla jej Jaśka, którego powoli, z mozolem zaczyna kochać, choć oczy ma czarne i włosy też, a skórę ciemną, zupełnie inną niż Jezusek, co się urodził wczorajszego wieczoru.

Dobrze Dorce u Łabowiczów, wychodzić się wcale nie chce i na szczęście wychodzić nie trzeba. Mały Jaśko już zasnął, pyzată buzię oparł o koszulę pana Tadeusza, śniady paluszek włożył do buzi. Słodki był i śliczny ten maluch. Fałdek miał dużo i dołeczków. Widać, że służyło mu krowie mleko i rósł na nim zdrowo, nie mając świadomości tego, ile problemów miał jego dziadek z krową, która przyjechała z nimi aż spod Stanisławowa.

– Nasza krowa podróżniczka nadal karmi Jaśka. Mieszka w stodole. – Pan Tadeusz wskazał okno, za którym rozciągały się zabudowania gospodarze.

Weronika zabrała synka na ręce. Nie obudził się, tylko wtulił ufnie w jej ramię. Pocałowała bezwiednie czarne loczki.

– Zaniosę go do łóżka. Czas na niego.

– Śpij słodko, słodki Jaśku – Dorka z uśmiechem żegnała malucha, głaszcząc delikatnie jego stópki.

Pan Tadeusz wstał od stołu.

– No, moi kochani. Czas na wino. Kieliszki już suche.

I dolewa wszystkim słodkiego, mocnego trunku, który sam zrobił. A Stach dopytuje go o szczegóły produkcji.

– O, panie Staszku! – zapowiada Łabowicz. – To ja panu kiedyś pokażę. Gąsior do tego jest potrzebny porządny. Pomyślałem „raz kozie śmierć” i zapakowałem go do skrzyni przed wyjazdem. Potłucze się, to się potłucze, trudno. Ale cudem dojechał! Uda nam się tu wyhodować winorośl, to zrobimy jeszcze wino razem, panie Staszku.

A Stach patrzy w niego zachwycony i szczęśliwy. Spija każde słowo z ust starego Łabowicza i głowę podkłada do głaskania pod szorstką dłoń, myśląc o swoim ojcu, który usychał, usychał, aż usechł na dobre. Łabowicz nie schnie. Rodzinę przewiózł przez całą Polskę, razem z krową i gąsiorem do wina. Bierze dzieci – swoje i cudze – za rękę i prowadzi przez świat.

Dorka dawno nie słyszała, żeby Stach tak dużo opowiadał o sobie. Ma zaczerwienione policzki. Język rozsznurowało mu wino. Mówi o Podhalu

tyle, że Dorce rodzinna wioska staje przed oczami.

– U nas wciąż jest tak, jakby się wojna nie skończyła. Ciągłe nie wiadomo, kto rządzi i dlaczego.

– Tak jest wszędzie, panie Stasiu – wtrąca Łabowicz. – Tu też nie ma porządku.

– Nie ma, panie Tadeuszu. To prawda. Jest chaos. Ale mamy Piotrowskiego i Urząd Repatriacyjny. Mamy wyznaczony kierunek. Na Podhalu, gdyby Piotrowski nie spodobał się chłopcom z gór, toby go po cichu sprzątnęli.

Zapada cisza. „Chłopcy z gór”. Dorca nie słyszała o nich od tygodni. Pamięta czasy, gdy budzili w niej nadzieję. Pamięta czasy, gdy budzili grozę. Przed oczami staje jej Michał uciekający przed niemieckimi żandarmami do lasu. To tam, wśród „chłopców z gór”, czuł się bezpieczny. To tam, wśród nich, zarobił kulkę.

– To kto tam rządzi? – dopytuje Łabowicz.

– Zależy, gdzie – wyjaśnia dalej Stach. – Ci z gór zabijają każdego, kto im podpadnie. Nie boją się milicjantów, nie boją się UB. W niektórych wioskach przejmują całkowicie władzę.

– A ludzie ich lubią?

– Jedni lubią, inni się boją. Ale zawsze znajdzie się ktoś, kto ich przenocuje. Zawsze znajdą się tacy, którzy ich nakarmią. A jak było wesele, najważniejsze w okolicy, to baby piekły ciasta trzy wioski dalej. Muzyka grała, chłopcy pilnowali spokoju. I był spokój. Na tym weselu bawiło się całe Podhale.

– To chyba ludzie im sprzyjają?

– Jak którzy. Jak z Ochotnicy, to sprzyjają, bo im chłopcy przyprowadzili całe stado krów. Janosiki francowate! Chłopom na Spiszu zabrali i naszym oddali. Górale z Ochotnicy długo im tego nie zapomną. Ale jak który z rodziny Kaśki, co ją zabili, a dziecko pod sercem nosiła, to raczej nie mogą liczyć na szacunek.

– Kobietę w ciąży zabili? – Łabowicz kręci głową z niedowierzaniem. – Wiadomo dlaczego?

– Wiadomo – nie wiadomo. Podobno z sąsiadką przy płocie pytlowała i nazwała ich bandytami.

– O mój Boże! Co za dzicz!

– Rządzi nimi taki jeden, co patrzył, jak mu szwaby podpalają obejście, razem z jego ojcem, żoną i synkiem. Patrzył, jak mu się chałupa hajcuje, patrzył, jak mu się rodzina hajcuje, i nic nie mógł poradzić. Złość w nim została do dzisiaj. Czasami jedno złe słowo wystarczy, żeby im się narazić. Nie lubią Żydów, nie lubią Słowaków, nie lubią repatriantów ze Wschodu. Nikogo nie lubią. A jak im się kto nie podoba, to strzelają. Ludzie wojnę przeżyli, a po wsiach ciągle padają trupy. Kto im stanie na drodze, ten dostaje kulkę w łeb.

Dorka zamarła. W głowie słyszy głos swojego ojca, jakby siedział obok. Zmartwiały, skrzywiony, powtarza to samo co każdego dnia. Jeżeli w ogóle otwiera usta, żeby się odezwać, to wylatuje z nich jedno zdanie, które nie pozwala mu ani żyć, ani zabrać się za własne umieranie.

– Nie umrę, dopóki nie dowiem się, kto zabił mojego syna. Nie umrę, dopóki nie dowiem się, kto to zrobił – mówi stary Kulas, a Dorka go słyszy, choć siedzi teraz tutaj, przy stole bez płamy po barszczu, kilkaset kilometrów od Podhala.

Dociera do niej każde wypowiedane przez ojca słowo. Czuje tę samą zimną mgłę, którą czuła w domu Kulasów. Czuje, jak ściąga ją w dół, pod ziemię, do grobu Michała. Czuje, jak kładzie ją obok martwego brata i nie pozwala złapać oddechu. Dorka siedzi bez drgnienia, tylko pot spływa jej po plecach. Pot zimny jak mgła, która zabrała ją na cmentarz.

Ojciec minę ma taką samą jak zawsze, zaciętą, bez uśmiechu. W domu nad moskolami, które zostały z wczorajszej kolacji, siedzą obok niego Kaśka, Baśka i mama. Siedzą i słuchają tych samych słów co zwykle. Dorka jest kilkaset kilometrów od wioski i też je słyszy. Nie reaguje na to, co mówi Stach, tak jak nie reagowała na to, co mówił ojciec. Siedzi bez ruchu, jakby jej nie było, zanurzona w sobie, a nie w tym, co dzieje się przy stole w Porębie, nad kieliszkami napełnionymi po brzegi słodkim winem. Stach nie widzi, że zamarła. Stach mówi i mówi. Bez przerwy.

– Albo tę kobietę z Waksmundu, pamiętasz, Dorka? – Nie patrzy na nią, nie czeka na potwierdzenie. – Wezwali ją do lasu, matkę dwójki dzieci. Jak chłopaki z lasu wzywają, to nie ma, że się nie pójdzie. Każdy to wie. Jak kto nie przyjdzie, to od razu kulka w łeb. Coś im się w niej musiało nie spodobać, bo ją zastrzelili. A wcześniej jeszcze użyli kobity, podobno, jeden z drugim...

Zamknął się. Wreszcie. W końcu zorientował się, że gada za dużo, a myśli za mało. Wreszcie zobaczył, że Dorka jest blada i nieruchoma, a Weronika ma głowę spuszczoną tak nisko, że brodą dotyka serca. Dostrzegł, że pan Łabowicz mruga szybko, a Łabowiczowa zerwała się na równe nogi, żeby pozbierać talerze, które stały na stole po kolejnym ze świątecznych dań.

Z głowy Dorki wyskoczyli matka, ojciec i Michał. Wskoczyły do niej Anula i Iza. Wskoczyły Kaśka i Baśka, i nawet Grażyna z Kubą, przyczepionym do spódnicy też. Była tam Weronika, choć przecież z innego świata. Była Zosia. Siostry, matki, córki, sąsiadki. Siedziały wszystkie w rzędku, w głowie Dorki, i bały się. Myślały o kobiecie z Waksmundu, myślały o tym, co jej zrobili żołnierze z lasu. Myślały i myślały, bo mówić o tym nie było jak. Można było tylko wyliczyć, jak w dzieciństwie. Jak w dziewczynstwie.

– Dlaczego żołnierze mogą z nami robić, co im się podoba?

– Pomidor – opowiedziała Weronika.

Pomidor, przytaknęły wszystkie. Pomidor, pomidor, pomidor – powtarzały w takt napinających się brzuchów, ud, kolan. W takt paznokci wbijających się w dłonie. Pomidor, myślała Dorka. I poczuła, że ze strachu boli ją brzuch. Boli ją brzuch, jak je wszystkie.

Stach wreszcie milczał. Poniewczasie. Oddychał tylko szybko, za szybko i zbyt głośno. Już wiedział, że powiedział za dużo.

– Ja... – zaczął. – Ja tylko chciałem...

Ale Łabowiczowa machnęła w jego kierunku ręką.

– Nic, nic – uciszyła go. – Podamy teraz kutię. Jedliście kiedyś kutię, pani Doroto?

Dorota nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Nie była w stanie zaprzeczyć głową, że nie, nie. Że nie ma pojęcia, co to jest kutia. Nie, nigdy jej nie jadła. I dopiero w Porębie zrozumiała, że nie wszyscy podają na wigilijną kolację to samo, co mama Kulasowa. Nie mogła nic powiedzieć, bo usta ciągle nie chciały się otworzyć. Ciało ani drgnęło. Ręce, brzuch, nogi, palce, policzki i stopy – wszystko zamarło. Wszystko bolało.

– Pani Doroto?

Nic. Nic. Nadal nic.

– Dobrze. Przyniesiemy – mówiła Łabowiczowa głosem sztucznie spokojnym. Chciała zaczarować sytuację i przywrócić tę sympatyczną atmosferę, która jeszcze chwilę wcześniej wypełniała pokój. Przywrócić opowieści o jedzeniu i winie z winogron spod Stanisławowa. Przywrócić harmonię, kolędy, uśmiech na twarzy Tadeusza, który zniknął tylko wtedy, kiedy wydawało mu się, że żona na niego nie patrzy. Uśmiech na twarzy Weroniki, który przykrywał dziurę w jej sercu.

– Chodźmy razem – zwróciła się do córki.

Ta podniosła głowę, spojrzała na matkę. Twarz miała ściągniętą. Wyglądała, jakby odpłynęła z niej cała krew. Co do kropelki. Dorka patrzyła na Łabowiczową i jej córkę, ale nie było ich już widać. Ciała, oczy, serca przysłonięte miały przez sarkofagi większe od nich samych. Sięgały babki Weroniki i jej czarniawego synka. Sięgały nawet dzieci, które kiedyś mu się urodzą. Sięgały także dzieci ich dzieci. Gorycz, którą żołnierze napełnili sarkofag w Weronice, rozleje się na nich szeroką rzeką, której nurt będzie truł wszystkich wokół jeszcze przez wiele pokoleń.

– Chodź, córko – Łabowiczowa próbowała wyrwać wszystkich z odrętwienia. Wzywała do życia. Do świętowania. – Pomożesz mi. Podamy kutię.

Zbierała naczynia, zbierała sztuce. Była pozornym spokojem, ale Dorka widziała dokładnie, że jej sarkofag buzuje i kipi. Łabowiczowa – matka, której dziecko zostało skrzywdzone – patrzyła na cierpienie córki i nie wiedziała, czy cokolwiek może je zakończyć. Próbowwała jednak przywołać wszystkie znane sobie sposoby, by jej Weronika przestała wciąż od nowa odtwarzać w głowie to, co spotkało ją w piwnicy ich małego domku pod Stanisławowem. Próbowwała przywołać święta. Walczyła o święta. Walczyła o to, by uczcić Jezuska urodzonego wczoraj. By wypić za jego zdrowie. By skupić się na tym, co jasne i dobre. Na tym, co nadejdzie. Wojna minęła. Mają domy. Mają przyszłość. Mają życie. Trzymała się, mówiła o kutii, zmieniała temat. Ruchy miała jednak zbyt nerwowe, zbyt szybkie gesty, zbyt napięte mięśnie. Widelce kładzione na talerze obijały się o noże. Talerze obijały się o miski.

Brzdęk-brzdęk-brzdęk.

Weronika się zerwała. Stała wyprostowana jak struna, na baczność, jak na froncie.

Brzdęk-brzdęk-brzdęk.

– Nie! – krzyknęła głośno.

Dorka w końcu wyrwała się z otępienia. Poruszyła palcami dłoni. Przekręciła głowę z prawej strony na lewą.

– Nie będę przynosić żadnej udawanej kutii!

– Kochanie – łagodziła Łabowiczowa, ale daremnie.

Mówiła do dorosłej kobiety jak do dziecka. Próbowła zasiać w sercu córki spokój. Próbowła ugasić w nim pożar. Weronika jednak jej nie słuchała. Weronika krzyczała, jakby miał ją usłyszeć ojciec Jaśka i wszyscy pozostali ojcowie, co rozsiali swoje dzieci wzdłuż frontów długiej i męczącej wojny:

– To nie jest żadna kutia! To jest powojenne udawanie. Całe nasze życie to jest powojenne udawanie!

Odepchnęła matkę, która poleciała na ścianę, odbiła się od niej i upadła na podłogę, a talerze, które trzymała w ręce, rozsypały się, potłukły. Kawałki porcelany z niemieckimi napisami na dnie potoczyły się w najdalsze kąty pokoju. Weronika wybiegła, trzaskając drzwiami. Łabowiczowa siedziała przez chwilę i patrzyła na rozrzucone szkło i widelce i noże. Potem spojrzała na gości.

– To nic – powiedziała. – Zaraz posprzątam. Zaraz przyniosę kutię. Mamy dużo talerzyków. Niemcy zostawili.

Podniosła się z trudem i poszła do sieni poszukać miotły.

Dorka przeniosła wzrok na Łabowicza. Siedział z głową opartą na dłoniach. Ramiona mu drżały, broda mu drżała. Po policzkach płynęły łzy.

Stach, klęcząc przy stole, zaczął zbierać kawałki porcelany.

Tej nocy leżeli obok siebie pod pierzyną babci Hanki i trzymali się za ręce. Rzadko to ostatnio robili. Rzadko się dotykali. Tak dobrze zaczynał się ten wieczór, a zakończył takim wielkim smutkiem. Dorka myślała o rozpaczach Weroniki. Zamknęła oczy, zamknęła usta i czekała na sen, który nie nadchodził. Pośrodku czarnej nocy, ze słodkim winem ciągle jeszcze krążącym w żyłach, zatęskniła za swoim koszyczkiem z nitkami.

Stach pociągnął ją za rękę i przytulił. Leżał bliźniutko, głaskał Dorkę po głowie. Pocałował ją w czoło, pocałował ją w nos, pocałował w usta. Zaczął całować jej szyję. Chciał być blisko. Dawno nie byli blisko.



STYCZEŃ

EVA

Do siego!

Nastał. Trwał od godziny. Nowe szanse, możliwości, niespodzianki. Nowe trudy, wybory, upadki. Nieprzywitany godnie, niewitany wcale, dotarł do Lichtenwalde, choć nikt go nie wyglądał. Nowy rok. Ten, który zakończy przedłużającą się tymczasowość. Ten, którego Eva się boi.

Leży na łóżku na wznak z szeroko otwartymi oczami. Nos ma zatkany, płuca świszczą przy każdym oddechu. Peter obok pokasłuje, obraca się z boku na bok. Dzieci budzą się z płaczem częściej niż zwykle, marudzą, są rozgorączkowane i zakatarzone. Eva nie jest pewna, czy tym razem nie śpi z powodu własnych myśli, czy też budzą ją cudze dolegliwości.

W tym roku nie ma fajerwerków. Zawsze lubiła ostatnie dni grudnia. Październik przynosił do Lichtenwalde piękno i obietnicę, końcówka grudnia – magię. W przewidywalnym, precyzyjnie zaplanowanym życiu, rozpisanym na powtarzające się sekwencje, był to czas powrotu do dzieciństwa, do kojących smaków i zapachów, do ciepłego brzucha mamy, do tego, co się zna najlepiej, bliskiego od zawsze. Czas gromadzenia energii na kolejne miesiące.

Eva co roku z oddaniem przygotowywała całą rodzinę na te przyjemne dni. Tym razem przespała północ. Nie ona jedna.

Światła pogaszone, okna ciemne, wszyscy w domu chcą tylko spać i odzyskiwać siły. Pod leśniczówką nikt nie ma ochoty do zabawy. Nie ma zupy z soczewicy, nie ma pączków ani sektu pitego z jednego kieliszka. Nie ma też nikogo, kto miałby siłę ten kieliszek stłuc, by przyniósł szczęście na nadchodzące miesiące. Nie ma roztopionego ołowiu, który przybiera w wodzie kształty przyszłości. Zresztą tego roku Eva chyba wolałaby jej nie odkrywać. Wiadomo już, że wielka zmiana nadejdzie. Nie da się zakłąć rzeczywistości, zamrozić jej, zatrzymać świata. Życie płynie. Do Lichtenwalde napłynęła Polska. Zalała ich piękną, spokojną krainę brzydkimi słowami, krzywym napisem na sklepie, chaosem i prowizorką. Kobietami o ziemistych cerach i zmęczonych oczach, które dopiero przypominają sobie, że usta mogą służyć również do uśmiechu. Mężczyznami, którzy podnoszą nieśmiało głowy, jakby odkrywali tę czynność od nowa. Ludźmi, którzy zaczynają patrzeć innym w oczy,

prostować plecy, stają mocniej na nogach. Powoli. Polacy przejmują Lichtenwalde. Polacy odzyskują życie. Niemców już nie ma.

Nie wiadomo, kto przywłókł do domu pod leśniczówką grypę, ale nie oszczędziła nikogo. Wszyscy – i Niemcy, i Polacy, i pełnoletni, i dzieci – kaszlą, chrypią, wycierają zaczerwienione nosy i oczy. Ostatni dzień roku przeleżeli w łózkach i kursują tylko do wychodka, albo do kuchni po kolejne porcje rosółów oraz kubki herbaty z miodem i sokiem z malin, które nie przynoszą wielkiej ulgi. Niemieckie i polskie babcie przekazały wnuczkom podobne sposoby na radzenie sobie z chorobą. Polka dodatkowo wspomaga siebie i męża syropem z cebuli posypanej cukrem. Eva przygląda się nieufnie śmierzdzącej miksturze. Sama sięga do puszki leżącej na najwyższej półce. Tam trzyma zioła od Ludmiły. Te gorzkie napary zwykle pomagały na najpaskudniejsze przeziębienia męczące jej rodzinę. Tym razem jednak grypa trzyma porządnie. Na dole, we wsi ludzie się bawią i cieszą. I Niemcy, i Polacy żegnają stare, witają nowe. Świętują, zgodnie z tradycją. Eva przypomina sobie wszystkie zabawy na koniec roku. Przed oczami staje jej główna droga we wsi rozświetlona jaskrawymi światłami. Pewnie z różnych stron słychać już odgłosy muzyki, podchmielonych rozmów, śmiechu. Ktoś się kłóci, ktoś płacze, ktoś gra na harmonii. Stare odeszło. Nowe jest. W domu pod leśniczówką cisza, stany podgorączkowe i zapalne. Nie świeci się ani jedno światło. Mieszkańcy śpią. Eva również odwraca się na lewy bok i odpływa w płytki sen.

Nie na długo.

Coś ją budzi. Coś przedziera się przez malignę, przez przesuszone śluzówki i opuchnięte powieki, przez podwyższoną temperaturę. Jakiś stuk. Obce, męskie gardła pokrzykują po polsku. Kiedy siada na łóżku i próbuje zrozumieć, co się dzieje, Peter jedyną ręką wciąga spodnie i koszulę. Chwilę później otwiera drzwi i zbiega na dół, głośno tupiąc po schodach.

– Chodź! – krzyczy do niego Polak. Też w pełnej gotowości. – Chodź! Peter! Szaber!

I już biegną w stronę drzwi. Nagle zdrowi, nagle czujni, nagle w jednej drużynie.

Szaber.

To słowo towarzyszy Evie od miesięcy. Od momentu, w którym życie zaczęło się zmieniać, w którym świat skręcił w nieprzewidywalnym

kierunku. Od kiedy ołowiane chmury zawisły nad Lichtenwalde, nad Glatz, nad Evą, jej rodziną i domem pod leśniczówką. Polacy kradną, bo mogą. Kradną, bo wygrali. Zwycięzcy biorą wszystko.

Eva domyśla się, że to ciemne okna zaprosiły do ich domu poszukiwaczy ponemieckich skarbów. Pewnie byli przekonani, że nieoświetlony w noworoczną noc dom stoi pusty. A jeśli jest pusty, to – jak to po wojnie – można go złupić. Domyśla się też – szybciej niż piękny Polak i jego szara Polka – że do ich domu próbują się właśnie wdrzeć jakieś drobne złodziejaszki. Ekipa obdarciuchów. Gdzie im tam do mistrzów w swoim fachu! Gdzie do artystów szabrownictwa, o których legendy docierały do Lichtenwalde już od wielu, wielu miesięcy.

Najpierw szli Rosjanie. Z brudnymi buciorami wchodzili w niemiecką obfitość. W dorobek bogatego narodu, który cenił pracę i porządek. Brali maszyny z fabryk, obrazy z pałaców, fortepiany z klawiszami z kości słoniowej i szafy z grubego drewna zdobione złotem. Zabrali wszystkie rowery, jakie zajechały im drogę. Zerwali każdy zegarek, jaki dostrzegli na nadgarstku. Brali kobiety. Te ostatnie po użyciu porzucali, reszta jechała na wschód. Czego nie byli w stanie zabrać – podpalali. Pozostawiali po sobie wstęgi białej ziemi.

Potem przyszła Polska. Nikt w nią nie wierzył. Nikt nie sądził, że na dłużej się rozgości w pięknych niemieckich miastach i czystych niemieckich wioskach. Nawet po Poczdamie trudno było sobie wyobrazić, że Breslau pozostanie w Polsce na stałe. Stare, wysokie kamienice, rynki i fabryczki, szkoły, szpitale i uniwersytet. Breslau był niemiecki od gleby, w którą drzewa w miejskich parkach zapuszczały korzenie, po dachówki najwyższych budynków. Polacy korzystali z okazji. Brali, póki mogli. Brali, póki niemieckie ulice, domy i sklepy znajdowały się pod ich tymczasowym zarządem. Dokładnie przeglądali to, co zostawili dla nich Rosjanie, i zaczynali szaber od tego, co najcenniejsze. Od torów, stacji transformatorowych i wagonów tramwajowych. Działali z rozmachem, na szeroką skalę, na detal nie było czasu. Do Lichtenwalde docierały opowieści o tym, że mieszkańcy Breslau tłoczą się w tramwajach, bo ich wagony jeżdżą po Warszawie. Potem pojawiły się opowieści o ceglach wywożonych z pięknego dworca kolejowego. To był szaber w skali makro. Niemiecka cegła, solidna, wypalana według doskonalonych przez pokolenia receptur, miała budować Warszawę. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt się już temu nie dziwił. Oprócz Ewy. Polskie miasta wypełnią domy stawiane z budulca,

który powstał z myśli niemieckich inżynierów i potu niemieckich rzemieślników. Każdą ulicę ozdobią pamiątki po wrogach. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Polacy się na to godzą.

Mijały miesiące, a Breslau ciągle był polski. Niemieckie cegły i tramwaje Polska ukradła zatem Polsce. W końcu nowi mieszkańcy Breslau zaprotestowali. Chcieli budować kraj na miejscu i układać sobie polskie życie w tutejszych kamienicach. Dopiero wtedy pociągi przestały wywozić niemieckie skarby z niemieckiej ziemi.

Cóż wobec takiego szabru na międzymiastową, czy wręcz międzynarodową, skalę znaczą jakieś małe złodziejaszki, które próbują się właśnie wdrzeć do domu pod leśniczówką? Coś wykrzykują pod drzwiami, już się zorientowali, że dom jest pełen ludzi, już słyszą Petera i Polaka. Nie przestraszyli się, nie zarządzili odwrotu. Wrzeszczą. Napierają na wejście, tłuką w drewniane belki. Eva ciągle siedzi, jak sparaliżowana, w łóżku. Polacy łomoczący do drzwi ją przerażają.

Wtedy w jej głowie po raz pierwszy pojawia się zaskakująca myśl. Czuje coś na kształt wdzięczności, że nie są sami – ona, troje dzieci i jej jednoręki, unikający starć, ugodowy mąż. Nie jest pewna, czy poradziliby sobie z taką bandą. Na szczęście w domu są jeszcze dwie dorosłe osoby. Poczucie ulgi dodaje Evie sił. Strach przestaje paraliżować jej ramiona i nogi. Wyskakuje z łóżka i szybko idzie do dzieci.

Tuż za nią do pokoju dziecięcego biegnie Dorota. Ona również czuje, że powinni być teraz razem. Eva jest wdzięczna i Stachowi, i jej.

Po wielkich państwowych szabrownikach nastał czas pospolitych złodziejaszek, ale nie brakowało wśród nich takich, którzy wykazywali się brawurą i determinacją. Do domu pod leśniczówką ciągle docierały jakieś nowe opowieści o nich. Ułańska fantazja mieszała się w nich ze słowiańską głupotą.

– Co trzeba mieć w głowie, żeby ukraść z Breslau pomnik Fryderyka Wielkiego Pruskiego i próbować go sprzedać? – śmiała się nad kawą Helga.

– Tego z rynku? – dopytywała Eva, stawiając na stoliku dzbanuszek z mlekiem.

– Tak, tego na koniu. Zakopano go w lesie, kiedy front zbliżał się do miasta, żeby przetrwał walki. Polacy go odkopali i sprzedali za równowartość tony cukru.

Fryderyk Wielki Pruski już skwierczał w odlewni przetopiony na dzwony, jego trzej złodzieje trafili przed polski sąd, a historia o tej transakcji wciąż była żywa. Niemcy z Dolnego Śląska powtarzali ją sobie z upodobaniem.

Zapamiętać dał się też wicestarosta z Bad Kudowa. Przesiedlił się zaraz po wojnie i z miejsca wybrał dla swojej rodziny mieszkanie, które najbardziej mu się spodobało. Żyło się w nim dobrze, ale niedługo, bo okazało się zbyt ciasne na potrzeby wicestarosty. Wymienił je więc szybko na inne. A potem na drugie i trzecie. Do pięciu razy sztuka. Któż by odmówił wicestaroście? Czy nie należy mu się mieszkanie, w którym będzie się żyło wygodnie? Razem ze wszystkim, co wyniósł z poprzednich czterech? Razem z kominkiem z trzeciego, który bardzo spodobał się wicestaroście? Do piątego pasował jak ulał.

A teraz kradną nawet w Lichtenwalde, w domu pod lasem. Dorka staje obok Evy. Ta oddycha szybko, serce zaraz z niej wyskoczy, krew pulsuje jak oszalała. Dobrze, że nie jest sama. Że Dorka w koszuli nocnej z czerwonymi policzkami i błyszczącymi od gorączki oczami stoi obok niej.

Słyszą pokrzykiwania z parteru. Słyszą głosy swoich mężów, widzą ich przez schody i korytarz. Stacha, który wyrzuca jakiegoś mężczyznę, Petera zamykającego i ryglującego drzwi. Razem bronią swojego domu. Zaklęta jest w nim ich niemiecka przeszłość Evy i Petera i polska przyszłość Dorki i Stacha. Teraz walczą wspólnie – o przyszłość i przeszłość – bo nie da się ich od siebie oddzielić. Dom pod leśniczówką splata je w jedno. Peter i Stach stoją równo, ramię w ramię, obok siebie, gotowi stawić czoło temu, co nastąpi.

– Otwierać, kurwa, szwabasy zasrane! – dobiega z podwórka. Eva nie rozumie słów, ale wie, że to bluzgi. – Otwierać!

– Wynocha stąd! – wrzeszczy Stach.

Dzieci zaczynają płakać.

Przed domem na chwilę robi się cicho. Polskie słowa zaskoczyły szabrowników i na moment ich zatrzymały, ale nie zniechęciły na dobre. Już zobaczyli zwierzynę, już poczuli krew. Nie zamierzają się wycofać. Nie chcą wrócić do swoich domów, gdzieś w Polsce centralnej czy wschodniej, z pustymi rękami. Na ziemiach dołączonych do kraju po wojnie jest coraz mniej skarbów do wyszarpania. Złota rzeka płynąca z nowej północy i zachodu Polski wysycha coraz szybciej. Trzeba się spieszyć, póki jeszcze

można skorzystać. Nie zostawią gospodarstwa, do którego musieli się wspiąć po oblodzonej drodze, nawet jeśli kogoś zastali w domu. Nie zamierzają się wycofać.

Znowu się dobijają. Znowu wrzeszczą. Eva ma wrażenie, że cały dom się trzęsie w posadach. Szabrownicy pokrzykują na siebie i walą w wejściowe drzwi bezustannie.

Nie wiadomo, co robić.

Mężczyźni stoją ramię w ramię, nerwowo rozglądają się po korytarzu. Kobiety próbują uspokoić płaczące dzieci. Chłopcy krzyczą głośno, zasmarkani, szukając pomocy u matki. Eva tuli ich do piersi, sama trzęsąc się z przerażenia.

Inga stoi jak słup. Jakby się zamieniła w drzewo. Eva chciałaby wyciągnąć do niej rękę i przygarnąć ją do siebie. Chciałaby przytulić tę swoją trudną córeczkę i wlać w nią całą otuchę, na jaką ją stać. Eva chciałaby powiedzieć Indze, żeby się nie bała, że wszystko będzie dobrze. Pocieszyć swoje samotne dziecko, które odnajduje się w świecie z coraz większym trudem. Coraz mniej z niego rozumie.

Eva chce przytulić Ingę, ale ma tylko dwie ręce i obejmuje nimi już synów. Malcy wtulają się w nią z ufnością. Inga patrzy na to z przekrzywioną głową. Drży. Eva nie może wydobyć z siebie słowa. Choć chce krzyczeć, nie potrafi.

Z dołu dobiegają wrzaski. Krzyczą Peter i Stach. Krzyczą złodzieje. Coś się przewraca. Słyszą odgłos tłuczonego szkła.

Inga wciąż stoi. Oczy ma wielkie, włosy rozczochrane. Taka chuda, taka mizerna. Patrzy na matkę tulącą synków. Patrzy na Polkę po drugiej stronie pokoju. Rusza w jej stronę i przywiera do niej całym ciałem, drżącym z gorączki i z przerażenia.

Dorka stoi zaskoczona. Obejmuje dziewczynkę. Zaczyna głaskać po głowie. Zaczyna się kołysać z Ingą zamkniętą w ramionach. To tylko mały, przestraszony dzieciak, który nie umie znaleźć wspólnego języka ze światem, myśli. To człowiek, a nie przeszkoda na mojej drodze do szczęścia, które zbuduję w tym domu ze Stachem. To tylko mała dziewczynka.

Wdzięczność i zazdrość wypełniają serce Ewy równiusieńko po połowie. Wdzięczna i zazdrosna patrzy na Polkę.

Patrzą na siebie i widzą swój strach. Patrzą przez siebie. Zobaczyły się. Wreszcie. Matki, siostry i córki. Sąsiadki, kuzynki, koleżanki. Widzą się. Wojna, kobieta, wrzask, mundury, kuzynka z Köslin, Weronika spod Stanisławowa, Renate, Kaśka i Baśka. Ryży Iwan z Lichtenwalde bez imienia, mały Jaśko z Poręby z czarnymi włosami i skośnymi oczami. Jeszcze raz. Jeszcze jeden raz. Jeszcze jedna kobieta pod żołnierzem. Jeszcze jedno ciało rozerwane na wojnie. Nie przez bombę, nie przez minę, nie przez pocisk. Z rany pomiędzy nogami leje się krew. Żołnierze przyszedli i poszli. Kobiety zostały.

Widzą się wreszcie. Eva, pierwsza w domu na zboczu, i Dorka, ta, która w nim zostanie. Dwie kobiety. Dwie strony barykady. Jedna wojna.

Słyszą strzał.

Gardła im się rozsznurowują, w końcu i one zaczynają krzyczeć. Jeszcze jeden strzał i jeszcze jeden.

Dopadają okna. Patrzą przez nie i widzą grupę uciekających mężczyzn. Strzał. *Ein, zwei*, trzy – liczą. *Sechs*. Jest ich sześciu. Sześciu mężczyzn, którzy odcinają się od śniegu i uciekają w czarną noc. Biegną w dół, do Lichtenwalde.

Do pokoju wpada Stach i odpycha je od okna.

– Odsuń się! – krzyczy głośno, nie wiadomo do której. – Odsuń się, kobieto, od okna!

Kiedy Eva chowa się w kącie pokoju z synkami, dostrzega, że Stach trzyma w prawej ręce pistolet. To on strzelał. Szarpie się przez chwilę z oknem i otwiera je na oścież. Dorka patrzy na niego oniemiała, wciąż ściskając dłoń Ingi. Stach wyciąga przed siebie pistolet i strzela.

– *Ein, zwei, drei* – liczy Eva. Przez otwarte okno do pokoju wdzierają się mróz i huk strzałów. Dzieci płaczą głośno, jeszcze głośniejsze. Dorka krzyczy:

– Przestań! Stachu, przestań!

Ale on nie słucha.

– Przestań, bo kogoś zabijesz! Stachu! – Żona podbiega do niego i łapie go za rękę. On ją odpycha.

– Już uciekają! – krzyczy ona. – Już ich nie ma!

Ale Stach przestaje strzelać dopiero, kiedy kończą się naboje. Wtedy odwraca się od okna. Oczy ma dzikie. Włosy zmierzwił. Koszulę

rozchełstaną. Wychodzi na schody i zbiega prosto do pokoju za kuchnią. Dorka puszcza rękę Ingi i idzie za nim.

Eva zamyka porządnie okno i rusza do kuchni. Na rękach niesie synków, Inga drepcze tuż za nią. Peter siedzi przy stole, głowę oparł na dłoni. Wygląda, jakby ktoś wypuścił z niego całe powietrze. Jakby nie miał nawet tyle siły, żeby siedzieć prosto. Eva zajmuje miejsce naprzeciwko. Przez chwilę nic nie mówią. W ciszy słychać tylko dzieci pociągające nosami. Znowu jest spokojnie. Znowu ciepło i bezpiecznie.

Chwilę później, kiedy Eva i Peter zaczęli stukać talerzami i miskami, dzieci przysypiały już na szerokiej ławie pod piecem. Kwadrans potem pukali do pokoju zajętego przez Polaków. Na wielkim niemieckim stole zdążyli już ustawić 4 kieliszki i butelkę lichtenwaldzkiej śliwowicy. Przygotowali plastry mięsa na zimno, ogórki kiszone, buraczki i chleb. Kiedy w drzwiach stanął Polak, Eva powiedziała:

– *Herr Stanislaw, Frau Dorota, bitte kommen Sie herein! Sie sind in der Küche willkommen.*

Stach na nią spojrział. Uśmiechnął się do jej serca. Ono uśmiechnęło się do niego. Był jak zwykle pewny i bezczelny. Jak zwykle przystojny. Eva stała w drzwiach, patrzyła mu prosto w oczy. Pierwszy raz od bardzo dawna uśmiechała się do mężczyzny.

Kolejny kwadrans później Peter rozlewa mocną, ostrą śliwovicę do opróżnionych już kieliszków. Alkohol rozpuszcza barykady, które budowali między sobą tygodniami. Próbują rozmawiać polsko-niemiecką mieszkanką słów, każdy chce opowiedzieć, co przeżył podczas tej trudnej nocy. Nikt nie chce powiedzieć, że jest wdzięczny, bo są tu razem, we czworo. Każdy o tym myśli. Stach nie spuszcza wzroku z Ewy. Oczy ma jak zwykle błękitne i jak zwykle czujne, choć kolejne porcje alkoholu zasnuwają je powoli mgłą. Patrzą na siebie. Eva ośmielona procentami, Stach śmiały i bez nich. Mogą się w siebie wgapiać bezkarnie, Dorka i Peter, nagle rozgadani, monologują, każde w swoim języku. Eva i Stach patrzą sobie w oczy. Dobrze im. Peter uzupełnia kieliszki.

W końcu Eva spogląda na wiszący na ścianie zegar z kukułką. Dochodzi trzecia. Dzieci posapują na ławie przy piecu przytulone do siebie. Dorosłym też zrobiło się ciepło od ognia, od ulgi, od lichtenwaldzkiej śliwowicy. Oczy zaczynają się kleić.

A jednak przyszedł! Trwał od trzech godzin. Świątowali jego nadejście. Nowe szanse, możliwości, niespodzianki. Nowe trudy, wybory, upadki. Nowy rok. Ten, który ma wszystko zmienić. Ten, który zakończy przedłużającą się tymczasowość. Ten, którego Eva się boi.

Do siego!

DORKA

Kto w Porębie miał szczęście spotkać Piotrowskiego w pierwszym tygodniu stycznia, ten z pewnością usłyszał o planach na sobotę.

– Pani Kwiatkowska, dzień dobry! Pani wie o zebraniu?

– Dzień dobry, panie Piotrowski, dzień dobry! A wiem, wiem.

– Pamięta pani, że obecność obowiązkowa?

– Pamiętam, oczywiście, że pamiętam.

Kwiatkowska mówiła miękko jak Łabowiczowie. Również trafiła na prastare piastowskie ziemie z terenów, na których kwitła teraz potęga Związku Radzieckiego. Razem z całą rodziną zajęli dom, który Dorka widziała z sadu. Również – tak jak ich gospodarstwo – położony był powyżej wioski, tyle że na przeciwnym zboczu.

– Pani przypomni Pawłowi, pani Kwiatkowska. Trzeba dopilnować, żeby wszyscy sąsiedzi byli na pewno obecni.

– Jak trzeba, to mu przypomnę. Cóż zrobić... – Kiwnęła głową i odeszła.

Kwiatkowska nie miała ochoty na pogaduszki z Pawłem, wioskowym pijaczną i zawadiaką, ale innego wyjścia też nie miała. Piotrowskiemu lepiej się nie narażać. Zdecydowanie bardziej opłaca się żyć z nim w przyjaźni. To wiedział każdy. Wiele od niego zależało i nic nie wskazywało, by jego wpływy miały się w najbliższej przyszłości zmniejszyć.

– W sobotę, o szesnastej! – krzyczał jeszcze za odchodzącą Piotrowski. – Musimy się wreszcie poznać i ustalić kilka spraw. Obecność obowiązkowa! O, dzień dobry, panie Wasiluk...

I już miał kolejną ofiarę. I już ją dusił i przypominał, tłumaczył i wskazywał plakaty, którymi okleił drzewa i płoty wzdłuż drogi. Ambicją

Piotrowskiego było zebranie w szkole całej wsi. Chciał, żeby na spotkaniu pojawił się każdy z przesiedlonych do Poręby Polaków.

– Pan pamięta o zebraniu w sobotę?

– A co mam nie pamiętać, panie Piotrowski. Będę.

– Żona szanowna też niech przyjdzie. I niech pan sąsiadom przypomni po drodze. Może Jurgielewiczowa nie wie...

– Zapytam i przypomnę. Proszę się nie martwić.

Przyszli wszyscy. Nawet Paweł, który chyba nie mógł się doczekać spotkania, bo kiedy Dorka chwilę przed czasem dotarła do szkoły, on już siedział w kącie sali. Przyczłapała, opierając się na synowej, Jurgielewiczowa, której podczas przesiedleńczej podróży coś wlaźło w kolano i nie chciało z niego wyleźć. I Kwiatkowska z mężem oraz synami, i Wasiluk z Wasilukową...

Trochę się wszyscy podśmiewali z Piotrowskiego i jego organizacyjnych zapędów, ale też czekali z niecierpliwością na pierwsze wspólne spotkanie. Atmosfera była uroczysta, jak przed pasterką. Cieszyli się. Przyjechali pod Kłodzko z różnych stron kraju. Byli różni. Mieli inne wspomnienia, inne doświadczenia, niby wszyscy mówili po polsku, a jednak inaczej.

– Rogolka jest najlepsza, jeśli ktoś chce zabyrdać mąkę z mlekiem – mówiła Dorka o drewnianym kuchennym przyrządzie z gwiazdką.

– Jaka rogola? – śmiała się Łabowiczowa. – Toż to kołotuszka.

A Zosia protestowała:

– Przecież to jest fyrlok!

– Gdzież fyrlok?! To mątewka! – wołały inne.

– A skąd. Koziółek!

Bełtniczka, ubijanka, bełtadełko.

Każda gospodyni miała swoją nazwę na określenie kuchennej gwiazdki. Każda przygotowywała przy jej pomocy inny sos. Ostatnie dni grudnia pokazały im, że w każdym domu obchodzi się święta nieco inaczej. Cztili narodziny Jezuska po swojemu, według zasad, których nauczyli się w rodzinnych stronach. Poręba na razie nie oferowała im żadnych zwyczajów, które mogliby przejąć, praktykować wspólnie i włączyć do rytuałów znanych od zawsze.

Dorka była tak podekscytowana zebraniem, jak cała reszta. Wystroiła się nawet, w ramach skromnych możliwości, przed wyjściem z domu. Nie wbiła się w obcisłe spódnice i szeleszczące pończochy, bo ich nie miała. Nie pomalowała paznokci na czerwono ani włosów na rudo, bo jej to nie przyszło do głowy. Ale uczesała się starannie i umyła twarz. Włożyła koszulę w spódnice i spojrzała w lustro. Spoglądała na nią z niego dziewczynka. Czyste, uczesane, ubrane w świeżą koszulę dziecko.

Do szkoły poszła sama, bo Stach wybiegł z domu już wcześniej. Trzeba przecież było przestawić stoły, ustawić krzesła, skierować ludzi do pobliskich sal, które miały służyć za szatnię. Trzeba było w spokoju poćwiczyć miny, poprężyć bicepsy, przypomnieć sobie, jak robi się wrażenie na paniach.

Spotkali się w największej sali w szkole, która jeszcze działała, choć Jan, kuzyn Piotrowskiego, jednocześnie jej dyrektor i jedyny nauczyciel, mówił już wyłącznie o swojej tęsknocie za Warszawą. Opowiadał Dorce, opowiadał każdemu, kogo spotkał, że wzywa go jego miasto. Zamierza wyjechać do stolicy, stolica na niego czeka, czekają na niego przyjaciele, ci którzy przetrwali powstanie. Jest ich niewielu, muszą trzymać się razem. Muszą być blisko miasta, za które tylu spośród nich zginęło. Kuzyn Piotrowskiego o Warszawie mówił i mówił tyle, że za każdym razem, kiedy Dorka spotykała go w sklepie albo na ulicy, była zdziwiona, że wciąż jeszcze mieszka w Porębie.

Zosia uparcie oferowała swoją kandydaturę na następczynię Jana. Piotrowski jeszcze bardziej uparcie powtarzał, że prowadzenie szkoły jest zbyt ciężkim zadaniem na jej wątłe barki.

Szkoła była jednym z wielu tematów, który dotyczył mieszkańców wsi. Spraw do omówienia było coraz więcej, bo i Polaków we wsi było już sporo. Trzeba wreszcie zastanowić się, jak będzie funkcjonowała społeczność. Trzeba się zorganizować. Trzeba ustalić, spisać paragrafy i je egzekwować. Trzeba pilnować ludzi. Pokazać, kto rządzi.

– Dzień dobry, dzień dobry! – witał wchodzących Piotrowski, rozgorączkowany, rozbiegany, zaaferowany. Był u siebie. Przejął stery. Prowadził wieś pewnie i z zaangażowaniem. – Wchodźcie, wchodźcie! Zaraz zaczynamy.

Dorka przedzierała się przez tłum sąsiadów w kierunku Zosi, udając, że nie dostrzega Stacha otoczonego wianuszkami kobiet. Udawała, że nie

widzi Renate szczupłej i gładkiej, stojącej o wiele za blisko jej męża. A ta co tutaj robi? To miało być spotkanie dla Polaków, dla tych, którzy sprowadzili się do Poręby i zamierzają budować w niej nową Polskę i nowy świat. To nie miejsce dla farbowanych na rudo niemieckich damulek, mówiących po polsku z twardym, szwabskim „r”. Miała ochotę podejść do Renate i wyprosić ją ze szkoły. A także do Piotrowskiego i zapytać go, co ta wymalowana Niemka robi na zebraniu Polaków. Miała również ochotę zapytać, skąd ona bierze te pończochy ze szwem biegnącym przez łydkę, pod kolanem, wyżej, aż do nieba, gdzie sięga już tylko wyobraźnia spoglądających na nią sąsiadów. Nie radzą sobie z obecnością Niemki. Nie radzą sobie z jej butami na obcasie, lakierami, pudrami, szminkami i perfumami. Wzrok im ucieka od żon, których biodra po trzecim dziecku rozjechały się i nie są już takie drobne i wąskie. Wzrok ucieka im od żon, które mają skórę na palcach zgrubiałą od pracy w polu. Które pod powiekami hodują cienie, a z oczu straciły cały blask. Ucieka w stronę smukłości i świeżości Renate.

Żony widzą te spojrzenia mężów i nie patrzą na Niemkę przychylnie. Chciałyby pewnie zapytać, tak jak Dorka, skąd Renate ma na to wszystko pieniądze. A także dowiedzieć się, ile czasu zajmuje ułożenie włosów w miękkie loki.

Stach natomiast, choć stoi bardzo blisko Renate, zupełnie nie zwraca na nią uwagi. Grzeje się, jak to on, w zainteresowaniu okazywanym mu przez grono kobiet wokół, ale nie zaszczycą szczególną uwagą żadnej konkretnie spośród z nich.

Dorka już dotarła do Zosi. Przyjaciółka też jest odświętna, w jasnej bluzce i dopasowanej, gładkiej spódnicy. Przypudrowała nawet twarz. Wygląda poważniej niż zwykle. Wygląda dorośle. Zarumieniona, uśmiechnięta, rozmawia z którąś z sąsiadek, a z Dorką wita się serdecznie, jak zawsze. Miło się do niej uśmiecha. Obok Zosi zawsze jest różniej. Z Zosią u boku świat wydaje się mniej kanciasty, mniej wrogi. Zosia jest jak taka siostra, jakiej Dorka nigdy nie miała.

Powoli robi się tłoczno.

Wszyscy znali się z widzenia ze sklepu, z kościoła, z głównej drogi. Wciąż jednak niewiele o sobie wiedzieli. Kolejne osoby wchodziły do sali, kolejne talerze stawały na stole. Był i Paweł. Siedział spokojnie na krześle pod ścianą. Ogolił się specjalnie na zebranie i koszulę włożył czystą, choć

wymiętą. Nieśmiało spoglądał na towarzystwo, ale z krzesła się nie ruszał, jakby go kto do niego przykleił. Wszyscy w grupach, w parach, wszyscy razem, on tylko jeden, sam, z boku. Dorka spojrzała w jego kierunku dokładnie w momencie, w którym wyciągnął zza poły marynarki butelkę i z niej pociągnął. Starał się działać ukradkiem i pozostać niewidocznym. Zupełnie niepotrzebnie. Nikt nie zwracał uwagi na przyczajonego w kącie lokalnego żulika z białym kołnierzykiem. Zrozumiał, że nie musi się chować.

Kobiety rozkładały przekąski. Łabowiczowa przyniosła grzyby zamarynowane jeszcze jesienią. Weronika wykladała je do miski i stawiała na jednym ze stołów. Paweł ciągnął z butelki. Kobieta z jasnym kokiem przechodziła przed Dorką z talerzem pełnym drożdżowego ciasta. Ktoś wykladał chleb, ktoś kielbasę. Paweł wypijał łyk za każdym razem, kiedy mijala go jakaś kobieta. W końcu tuż przed nim przedreptała Renate, kręcąc biodrami w wąskiej, dopasowanej spódnicy. Spieszyła się.

– Pan Piotrowski! Pan Piotrowski! – wołała, machając ręką. Zaaferowana, zaangażowana, ze szwabskim akcentem i szwabską krwią płynącą w żyłach, organizowała polskie spotkanie nowym mieszkańcom Poręby.

Paweł upił kolejny łyk. Do Zosi i Dorki podeszła Weronika, spokojna jak zawsze. Jakby nigdy nie trzasnęła drzwiami domu, aż się zachwiał. Jakby nie popchnęła swojej mamy na ścianę, aż talerze rozprysnęły się po całym pokoju. Jakby nigdy nie spędziła połowy nocy w piwnicy z bandą pijanych żołnierzy. Dorka nie dawała się już nabrać na ten jej łagodny uśmiech.

– Dzień dobry – przywitała się miło. – Czy to nie wspaniale, że w końcu wszyscy się spotykamy?

– Wspaniale – odpowiedział jej Stach, zanim jeszcze Dorka zdążyła otworzyć usta. I nie zdołał nic więcej dodać, bo w sali rozległo się wołanie:

– Pan Stanisław! Pan Stanisław! – Renate załatwiła już z Piotrowskim wszystko, co chciała, a teraz z kolejną misją dreptała do Stacha, kręcąc tyłkiem przed nosem Pawła. W prawo, w lewo, w lewo, w prawo. W końcu nie wytrzymał.

– Eee, Renata! – wrzasnął pijackim głosem. – E, dupiata!

Wszystkie rozmowy milkną. Wszystkie spojrzenia kierują się na Pawła. Ten dalej się wydziera:

– Renatka – dupiatka! Renata-dupiata! Renia-...

Tu zacukał się na moment. Zabrakło mu rymu. Rozejrzał się i dostrzegł, że sąsiedzi patrzą tylko na niego.

– Co? – warknął, po czym głośno czknął.

Renate zatrzymała się w pół kroku. Policzki miała czerwone. Krwiste. Płonęły jej włosy, płonęły paznokcie, płonęły usta, ale najbardziej jaskrawe były teraz policzki. Dorka patrzyła na nią z zaciekawieniem. No i co zrobisz teraz, damulko z Lichtenwalde?

Panie poskładały ręce na piersiach i patrzą, wszystkie z takim samym wyrazem twarzy. Z odrobiną nieskrywanej satysfakcji. Należało ci się, myślą zgodnie. Za twoje pończochy, za twoje spódnice i za spojrzenia naszych mężów.

Renate ani drgnie, zamarła. Mruga szybko, chce przegonić napływające jej do oczu łzy. Ręce przykładają do policzków, jakby chciała zakryć ich czerwień, jakby chciała schować się przed surowymi ocenami Polaków. Wśród ich zgrzebnych koszul, niezgrabnych spodni, spódnic do ziemi czuje się całkiem obca. Bardzo niemiecka.

Mężowie też przyglądają się tej scenie i niektórym żal zawstydzonej damulki, co to chce dyktować trendy, wyglądać oraz błyszczeć. A teraz stoi czerwona z niezbyt mądrą miną na środku, pomiędzy Polakami, którzy przyszli organizować swoją wieś. Pewnie należałoby zbesztać Pawła za chamstwo, ale po co się wychylać. Nie ma się co za Niemką wstawiać. Nie ma się co narażać sąsiadom. Nie ma się co narażać żonom.

Rycerz jest tylko jeden.

Stach się podrywa i idzie gniewnie w stronę Pawła. Pięści zacisnął, zębami zgrzyta, krok ma nerwowy. Bójka wisi w powietrzu.

Zanim się jednak zacznie, przerywa ją Piotrowski.

– Pani Renate, panie Stanisławie, zapraszam do mnie. Zaczynamy.

Śle do mieszkańców wioski swój urzędowy uśmiech, obciąga poły marynarki, a potem raz na zawsze ustala we wsi podział sił.

W sumie powiedział to, co wszyscy wiedzieli od dawna. Grupą trzymającą władzę we wsi byli on i Stach. Przy czym tylko Piotrowski pełni funkcję oficjalnie, Stach na razie pozostaje w jego cieniu. Nieoficjalnie i bez dokumentów. Choć to już niedługo, Piotrowski nad tym pracuje, co potwierdził w pierwszych zdaniach swojego przemówienia.

Mówił długo, aż ludzie zaczęli się wiercić i tęsknie spoglądać na zastawione przekąskami stoły. Mówił powoli, starannie dobierał słowa. Wyraźną przyjemność sprawiało mu delectowanie się własnym głosem oraz oratorską sprawnością. Ludzie go słuchali, nie mieli innego wyjścia, ale ich myśli odpływały. Pocili się, wiercili, cierpły im tyłki od małych, twardych krzesel.

Dorce też było duszno i ona najchętniej poszłaby już porozmawiać z sąsiadami, ale Piotrowski jeszcze nie skończył. Dowiedzieli się więc, że w Długopolu, niedaleko Poręby, otwarta zostanie nowa komenda milicji, a także, że wkrótce będzie tam też działała biblioteka. Usłyszeli, że w sąsiednich wsiach również otwierane są sklepy, a Posiak zadeklarował współpracę z ich właścicielami, żeby nowi mieszkańcy mieli jak największy asortyment towarów do wyboru. Bo tu buduje się nową Polskę, przypomniał im Piotrowski, żeby nie zapomnieli. To będzie lepsze miejsce do życia niż przedwojenne Lichtenwalde. Do tego akurat nie musiał przekonywać nikogo.

Zawiesił głos. Dorka się rozejrzała. Panowie niepostrzeżenie zaczęli się gromadzić w grupkach pod ścianami. Już grzechoczą butelki wyciągane zza pazuchy. Śmierdzi czosnkiem kiełbasa, którą przegryzają. Nawet Paweł nie siedzi już sam. Wasiluk siadł obok niego, pochylił się i coś mu opowiada. Dosiadł się do nich syn Jurgielewiczowej. On też wyciągnął butelkę z kieszeni marynarki i podał Pawłowi. Młody Kwiatkowski spogląda tęsknie w ich kierunku i wyraźnie ma ochotę dołączyć, ale matka nie spuszcza z niego oka i ostrzegawczo go trzepie w ucho.

– Ach, zapomniałbym! – Piotrowski próbuje jeszcze przekrzyczeć coraz głośniejsze rozmowy, ale wykorzystał już cały limit cierpliwości na ten wieczór. – Bardzo państwa proszę o jeszcze chwilę skupienia.

Młody Kwiatkowski wykorzystuje chwilę nieuwagi, czmycha matce i dołącza do kumpli.

– Mam jeszcze jeden ważny komunikat...

Dorka też chciałaby już rozmawiać i zacieśniać więzy na mniej formalnym gruncie. Odwraca się w stronę Zosi, żeby coś jej powiedzieć, ale widzi, że siedząca obok przyjaciółka uważnie się wpatruje w Piotrowskiego. Jest skupiona, wyraźnie czeka na słowa, które mają wyfrunąć z jego ust.

– No dobrze – kontynuuje Piotrowski. – Zacznę od tego, że dotychczasowy dyrektor szkoły opuszcza Porębę.

Odczekał chwilę na odpowiednią reakcję, ale tej nie było. Nikogo nie zdziwiło, że Jan wyjeżdża do tej swojej Warszawy. I tak długo tu wytrzymał.

– Mamy też dla niego zastępstwo.

To zdanie wywarło nieco większe wrażenie. Zrobiło się trochę ciszej. Dorka patrzyła na profil Zosi i układała sobie w głowie słowa pocieszenia.

– Decyzją kuratorium oświaty naszą szkołę poprowadzi Zofia Posiak. Już pewnie wszyscy państwo Zosię znają – dokończył Piotrowski i wskazał ręką w róg, w którym siedziały Dorka z przyjaciółką.

Zosia wstała i ukloniła się grzecznie. Niektórzy sąsiedzi spoglądali na nią z zainteresowaniem, ale większość nie zwracała uwagi ani na Piotrowskiego, ani na nową dyrektorkę i jej powitanie. W ruch już poszły butelki, ciasta, grzybki, kiełbasa. Rosnącego szmeru nie dało się przerwać. Na Zosię, przypudrowaną, poważną, z włosami zaczesanymi do tyłu patrzyło tylko kilkoro sąsiadów. Patrzyła też Dorka.

– Jak to? – zapytała zdziwiona.

– Złożyłam swoją kandydaturę w kuratorium. Nie mogłam się porozumieć z Piotrowskim, więc postanowiłam go ominąć.

Kilka osób ruszyło w stronę Zosi z gratulacjami. Dorce zrobiło się trochę przykro, że przyjaciółka utrzymywała przed nią wszystko w tajemnicy. Stała przez chwilę w milczeniu, próbując pozbierać myśli.

Ale Zosia wcale o niej nie zapomniała.

– Pomożesz mi? – zapytała.

– W czym? – nie rozumiała Dorka.

– Pomożesz mi w budowaniu szkoły? We dwie będzie nam różnie. Rozmawiałam już z Piotrowskim, że będzie potrzebny drugi nauczyciel.

Dorka już chciała powiedzieć to, co zwykle. Że nie, że się nie zna, nie potrafi, że się nie nadaje. Że jest tylko małą Dorką Kulas, która siedzi cicho w kącie i nie może świata zbyt wiele zaoferować. Już miała to wszystko na końcu języka. Już chciała się chować, ukryć w jakiejś mysiej dziurze, w domu pod leśniczówką, po drugiej stronie wsi, albo i może jeszcze dalej. Już niemal otwierała usta. Ale wtedy zobaczyła Renate, która, bez śladu

zawstydzienia, rozmawiała ze Stachem i Piotrowskim, wertując jakieś dokumenty na małym stoliku. Ona już miała, co chce. Już żyła po swojemu.

Dorka spojrzała na Zosię, na jej rozpromienioną twarz i wyprostowane plecy. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mysie dziury są dla myszy.

– Pomogę ci – odpowiedziała. – Pewnie, że ci pomogę. Co mogłabym robić?

– Haftować, Dorota. Możesz haftować.

I Dorka poczuła, że nie ma się czego bać. Że się nadaje, że potrafi. Że co jak co, ale haftowanie jej w życiu wychodzi, więc może to robić. Nawet w szkole. I że chętnie wypełni czymś dni. Nada im sens.

Uśmiechnęła się do Zosi. Już prostowała plecy, obciągała spódnicę. Już nie czuła się dzieckiem.

STACH

Kilka godzin później w małżeńskim łóżku w pokoju naprzeciwko kuchni toczy się wojna na przetrwanie.

Dorka leży na wznak i przygląda się myślom, które przelatują jej przez głowę. Z prawej na lewą, z lewej na prawą. To jedna zatrzyma się na dłużej, to inna. Ta się rozrasta pod czaszką i pączkuje, tamta tylko przegalopuje i już nie ma po niej śladu. Popołudnie spędzone w tłumie w szkole skutecznie odeгнаło od Dorki sen. Oczy ma szeroko otwarte.

Stach też leży na wznak, ale myśli go nie męczą. Głowę ma pustą. Tym, co nie pozwala mu odpłynąć, jest napięcie. Po niełatwym dniu zgromadziło się w jego ciele i spina wszystko – stopy, łydki, pośladki, brzuch i plecy. Najbardziej napięty jest jego kark, boli nawet od leżenia na plecach. Stach odwraca się na bok, tyłem do Dorki. Czeka, aż żona zaśnie. Potrzebuje swoich ulubionych rytuałów, swojego ciewieczornego podglądania Evy, bez którego trudno mu się wyciszyć.

Ludzie w różny sposób rozładowują napięcie. Leją w gardło wodę. Leją żony. Leją dzieci. Wrzeszczą na każdego, kto stanie na ich drodze. Jedzą bez ustanku, nawet w nocy, nawet po obiedzie. Obskakują wszystkie baby we wsi. Krzywdzą siebie, krzywdzą innych. Stach natomiast nie może zasnąć bez spojrzenia na rzeki hrabstwa kłodzkiego wijące się pod

niemiecką, alabastrową skórą. Wystarczy, że przez chwilę, choćby minutę, może podziwiać krągłości, jasności, piegi, i od razu mu lepiej. Od razu lżej. Czuje, jak rozluźniają się jego stopy. Czuje, jak miękną łydki, pośladki, brzuch i plecy. Po karku rozlewają się spokój i ciepło. Powieki stają się ciężkie.

Zasypia, kiedy tylko dotrze do łóżka.

Zdaniem Stacha Bąka jego sposób likwidowania napięcia jest doskonały. Mógłby w tym zakresie doradzać innym, wiecznie wściekłym mężczyznom z Poręby, którym powodów do nerwów nie brakuje.

Przecież nie robi nic złego. Podgląda sobie, nikomu nie przeszkadza, nikogo nie krzywdzi. Nie leje wody w gardło, nie leje żony, nie leje dzieci, co jest o tyle proste, że tych ostatnich nie posiada. Przynajmniej tu, w Porębie. Przynajmniej na razie. Nie przepuszcza pieniędzy na karcianym stole. Nie wyjada babie ze spiżarni. Kobiety obraca, temu nie może zaprzeczyć, ale jednak nie każdego dnia. Nikt przez niego nie płacze. Patrzy sobie tylko na rozkwitłą, dojrzałą kobiecość Evy i od tego patrzenia każdy napięty nerw w jego ciele kurczy się łagodnie i miękko.

A Stach Bąk bardzo potrzebuje ukojenia.

Częściowo z powodu kontaktów z Piotrowskim.

Jest od niego całkiem zależny i bezustannie musi się dostosowywać. Piotrowski gada dużo, lubi słuchać swojego głosu, ale cudzych już mniej. Nie obchodzi go, co myślą i mówią ludzie. Stacha to martwi. Nie bardzo wierzy, że władza, która wzrasta na mówieniu i niesłuchaniu, utrzyma się długo. Ciągłe nie jest pewien, czy dobrze wyjdzie na tym, że tkwi u boku Piotrowskiego. Czy postawił na właściwego konia. Na razie objeżdżają okoliczne wioski powojennym gazikiem, niby wszędzie witani są ciepło, ale wciąż jest niepewnie.

Kolejnym powodem napięcia Stacha jest Dorka. Nie wie, co z nią zrobić, gdzie ruszyć, w którą stronę wędrować przez życie. Niepewność żony, jej płochliwość, dziecinny wygląd pozostały niezmiennie. Dolny Śląsk, nowa ziemia, nowe życie, dystans od Kulasa i Kulasowej nie przyspieszyły jej dojrzewania. Ciągłe ma obok siebie dzieciaka.

Nieprzyjemne uczucie wraca do niego za każdym razem, kiedy zbliża się do Poręby po kolejnym dniu pracy z Piotrowskim. Nerwy pod skórą napięte. Mięśnie zbite w twarde kamienie. Wchodzi do domu na skarpie i nie znajduje ulgi. Przez miesiące buzowały tam niewypowiedziane

pretensje Dorki do Evy i Evy do Dorki. Ostatnio jest ich mniej, co nie znaczy, że oddycha się lekko. Jak tylko odeszły milczące spory między kobietami, Stach zaczął wychwytywać wiszące w powietrzu nieco bardziej subtelne emocje. Męczą go wypełniające dom cudze lęki. Nie swój smutek. Przytłacza strach Evy przed przyszłością. Ostatnio zaczęło mu doskwierać coś jeszcze. To chyba Peter zastanawia się, co będzie go czekało, kiedy w końcu opuści gospodarstwo.

W domu na skarpie trudno Stachowi znaleźć ukojenie. Za dużo w nim ludzi i języków. Zbyt wiele dzieci i ich problemów. Cudzych emocji wypełniających całą przestrzeń. Nie może się zaszyć nawet w pokoju naprzeciwko kuchni, bo tam Dorka i jej przestraszona mina przypominają mu, że musi podjąć jakieś decyzje.

Słyszy znajomy stuk. Każdego wieczoru dociera do niego podobny odgłos. Wie, że to Eva i podskórne rzeki krwi zamieniającej się w mleko ruszają na parter. Zaraz będzie się myła, a Stach leży tutaj, unieruchomiony, w łóżku z Dorką, i ciągle nie słyszy równomiernego oddechu żony, sygnału, że zasnęła. Śpij, kobieto! Śpij, dzieciaku!

I następny przytłumiony odgłos. Drugi stopień, trzeci. Dom wysyła informacje, jak zawsze, współpracuje ze Stachem. Usłużnie donosi, że Niemka z piętra schodzi przez nocną ciszę na parter. Jest i znajome skrzypnięcie. To drzwi. Prawdopodobnie Eva właśnie je otwiera. Zazwyczaj stałby już w przedpokoju. Zazwyczaj zerkałby przez uchylone drzwi na Niemkę pochylającą się nad miską.

Po zebraniu, podczas którego Paweł uchlał się, zanim minął kwadrans, i zaczął obrażać Renate, a Piotrowski, jak to ma w zwyczaju, mówił i mówił bez końca, Stach czuł napięcie w każdej części ciała. Tego dnia zasłużył na odprężenie. Jak nigdy dotąd tęskni za rzekami hrabstwa kłodzkiego. Za ich wijącym się nurtem. Za alabastrową szlachetnością skóry, pod którą się kryją. Nie myśli o niczym innym, pragnie je tylko zobaczyć. Chce stać w ciemnym przedpokoju i widzieć brodawki, od których promieniście odchodzą błękitne żyłki. Widzieć Evę nagą od pasa w górę. Widzieć kobietę. W łóżku ze swoją żoną czuje się jak w więzieniu. Z przedpokoju znowu dochodzi jakiś przytłumiony odgłos.

DORKA

Obraca się z jednej strony na drugą i z powrotem. Przed oczami ma cały czas Zosię i jej uśmiechnięte oczy.

Dorka się wierci. Błądźnik w jej uchu oszalał. Ma wrażenie, że to ona stoi przed grupą ludzi, a za nią chowa się Zosia. Ubrana jak na zebraniu, z przypudrowanym nosem i zaczesanymi gładko włosami położyła Dorce rękę na prawym ramieniu.

Teraz w głowie pojawia się ktoś jeszcze. Szew na pończochach, miękkość loków, kwiatowy zapach w środku zimy i tyłek wciśnięty w niewielki skrawek materiału kończący się nad kolanem. Wypisz wymaluj, cała Renate. Staje obok Zosi z miną, jaką miała po pijackim komentarzu. Jeszcze nie ucichły rechoty dobiegające z każdej strony, jeszcze Paweł popijał bimbler z butelki, jeszcze policzki Renate płonęły żywym ogniem, ale do spojrzenia już wracał właściwy jej upór. Już wracało przekonanie, że poukłada świat dokładnie tak, jak zechce. Nikt jej nigdzie nie przeniesie, jeśli ona się na to nie zgodzi. Nikt nie będzie decydował za nią. Ani polityk trzymający pióro w Poczdamie, ani lokalny żulik wykrzykujący chamskie uwagi. Renate nie zamierza się chować ani przed jednym, ani przed drugim. Podnosi rękę i kładzie ją na lewym ramieniu Dorki.

Obie – Zosia i Renate – lekko ściskają dłonie. W tym samym momencie. Żeby wiedziała, że są. Żeby wiedziała, że może. Pochylają się nad jej uszami i szepczą w nie jedna przez drugą. Nie płyn z nurtem. Nie siedź cicho. Nie spuszcza głowę. Pytaj. Obie mówią to samo. Obie mówią: Idź i walcz.

Dorka leży w łóżku obok Stacha i czuje, że serce mocno jej wali. Ma wrażenie, że w takim momencie powinny jej towarzyszyć nie tylko kobiety poznane w ostatnich miesiącach na końcu świata. Powinna być przy niej matka i siła, którą dostała od niej w spadku. Dorka rozgląda się w ciemności i, rzeczywiście, dostrzega starą Kulasową. Nie stoi jednak za nią, tam gdzie Renate i Zosia. Nie popycha jej do przodu, nie szepcze do ucha słów zachęty. Nie asekuruje z tyłu, żeby złapać córkę, gdyby ta w walce otrzymała cios i upadła. Mama Kulasowa jest tam, gdzie była zawsze. W kącie, w rogu pokoju wyżyma szmatę, którą wyciągnęła właśnie z wiadra, i szoruje podłogę w pokoju Dorki i Stacha. Będą mieli czysto.

Renate popycha Dorkę delikatnie przed siebie, w życie, w świat, prosto w rozmowę z mężem, rozmowę dwojga dorosłych ludzi. Zosia przypatruje się przyjaciółce uważnie. Zosia słucha.

– Skąd miałeś pistolet? – pyta Dorka, a jej głos w nocnej ciszy i ciemności brzmi o wiele głośniejszy, niż tego chciała. Jej głos rozdziera spokój jak wybuch granatu.

– Co? – pyta Stach z niedowierzaniem.

– Skąd miałeś pistolet, którym strzelałeś do ludzi w sylwestra?

– Z domu przywiozłem.

– A w domu? Skąd go tam miałeś?

– Z wojny. Daj mi spokój. Chcę spać. Noc jest.

Dorka już podkuliła ogon, już złożyła skrzydła. Noc jest, mąż chce spokoju. Zaraz się dziewczyna wycofa i ucieknie z pola bitwy. Spogląda na matkę, która wyszorowała już połowę pokoju prawie do białości. Ta podnosi na chwilę głowę, patrzy na córkę i potakuje. Idź, Dorko, jest noc, mówi z kąta. Daj spać mężowi. Po co go denerwujesz. I Dorka już, już ma uciec w sen, wyczerpana po tej drobnej potyczce, ale nie może. Nie może się wycofać, bo na ramionach czuje ciepło dłoni, które zaciskają się lekko i nie pozwalają jej zrobić ani kroku w tył.

– Musisz go oddać – mówi z naciskiem. – Nie chcę broni w domu.

– Zwariowałaś? Niczego nie będę oddawał. Ciekawe, jak skończyłby się ostatni napad, gdybym go nie miał ze sobą. Może ty byś walczyła z bandziorami? Tymi swoimi chudymi ramionkami?

Dorka milczy przez chwilę. Jeszcze nie wie, co powinna powiedzieć, jeszcze nie wie, jak powinna zareagować. To jej pierwsze próby zaznaczenia swojej obecności. Pierwsza walka. Pierwsza krew. „No i co wy na to?” – ma ochotę zapytać swoich towarzyszek, które cały czas wlewają w nią odwagę i zagrzewają do konfrontacji. Próbuje, ale sama nie wiem, o co mi chodzi, mówi do nich.

W tym momencie Zosia głaszcze ją po ramieniu i przypomina: Nie musisz wszystkiego wiedzieć od razu, Dorko. Możesz się jeszcze zastanowić nad tym, czego chcesz. A Renate dodaje do drugiego ucha: Przecież chciałaś powiedzieć o czymś jeszcze.

Matka w kącie kręci głową z dezaprobatą.

To nie wszystko, Dorka przyznaje im rację. Już nie patrzy na matkę. Już nie zwraca uwagi na to, że słowa, które wypadają z jej ust, brzmią w ciszy nocnej dziwnie pusto i głucho.

– Dlaczego Grażyna przysłała ci listy? – pyta głośno.

Stach przysiadł na łóżku.

– Jakie listy?

– Te, które wrzucam do pieca, zanim je przeczytasz.

– Zwariowałaś? – podnosi głos. – Moje listy?

A Dorka, ta chuda Dorka z cienkim warkoczykiem, też podnosi głos:

– Wyrzucam! Myślałam, że na drugim końcu Polski będziemy mogli żyć spokojnie i o nich zapomnieć. Ale to niemożliwe, póki Grażyna przysyła listy. Napisz do niej, żeby przestała. Nie chcę już słyszeć ani o niej, ani o Kubie.

– O Kubie? – głos Stacha staje się odrobinę niepewny.

W ciemnościach nie może użyć żadnej ze swoich sztuczek. Nie może zalotnie odgarniać grzywki, nie może słać tych swoich uśmiezków. Nie może patrzeć na nią kpiąco. Pozostały mu tylko słowa. A z nimi, bez swojego teatrzyku, Stach nie radzi sobie szczególnie sprawnie. Może tak samo jak Dorka.

– O twoim synu.

Cisza jest czarna jak noc. Głęboka. Matka przypatruje się Dorce znad balii. Renate i Zosia ściskają mocno jej ramiona. Zbyt mocno. Już ich nie potrzebuje. Dalej musi pójść sama. Wyswobadza się ze wspierającego uścisku.

– Skąd wiesz? – pyta w końcu Stach.

– Jak to skąd? Skóra zdjęta z ciebie, nie wyprzesz się go. Cała wieś wie, kto jest jego ojcem. Myślisz, że jestem głupia?

– To dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo czekałam, aż ty mi powiesz. Nie doczekałam się i pomyślałam: trudno. Ale na żadne listy się nie godzę.

Stach westchnął głęboko.

– Słuchaj, Dorotka... – próbował wyjaśniać.

Dorotka! Nazwał ją Dorotką. To nie zdarzało się zbyt często, a jeśli już, to wtedy, kiedy czegoś chciał.

– Ona nie ma pieniędzy. Nie ma za co dzieciaka chować. Co chłopak winny...

Nie wolno krzywdzić dziecka. Dorka nie może przestać o tym myśleć. Nie wolno krzywdzić dziecka. Nie wolno krzywdzić Ingi, nie wolno

krzywdzić Jaśka, nie wolno krzywdzić małego Kuby ze stachowym uśmiechem i jego oczami. Nie lubiła spotykać tego chłopczyka na ulicy w wiosce, tym bardziej że samym wyglądem przypominał jej o tym, że Stach nie ma problemu ze zmajstrowaniem dzieciaka. To ona nie potrafi donosić i urodzić.

– Żadnych listów od niej w domu nie chcę – powiedziała.

Znowu zrobiło się cicho. Dorka już nie musiała się wspierać ani na Zosi, ani na Renate. Po raz pierwszy w życiu była odważna i postanowiła wykorzystać ten moment. Stach nie miał dokąd uciec.

– Stasiu... – zaczęła znowu, tym razem już spokojnie.

Nie chciała już krzyczeć ani atakować. Chciała zrozumieć.

Stach westchnął. Chciał mieć dorosłą żonę, to ma. Chciał mieć kobietę do łóżka i do dyskusji – według życzenia. Tylko dlaczego jego mała pokraka, jego chude dziecko, z płaskimi piersiami, z wklęsłym brzuchem, ze sterczącymi kolanami, chudymi łydkami i stopami skierowanymi do wewnątrz, postanowiło dojrzeć właśnie dzisiaj? Tego dnia, kiedy spokój, odprężenie, krągłości, piegi i podskórne rzeki kotliny kłodzkiej mogłyby mu przynieść upragniony spokój po bardzo ciężkim dniu?

Na korytarzu znowu coś stuknęło. Na korytarzu dojrzała kobieta zamykała drzwi do wiejskiej łazienki i wchodziła na schody, żeby za moment położyć się obok swojego milczącego męża. Stuk, słyszał Stach, stuk, stuk. Wyobrażał sobie, jak Eva stawia bosc stopy na stopniach. Wyobrażał sobie, że przytłumione światło, które zawsze zostawiała zaświecone na górnym korytarzu, przebija przez materiał jej nocnej koszuli. Wyobrażał sobie okrągłe piersi Ewy, jej kształtny brzuch, jej biodra.

Tymczasem kurczak, który leżał obok niego, ewidentnie przepoczwarzał się w dorosłą osobę. W żonę. Chciał rozmawiać. Chciał poruszyć wszystkie tematy świata, których nie poruszył do dzisiaj. Chciał zaokrąglić piersi i biodra. Chciał uwypuklić brzuch. Chciał, żeby Stach słuchał i odpowiadał.

Dorka skupia się na rozmowie. Starannie dobiera słowa, skrupulatnie gromadzi myśli.

– Powiedz mi, Stasiu – pyta – dlaczego tak bardzo nienawidzisz chłopców z lasu?

– Bo chcą mnie zabić – mówi Stach, a Dorka czuje, że dziś, teraz, powie jej wreszcie coś, co powinna wiedzieć od dawna.

– Zabić? – Dorka wciąż nie rozumie.

– Przez Ryfkę.

– Jaką Ryfkę, Stasiu?

– No tę Żydówkę, którą ukrywała matka.

– Jaką Żydówkę?

– Jezu, kobieto! Tę, przez którą zginęła. Wszyscy się domyślali. Cała wieś. Jak mogłaś nie wiedzieć, głupia?!

Ale takie słowa już nie zamykają ust Dorce. Już nie będzie się kulić i milczeć. Prostuje plecy i nie zamierza odpuścić. Stawia pytanie za pytaniem i słyszy opowieść o teściowej, o ukrywanej przez nią przez kilka miesięcy Żydówce z dwójką dzieci. Matka Stacha знаła ją jeszcze przed wojną. Ryfka zaproponowała Bąkowej, że jej zapłaci za kryjówkę. Matka nieszczególnie ją lubiła, ale nie miała pieniędzy, ojciec już wtedy nie żył. Zgodziła się. Ukryła ich w ziemiance i opiekowała się nimi, dopóki mieli pieniądze. A kiedy te się skończyły, matka opiekowała się nimi nadal, donosiła jedzenie, unikała sąsiadów, dzieci trzymała w domu.

Przeszłość ma nieco mniej białych plam. Dorka wreszcie zaczyna rozumieć.

– To dlatego zawsze pierwsza wychodziła z kościoła. I dlatego od razu po mszy biegła do domu.

– Wtedy przyszli chłopcy z lasu – mówi Stach szybko, jakby chciał mieć z głowy tę nocną rozmowę.

Nie wiadomo którzy. Ryfkę i jej dzieciaki wywlekli do lasu, chcieli pieniędzy. Nie miała. Naprawdę nic już nie miała. Wszystko oddała matce Stacha. Strzały, które padły, słychać było aż w domu. Matka Stacha to była twarda kobieta, ale wtedy płakała przez cały dzień. W nocy wrócili. Stach nie widział ich wyraźnie, bo było ciemno. Znowu krzyczeli na matkę Stacha, żeby im oddała żydowskie złoto, a ona odpowiedziała, że go nie ma. Nie miała. Wszystko, co dostała, wydała na utrzymanie dzieci, swoich i Ryfki. Matkę padającą na podwórko zobaczył wyraźnie. I pomyślał, że teraz mogą przyjść po niego.

– A ja myślałam, Stachu, że ty chciałeś wyjechać z wioski z powodu Kuby i Grażyny – mówi cicho Dorka.

– Nie, Dorotko – zaprzecza. Jego głos jest zaskakująco ciepły i miękki, całuje ją w czoło. – Grażyna napisała do mnie, bo nie ma pieniędzy. Muszę

jej coś posłać, obiecałem. Wyjechałem z wioski, bo chcę wreszcie zacząć zarabiać, i pomyślałem, że tu będzie to łatwiejsze niż tam. Miałem rację. A do tego chłopcy z lasu mają świadomość, że wiem, kto zabił mi matkę.

Dorka leży z otwartymi oczami.

Sen nie nadszedł.

Stach leży obok niej.

Rzeki hrabstwa kłodzkiego są dalej niż kiedykolwiek.



KWIECIEŃ

EVA

Za każdym razem, kiedy zostawiali we dwoje w jednym pomieszczeniu, sytuacja rozwijała się w ten sam sposób. Stach znajdował jakiś powód, by podejść do Evy zbyt blisko, złapać ją za ramiona i popatrzeć jej w oczy. Nic więcej nie robił, tylko wlepiał jaskrawoniebieskie ślepia w jej szare oczy, a przez nie patrzył dalej, w dół, aż do serca. Pewnie nie miał o tym pojęcia, ale Eva czuła wyraźnie, że ten dziki błękit zostawiał w jej sercu pamiątkę. Wypalał ślady w jego delikatnym, różowym miększu. Za każdym razem głębsze. Z każdym spojrzeniem wyraźniejsze.

Nie mają czasu, żeby się zbliżnić. Kiedy w pokoju jest ktoś jeszcze oprócz nich, Stach też działa, tyle że dyskretniej. Patrzy na Evę zbyt długo i zbyt natarczywie. Ona podaje mu sól albo masło, on przytrzymuje jej rękę odrobinę dłużej, niż to konieczne. Od sylwestra kolacje jadają wspólnie przy dużym kuchennym stole. Czasami we czworo tylko milczą, czasem rozmawiają, mieszając polski z niemieckim. W miłszej atmosferze żyje się lepiej. Nawet język polski nie wydaje się już Evie tak bardzo wulgarny i prymitywny. Wydobywające się z ust Stacha i Dorki szelesty, które niegdyś brzmiały jak język węża, z wiosną stały się bardziej miękkie. Mieszkańcy czasami się nawet do siebie uśmiechają zza pełnych misek i talerzy. Gospodyni, której panowanie w kuchni domu pod leśniczówką przemija, serwuje to, co przygotowała. Gospodyni, której królowanie w domu pod leśniczówką nadchodzi, częstuje tym, co nawarzyła. Nic na to nie wskazywało pół roku wcześniej, ale cieszą się swoją obecnością. Nic na to nie wskazywało pół roku wcześniej, ale Stach każdego dnia znajduje powód, by podejść do Evy o wiele, wiele za blisko.

Wczoraj wydarzyło się coś jeszcze. Spotkali się w korytarzu – ona i Stach. Korytarz jest długi, ale wąski, tak że z trudem przecisną się w nim dwie osoby. Stanęli naprzeciwko. Eva uśmiechnęła się do Stacha i spróbowała go obejść. Zrobiła krok w lewo. On za nią. Zrobiła w prawo – on jak jej cień. W końcu złapał ją za ramiona, jak zwykle. Ale tym razem nie patrzył jej w oczy. Tym razem przyciągnął ją do siebie blisko, bliźutko i pocałował w czubek głowy.

Ten moment, tych kilka sekund, Eva odtwarza w głowie wciąż od nowa i nowa. Czuje się ładna. Czuje się kobieca. Nie miała pojęcia, że tak bardzo za tym tęskniła. Że bardzo tęskniła za tym, by nie czuć się matką. Nie czuć

się żoną. Evą z Lichtenwalde, z domu pod leśniczówką. Nie miała pojęcia, że tak bardzo chciała być znowu lekka, zwiewna, pożądana, bo od dawna się tak nie czuła. I nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że to może być ważne dla niej, dla matki i żony z Lichtenwalde.

Nie była spokojniejsza od tych błękitów, spojrzeń, dotknięć, ukradkowości. Od tej śrubki wwiercającej się w żołądek za każdym razem, kiedy pomyślała o Stachu. O jego palcach krzywych jak gałązki z okrągłymi paznokciami. O jego bezczelnym uśmiešku przeznaczonym dla wszystkich i o tym drugim, jasnym i delikatnym, który miał dla niej wtedy, kiedy byli sami. Gdy podchodził za blisko, kiedy przysuwał twarz do jej twarzy, zdecydowanie przekraczając nieprzekraczalne granice. Kiedy patrzył jej prosto w serce.

Nie było w niej spokoju, ale czuła, że żyje. Czuła, że krew płynie jej w żyłach. Że jest jasna od tlenu, bo Eva oddycha ostatnio głęboko i spokojnie. Że czas terażniejszy zmienia się w przeszłość sekunda po sekundzie, a ona przeżywa wzloty i niepokoje, jakich nie przeżyła przez całe swoje życie i mogło się zdarzyć, że nie przeżyłaby ich nigdy. Mimo to śpi lepiej. Na kuzynkę z Köslin brakuje już w Evie miejsca, wyparł ją Stach. Nie śniła jej się od wielu, wielu tygodni.

Tymczasem kwietniowe słońce świeci już mocno. Eva wychodzi w południe do sadu i wystawia twarz do promieni. Nie myśli wtedy o niczym, tylko przez chwilę wygrzewa się w nieśmiałym jeszcze cieple.

A potem otwiera oczy i jej wzrok pada na drogę prowadzącą w dół, do wsi. Słońce nie zdołało jeszcze osuszyć na niej pozimowego błota. Jak co roku zajmowało mu to sporo czasu, ścieżka zbyt często chowała się w cieniu. Dlatego wybierając się na cmentarz albo do sklepu, Eva wciąż zakładała zimowe buty.

Dorka, obudzona promieniami słońca padającymi na ich sad i podwórko, wkładała lżejsze trzewiki i wychodziła do szkoły.

Każdego ranka witały się przyjaźnie:

– *Guten Morgen*, Dorota.

– Dzień dobry, dzień dobry.

Eva już nie widziała w niej wroga. Uważała jednak, że tajemnice Lichtenwalde Dorka powinna odkrywać bez niczyjej pomocy. Żadnych podpowiedzi nie dostanie. To jest praca, którą Polka musi wykonać

osobiście, jeśli chce wrosnąć w tę ziemię i czerpać z niej moc. Jeśli chce być silna jak Ludmiła.

Słońce wciąż nie osuszyło błota, ale budziło wioskę do życia. Robiło się zielono i kolorowo. Robiło się weselej. Świat rozkwitał i zapraszał do korzystania ze swoich uroków.

Zatem Eva żyła. Wkładała jasną koszulę i uśmiechała się do swojego odbicia w lustrze, które od wypadku Petera stało w sypialni. Dotykała skóry na udach i piersiach, a ona natychmiast odpowiadała gęsią skórką. Patrzyła na siebie w odbiciu i widziała piękną kobietę.

Słońce grzało, Stach całował ją we włosy i wdychał jej zapach. Świat rozkwitał. W Ewie rozkwitała myśl, że najwyższy czas opuścić Lichtenwalde. Cała była rozedrgana i roztańczona. Cała była energią. Przeglądała się w niebieskich oczach wypalających jej w sercu coraz wyraźniejsze ślady. Widziała w nich kobietę. Widziała w nich siebie. A także poważne zagrożenie dla swojej rodziny. To nagłe wiosenne przebudzenie nie mogło skończyć się dobrze. Ten bezczelny uśmiezek, ta buta i pewność siebie, ten jaskrawy błękit. To przekonanie, że jest ładna. Że ma biodra, piersi, włosy, które ktoś wacha. Że ma słońce w sadzie i w sercu.

– Peter, musimy zacząć myśleć o wyjeździe. Musimy coś zaplanować – szeptała do męża w nocy. Próbowwała rozmawiać w dzień, milczał jak zawsze. Teraz i nocą – inaczej niż kiedyś – odwracał się do Ewy plecami i nic nie mówił.

– Peter – niecierpliwiła się. – Jesteś?

Wolałaby sobie pomilczeć, tak jak on.

Tyle miała spraw do przemyślenia, tyle spojrzeń do przeżycia jeszcze raz. Chciała już leżeć z zamkniętymi oczami i przywoływać moment, w którym Stach trzymał ją za ramiona i całował we włosy. Chciała odtwarzać tę chwilę jeszcze raz i jeszcze raz, od nowa. Chciała pójść w głowie o krok dalej. Co by się stało, gdyby Stach objął ją w pasie? Co by się stało, gdyby zjechał rękami poniżej talii, a ustami poniżej włosów?

Przyjemne myśli musiały jednak poczekać. Nadszedł czas mniej przyjemnej rozmowy. Eva wcale nie miała na nią ochoty, ale nie było odwrotu. Czowała, że ich czas w Lichtenwalde dobiega końca. Czowała, że trzeba zacząć planować wyjazd.

– Peter! – ciągle szepcze, ale niecierpliwi się już bardzo. Co się dzieje z tym człowiekiem. Gdy ona kwitnie, on zamienia się w kamień. Ona chce

kontaktem, on ucieka w swoją poduszkę. Ona szuka słońca i wiosny, on zapada w sen zimowy. Ona chce mówić, on milczy, jeszcze bardziej uparcie niż zwykle.

Zirytowana, odwróciła się tyłem do męża. Peter ostatnio rzadko wychodzi ze swojej skorupy. Schował się w niej dobre parę tygodni temu. Kiedy się to zaczęło? Eva nie może sobie dokładnie przypomnieć, bo zbiegło się to z momentem, w którym Stach zaczął jej odważniej okazywać zainteresowanie, więc trudno było się skupić na czym innym. Przez tyle lat znajdowała drogę do serca swojego męża, teraz błądzi. W jej głowie nie ma miejsca na szukanie przetartych już kiedyś ścieżek i tras.

Na szczęście Inga jest ostatnio spokojna. Uśmiecha się do Ewy i do świata. Rano siedzi grzecznie przy stole, ładnie uczesana i ubrana. Śledzi każdy ruch Polki. Dorka podnosi do ust kubek z herbatą i swastyką na dnie. Inga patrzy. Dorka przełyka herbatę. Inga nie odrywa od niej wzroku. Dorka odgryza kęs chleba. Inga wyczekuje, co będzie dalej.

– Nie, Ingo. Teraz nie mam czasu – mówi do niej Dorka. Dziewczynka nie reaguje. Ciągłe patrzy. W jej szarych oczach jest cierpliwość i tysiąc zapewnień, że będzie czekała na Dorkę aż do momentu, kiedy ta wróci do domu. I czeka. Już od południa stoi na skraju sadu i wypatruje Polki wracającej ze szkoły.

Chlup, chlup – buty Dorki zanurzają się w błocie. Przemakają. Słońce nie praży już tak mocno jak przed dwiema godzinami, kwietniowy chłodek wdziera się pod spódnicę i pod bluzkę. Dorka rozumie, że znowu przeceniła poranne promienie. Po przyjeździe do domu musi wyszorować buty i coś zjeść.

A Inga wciąż czeka.

Siedzi przy stole obok Dorki jedzącej obiad. Patrzy. Eva dostrzega zaangażowanie córki w relację z Polką i widzi, że i ta jej nie unika. Czasami nawet ma wrażenie, że Dorka również lubi spędzać z Ingą czas. Ostatni łyk herbaty.

W końcu Polka wstaje. Znika na chwilę w pokoju naprzeciwko kuchni, a potem wraca z koszyczkiem. Rozkłada duży kawałek materiału i zaczyna haftować. Mówi do Ingi, a ta słucha i sprawia wrażenie, jakby wszystko rozumiała.

– Dobrze – zaczyna Dorka – dzisiaj zajmiemy się kwiatkiem. Co ty na to?
Inga patrzy na Polkę uważnie, nie potakuje ani nie zaprzecza.

– Środek zrobimy czarny, a płatki czerwone – mówi dalej Dorka. – Bo to będzie mak.

Inga dotyka paluszkami wyhaftowanej trawy i ptaszka, który fruwa już nad letnią łąką na materiale. Dorka nawleka igłę i cierpliwie tłumaczy. Czasami Eva przysiadła w pobliżu. Chłopcy ucinają sobie popołudniową drzemkę, a ona w spokoju przygląda się porozumieniu, które nawiązało się między jej córką a Dorką.

Cud wydarza się wtedy, kiedy Eva nie może się na niczym skupić, bo w jej głowie wciąż wyświetla się scena z korytarza. Tego dnia, gdy Eva myśli o rękach Stacha na swoim ciele i o ustach Stacha na swoich włosach, jego żona prosi jej córkę:

– Podaj mi żółtą nitkę! Jest tam, w koszyku – dodaje jeszcze i uśmiecha się do dziewczynki.

Mówi to po polsku, ale Eva wszystko rozumie. Podobnie jak jej córka, która zazwyczaj wydaje się nie znać polskiego, niemieckiego ani żadnego innego języka. Dziewczynka poprawia kosmyk, który wymknął się z zaplecionego ciasno warkocza, i przysuwa do siebie koszyk. Grzebie w nim przez chwilę, wyklada jeden motek, potem drugi. Dorka czeka cierpliwie. Nie wyrywa. Inna koszyczka z ręki, nie szuka sama. Bliźniaczym gestem poprawia niesforny kosmyk.

Tymczasem Inga znajduje to, czego szukała. Wyciąga drobną rączkę z chudymi paluszkami i podaje Dorce żółtą nitkę.

Dorka dziękuje i znowu uśmiecha się do dziewczynki. A potem podnosi wzrok na Evę, która szybko mruga powiekami. Przez jej serce obudzone spojrzeniem Stacha przetacza się właśnie wichura. W jej zmęczonej odtwarzaniem wczorajszej sceny głowie szaleje huragan.

Jest szczęśliwa. Jest zazdrosna. Tyle razy próbowała zainteresować córkę światem i nigdy jej się to nie udawało. W końcu w nią zwątpiła. Zwątpiła we własne dziecko. Tymczasem Inga w koszyku Dorki znalazła coś dla siebie. Coś na tyle ważnego, że zdecydowała się opuścić swój świat, jedyne miejsce, w którym czuje się bezpiecznie.

Nagle myśl o Stachu i jego rękach na jej ciele zaczyna Evie przeszkadzać. Polak wciąga ją w sytuację, która nie może się skończyć dobrze dla nikogo, a Eva leci w nią jak w ćma do ognia. Tymczasem Dorka, jego żona, wyciąga córkę Evy z samotności, w której spędziła całe swoje dotychczasowe życie.

Tylko jedna osoba do tej pory traktowała Inge z taką samą uwagą. Tylko Helga rozumiała Inge tak dobrze, jak teraz rozumie ją Dorka.

Eva przypomina sobie scenę z przeszłości tak odległej, że wydaje się, jakby to było wspomnienie innego życia. Stały na dróżce do wsi, pomiędzy swoimi domami. Helga miała już wielki brzuch. Zastanawiały się, czy Inga szybciej zaprzyjaźni się z chłopcem czy z dziewczynką. Cieszyły się, że ich dzieci będą się wychowywały razem. Nie wiedziały jeszcze, że Inga będzie dzieckiem, które nie szuka przyjaźni. Nie wiedziały też, że Helga nie będzie wychowywała nikogo.

HELGA

Pół roku po spotkaniu na dróżce z piersi Helgi wciąż lało się mleko, choć malutki Erwin już od kilku miesięcy leżał w białej trumience i czarnej ziemi. Oczy jednak miała suche. Niemiecka kobieta nie płacze. Nie rozpaczałaby po stracie dziecka, nawet gdyby było bardziej udane niż Erwin. Niemiecka kobieta nie ma czasu na rozpamiętywanie i nurzanie się w smutku, bo rodzi kolejne dzieci. Co najmniej czwórkę. Dla wódza. Helga nie rodziła, brzuch miała pusty, za to piersi wciąż pełne. Wyplakiwały to, czego nie zdołały wypłakać oczy.

Czworo dzieci – dwóch silnych żołnierzy i dwie zdrowe matki żołnierzy – tyle winna jest ojczyźnie niemiecka para. Partia potrafiła być wdzięczna za wywiązanie się z patriotycznego obowiązku. Po czwartym dziecku umarzała pożyczkę, którą młode małżeństwa zaciągały na wicie gniazda.

Kilka dni przed swoim ślubem w urzędzie w Habelschwerdt Helga spotkała koleżankę ze szkoły i jej przyszłego męża. Obie dopełniały ostatnich formalności – sprawdzały podpisy, dokumenty, szczegóły ceremonii. Annelise trzymała w dłoni zaświadczenie od ginekologa.

– *Heil Hitler!* – powitała urzędnika, wchodząc do jego pokoju z wysoko podniesioną głową. Rozjaśniła pomieszczenie błękitem nordyckich oczu oraz białym, równym uśmiechem. Taka zdrowa kobieta nie zawiedzie wódza i kraju. Ginekolog z Bad Langenau nie przewidywał żadnych problemów. Brzuch Annelise był gotowy na noszenie wzorcowych niemieckich dzieci. Nie omieszkała się tym podzielić z urzędnikiem siedzącym za biurkiem.

– Jestem zdrowa, mogę rodzić. Chcemy mieć dużą rodzinę. Pieniądze się przydadzą. Dla dzieci.

Pięć lat po ślubie Annelise stało się jasne, że wódz, przyznając jej i mężowi pożyczkę dla młodych małżeństw, zrobił świetny interes. Zwróciła się po wielokroć. Brzuch znowu rósł, pewnie nie po raz ostatni. Czwórka zdrowego, nazistowskiego drobiazgu pałętała się pod nogami. Dwie blond dziewczynki ze skupionymi minami pomagały Annelise przygotować pożywny posiłek w *Eintopfsonntag*. Starsza sprawdzała z matką, czy w garnku gulaszu nie pływa zbyt dużo mięsa. Jeden talerz nie powinien kosztować więcej niż pięćdziesiąt fenigów. Prawie nigdy nie przekraczały zalecanej kwoty. Zaoszczędzone na drugim daniu pieniądze ich rodzina – jak wiele innych – przekazywała partii. Młodsza blond córka z namaszczeniem wrzucała Reichsmarki do puszek umundurowanych mężczyzn kwestujących na rzecz Niemieckiej Pomocy Zimowej. Pieniądze trafiały do tych, których partia uznała za potrzebujących, a małe gosposie uczyły się życia.

Annelise mogła się pochwalić nie tylko dwiema zaradnymi dziewczuszkami. Największy sukces niemieckiej pani domu ślinił się właśnie obficie na podłodze, prezentując cztery mleczne trzonowce. Aryjscy bliźniacy raczkowali po wyposażonym za pieniądze z pożyczki mieszkaniu. Najcenniejszym prezentem dla kraju są zawsze synowie. Wagina ma swoje miejsce w narodowosocjalistycznym państwie, jeśli jest chętna do współpracy z wodzem przy rodzeniu mu dzieci. Ale prawdziwą chwałę matce, ojcu, ojczyźnie mogą przynieść wyłącznie penis i dwa jądra.

Annelise była kobietą spełnioną. Urodziła małe panie domu, wyprodukowała przyszłych żołnierzy. Dwóch pyzatyh bojowników, którzy złożą – kiedy nadejdzie odpowiedni moment – życie na ołtarzu wielkich Niemiec. Jeszcze chwilę, a chłopcy będą służyli partii i Rzeszy. Annelise już się uśmiecha do tej ekstatycznej wizji. Wódz też się uśmiecha. Przygląda się pięknej rodzinie z oddali, czasami Annelise ma wrażenie, że niemal głaszcze po głowach całą dzielną szóstkę i z ojcowską czułością anuluje pożyczkę dla młodych małżeństw. Annelise zaciska zęby, rozszerza nogi i z wdzięczności dla wodza zamierza mu ofiarować kolejną niespodziankę. Ma nadzieję, że i tym razem uda się stworzyć pięknego chłopca, a w głębi ducha pielęgnuje marzenie, którego nie ma odwagi wypowiedzieć głośno, żeby nie zapeszyć. Może znowu uda się zaciążyć podwójnie? Mąż wymachuje w górę i w dół bladym tyłkiem porośniętym rzadkim włosom,

a ona czeka, aż dokończy to, co dokończyć należy. Tak jak przystoi niemieckiemu małżeństwu pracującemu nad przywołaniem do hrabstwa Glatz kolejnego obywatela. Mąż w końcu zsuwa się z Annelise, a ona jeszcze przez chwilę, zanim zmorzy ją zasłużony po ciężkim dniu wypełnionym opieką nad dziećmi sen, marzy o tym, by z tego zbliżenia powstał jeszcze co najmniej jeden chłopiec. Jeszcze jeden niemiecki żołnierz, który z rozkoszą odda życie za wodza. *Ein Volk, ein Reich, ein Führer.*

Helga i Martin nie starali się o pożyczkę dla młodych małżeństw. A szkoda. Może ginekolog podczas obowiązkowej przedślubnej wizyty zauważyłby, że brzuch Helgi nie zamierza ponosić poświęceń na rzecz państwa. Wtedy Martin mógłby zawczasu znaleźć sobie inną, pełnowartościową, żonę. Kiedy Annelise dzielnie rodziła bliźniaki, Helga wreszcie poczuła, że i w jej brzuchu coś zaczęło się dziać. Cieszyła się ona, cieszył się Martin. Czekali niecierpliwie. Po ośmiu miesiącach z Helgi wysunął się Erwin. Miał co prawda i penis, i jądra, ale ojczyźnie nie mogły się one do niczego przydać. Wystarczyło spojrzeć na krzywe nóżki dziecka i na jego wielką głowę, żeby zrozumieć, że wodzowi oraz rodzicom ten mały człowiek może przynieść więcej kłopotów niż chwały.

Umarł więc mały Erwin, jeszcze zanim mama i tata przyzwyczaili się, że jest. Umarł ze wstydu sprawnie, szybkoitko, nim zdążyli go dobrze poznać. Nikt za nim nie płacze, tylko piersi Helgi ciągle pełne są mleka. Kapie i kapie, ciurka i ciurka. Helga nie mówi z nikim o Erwinie, choć niemal cały czas w jej głowie czai się myśl, że miło byłoby porozmawiać o synku. Choćby przez chwilę. Choćby i o takim, który zamiast w łóżeczku leży w trumience. Chciałaby może powiedzieć mężowi, matce albo Evie, że tęskni za chłopczykiem, który nie zobaczył twarzy mamy ani twarzy taty, nie usłyszał ich głosów. Helga ma wrażenie, że gdyby mogła o nim porozmawiać – o jego stópkach i paluszkach, o jego zapachu i miękkich włoskach, a nawet o krzywych kolankach i ogromnej głowie – poczułaby się lepiej. Nie jest jednak łatwo opowiadać o dziecku, które, chociaż wyczekiwane przez lata, pojawiło się tylko na chwilę. Helga wie, że ani Trzecia Rzesza, ani Lichtenwalde nie oczekują od niej łez ani tęsknoty. Nikt nie chce epatowania uczuciami. Całą swoją kobiecą siłę, całą energię powinna zaangażować w następną ciążę. I urodzić w końcu udane dziecko.

Nic więc Helga nie mówi, za to myśli dużo. Nie może skupić się na przyszłości, na wielkości Rzeszy i Lichtenwalde, na kolejnych synach

i córkach, którzy czekają w kolejce, by narodzić się w najwspanialszym z krajów. Jeszcze nie ma dla nich miejsca w jej głowie, bo ciągle nie wyrzuciła z niej swojego popsutego syneczka, Erwina. Ciągle przypomina sobie ich krótki wspólny czas. Zapach Erwina i jego delikatny dotyk. Jego drobne, kształtne stópki i paluszki u rąk. Wtulające się w nią ciałko, chude rączki, krzywe nóżki i zniekształconą głowę. Próbował wtopić się w jej miękki brzuch i obrzmiałe piersi. Łapał za brodawki i ssał mocno, z oddaniem, jakby od razu, naraz, chciał wypić całe mleko. A gdy odkładała go do łóżeczka zaraz po karmieniu, beczał zachrypniętym głosem jak koziołek. Płakał przez całe swoje krótkie życie. Płakał i płakał. Pił mleko, wtulał się w jej miękki brzuch i twarde piersi, a potem znowu płakał.

Oczy Helgi są suche, ale jej głowa pełna jest synka, a piersi leją za nim białe łzy.

Umarł Erwin w zimowy dzień, krótki i brzydki. Pochowali go nazajutrz po południu. Niebo nad Lichtenwalde nie przygotowało mu na pożegnanie żadnej niespodzianki. Nie było słońca, nie było śniegu. Mały Erwin i tak by ich zresztą nie zobaczył. Nawet gdyby nie umarł, nie wyrósłby rodzicom na schwał. Nie zostałby żołnierzem. Nie trafiłby do Hitlerjugend, gdzie brylować będą obślinione bliźniaki Annelise. Nie zostałby nawet Pimpfem. Czarne trzewiki, podkolanówki i szorty nie były dla Erwina. Jego deformacje ośmieszyłyby tylko pimpfowski mundurek. Wojskowa czapka zjeżdżałaby ze zbyt dużej głowy. A co miałyby wpisać do swojego *Leistungsbuch*? Jakie Erwin mógłby mieć osiągnięcia? Jakie zawody wygrać?

Nie to, co sześćioletni Gerhard z Jeny, który wpęzł do kanału kanalizacyjnego z bombą pod pachą. Doczołgał się z nią pod piwiarnię, w której zbierali się komuniści. Gerhard nienawidził komunistów z całego swojego niewielkiego serca. Nienawidził ich szczerze, od kiedy jeden z nich śmiertelnie postrzelił jego ojca. Chłopiec wychowywał się bez taty i miłość do ojczyzny ukształtował w nim dziadek. Gerhard podrzucił bombę na końcu rury i uciekł, jak najszybciej potrafił. Spieszył się, bo chciał zobaczyć, jak czerwona zaraza fruwa nad miastem.

Stał obok dziadka i, z płucami ściśniętymi z przerażenia oraz trzęsącymi się dłońmi, przyglądał się kawałkom mięsa rozrzuconym po okolicy siłą wybuchu. Dzwoniło mu w uszach od huku, ubrania miał mokre i śmierdzące szlamem płynącym rurą kanalizacyjną, na jego buzi osiadł pył po budynku, który wyleciał w powietrze razem z komunistami. Chciało mu

się siku, ale tylko przez chwilę, bo posikał się w swoje krótkie spodenki. Czuł, że broda zaczyna mu drżeć. Że łzy napływają do oczu. Dziadek ścisnął jego ramię i powtarzał uroczystym, wzruszonym tonem:

– Ale im dołożyłeś, synu! Wódz będzie z ciebie dumny. To, co dzisiaj zrobiłeś, wpiszesz do swojego *Leistungsbuch*.

Mały Gerhard mrugał szybko, żeby przegonić z oczu łzy, a te nieliczne, które jednak wypłynęły, starł szybko wierzchem dłoni, żeby nikt ich nie dostrzegł. Mokry i śmierzący, w zasikanych spodenkach, w butach pełnych szlamu stał i patrzył na rozrzucone wokół kawałki komunistów. Słuchał dziadka i czuł, że jego serce wypełnia duma.

Kiedy tylko nauczył się pisać, opisał w *Leistungsbuch* swój bohaterski czyn. Jeszcze zanim włożył pimpfowskie trzewiki, podkolanówki, szorty i czapkę, wiedział, że partia spodziewa się po nim wielkich rzeczy, a on sam zajdzie w niej daleko. Kariera w służbie wodza stała przed nim otworem. Czasami tylko moczył łóżko. Podczas pimpfowskich obozów na ochotnika zgłaszał się do nocnych wart, za co chwalili go przełożeni. Mały Gerhard wolał czuwać i unikać snu. Nie chciał ryzykować, że znowu przyśni mu się ludzkie mięso latające nad miastem.

Erwin nie miałby szans dorównać Gerhardowi. Nie czekała na niego kariera. Nie czekały zawody ani nawet wycieczki. Najdłuższa trasa, jaką przebył w całym swoim życiu, to dziesięć centymetrów od brzucha do piersi, gdy w Bad Langenau położyła z nieodgadnionym wyrazem twarzy przekazała go matce.

Ludzie, jak to ludzie – gadają. A każdy z nich wie lepiej, jak żyć. Każdy służy dobrą radą, którą chętnie się podzieli.

Krótkie życie Erwina także zostało podsumowane i ocenione. Za jego największe dokonanie uznano fakt, że zniknął, zanim się na dobre pojawił.

– Dobrze zrobił, że umarł – powtarzano w całym Lichtenwalde.

– To dla niego lepiej.

– Lepiej dla niej.

– Lepiej dla nich.

A nie, myślała Eva. Wcale nie jest lepiej, kiedy umiera dziecko. Z trudem patrzyła na białą trumienkę i wyobrażała sobie leżące wewnątrz powykrzywiane ciało Erwina. Malucha, który nie zdołał przeżyć niczego. Chłopca, który nie mógł się na nic przydać wodzowi i dlatego jego śmierć

nie była warta nawet jednej łzy. W lichtenwaldzkim kościele, znanym jej od zawsze, wokół białej trumienki, z Erwinem zatrzaśniętym wewnątrz na zawsze, zgromadziło się zaledwie kilkoro ludzi. Nikt nie płakał. Tylko dwie plamy na piersiach Helgi robiły się większe i większe.

Ale Eva nie miała o nich pojęcia.

Myślała o Erwinie z krzywymi nóżkami schowanym pod białym wiekiem na środku kościoła. Myślała o swojej Indze zatrzaśniętej we własnej głowie, która też nie przysłuży się ani wodzowi, ani Rzeszy. Niedługo skończy cztery lata i jeszcze nie nauczyła się mówić. Nie patrzy w oczy nikomu, nawet Evie. Kiedy jest niezadowolona, piszczy głośno i długo. Niczego nie można jej wytłumaczyć. Nie da się jej wychować prośbą ani groźbą. Nie pomagały krzyki ani bicie. Córka płakała głośno po każdym uderzeniu, a razów bała się tak bardzo, że z czasem zaczęła zasłaniać pośladki rączkami, gdy tylko Eva podnosiła głos. Patrzyła rozszerzonymi z lęku źrenicami, ale nadal nic do niej nie docierało. W końcu Eva przestała. Jej piękna Inga nie żyje w Trzeciej Rzeszy, nie żyje w Lichtenwalde. Żyje we własnym świecie. Tymczasem Hans kuzynki z Köslin składa już pierwsze niemieckie wyrazy. Pięknie będą wyglądały jego proste, pulchne nóżki w szortach, podkolanówkach i pimpfowskich trzewikach.

Eva nie rozmawia o Indze z nikim, nawet z Peterem. Ma wrażenie, że jeśli na głos wypowie, co czuje, to jej najgłębszy lęk o przyszłość córki, taki, któremu pozwalała istnieć tylko podczas najciemniejszych nocy i najbardziej martwych godzin, stanie się rzeczywistością.

W najciemniejszą noc, w czasie martwych godzin, Eva zastanawiała się, czy to ona będzie kształtowała przyszłość swojego dziecka, czy też zadecyduje o niej Trzecia Rzesza.

Inga jeszcze nie wpadła w tryby narodowosocjalistycznej edukacji. Jeszcze nie musi chodzić do szkoły. Nie musi uczyć się rasoznawstwa, eugeniki czy prowadzenia gospodarstwa domowego z elementami matematyki. Jeszcze nie wie, że jej powołaniem jest rodzić wodzowi mięso armatnie. Na razie chowa się na podwórku w domu pod lasem. Eva nie pokazuje córki ludziom. Na razie uważnie ją obserwuje, każdego dnia próbuje zainteresować światem i każdego dnia ponosi klęskę. Na razie Inga jest bezpieczna, tylko z rodziną. Jeszcze nie trzeba się bać o jej jutro.

Natomiast pojutrze jest wielką niewiadomą.

Na pogrzebie Erwina Eva stała pomiędzy Peterem i Martinem. Patrzyła na nich – to na męża, to na sąsiada. Mieli takie same poglądy na życie i na świat. Rozumieli się bez słów, wiosną i jesienią często spędzali popołudnia razem. Siedzieli wtedy na ławce pod stodołą Petera. Popijali piwo i wystawiali twarze do słońca. Niewiele rozmawiali. Nie musieli. Najważniejsze życiowe kwestie omówili już dawno.

Na pogrzeb ubrali się tak samo. W białe koszule ze sztywnymi kołnierzykami, ciemne marynarki i krawaty, podobne płaszcze. Do kłap, po lewej stronie, tej blisko serca, przypięli metalowe swastyki. Błyszczały w świetle kościelnych świec. Nie mieli czapek, ale niemiecki mężczyzna nosi je rzadko. Niemiecki mężczyzna nie czuje mrozu. Niemiecki mężczyzna w ogóle niewiele czuje. Może to dlatego wzrok mają pusty. Obaj patrzą gdzieś daleko, nieobecni. Oczy Martina są czerwone, ale suche.

„Wcale nie jest dobrze” – chciała powiedzieć Eva tym wszystkim, którzy szacowali, co dobre dla Erwina, dla jego rodziców, sąsiadów, dla rodzinnej wioski. Wcale nie dobrze, że Helga i Martin wrócą do pustego domu. Puste jest łóżeczko Erwina, pusty wzrok Martina, pusty brzuch Helgi. Tylko jej piersi wciąż są pełne mleka.

Ale ludzie wiedzieli lepiej.

– Kraju nie stać na utrzymywanie osób z krzywymi nogami i za dużymi głowami – niosło się przez wieś.

Mówiono o tym ostatnio wszędzie. Każdy wiedział, że na roczny pobyt w szpitalu jednego człowieka, który nie jest w stanie niczym przysłużyć się państwu, musi przez rok pracować dwóch niemieckich robotników. Oddanych, obowiązkowych i budujących w pocie czoła potęgę wielkiej Rzeszy. Siedem lat w placówce edukującej tego, którego i tak wyedukować się nie da, to już zarobki czterech robotników. Natomiast dziesięć lat utrzymania jednej osoby w domu pomocy to aż dziesięć rocznych pensji zdrowych niemieckich mężczyzn, którzy mogą wyprodukować setki naboju do niemieckich karabinów i zapłodnić mnóstwo niemieckich kobiet.

Taki mały darmozjad jak Erwin mógłby zabrać chleb wielu porządnym niemieckim robotniczym rodzinom. Mógłby zabrać pieniądze śliniącym się bliźniakom Annelise, albo temu kolejnemu, z jej brzucha. Lepiej się stało, że zdążył umrzeć, zanim państwo przerwało jego nikomu

niepotrzebne życie i oddało pieniądze przeznaczone na jego utrzymanie dobrze rokującym obywatelom.

Tak należało.

Podobno gdzieś nad morzem działacz NSDAP wystosował list do samej góry. „Mój Wodzu – napisał – zwracam się z uprzejmą prośbą o zabicie mojego syna metodą podania mu trucizny, ponieważ urodził się bez stopy oraz bez oka. Wolimy, mój Wodzu – pisał działacz w imieniu swoim oraz małżonki – skupić się na tych potomkach, z których wyrosną dzielni niemieccy żołnierze i zdrowe matki żołnierzy. Z poważaniem, działacz NSDAP znad morza wraz z małżonką”.

Niemiecka Rzesza przychyliła się do jego uprzejmej prośby i obwołała go wzorem do naśladowania. Oto człowiek, który stawia interes państwa ponad własny.

A jakie ma plany niemiecka Rzesza wobec Ingi?

Ksiądz Wilhelm odprawił mszę szybko. Nie patrzył na Helgę i Martina, na Petera ani na Evę. Nie patrzył na nikogo. Przez chwilę zatrzymał tylko wzrok na trumience z Erwinem i zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś od siebie. Ale tego nie zrobił.

Kiedy grabarze zakopali małego Erwina z krzywymi nóżkami i za dużą głową na cmentarzu w Lichtenwalde, wiał przenikliwy wiatr. Peter podnosił ramiona najwyżej, jak mógł, chował czerwone uszy w kołnierz płaszcza. Martin wyglądał, jakby mu nie było zimno. Uważnie śledził każdy gest grabarza walczącego z twardą od mrozu ziemią. Helga myślała o swoim dziecku znikającym pod kolejnymi warstwami.

Zimno ci, Erwinie? Malutki synku, najpiękniejszy dla mamy, pokraczny dla świata? Przydałaby ci się pierzynka. Otuliłaby wystające kolanka, żeby nie obijały się o drewno. Kochany Erwinie, piękny chłopczyku, pachnący, ciepły, uspokajający się przy moim dotyku. Czy kolanka nie ocierają się o trumienkę? Czy drewno wewnątrz niej jest gładko oheblowane? Czy nie wbijają się drzazgi w twoje sztywne, martwe nóżki? Szkoda, że nie otuliłam cię pierzynką, tą niebieską i miękką. Tą, która przyjechała dla ciebie aż z Glatz, kiedy jeszcze mieszkałeś w brzuchu, a wszyscy się cieszyli, że cię wkrótce zobaczą.

Potrzebujesz ciepłej pierzynki, potrzebujesz mamy, która ogrzałaby zimne ciało, zasłoniła przed światem, zamknęła w swoich ramionach.

Zajrzała do swojego brzucha, kiedy w nim był, i nie pozwoliła kolanom się wykrzywiać, a główce rosnać bez umiaru.

Była taka duża, że pielęgniarka chciała ją podziurawić. Poród trwał i trwał, Erwin nie wychodził. Jeszcze kwadrans i byłoby po sprawie.

– Ale co pani chce zrobić? – dopytywała Helga, zmęczona i rozedrgana.

– Jeśli dziecko ma za dużą głowę i nie może wyjść, to robi mu się dziurę w czaszce, żeby mózg wypłynął. Tak jest łatwiej – beznamiętnie tłumaczyła pielęgniarka.

Helga poczuła wtedy, na szpitalnym łóżku, że kręci jej się w głowie, i nie mogła powstrzymać wymiotów. Pielęgniarka wyszła po szmatę, złorzecząc pod nosem. Głowa Erwina wreszcie się urodziła. Był! Pojawił się na świecie na chwilę z główką zbyt dużą, ale całą. Mama głaskała śpiącego synka z wypukłym czołem i okrągłym ciemieniem. Sprawdziła uważnie: żadnych dziur. Teraz stoi nad jego grobkim i zastanawia się, czy okrągła głowa nie marznie pod ziemią w to brzydkie, zimowe popołudnie.

Poprzedniego poranka zerwała się nagle, zaniepokojona milczeniem Erwina. Tej nocy dał jej się wyspać. Tej nocy nie płakał co godzinę i nie wzywał do karmienia, jak to miewał w zwyczaju.

Tej nocy umarł.

Kiedy przybiegła do łóżeczka, jej syn był już zupełnie blady i zupełnie zimny. Krzyczała głośno, aż obok niej pojawił się Martin. Dziecko miało nieruchomą buzię i głowę jakby jeszcze większą niż zawsze.

– Umarł? – zapytał mąż krótko. Nie dotknął Erwina. Nie dotknął Helgi.

– Umarł – odpowiedziała.

Martin odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Chwilę potem wrócił, ubrany, i poszedł do księdza Wilhelma, żeby zaplanować pogrzeb. Zostawił ich samych. Siedzieli więc sobie w domu we dwoje – zimny Erwin i ciepła Helga.

Mleko lało się z niej strumieniami jeszcze miesiące później, gdy nad grobkim Erwina przestało wiać i zakwitły forsycje, a pobliski grób rodziców Evy pokrył dywan z żółtych i fioletowych bratków. Nawet wtedy, gdy przyjechało po nią auto z Glatz i zabrało ją do miasta. Również wtedy, kiedy stała przed sądem do spraw zapobiegania obciążeniom dziedzicznym i słuchała jego postanowienia. Nie mogła się skupić na tym, co mówił sędzia, bo krople mleka wylatywały z brodawek jedna po drugiej.

– Sterylizacja – padło w końcu z ust sędziego. Mówił spokojnie, powoli i bardzo wyraźnie, bo w sali, w której się znajdowali, często kierował swoje słowa do osób, które potrzebują, żeby wyjaśnić im, co ich czeka, powoli i powtórzyć to wiele razy.

Helga poczuła, że bluzka jej zaraz przemoknie. Złożyła ręce na piersi, żeby nie było widać plam.

– Ste-ry-li-za-cja – powtarzał sędzia przesadnie wyraźnie. – Czy wiadomo, co to znaczy? Czy mam wytłumaczyć?

Tak, tak. Nie, nie.

Helga kiwała głową i nic nie mówiła. Stała, oniemiała, przed trzema mężczyznami. Po bokach sędziego w todze siedziało dwóch lekarzy. Jeden miał na sobie mundur, drugi garnitur. Spoglądali na Helgę bez większego zainteresowania. Przed każdym z nich piętrzył się stos dokumentów. Tego dnia miało stanąć przed nimi jeszcze dziesięć osób takich, jak ta zahukana, zastraszona kobieta, która nie potrafi wydusić z siebie słowa. Stoi przykurczona, pochylona, jakby nie umiała pleców wyprostować i powiedzieć głośno i wyraźnie *Heil Hitler!* A potem odnieść się do tego, co mówią.

Zresztą, pomyślał lekarz po prawej, może i lepiej, że się nie odzywa. I tak by nic nie wskórała. Może w nich wlepiac te okrągłe, przestraszone oczy do woli. W jej przypadku wszystkie okoliczności zostały dokładnie zbadane i nie wzbudzały najmniejszych wątpliwości. Dokumentacja jest pełna.

Zawiadomienie złożyła pielęgniarka ze szpitala w Bad Langenau. Doświadczona kobieta, oddana partii, czujna i przenikliwa. To nie pierwszy przypadek patologii, który usłużnie podkłada sądowi do rozpatrzenia. We wniosku na temat stojącej przed nimi kobiety wyjaśniła sprawnie, że od razu po porodzie widać było, że dziecko, które urodziła, jest upośledzone. Po krótkim badaniu pielęgniarka dostrzegła, że noworodek nie widzi, nie słyszy, ma ciało z szeregiem fizycznych defektów i wodogłowiem tak masywnym, że położnica z trudem urodziła. Pielęgniarka sama, nieproszona przez nikogo, napisała we wniosku, że przestudiowała dokumentację lekarską pacjentki ze szpitala w Bad Langenau, z której wynikało, że stojąca przed nimi kobieta przez kilka poprzednich lat poddawała się leczeniu niepłodności. Przyjeżdżała do lekarza, on zapisywał płukanki i nalewki, ale kuracja nie przynosiła skutku. W końcu urodziła. Co to było? Chłopiec? Dziewczynka? Lekarz nie może

sobie przypomnieć. Macha ręką. Nieważne. I tak umarło w ósmym tygodniu życia.

– Pragnę przypomnieć, że sterylizacja to nie jest kara – tłumaczył sędzia.

Ale Helga wiedziała, że została oskarżona. Oskarżona o to, że nie jest w stanie urodzić zdrowego, kształtnego żołnierza ani matki żołnierza. Rodzenie wychodzi jej beznadziejnie, więc nie będzie się nim więcej zajmować. Niemiecka Rzesza w swojej nieskończonej łaskawości zdejmuje z niej ten podstawowy obowiązek. Poznaj niezmierzone arealy naszej dobroci, kobieto-niedojo, wieśniaczko z zapadłej dziury pod samą granicą. Nie poniesiesz żadnej kary, Helgo, za to, że nie panujesz nad swoją macicą. Nie będziemy cię nękali mimo to, że nie panujesz również nad swoimi piersiami, Helgo. Ciekną i ciekną i końca produkcji mleka nie widać, mimo że z twojego Erwina pod ziemią zostało już niewiele, poza ogromną czaszką, która ledwie prześlizgnęła się przez twoje drogi rodne. Nikt cię za to nie pociągnie do odpowiedzialności. Ale nie kłopotz już ojczyzny swoimi problemami.

Może i dobrze, że stoi, niemowa, przyciska ręce do piersi i patrzy, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi, myśli lekarz. Pójdzie szybciej, będzie czas na kawę.

Helga była w sądzie całkiem sama. Ona jedna w przemoczonej bluzce przeciwko trzem mężczyznom: w todze, w mundurze i w garniturze. Ona jedna z nikomu niepotrzebnym mlekiem przed autorytetami całej Trzeciej Rzeszy. Ona jedna przed wodzem i jego wizją najpotężniejszego mocarstwa świata.

Ale dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Chciała pytać, ale nie miała siły. Wstydziła się mokrych plam na bluzce. Bolał ją brzuch. Stała sama, samiutka. Kiwała głową. Wiedziała, czym jest sterylizacja. Nie rozumiała tylko, dlaczego taki wyrok dotyczy właśnie jej. Sędzia nie patrzył na Helgę, tak jak nie patrzy na nikogo ze skazanych na zabieg, ale w swojej nazistowskiej mocy tłumaczy tym biednym ludziom, dlaczego Rzesza nie chce, żeby się dalej rozmnażali. Czasami ma wrażenie, że z całego tłumaczenia niewiele trafia do tych pustawych mózgów.

– Urodziła pani chore dziecko – mówi do Helgi. – Było głęboko zdeformowane, miało koślawe nogi, wodogłowie, cierpiało na ślepotę i głuchotę. To był człowiek upośledzony w stopniu głębokim. Czy pani rozumie?

Tak, chce powiedzieć Helga, rozumiem wszystko, panie sędzio. Wszystko rozumiem, każde słowo. Że dziecko było małe i chore. Że takie dzieci nie są nam teraz wcale potrzebne. Rozumiem to. Poczula zapach synka, przypomniała sobie paluszki, które często zaciskał na jej kciuku. Mleko z piersi trysnęło jak fontanna przed uzdrowiskiem w Bad Langenau.

Sędzia tłumaczył dalej. Jeszcze wolniej i jeszcze wyraźniej. Kobieta przed nim nie odezwała się ani słowem. Z takimi właśnie ludźmi ma do czynienia w tej pracy, ale nie narzeka. Służy wodzowi, jak potrafi.

– Nie chcemy narażać pani na urodzenie kolejnego dziecka, które nie będzie w stanie przeżyć. Chcemy panią przed tym uchronić. Nie chcemy też narażać na to niemieckiego państwa.

Ale to nie była choroba dziedziczna – myślała Helga. Usta miała zasznurowane, ale myśli eksplodowały w jej mózgu szybciej niż kiedykolwiek. Sędzia, jakby powiedziała to na głos, dodał:

– Nie możemy być pewni, czy pani ciężko upośledzony syn cierpiał na chorobę dziedziczną. Ale urodził się chory. Również w pani rodzinie występują przypadki niedosłuchu i słabego wzroku. Lekarz – tu sędzia skinął głową w stronę tego w mundurze – przeanalizował historię waszej rodziny i waszego zmagania się z bezpłodnością. Ryzyko jest zbyt duże.

Mówił dalej, ale Helga już go nie słuchała. Stała prosto, opuściła ręce. Było jej wszystko jedno, co sędzia oraz lekarze pomyślą o mokrej bluzce. I tak na nią nie patrzyli. Drżały jej dłonie, drżały usta. Cała była roztrzęsiona. Myślała o swojej matce. Mama od kilku lat widziała słabo. Lekarz powiedział, że to zaćma. Często dotyka ludzi wraz z wiekiem, nie ma na nią lekarstwa. A ojcu rzeczywiście psuł się słuch od kilku lat. Trzeba było mówić do niego głośno i wyraźnie, tak jak sędzia do Helgi.

– Sterylizacja to nie jest hańba, proszę pamiętać – kończył powoli. On też miał nadzieję na kawę przed kolejną rozprawą. – To działanie koniecznie w interesie zdrowia narodu. Na zabieg kierujemy panią do szpitala Maria Hilf w Habelschwerdt. Proszę się zgłosić osobiście na ustalenie terminu operacji. Niestawienie się w szpitalu skutkuje aresztowaniem i przymusową sterylizacją, a może się nawet skończyć karą pozbawienia wolności. Proszę mieć świadomość, że niemieckie państwo czuwa nad swoimi obywatelami, także nad panią. Informacje na temat niepełnowartościowego materiału genetycznego są w Rzeszy

katalogowane i archiwizowane, waszego także. Nic nie umknie naszej uwadze i trosce. Jesteście pod dobrą opieką. *Heil Hitler! Sieg Heil!*

Do szpitala Maria Hilf w Halberschwerdt Helga ruszała, kiedy droga wijąca się w dół, do wioski, między domami jej i Ewy pachniała dziką różą. Lubiła tę porę roku. Często na początku lata siadali we czworo w sadzie Petera i nasłuchiwali odgłosów płynących ze wsi. W soboty z *Gasthaus zur Düppeler Schanze* płynęły dźwięki harmonii albo skrzypiec. Jedli, pili, cieszyli się, że żyją. Wszystkie te chwile przywołał w głowie Helgi zapach różowych różyczek na krzakach rosnących na poboczu. Dzisiaj wydawało jej się, że beztroska, harmonia, skrzypce, koc na trawie i smak upieczonego przez Ewę drożdżowego ciasta z truskawkami nie wrócą nigdy. W trakcie ostatnich miesięcy – od narodzin Erwina przez jego pogrzeb po rozprawę przed sądem w Glatz – w sercu Helgi rozlało się ciemne jezioro wciągające, połykające każdy przejaw życia, podobne do tych z lichtenwaldzkiego lasu. W tamte rejony, wysoko, za leśniczówką, ludzie nie zapuszczają się samotnie. W serce Helgi również nikt się nie zapuszczał. Sama także starała się zaglądać do niego jak najrzadziej. Niemiecka kobieta, nawet taka, która nie rodzi dzieci ku chwale Wielkiej Rzeszy, nie pozwala sobie ani na łzy, ani na smutek, ani przyglądanie się ciemnym jeziorom na dnie serca.

Kiedy Helga stanęła przed szpitalem Maria Hilf w Halberschwerdt, podniosła oczy do nieba, jakby w nim szukała pomocy. Ale pomocy nie było. Były za to grube, stare mury. Nowoczesny budynek został dołączony do wiekowego. Gotyckie, łukowate okna, wieżyczki z krzyżem na szczycie, figurka Matki Boskiej na wysokim postumencie i misterne zdobienia skojarzyły się Heldze z kościołem. A do kościoła zwykle chodziła po spokój. W Lichtenwalde spotykała w nim ludzi, których znała od zawsze, spotykała księdza Wilhelma, który był jednym z nich. Szukała tam ukojenia, ciszy, ucieczki od męczących myśli.

Dzisiaj w kościele-szpitalu czekała ją operacja.

Ostatnią osobą, którą zobaczyła przed zaśnięciem, była siostra zakonna. W Maria Hilf habitów było więcej niż fartuchów. Po przebudzeniu również powitała ją zakonnica.

– *Heil Hitler!* – powiedziała do nieco jeszcze oszołomionej Helgi.

Lekarza, który przecinał jej brzuch, nie widziała w ogóle. Nie zwykł witać się z kobietami, w które wkładał ręce. Nie miały dla niego znaczenia ich

twarze ani historii. Interesowały go tylko ich brzuchy, macice i jajowody. Ciął białą skórę Helgi skalpelem, rozszerzał palcami powłoki, przytrzymał je chirurgicznymi kleszczami. Sarkając pod nosem na pielęgniarkę, grzebał przez chwilę w Heldze, denerwując się coraz bardziej, że nie może trafić na to, czego szuka. W końcu znalazł. Trzymał w palcach małą rurkę. Fragment Helgi, w którym przez lata nie chciała pojawić się zapowiedź dziecka, aż w końcu zdecydował się nią przepłynąć Erwin. On jedyny skusił się na zamieszkanie w brzuchu, który teraz prezentował się przed lekarzem w całej okazałości. Doktor pociągnął mocniej rurkę, bo ciężko mu było operować. Helga poruszyła przez sen palcami. Pielęgniarka szybko podała lekarzowi przygotowane wcześniej nożyczki. Tego dnia starała się odczytywać jego myśli, zanim jeszcze zdążyły się pojawić w głowie. Nie chciała mu się niczym narazić. Przez najbliższe cztery godziny na operacyjny stół będą wjeżdżały kobiety gotowe do sterylizacji. Zapowiadał się ciężki dyżur.

Lekarz szamotał się jeszcze przez chwilę z ciałem Helgi. W końcu przeciął. Zawiązał. Wziął się za szybkie szycie. Zegar na ścianie naprzeciwko wskazywał poważny niedoczas. W sali obok kolejne uśpione kobiety czekały na chirurgiczne nożyczki i palce doktora.

Dwadzieścia cztery godziny później Helga była już w domu. Rana po dzieciach, które nigdy nie pojawią się na świecie, bolała i bolała. Goiła się długo, była brzydka, szwy ciągnęły, kiedy Helga próbowała się wyprostować. Taki ślad zostawili na jej ciele Trzecia Rzesza i wódz we własnej osobie, żeby na zawsze zapamiętała, że nie zasłużyła na to, by im rodzić dzieci.

– Co ci zrobili? – pyta Ludmiła i dotyka delikatnie blizny. Rana zagoiła się już dawno, ale blizna ciągle jest gruba, czerwona. Skóra na brzuchu Helgi marszczy się i zwija w gruby wałek.

Ludmiła poprawia rozczochrane siwe włosy. Pochyla się nad blizną, żeby ją lepiej widzieć. Potem podnosi wzrok i patrzy Heldze prosto w oczy. Odzywa się czystą niemczyzną, po raz pierwszy, od kiedy przyszły do jej chaty:

– Co ci te skurwysyny zrobiły?

W góry zabrała Helgę Eva, dopiero wtedy, kiedy ta w końcu zdecydowała się jej powiedzieć o piersiach, które ciekną i ciekną, i nie zamierzają

przestać. Wcześniej zwierzyła się z tego tylko lekarzowi w Bad Langenau, ale tamta rozmowa nie trwała długo. Doktor machnął ręką i przerwał w pół słowa, kiedy tłumaczyła, że jej ciało ciągle produkuje mleko, a blizna po sterylizacji boli, jakby zabieg był wczoraj, choć w lichtenwaldzkim lesie liście się już złocą i czerwienią. Lekarz w Bad Langenau był ginekologiem, nie widział sensu w zajmowaniu się ciałem Helgi. Za drzwiami jego gabinetu czekała kolejka brzuchów pełnych nowych Niemców, a ta tutaj, podwiązana, zawraca mu głowę. Przepisał jakąś maść na ranę, a w kwestii mleka zalecił cierpliwość.

Maść nie pomogła. W niczym.

Domek Ludmiły nie leżał wysoko, ale trzeba było znać trasę, żeby go odnaleźć. Gdy Helga opowiedziała o lejącym się mleku, Ludmiła wstała zza stołu i pogrzebawszy chwilę w szafkach, wyciągnęła płócienny worek z ziołami. Na pytania Ewy i Helgi odpowiadała półsłówkami, raz po czesku, raz po niemiecku. Ta dziwna mieszkanka słów i języków brzmiała kojąco, jak kołysanka. Helga usiadła przy stole na środku chaty. Popatrzyła na Ludmiłę, zawahała się przez moment, jakby podejmowała decyzję, i powiedziała:

– Moje dziecko umarło już dziewięć miesięcy temu, a mleko leje się i leje.

Wtedy dopiero Ludmiła spojrzała na nią uważniej. Dopiero wtedy podeszła blisko, stanęła naprzeciwko, podniosła rękę i dotknęła policzka Helgi.

Ludmiła ma czarne zęby, twarz przeoraną zmarszczkami i rozczochrane białe włosy. Ale jej dłoń jest miękka, ciepła i ładnie pachnie ziołami. Pod jej dotykiem Helga zaczyna płakać. Łzy lecą po policzkach, jedna za drugą, ale bluzka pozostaje sucha.

– Twoje mleko to białe łzy – mówi swoją czesko-niemiecką mieszanką Ludmiła. – Pij zioła. Ale może przestaną się lać dopiero wtedy, kiedy urodzisz następne dziecko.

Nagle, w tej górskiej chacie, Helga czuje, jakby ktoś ją usłyszał pierwszy raz w życiu. I pierwszy raz w życiu na nią popatrzył.

– Nie będę już miała dziecka, Ludmiło – mówi. – I ta blizna też mnie boli.

– Jaka blizna? – pyta Ludmiła, patrząc na nią przenikliwie. – Pokaż!

Helga podnosi bluzkę i zsuwa spódnicę. Skóra wokół blizny jest zaogniona. Czerwone wałki zwisają nad nią i pod nią.

Ludmile płoną oczy. Mówi czysto i dźwięcznie, po niemiecku. Uważnie patrzy na Helgę. Chce usłyszeć jej historię, chce usłyszeć ją samą.

– Co ci zrobiły te skurwysyny? – pyta raz jeszcze.

Helga ma puste oczy i puste serce. Jej brzuch, ten, który miał gościć i hodować małych Niemców ku chwale wodza, nie spełnił swojego zadania. Jej brzuch miał seryjnie wydawać na świat czyściutkie Niemki, schludne i skromne, z włosami zaczesanymi gładko, z policzkami rumianymi jak jabłka z sadu Ewy i z jajowodami pełnymi jajeczek. Jej brzuch miał wydawać na świat sprawnych Niemców z wyćwiczonymi mięśniami, których wódz mógłby wysłać to na wschód, to na zachód.

Helga patrzy na Ludmiłę apatycznie. Babka czeka na jej opowieść, ale co tu mówić. Wszystko jest jasne. Mleko z piersi. Brzydka blizna na brzuchu. Ożywia się dopiero, kiedy słyszy przekleństwo w ustach siwej, pachnącej ziołami kobiety.

– Nie możemy rodzić dzieci, które będą wymagały wiecznej opieki – tłumaczy Helga, wbrew temu, co mówi jej serce. – Nie widziałaś plakatów? Utrzymanie upośledzonej osoby kosztuje sześćdziesiąt tysięcy marek. Zdrowi muszą na to pracować...

– Głupieście są, baby, głupie – przerywa jej babka. – To wasze brzuchy. Nikt wam nie powinien mówić, co z nimi robić – dodaje cicho.

Patrzą na nią zdziwione. Obie – i Eva, i Helga. Patrzą zdziwione na starą kobietę w brudnej sukience, z czarnymi zębami i bosymi stopami. Patrzą na kobietę mówiącą to, czego same nie mają odwagi pomyśleć. Ani one, ani ich koleżanki w Lichtenwalde, w całym hrabstwie, w całej Rzeszy. Za takie słowa można trafić do więzienia. Za takie słowa kobieta, której siwe włosy nie pamiętają grzebienia, mogłaby zostać skazana na karę śmierci.

– To są wasze brzuchy – powtarza Ludmiła. – Chcecie rodzić – rodźcie. Nie chcecie – to nie. Tylko skurwysyny tego nie rozumieją.

Nie powinny tego słuchać. Nie powinny tak myśleć. Ale jest już za późno. Słowa Ludmiły wpadły w nie i rosną. Najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej. Kielkują, pączkują, kwitną. Wrastają w nie na zawsze.

W obie – w Helgę i w Ewę.

DORKA

Buty znowu mokre.

Dorka każdego dnia daje wiarę temu, co widzi przez okno. Gdy patrzy na promienie padające na korony czereśni i jabłoni w sadzie, jest przekonana, że wiosna w końcu osuszyła drogę do wsi. A chwilę potem topi się w koleinach po kostki. Schodzi do szkoły, ściąga buty i oczyszcza ze świeżego błotka. Zanim pojawiają się dzieci, zdąży je podsuszyć przy coraz słabiej grzejącym piecu. Gdy pierwszy uczeń zbliża się do budynku, szybko wsuwa jeszcze trochę wilgotne trzewiki.

– Znowu suszysz? – śmieje się z niej Zosia.

– Dzisiaj już naprawdę mocno przygrzewało.

W ciągu dnia w szkole dzieje się teraz tak dużo, że Dorka nie ma czasu zastanawiać się nad tym, czy buty są już całkiem suche, czy jeszcze nie. Biega między ławkami, pomaga, pociesza, tłumaczy. To w szkole toczy się teraz spora część jej życia. Już nie spędza całych dni zatrzaśnięta z Evą i dziećmi w domu na stoku. Już nie czeka, aż Stach wróci z pracy, nie zerka stale na zegar. Nie zastanawia się nieustannie, gdzie jest jej mąż i kiedy będzie w domu. Ma swoje sprawy. Ma swoją klasę w szkole prowadzonej przez Zosię. Swoje dzieci. I dziesiątki pomysłów na to, jak objaśniać im świat.

Jak na ironię, kiedy Zosia zaproponowała Dorce pracę, w domu na zbieczu zrobiło się całkiem miło. A przynajmniej o wiele milej, niż było przez te wszystkie długie i mroczne miesiące od przyjazdu do Poręby. Gęsta atmosfera zniknęła. Wreszcie można było głęboko odetchnąć. Dorka w końcu miała poczucie, że wyfrunęła z rodzinnego gniazda na dobre i że w jej domu jest więcej życia niż śmierci.

Eva krzątała się po kuchni, pochylała się to nad jednym synkiem, to nad drugim. Z jej twarzy zniknęła wcześniejsza wrogość. Próbowaly ze sobą rozmawiać. Czasami się rozumiały, innym razem nie bardzo. Ciągłe żyły w zawieszaniu i pomiędzy, ale Dorka nie budziła się już ze ściśniętym żołądkiem i gardłem.

Inga śledziła każdy krok Dorki, dopóki nie usiadły razem przy stole. To były całkiem przyjemne popołudnia. W kole wytyczonym przez ciepłe światło lampy pochylały się obie nad swoimi serwetkami. Hafty Ingi były na razie dzikie i nieskoordynowane, pozostawiała po sobie szalone kreski i kropki, ale sprawiało jej to wyraźną radość. Godzinami cierpliwie wbijała igłę w tkaninę, przeciągała kolorowe nitki. Dorka też była cierpliwa.

Spokojnie, ciągle od nowa, prowadziła palce Ingi przez opór, jaki stawiała jej materia, aż gwałtowne dotąd ruchy dziewczynki stawały się bardziej miękkie, łagodne i gładkie. Poprzedniego wieczoru po raz pierwszy udało jej się wyhaftować kwiatek z zieloną łodygą i czerwonym kielichem. Próbowała, pruć, zaczynała od nowa, aż w końcu powstał. Koślawy tulipan, w sam raz na powitanie niemogącej się rozpędzić tego roku wiosny.

Eva patrzyła długo na wymięty kawałek materiału, kiwając głową z niedowierzaniem. Dorka wzruszyła ramionami. Nawet przez moment nie wątpiła, że Inga będzie haftowała. Wiedziała, że już wkrótce nitka poprowadzi ją jeszcze dalej niż dotychczas. Na razie wygładzały razem kanciaste płatki i nierówne liście. Na razie przekonywała Inge, że jej palce mogą malować tak, jak sama zechce. Przekazywała kolejnej dorastającej dziewczynce to, czego nauczyła ją babcia Hanka.

Najprzyjemniejsze były jednak poranki.

We dwie – Zosia i Dorka – jeszcze bez dzieci przygotowywały klasę, piły herbatę, rozmawiały o zbliżającym się dniu. Potem przyjaciółka rozkładała książki i planowała zadania. Była jedyną nauczycielką w szkole, a dzieci miały powojenne zaległości. Uczenie ich wymagało elastyczności i dopasowywania się do bieżących potrzeb. W jednej sali spotykali się trzynastoletni Jurek, który ledwie składał literki, ale siedział cicho i chciał się uczyć, z dziesięcioletnią Marysią, która czytała sprawnie, ale nie mogła się skupić na niczym.

Tu potrzebna była Dorka. Jej zadaniem było pilnowanie, żeby dzieci nie przeszkadzały sobie nawzajem. Gdy widziała, że ktoś ma problemy z dokończeniem ćwiczenia albo nie może się skoncentrować, siadała obok i pomagała przebrnąć przez rząderek litererek, wskazywała błędy, nakłaniała do poprawy. Cicho czytała książkę albo słuchała duktania ucznia. A kiedy dziecko skończyło swoją pracę, zabierała je do sali obok, do swojego królestwa.

Piotrowski nie znalazł pieniędzy na finansowanie pracy Dorki w szkole, ciągle zaślaniał się jej brakami w edukacji, którą zakończyła na szkole powszechnej.

Zosię zawsze to złościło.

– I chce mi pan powiedzieć, panie Piotrowski, że po wojnie w całej Polsce w szkołach nie pracuje nikt, kto uzupełnia wykształcenie? – zapytała ostro.

– O, z pewnością jest mnóstwo takich osób. Z tym, że pani Bąkowa niczego nie uzupełnia – odpowiadała, poprawiając nerwowo teczkę pod pachą.

– Ale uzupełni! W Kłodzku już działa liceum pedagogiczne, specjalnie dla osób, które tak jak pani Bąkowa nie zdążyły skończyć szkół przed wojną.

Piotrowski popatrzył na Zosię zdziwiony. Dorka również.

– Szykuj papiery – Zosia skończyła temat, kiedy Piotrowski wyszedł ze szkolnej sali, nerwowo otwierając drzwi i trochę za głośno je zamykając. – Bez ciebie nie ogarnę tego bałaganu.

Pieniądzy, które przeznaczono na prowadzenie szkoły w Porębie, nie wystarczało na opłacenie pensji Dorki, ale każdego miesiąca udawało się wysupłać kwotę na przybory. Dzieci rysowały, wycinały, haftowały... Ktoś coś opowiadał, ktoś próbował napisać zdanie na skrawku papieru, Marysia i jej młodszy brat Piotruś po raz kolejny przeglądali kolorowe nitki, które Dorka trzymała w szkole nie w wiklinowym koszyku, ale w sporym metalowym pudełku. Dorka lubiła te spokojne godziny. Powoli, powolutku zaczęła czuć się na miejscu. Powoli, powolutku zaczęło jej zależeć na dzieciakach, których jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie znała. Teraz nie tylko zajmowały sporą część jej myśli, ale też patrzyła na pozostałych mieszkańców Poręby przez pryzmat szkoły.

„Tata Jurka” – myślała o zwalistym, wysokim mężczyźnie, który kłaniał się jej grzecznie na drodze do sklepu. Uśmiechała się do niego z daleka. Lubiła Jurka, nie sposób było nie lubić jego taty.

„Babcia Basi” – zacięta, smutna kobieta, która przyjechała do Poręby nie wiadomo skąd i z nikim nie rozmawiała. Sama wychowywała wnuczkę. Basia też milczała i na lekcjach, i po nich. Tylko raz odezwała się do Dorki. Siedziały wtedy we dwie, łapiąc promienie, które wpadały przez niedomytą szybę.

– Mama lubiła wiosnę – powiedziała cicho dziewczynka. – Mówiła, że wiosną łatwiej się żyje.

Zamilkła, przestraszona, jakby niechcący zdradziła jakąś wielką tajemnicę. Jakby Dorka nie domyślała się, że gdzieś tam, kiedyś i Basia musiała mieć jakąś mamę i jakiegoś tatę. Że pochłonęła ich wojna, przemielili i połknęła, wypluwając tylko Basię i jej babcie. Rzuciła je razem – najstarszą z rodu i najmłodszą – do Poręby pod Kłodzkiem i kazała żyć

wśród obcych, w nowym i nieznanym miejscu. Dopiero później Dorka dowiedziała się więcej. Babcia i Basia przyjechały spod Irkucka, znad samego Bajkału. Jeziora jednak nie widziały, bo nie wolno im było się oddalać od obozu. Może z czasem odtał choć trochę wieczna zmarzlina, która pokryła ich serca. Może z czasem otworzą usta. Na razie cisza.

Za to „siostra Marysi i Piotrusia” była wysoka, wyprostowana jak struna i ciągle czymś zajęta. Stała przy studni, wyglądała przez kuchenne okno znad garnka, wycierała nosy młodszemu rodzeństwu. Nigdy nie przysiadła.

– Ile ona może mieć lat? – zastanawiała się Zosia.

– Nie wiem. Piętnaście? Siedemnaście? – zgadywała Dorka, rozkładając książki na ławkach.

– Myślisz, że umie czytać? Pisać?

– Zapytajmy jej rodziców.

Któregoś ranka Zosia weszła do szkoły, energiczna i zaaferowana. Już od progu, jeszcze zanim ściągnęła płaszcz, zaczęła mówić:

– Musimy dać dzieciom jakąś wspólną opowieść. Bardzo jej potrzebują. Wszyscy jej potrzebujemy. Myślisz, że twoja Niemka mogłaby nam opowiedzieć jakąś lokalną legendę?

Dorka uśmiecha się pod nosem. Cała Zosia. Jest pomysł, nie ma zasypiania gruszek w popiele.

– Przecież każdy z naszych uczniów przyjechał skądinąd – kontynuowała przyjaciółka. – Nikt z nas nie czuje się związany z Porębą ani z Kłodzkiem. Trzeba to zmienić.

To była kolejna odsłona rozmowy, którą toczyły już od jakiegoś czasu. Zauważyły, że dzieciaki uczą się wspólnie, w jednej sali, ale nie są ze sobą związane. Trochę się razem bawią, czasem rozmawiają – choć każde z innym akcentem, ale najczęściej każde z nich siedzi osobno. Spędzają w szkole codziennie sporą część dnia, ale wciąż sprawiają wrażenie, jakby zatrzymali się pod Kłodzkiem tylko na chwilę, przelotem. Nie zaprzyjaźniają się ze sobą ani z Porębą, jakby już wkrótce znów miały zostać rozdzielone.

W wiosce spotkali się ludzie, którzy jeszcze niedawno nie wiedzieli o swoim istnieniu, a teraz mają wieść wspólne życie. Chodzić do tego

samego kościoła. Spotykać się w sklepie. Kłócić o miedzę. Brać śluby. Płakać razem na pogrzebach. Powinni mieć jakąś wspólną opowieść.

W klasie na chwilę zapada cisza. Eva nie jest osobą, której szuka Zosia.

– Potrzebujemy kogoś, kto pochodzi stąd, ale mówi po polsku – podsuwa Dorka.

I obie wiedzą, kogo ma na myśli.

Od razu po skończonych lekcjach Dorka i Zosia odwiedzają Renate, ale nie zastają jej w domu. Sąsiadka tłumaczy, że Niemka jeździ gdzieś gazikiem razem z Piotrowskim i Stachem. Widziała ich rano, podjechali pod domek Renate i ruszyli we troje w stronę Długopola.

Dorka zgrzyta zębami. Coraz wyraźniej irytują ją kolejne opowieści o jej mężu i kręcących się wokół niego kobietach. Ale na razie nic nie mówi. Na razie wraca z Zosią do wsi.

Następnego dnia po lekcjach znowu kierują się w stronę małego kamiennego domku i tym razem zastają jego właścicielkę. Kiedy otwiera im drzwi, włosy ma gładko zaczesane, a twarz bez cienia makijażu. Różni się od Renate, którą znają, tak bardzo, że przez chwilę przyglądają jej się bez słowa.

Niemka stoi w progu i patrzy na nie wyczekująco.

Usta ma blade, na czole pryszcze, takie same jak u Dorki raz w miesiącu. Rzęsy białe, przezroczyste, szarą, zwykłą spódnicę i za dużą bluzkę. Wygląda całkiem bezbarwnie, tylko paznokcie ma krwiste, jak zawsze. Jakby wszystkie kolory, cała krew spłynęła z Renate do koniuszków jej palców.

– Zapraszam – mówi, zaskoczona. Charakterystyczne „r” jest wyraźnie słabsze. Praktyka czyni mistrzynię. – Wejdźcie, proszę!

Prowadzi je do stołu. Nie chwieje się na obcasach, nie kręci tyłkiem, nie kusi szwem pończochy wystającym spod spódnicy. Dorka przypomina sobie swój pierwszy spacer z Poręby do domu na zboczu i obcasy Niemki zapadające się między kamyki na dróżce. Teraz Renate ma na stopach niebieskie pantofle, zupełnie płaskie.

Stawia wodę na piec i zagląda do półek, czy nie ma w nich czegoś, czym mogłaby poczęstować. Nie ma. Przeprasza. Nie zdążyła kupić, bo tyle dzisiaj było roboty. Zjeździli z Piotrowskim i Stachem dziesięć domów między Bystrzycą a Długopolem. Zresztą Dorota przecież wie. Dorota nic

nie wie. Nic a nic. Nie ma pojęcia, gdzie i na czym jej mąż spędza całe dnie. Ach, nie? Nie. Ostatnio i ona, i on są bardzo zajęci. Mąż także nie orientuje się, na czym polega jej praca w szkole. Ach, tak.

Na chwilę w kuchni małego kamiennego domku zapada cisza.

– Sama tu mieszkasz? – pyta w końcu Zosia.

– Sama. Rodzice umarli w czasie wojny, jestem jedynaczką. To mały domek. Tylko kuchnia i sypialnia.

– Lubisz go?

– Innego nigdy nie miałam.

Dorka patrzy na Renate. Na jej ciepły uśmiech, łagodną, choć pospolitą, twarz bez barw wojennych. Pod okiem ma rozmazane pozostałości po makijażu, a nos wydaje się ostrzejszy bez burzy loków. Cała twarz jest ostrzejsza. Oczy mniejsze. Usta drobniejsze. Renate niczym nie różni się od kobiet, które można spotkać przed sklepem Posiaka. Dorka uśmiecha się do niej miło.

Następnego dnia rano na uczniów w szkole w Porębie nie czekają książki. Czeka na nich opowieść, którą usłyszą jeszcze niejednym razem. Nauczycielkom zależy, żeby dobrze ją zapamiętali. Będą ją przypominać i do niej wracać. Aż Marysia i Piotruś się z nią zrosną. Aż Basia i Jurek zapamiętają ją dokładnie. Aż uznają opowieść o Ludmile za swoją.

Plan jest taki, żeby powoli, powolutku wiązali się z miejscem, które tę opowieść zrodziło.

– Dzisiaj – zaczyna Zosia, gdy dzieci przestają się kręcić w ławkach. – Dzisiaj powiem wam o niezwykłej kobiecie. O pani Bystrzycy Kłodzkiej i naszej Poręby.

Jeszcze przez chwilę ktoś coś szepcze, kto inny przesuwają drewniany piórnik. W końcu zapada cisza. Zosia mówi. Dorka siedzi w ostatniej ławce, słucha i przygląda się dzieciom.

Ludmiła była silna i bardzo piękna. Włosy miała jasne, gęste i długie. Okrywała się nimi jak płaszczem, a rządziła okolicą ręką twardą, ale sprawiedliwą. Ci, którzy jej służyli, opowiadali potem, że każdego wieczoru wymykała się do ogrodu i klęcząc na ziemi, odprawiała jakieś sobie tylko znane rytuały. To ziemia – ta sama, po której chodzą Jurek, Marysia, Piotruś i Basia – dawała jej moc.

– Proszę pani, proszę pani! – podnosi rękę Piotruś. Chce wiedzieć więcej.
– A jakie to rytuały dawały jej tę moc?

– Nie mam pojęcia, Piotrusiu – odpowiada z uśmiechem Zosia. – Każdy musi sam odnaleźć to, co daje mu siłę. Ludmiłę się udało. Odkryła, że jej moc płynie z ziemi. Z tej, nad którą panowała. Z tej samej, gdzie mieszkamy my.

Piękny książę – kontynuuje opowieść Zosia – który przyjechał tu z kraju Polan, był silny jak Ludmiła i strzelał z łuku równie dobrze jak ona. Ludmiła się w nim zakochała i on także obdarzył ją miłością. Zaczęli przygotowania do ślubu i wielkiego wesela. Ludmiła, myśląc tylko o miłości, zapomniała o sobie. Zapomniała o tym, co daje jej siłę, o tym, co pozwala jej panować, zapomniała o swoich rytuałach. Nie wychodziła wieczorami do ogrodu, nie klękała na ziemi, nie czerpała z niej mocy. Ślub był piękny. Przyjechali na niego goście z Bystrzycy, z Długopola, z Kłodzka. Może i jakiś mieszkaniec Poręby na tej wspaniałej uczcie się pojawił, kto wie. Na wesele Ludmiły i księcia dotarli też jego bliscy z kraju Polan. Niestety Ludmiła, osłabiona, pozbawiona siły przez brak swoich rytuałów, zmarła w dniu ślubu.

– Proszę pani, proszę pani, a kiedy ona żyła?

– Proszę pani, proszę pani, a ile miała lat?

– Proszę pani, proszę pani, a czy to wszystko prawda?

Zosia ucisza dzieci ruchem ręki.

– Sama nie wiem o niej wszystkiego. Może wspólnie spróbujemy dowiedzieć się więcej. Jak wyglądała Ludmiła? Co lubiła? Co ją złościło? Na razie najważniejsze jest, żebyśmy wszyscy zapamiętali, że ta ziemia, na której żyjemy, ma wielką moc. My również możemy z niej korzystać.

Po południu uczniowie wyciągają kartki i kredki. Myślą, zastanawiają się, a potem, pochyleni, próbują narysować Ludmiłę. Dorka pośrodku sali patrzy na swoje dzieci. Wszystkie są zaangażowane w to, co robią. Wszystkie oddane. Każde na miarę swoich możliwości.

Jurek siedzi cicho i bardzo się stara. Przez lata wojny dłoń mu się przyzwyczaiła do łopaty i pługa. Ołówek przyciska zbyt mocno. Skórę na rękach ma twardą i szorstką, bo nie próżnował, pracował uczciwie. Ociera czoło, pomaga sobie językiem i koloruje jasne, długie włosy Ludmiły żółtą kredką. Cały jego rysunek jest żółty jak słońce, jak promienie, jak lato.

Cichutka Basia siedzi grzecznie i równiutko, jak od linijki rysuje wzorki na sukience swojej Ludmiły. Geometryczne romby, trapezy, trójkąty. Mierzy ołówkiem długości boków precyzyjnie, w całkowitym skupieniu. Cicha, jakby jej nie było, jakby nie oddychała.

Marysia ma przed sobą pustą kartkę. Wierci się. Zagląda dzieciakom przez ramię, szuka w ich rysunkach jakiejś podpowiedzi. Zakrywają, nie chcą się dzielić. Patrzy na swoją kartkę, a potem znowu próbuje podejrzeć, co u kolegów, u sąsiadów, obok których ma przeżyć swoje życie. To dziecko nie może odnaleźć spokoju, nie potrafi przestać się wiercić.

Dorka kładzie dziewczynce rękę na ramieniu i napięcie rozpuszcza się w niej na moment. Ołówek trafia na kartkę i zaczyna rysować. Najpierw twarz Ludmiły, pociągła, o idealnym owalu. Potem wielkie okrągłe oczy. Marysia odwraca się w kierunku nauczycielki, uśmiecha się do niej, i kładzie jej głowę na ramieniu. Może pracować. Przez chwilę.

Dzieci są wszędzie. Jedno wsuwa Dorce głowę otoczoną chmurą jasnych włosów między jej ramię a policzek. Drugie odzywa się z brzucha. Jeszcze wczoraj Dorka nie była pewna, teraz już jest. Pod jej skórą dzieje się sporo. Jakiś drobny skurcz, jakieś łaskotanie i rozpychanie. Dzisiaj już jest pewna. Czuje wyraźnie, że zamieszkała w niej Hania. Machinalnie przytula Marysię, ale myśli nie o niej, tylko o brzuchu. Tam wysyła słowa otuchy. Rośnij, dziewczynko, duża i wysoka! Nie bierz przykładu ze starszego rodzeństwa. Rośnij, Haniu, w spokoju, rośnij i kwitnij. Nie daj się wypchnąć ze środka, zanim nie dojrzejesz.

Tylko raz, jeden jedyny raz w ostatnich miesiącach, Dorka i Stach zapomnieli o murze, który wyrastał między nimi, coraz wyższy każdego dnia. Tylko raz Stach przez sen przyciągnął do siebie Dorcę i położył się na niej, a ona objęła go rękami i nogami. Tylko raz wtulili się w siebie i spali sklejeni. Kto by pomyślał, że jeden raz wystarczy.

Hania rośnie i łaskocze mamę od środka. Halo, mamó, to ja, twoja córeczka! Jestem. Rosnę. Halo, Hanulko, mówi Dorka do wewnątrz, do córki. Rośnij i bądź dobrym dzieckiem. Słuchaj mamy.

Dorka dotyka córki przez skórę. Wykorzystuje każdą sekundę, która została im dana. Wie z doświadczenia, że mama i dziecko miewają dla siebie bardzo mało czasu, więc chce go wykorzystać. Rękę trzyma na brzuchu od rana do wieczora, a także w nocy. Budzi się z ręką na Hani. Dotyka jej po wstaniu, dotyka w drodze do pracy, dotyka w szkole. Trzyma

rękę na spódnicę, kiedy wraca do domu z niewielkimi zakupami ze sklepu Posiaka. Próbuje uspokoić swój brzuch, bo znowu poboлева. Zaczęło się to dokładnie w momencie, kiedy Marysia położyła głowę na jej ramieniu, i już nie przeszło.

Hania rośnie, to brzuch się rozciąga, przekonuje Dorka samą siebie. Na pewno. Przecież musi się to czuć. Tym razem wszystko będzie w porządku, uspokaja się. A chwilę potem przekonuje dziecko. Nie bądź głuptaskiem, Haniu. Nie zachowuj się jak Józio, Ela, Bartuś i Krysia. Nie bierz przykładu z rodzeństwa. Siedź spokojnie, aż nadejdzie twój czas. Brzuch się kurczy. Brzuch się rozkurcza.

Dorka wraca do domu na skarpie, pod górkę, pod wiatr. Tego popołudnia zamierza zaszyć się w pokoju i spać. Tego dnia powie też w końcu Stachowi, że w brzuchu mają Hanię. Że łaskocze, wysyła sygnały. Zmusza Dorkę do spania, ile się da, jak najwięcej. Nie spodziewa się żadnej spektakularnej reakcji ze strony męża. Nie po Józiu, Eli, Bartusiu i Krysi. Nie w momencie, w którym mijają się tylko w pokoju, kuchni czy na podwórku i tylko raz, jeden, jedyny raz w ciągu ostatnich miesięcy Dorka objęła Stacha rękami i nogami.

Ale pewnie Stach trochę się jednak ucieszy.

Wychodzi zza zakrętu, widzi już sad, drzewa owocowe i gospodarstwo. Widzi też grupkę swoich uczniów. Stoją w kółeczku. Trochę jest zdziwiona, bo na dróżce prowadzącej do leśniczówki rzadko pojawiają się mieszkańcy wsi, zwłaszcza dzieci. Głośno wykrzykują jakieś wyliczanki. Przez moment Dorka ma wrażenie, że się wspólnie bawią. Cieszy się nawet, bo to nieczęsta sytuacja.

Chwilę później słyszy jednak:

– Niemiecka świnia! Ty głupia niemiecka świnio!

Pomiędzy dziećmi stoi Inga. Kuli się i kurczy. Głowę opuściła, uszy zasłania rękami. Ktoś ją popycha, kto inny ciągnie za warkocz.

– Głupia świnia! – wrzeszczy jakaś dziewczynka.

To mała Basia.

Mała Basia z równiutkim przedziałkiem, zwykle zamknięta i milcząca, teraz nagle mówi. Krzyczy. Popycha Ingę.

– Basiu! – woła Dorka.

Nie słyszy.

Nie słyszą i inni, skupieni na tej, która stoi między nimi i patrzy w błoto przerażonymi oczami. Chwieje się niepewnie, ale nie upada. Nawet Marysia nie ma w tym momencie problemu z koncentracją. Położyła ręce na ramionach Ingi i wrzeszczy piskliwie:

– Ty niemiecki przygłupie! Jesteś szwabskim przygłupem, słyszysz?!

A jej młodszy brat, Piotruś, łobuziak z brązowymi oczami, śmieje się w głos i powtarza:

– Szwabski przygłup! Szwab-ski-przy-głup! Szwab-ski-przy-głup!

Dorka chce podbiec do dzieci, odsunąć je, odepchnąć. Chce ze środka wyluskać Inge, oderwać jej ręce od uszu, wygładzić potargane włosy, obciągnąć potarganą spódnicę. Chce ją przytulić.

– Przestań, Jurek! – krzyczy Dorka, ale chłopak, jej sumienny uczeń, który narysował słońce zalewające Porębę złotym blaskiem, jej uczeń, który ma dłonie nawykłe do ciężkiej pracy, a nienawykłe do ołówka, który ledwie potrafi pisać i czytać, stoi tuż przy Indze i ciągnie ją za rękę.

– Słuchaj, szwabska kurwo! – krzyczy łamiącym się głosem, raz wysokim, raz niskim, jak to u chłopców z sypiącym się wąsem. – Słuchaj, szwabska kurwo, co ci chcemy powiedzieć!

Buty znowu topią się w błocie. Dorka wyciąga je z gęstej brei i dobiega do Ingi. Dobiega do swoich dzieci, które uczy, które zna, o których myśli dużo, nawet po pracy. Które stara się utulić i wymazać z ich głów wyryte w nich obrazy. Wymazać z nich wojnę.

– Zostawicie ją! – woła.

Przestraszone rozbiegają się, rozchlapując tłuste błoto. Już ich nie ma. Na drodze zostaje tylko Marysia. Nie ma wyboru, Dorka złapała ją za rękę i mocno trzyma.

Inga ma podrapany policzek, wyszarpane z warkocza kosmyki włosów. Na jej czerwonej buzi widać ślady łez. Szeroko otwartymi oczyma patrzy na Dorkę, jakby ją pierwszy raz widziała. Bok jej spódnicy i płaszcz są mokre i brudne. Ktoś musiał przewrócić ją w błoto.

– Inga... – mówi Dorka łagodnie, ale dziewczynka odwraca się i biegnie do domu. – Inga, poczekaj na mnie!

Skurcz. Hania puka od środka i domaga się uwagi. Puk, puk, tutaj jestem, mamó! Puk, puk!

Dorka czuje, że powinna wrócić do domu, pod kołdrę. Powinna schować się w ciepłym miejscu i hodować dziewczynkę, która się wreszcie w niej zagnieżdżyła. I zrobi to, ale jeszcze nie teraz. Poczekaj, Haniu, mówi do córki. Tu obok jest jeszcze jedna dziewczynka do uratowania. A potem zajmę się tobą.

Inga biegnie, nie odwraca się.

– Stój tutaj! – mówi ostro Dorka do Marysi. – I ani kroku!

Marysia kiwa głową. Będzie czekała, jak każe pani Dorota. Nie ruszy się nawet o centymetr. Jest przecież dobrą i posłuszną dziewczynką. Bardzo się stara.

Dorka wpada do domu i widzi Evę, która pomaga córce ściągnąć płaszcz. Patrzy wyczekująco.

– Dzieciaki ze szkoły – tłumaczy jej Dorka. Ciężko oddycha. Rękę trzyma na brzuchu. – Zaraz wrócę.

Marysia czeka przy płocie.

– Proszę pani, ja... – tłumaczy się dziewczynka. Chciałaby jej powiedzieć, że wszystko, co złe w jej życiu, to wina albo Niemców, albo Ruskich. Chciałaby to wytłumaczyć pani Dorotce. Tej miłej pani, do której można się przytulić, kiedy za dużo myśli galopuje przez głowę. Która pokazuje, że nie trzeba się cały czas bać.

Ale tym razem pani Dorotka nie chce jej słuchać.

– Chodź! – mówi ostro. – Idziemy.

Bez słowa zbliżają się do domu jej rodziców. Dziewczyna nerwowo rozgląda się na boki, jakby szukała drogi ucieczki. Do buzi włożyła kciuk, nagle bardziej dziecinna niż zwykle. Czy to jest to samo dziecko, które kwadrans wcześniej darło się prosto do ucha innemu przerażonemu dziecku: „Ty niemiecki przygłupie!”? Czy to jest ta sama osoba?

Dorka czuje niepokój Marysi. Widzi, że jej uczennica nie rozumie, co się dzieje. Nie da jednak rady ratować trzech dziewczynek w tym samym czasie. Jest Hania. Jest Inga. Marysia musi poczekać na swoją kolejkę.

Wchodzą na podwórko. Kręci się po nim Magda, najstarsza siostra Marysi. Dorka planowała któregoś dnia podpytać o nią rodziców, ale to nie jest rozmowa na dzisiaj. Teraz stoi. Patrzy na Magdę, patrzy na kury grzebiące w ziemi. Sekunda po sekundzie traci nadzieję, że jej wizyta ma jakikolwiek sens. Najchętniej wycofałaby się do domu i schowała z Hanią

pod kocem, ale na to jest za późno. Znalazła się na cudzym podwórku. Musi się odezwać.

– Są rodzice? – pyta.

– Jest mama. Już ją wołam – odpowiada Magda.

Dorka już nie jest pewna, po co tutaj przyszła. O kogo walczy na wiejskim podwórku pomiędzy gdaczącymi kurami? Czy chodzi jej o dzieci wojny, jak ta dziewczynka z kciukiem w buzi, która nie potrafi zebrać myśli? Czy o dziecko wojny, które zatyka uszy, kiedy dzieci wokół popychają je i wyzywiają?

Z domu wychodzi kobieta. Na jej biodrze siedzi maluszek, śliczny, pyzaty blondyn. Przygląda się Dorce uważnie. Przekrzywił główkę, wtula się w swoją mocną, postawną matkę.

Kobieta patrzy na Dorkę wyczekująco.

– Tak? – pyta nieprzyjaźnie. Oczy ma podpuchnięte. Wygląda na zmęczoną.

– Przyprowadziłam Marysię. Chciałam powiedzieć, że dzieci dokuczały dziewczynce...

Dorka już wie, że niczego nie wyjaśni, nikogo nie przekona, nic nie wskóra. Ale jeszcze próbuje, skoro już tu przyszła i marznie w przemoczonych, brudnych od błota butach.

– ...wyzywali ją, popychali – kontynuuje. – Przewrócili ją w błoto, jest brudna i bardzo przerażona.

– No wie pani? Ona jest nienormalna, przecież to z daleka widać. A dzieci to dzieci.

– Ona też jest dzieckiem... – Dorka próbuje raz jeszcze.

Marysia stoi pomiędzy matką a nauczycielką. Patrzy to na jedną, to na drugą. Słucha.

– To tylko Niemka – ucina matka.

– Ale dziecko. – powtarza Dorka, chociaż wie już, co usłyszy.

A kobieta stoi i nic nie mówi. Najchętniej wywalilaby tę Dorotę z podwórka, a jeszcze wcześniej powiedziała, że nie jest jej żal ani szwabskich dzieci, ani ruskich. Że nie ma czasu zastanawiać się nad nimi, bo wciąż pod powiekami widzi moment, w którym dwójka jej własnych, polskich, dzieci puszcza spódnicę i płynie z wartkim nurtem w dół rzeki,

choć mieli iść obok niej ostrożnie i trzymać się jej mocno. Słyszcy, ciągle, każdego dnia, za każdym razem, kiedy zamknie oczy, ich przerażone krzyki.

Rosyjski żołnierz popędza ich, wrzeszczy. Spiesz mu się. Nie ma czasu, by przystanąć i popatrzeć na Stefanka – puścił ją pierwszy, i na Celinę – która otworzyła rączki, bo przestraszyła się krzyku brata. Nie można za nimi popatrzeć, bo żołnierz wrzeszczy. Nie można, bo za nią stoją już inne matki z dziećmi uczepionymi spódnic i forsują rzekę. Trzeba iść. Zresztą nie ma na co patrzeć, mętna, czarna woda porwała jej syneczka pięknego, jej słodką córeczkę, jej dzieciątka małe, i już je pożarła, już ich nie widać. Już nic nie słychać. Malutką Marysię mama trzyma na rękach tak mocno, że dziecko zaczyna płakać w głos ze strachu, że się udusi.

Mama Marysi stoi na swoim podwórku w Porębie, stoi na środku rzeki. Nie widać nic, wokół tylko puste pola. Rzeka wyglądała na łagodną, a porwała dwójkę jej dzieci. Słyszcy ich krzyk. Słyszcy nauczycielkę swojej Marysi z pretensjami o jakieś niemieckie dziecko. Słyszcy dobiegający z domu śmiech Piotrusia, który urodził się w Uspienowce, o cztery tygodnie za wcześnie, tamtego dnia, kiedy przewróciła się w drodze z pracy do domu. Spławiała drzewa, które ścinał w lesie jej mąż. Jest wiosna, ma na rękach Bronka, który przyszedł na świat już po wojnie. Był taki słaby, że nie pozwoliła sobie zakochać się w nim od razu, bo bała się, że i on jej umrze. Mały, chudy, wiecznie głodny, karmiony tym, co dała jedyna koza w ich wiosce, bo piersi niedożywione i zmarznięte nie chciały produkować mleka.

Ma swoje dzieci. Ma Marysię i Magdę, która Piotrusia bawiła, nosiła, karmiła i tuliła, gdy ona i jej mąż pracowali w syberyjskim lesie. Ma Bronka, który wyrósł na mleku kozy. A ciągle widzi przed oczami Stefanka płynącego ze spienioną falą i Celinę znikającą w jej odmętach. Słyszcy krzyk męża, który przed nią prowadzi Magdę i niesie ich trzy niewielkie walizki. Tyle pozostało z ich Zuzanówki. Z domku drewnianego. Z ich pocałunków przed snem. Z ich pieca buchającego ciepłem. Z ich ślicznych maluchów, które porwała rosyjska rzeka.

Mama Marysi patrzy na nauczycielkę swoich wciąż żywych dzieci.

– Co ci Niemcy jeszcze tu robią? Długo będą nam zawracać głowę?

Moje słowa, Haniu, mówi Dorka do córki. Moje myśli. Przez wiele tygodni chciałam tylko tego, żeby Inga, jej bracia, mama i tata zebrali się,

spakowali, wyjechali i zostawili nas w spokoju w tym pięknym domu. W tym wspomniał sadzie. I teraz, jak mi się rozpychasz pod skórą, Hanulko, też o tym myślę. Nie pomieścimy się we troje w małym pokoiku obok kuchni, a na pięterku jest tyle miejsca.

Hania skurcza jej brzuch i rozkurcza. Trudno zebrać myśli, wszystkie odpływają do córeczki. Trudno się skupić. Za to Marysia skoncentrowana jak nigdy. Stoi w miejscu. Ani drgnie. Nie przeskakuje z nogi na nogę, nie rozgląda się dookoła, nie wierci się w prawo i w lewo. Stoi.

– Przepraszam, ale nie mam czasu – mówi jej mama. – Kolację muszę przygotować dla męża. Chodź, Maryśka, Magdzie pomożesz.

Zamykają się drzwi do domu i Dorka zostaje na podwórku z gdaczącymi kurami.

Kiedy wchodzi pod górę po raz kolejny tego dnia, w jej butach chlupocze woda. A może powinna zabrać Ingę do szkoły? Może dzieci powinny spędzić razem ze sobą trochę czasu. Poznać się. Zrozumieć, że to nie Inga wywołała wojnę.

Kolejnego dnia jednak Dorka do szkoły nie idzie. Czerwona fala wypływa z jej brzucha i zabiera ze sobą Hanulkę. Mur między Dorką a Stachem powiększa się o kolejne rzędy cegieł. Dorka już niemal nie widzi zza niego swojego męża.

Nie śpi przez całą noc.

Nie tęskni za Stachem.

Tęskni za Hanią.

EVA

Ciasto pokrojone. Nie wyszło idealnie, ale i tak pachnie w całym domu. W pokoju Polaków również. Eva wchodzi tam regularnie od trzech dni. Na łóżku od białej pościeli ledwo odcina się Dorka, blada i smutna. Nie ma siły wrócić do pracy. Nie ma siły mówić. Nie ma siły jeść.

Kawałki na talerzu jeszcze parują. Może Polka spróbuje choć trochę. To ciasto ma otulić ją zapachem. Ma ją utulić. Upiekła je dla niej ona, niemiecka gospodyni domu, do którego Dorkę rzuciła historia, podpisy polityków na dokumentach, decyzje urzędników repatriacyjnych, tory

kolejowe prowadzące na ten koniec Polski, fantazja Piotrowskiego, który wraz z Renate październikowego popołudnia przyprowadził do gospodarstwa pod leśniczówką dwoje ludzi z dwiema walizkami oraz zapakowaną w przybrudzony papier pierzyną.

Tamtego dnia Eva nie chciała im podać ręki na powitanie. Nie chciała ich widzieć. Nie zamierzała otworzyć do nich ust. Nigdy. Dzisiaj kroi ciasto, które upiekła dla Dorki, i martwi się, czy ta zje choć kilka kęsów. Polka z każdą godziną spędzoną w domu na stoku przejmuje jej marzenia i plany. Całe przyszłe życie. A Eva upiekła dla niej drożdżowe z lichtenwaldzkimi śliwkami sprzed roku. Coraz bardziej wątpi, czy uda jej się doczekać tegorocznych, a już teraz widać, że będzie ich sporo. Takich śliwek nie znajdzie nigdzie. Ani takiego domu.

Polacy zadomowili się już w nim na dobre.

Trzy dni wcześniej Stach podszedł do Ewy. Już jej serce zaczynało łopotać, już chciała wyciągać dłonie i go obejmować. Jego ręce na jej pasie. Jej ręce na jego ramionach. Spojrzenia, uśmiechy, policzek gładki, policzek szorstki. Motyle, stokrotki, maliny. Na górze róże, na dole bez. Ukradkowe głaskanie po policzku. Ukradkowe wtulenie się w ramiona.

Ale tym razem Stach stanął w bezpiecznej odległości. Ręce trzymał przy sobie. Nie przybliżał ust, które ostatnio poczynały sobie na Ewie coraz śmielej i śmielej.

– Eva, czy możesz zajrzeć do Dorki? – poprosił.

Oczywiście. Zajrzy do niej, jeśli trzeba.

– Muszę jechać, a ona dzisiaj nie wstanie z łóżka – dodał jeszcze.

– Tak – zdążyła tylko odpowiedzieć.

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale on tylko podziękował i wybiegł. Piotrowski już niecierpliwie trąbił przed bramą.

Podeszła do drzwi, za którymi Dorka i Stach urządzili swój mały świat. W domu, który wybudował dla niej Peter, przed wejściem do pokoju, który sama wyposażyła, głównie z myślą o kuzynce z Köslin, czuła się, jakby nie była u siebie. Zapukała grzecznie do drzwi, nie usłyszała zaproszenia. Mimo to weszła.

Dorka nie spała. Leżała na wznak, głowę miała ułożoną wysoko na poduszce. Oczy szeroko otwarte.

– Jesteś chora? – zapytała Eva po niemiecku.

– Nie. – odpowiedziała Dorka po polsku. – Nie ma dziecka.

A miało być. Eva zrozumiała od razu. Dorce się nie udało.

Usiadła przy Polce na łóżku i przytuliła ją do siebie macierzyńskim gestem, tak samo jak tuliła troje swoich dzieci, kiedy tego potrzebowały. Trzymała ją przez chwilę w uścisku i głaskała po głowie. Tyle tylko mogła jej dać, bo wiedziała, że żadne słowa w żadnym języku w tym momencie nie przyniosłyby ulgi.

A Dorka zaczęła płakać.

Wylewa w końcu te wszystkie łzy, których nie wypłakała przez lata. Łzy za Józia, który dorósł do wielkości ziarnka grochu. Za Elę. Za Bartusia. Za Krysię, która tak długo była najmłodsza. Córeczka tatusia. I za Hanię, której też już nie ma.

Wylewa z siebie żal nie tylko ten po swoich dzieciach, które nie zdążyły się urodzić. Wylewała też smutek, który narastał przez wszystkie dni, gdy zachowywała się, jakby nic się nie stało. Przez tygodnie udawania, że nie ma tematu. Przez miesiące tłumienia szlochu. Płacze, bo jedyne ramiona, które się dla niej otworzyły, okazały się niemieckie.

Eva widzi tęsknotę Dorki. Widzi jej pusty brzuch. Widzi miłość, która nagromadzona w sercu nie znalazła ujścia. Widzi kobietę, która nie mogła urodzić swojego dziecka, ale cierpliwie wprowadziła Ingę w świat kolorów. Widzi kobietę, która poświęciła jej córce tyle czasu, że ta zaczęła opowiadać na kawałku materiału o tym, co widzi.

Ciasto ostygło na tyle, że można już je zanieść na tacy do pokoju urządzonego specjalnie dla kuzynki z Köslin. To na nią czekała w szafie świeża pościel, której używają Polacy. To dla kuzynki Eva przywiozła z Glatz dwie małe szafki stojące przy łóżku. W jednej z nich Dorka trzyma ten wiklinowy koszyk z kolorowymi nitkami, którymi tak mocno przywiązała do siebie Ingę. Niewiele przedmiotów znajdowało się w małym pokoju naprzeciwko kuchni, ale Polacy zdołali zaznaczyć w nim swoją obecność. Ubrania wystające z niedomkniętej szafy. Dokumenty Stacha na szafce, obleczone w pościel przygotowaną dla kuzynki z Köslin wielka pierzyna, pod którą chowa się teraz Dorka. Niby trochę to wciąż pokój, który urządziła Eva, ale trochę już cudzy. Ciągłe jest w niej nienawiść do polskich intruzów w jej domu i w jej życiu. Jest już jednak i przyzwyczajenie. Jest wdzięczność. Stali się częścią jej świata.

Woda gotowa do zalania, kubki na tacy, dzbanuszek z herbatą czeka. Czajnik bucha parą. Przez chwilę Eva stoi z nim w ręce i się waha. Odstawia go z powrotem na piec. Potem odkłada na miejsce kamionkowe kubki, podchodzi do kredensu i wyciąga z niego dwie filiżanki w czerwone kwiaty ze sklepu Georga Löwy'ego. Te na specjalne okazje.

Nie ma na co czekać, myśli. Trzeba żyć pięknie teraz.

Podaje opartej na poduszkach Dorce filiżankę w czerwone kwiaty. Herbata pachnie gorzko, ciasto – słodko. Siedzą obok siebie w milczeniu.

Przed zaśnięciem Peter chce rozmawiać. Przez całe tygodnie milczał, teraz się nagle ocknął. Tymczasem ona chciałaby już odpocząć.

Idź, kuzynko z Köslin, z mojej głowy, myśli Eva. Nie spałam przez ciebie przez ostatnie dwa lata. Kuzynka posłusznie odchodzi, po niej w myślach Ewy pojawiają się Dorka i Stach. Polka kręci się po jej kuchni. Poprzestawiała talerze, filiżanki z kredensu przeniosła na półkę. Miedziane patelnie powiesiła wokół pieca. Do domu wchodzi właśnie Stach. Dorka, zarumieniona, uśmiechnięta, podsuwa mu talerz i coś nakłada.

Uciekaj, Dorko, spod moich powiek, rozkazuje myślom Eva. Poświęcam ci sporo czasu w ciągu dnia, nie męcz mnie przed zaśnięciem.

Stacha jednak nie wygania.

Stach, jak w ciągu dnia, podchodzi zbyt blisko. Ręce kładzie na jej biodrach, usta kładzie na jej ustach.

Peter wierci się na łóżku.

Pod powiekami Ewy Stach wkłada jej ręce pod bluzkę i gładzi ją po plecach, a w sypialni na pięterku rozlega się głos Petera.

– A gdybyśmy wtedy na niego nie zagłosowali?

– Co?

– Gdybyśmy nie namówili Martina i Helgi do głosowania na wodza? Po co my to robiliśmy, Eva? Dlaczego?

O co mu chodzi? Całymi dniami milczy, a teraz, w nocy, wraca do czasów dawno minionych. Do ludzi, którzy ich zostawili. Do prehistorii, którą Eva ledwie pamięta.

– Peter. Jest środek nocy. Czy możemy o tym porozmawiać jutro?

Ale jej mąż jakby jej nie słyszał. Zaczął mówić i już nie może przestać.

– To był taki dobry chłopak, ten Martin. Pamiętasz?

Eva chce odpowiedzieć, że tak, że pamięta, i jeszcze raz powtórzyć, że chce spać. Ale Peter i tak nie słucha.

– A potem zagłosował. I poszedł na wojnę. Ale ciągle dobry był z niego człowiek...

Milknie na chwilę.

Eva przypomina sobie tygodnie po wypadku w drewnutni. Martin i Helga w ich domu. Martin i Helga na każdą prośbę. Martin wyřeczający ich we wszystkim w domu pod leśniczówką, Helga pochylona nad Ingą, skupiona na niej, oddana.

I to wszystko, co wydarzyło się później. Atmosfera wokół gęstniała. Ojciec ćwiczyl już wtedy Franza i Josefa godzinami, każdego dnia. W domu pod leśniczówką z radia krzyczał wódz. Wciąż powtarzał, że potrzebuje silnych Niemców, którzy będą bronić ojczyzny przed zagrożeniem płynącym z każdej strony świata. Lekarze ze szpitala Maria Hilf w Halberschwerdt przecinali jajowody kobietom, które nosily w sobie ryzyko zanieczyszczenia germańskiej rasy niepełnowartościowym elementem. Inga rosła. Mały Erwin obracał się w proch.

Nadal siadali do wspólnego posiłku w piątki albo w soboty. Nadal razem jedli, pili, rozmawiali. Ten rytuał zadomowił się w ich życiu mocno. Był oczywisty jak pasterka w Wigilię czy wizyta księdza Wilhelma po Nowym Roku. W tamtym czasie przy stole na dobre zagościła polityka. Mówili o Rzeszy. Mówili o wodzu. Mówili o nadchodzącej wojnie. Wiadomo było, że Niemcy ją wygrają. Z takim przywódcą, z silnymi obywatelami, bez dodatkowego balastu w postaci chorych czy upośledzonych, którzy pożerają tysiące marek potrzebnych na zbrojenie kraju.

Któregoś piątku Martin przyszedł do nich, usiadł przy stole i przez chwilę siedział milczący. Wreszcie odezwał się do Petera:

– Ty na wojnę nie pojedziesz. Nie przydasz się krajowi.

Zrobiło się cicho. Helga wbiła wzrok w stół. Eva milczała. Inga spała w swoim łóżku, otulona jasną kołderką, a Erwin w grobku przy kwadratowej dzwonnicy.

Po powrocie Martina z wojny znowu spotykali się przy stole, ale przyjaciel najczęściej był smutny. Siedział na krześle z zaplecionymi na

piersiach rękami i powtarzał:

– Nie byłeś tam, Peter. Nie widziałeś. Nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy być na wojnie.

Peter najczęściej milczał, ale któregoś dnia nie wytrzymał.

– A ty nigdy nie zrozumiesz, jak to jest nie mieć ręki i nie przydać się krajowi. Co znaczy spędzić wojnę w domu.

I znowu przy stole zapadła cisza.

Tak jak teraz nad łóżkiem.

Eva jeszcze raz zaprasza Stacha pod swoje powieki i kładzie mu ręce na ramionach. Znowu się w niego wtula. Znowu czeka, aż jego usta dotkną jej ust.

Ale Peter jest obok i nie daje za wygraną:

– Eva, to był dobry człowiek. Niepotrzebnie wyjechał. Ja nie zostawię naszego domu.

Nie da się całować z jednym mężczyzną, kiedy drugi, obok, analizuje odległą przeszłość i najbliższą przyszłość. Eva otwiera oczy. Stach znika. Jest tylko jej mąż i jego nocne przemyślenia.

– Jak to, nie wyjedziesz, Peter? Tu już nie ma żadnych Niemców.

– Nie opuszczę domu.

W Evie narasta złość.

– Przecież nauczyłeś już Polaka, jak ma się zajmować naszym gospodarstwem – dodaje. – Po co to robiłeś?

– Ale nie mogę mu go zostawić. To jest nasze miejsce na ziemi.

Eva zaś już rozumie, że kiedyś będzie trzeba. Dostrzega, że Inga nie ma tu już przyszłości. Chłopcy też nie. Nikt wokół nie mówi po niemiecku. To wszystko chciałaby powiedzieć mężowi, nie teraz jednak.

– Daj spokój, Peter – odzywa się. – Porozmawiamy o tym jutro.

– Ja nie wyjadę, Eva. Ja stąd na pewno nie wyjadę – dodaje cicho jej mąż. Chwilę potem odwraca się tyłem, a ona postanawia wykorzystać ten moment i jeszcze na chwilę wrócić do Stacha, który ostatnio co wieczór łagodnie wprowadza ją w sen.

– Dobranoc, Peter – mówi, zasypiając.

Mąż nie odpowiada. Może już śpi. Jutro porozmawiają. O wszystkim.

Lepiej wyjechać jak najszybciej. Pod powiekami Ewy jest już o wiele za dużo Stacha.

Kolejnego ranka, gdy Eva zeszła na dół, męża w domu już nie było. O jego obecności przypominał tylko zostawiony na stole kubek z resztkami mleka.

Znowu poszedł do pracy, nadal spędzał w niej całe dni. Wydawało się to Ewie stratą czasu wobec nieuchronnego wyjazdu. Próbowła o tym rozmawiać z Peterem wiele razy, ale zawsze tłumaczył, że ma do zrobienia coś niecierpiącego zwłoki.

Kiedy dzieci były po śniadaniu, a naczynia umyte, w drzwiach kuchni stanęła Dorka. Ciągle była blada, ale dziś włożyła świeże ubrania, zaczesła gładko włosy i się uśmiechała.

– Dzień dobry, Eva.

– *Guten Morgen*, Dorota.

Gestem zaprosiła Polkę do stołu. Postawiła przed nią pokrojony chleb. Postawiła miód i ser. Ucieszyła się, że Dorka je. Chwilę potem wlała mocną, pachnącą herbatę do dwóch delikatnych filiżanek. Z porcelany smakowała o niebo lepiej niż z kamionkowego kubka.

Przez cały dzień się krzątała i opiekowała domownikami. Dorka nie wymagała już pomocy, za to dzieci ciągle czegoś chciały. Najmłodszy z katarą, starszy rozkrzyczany, tupiący, podenerwowany, najstarsza z niegasnącą iskrą nadziei na wspólne haftowanie. Wstawała, kiedy tylko Dorka ruszała się zza stołu, wyczekiwała z oddaniem.

Ale Dorota powiedziała jej tylko:

– Przepraszam, Inga. Dzisiaj nie mam jeszcze siły. Jutro.

Zrozumiała. Zawsze rozumiała wszystko, co mówiła do niej Polka.

Eva była wykończona. Była znużona. Dziesiątkami powtarzających się gestów. Bieganiem z chustką i wycieraniem ciekącego kataru. Przytulaniem, całowaniem, pocieszaniem. Próbowła nie stracić cierpliwości. Próbowła dotrwać do wieczora.

Kiedy w końcu nadszedł, myślała tylko o tym, żeby wyjść z domu. Gdy usłyszała, że Peter otwiera drzwi i wchodzi do wewnątrz, postawiła na stole przygotowaną dla niego wcześniej kolację. Jeszcze zanim ściągnął buty, podeszła do drzwi wejściowych.

– Idę – powiedziała. – Muszę przewietrzyć głowę.

A kiedy już ubrana wyciągała rękę, żeby nacisnąć klamkę, wyjść, dać się owiać wiatrowi, odetchnąć powietrzem wolnym od spraw dzieci, przyszło jej do głowy, że w domu jest jeszcze ktoś, kto też potrzebuje spaceru. Ktoś, komu również przydałoby się świeże powietrze, błoto pod nogami, zapach wilgoci i lasu. Podeszła do pokoju Polaków i zapukała do drzwi.

Chwilę później drogą do wsi szły dwie kobiety. Patrzcie, patrzcie – szepcze Lichtenwalde. Razem, jak siostry – dopowiada Poręba. Kto by uwierzył w całym Grafschaft Glatz. Powolutku, krok po kroku, nie spieszą się. Obie wyszły z jednego domu i razem do niego wróca.

Eva przygląda się Dorce uważnie. Polka ciągle jest blada, ma fioletowe cienie pod oczami. W płaszczu i ciężkich butach wydaje się jeszcze chudsza i drobniejsza niż zwykle. Wygląda jak dziewczynka w ubraniach po starszej siostrze. Schodzą na główną drogę. Mijają przechodzących sąsiadów. Same trochę są zaskoczone tym wspólnym spacerem, ale sąsiedzi, zajęci swoimi sprawami, swoim życiem, ledwie zwracają na nie uwagę. Każdy ma głowę pełną własnych problemów.

– Popatrz, Dorota. Tu był *Gasthaus zur Erholung* – Eva wskazała na solidny budynek przy głównej drodze. Piętrowy, kamienny, ze spadzistym dachem. Jeden z charakterystycznych domów przedwojennego Lichtenwalde.

Dorka patrzy na Evę. Czeka na ciąg dalszy.

– Tu, do bocznej ściany, doczepiona była długa markiza – wspomina Eva. – Sięgała niemal do ziemi. A w sali w środku tańczyliśmy z Peterem w każdą sobotę.

Dorka patrzy, nie przerywa. Wieczorne, rześkie powietrze zarumieniło jej policzki. Nie jest już trupio blada. Eva uśmiecha się do niej. Nie jest pewna, czy Polka wszystko rozumie, ale nie dba o to. Mówi niespiesznie i delektuje się każdym wypowiedzianym słowem.

– Może dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale lubiliśmy się bawić, a Peter był bardzo dobrym tancerzem. Przychodziliśmy tu często z naszymi przyjaciółmi, Martinem i Helgą, tymi, którzy mieszkali w domu Łabowiczów. Spotykaliśmy się na ścieżce i schodziliśmy we czworo do Gasthausu. Razem też wracaliśmy...

Zdanie po zdaniu, opowieść po opowieści, wspomnienie po wspomnieniu. Im dłużej Eva mówi, tym wyraźniej dociera do niej, że bardzo brakuje jej rozmów z Peterem. Choćby i tych nocnych.

Brakuje jej męża, obok którego spędza każdą noc.

Zbliżają się do kościoła z kwadratową dzwonnicy. Trzyma Polkę pod ramię, czuje jej ciężar, lekko nakierowuje ją w stronę cmentarza, pustego o tej porze. Pustego już o każdej porze. Ci, których bliskich groby otaczają kościół, wyjechali z Lichtenwalde. Ci, którzy zamieszkali w ich domach, jeszcze nie mają tu kogo odwiedzać.

Pokonują kilka schodów. Eva puszcza Dorkę przodem, a kiedy stają już wśród nagrobków, znowu pozwala jej się na siebie oprzeć. Wczytują się obie w historie ujęte w kilku słowach na kamiennych tabliczkach. *Hier ruht in Gott mein lieber Mann, unser herzensguter Vater* – na prawo. Na lewo gotyckie, zamazyste litery, których Eva nie potrafi rozszyfrować, choć próbuje od dziecka. A o krok dalej: *Pfarrer in Lichtenwalde*. Urodzony w Ludwigsdorf.

Wiele spośród grobów, które mijają, Eva zna od zawsze. Sporo pojawiło się w trakcie jej życia. Nie opowie Dorce o wszystkich pochowanych tu, na cmentarzu, sąsiadach i bliskich.

O Josefie Gerschu, księdzu, który ochrzcił Inge.

O Eduardzie Urbanie, sąsiadzie, który często przesiadywał z ojcem i wujkami przy drewnianej ławie w kuchni. Zasnął pewnego wieczoru i rano się nie obudził. Nie doczekał krótkiego sukcesu Rzeszy. Nie doczekał jej upadku.

Zaraz obok Eduarda napis: *Unser liebes Söhnchen und gutes Brüderchen Herbert Feltrabeck*. To był straszny wypadek, jeszcze w czasach, kiedy wierzono, że wygrana wojna przyniesie Niemcom wieczną chwałę. Dzieciak, trochę starszy od Ingi, bawił się na pięterku z braciszkiem. Ich mama, Klara, na parterze mieszła w patelni drewnianą łyżką sos, kiedy usłyszała huk ciała jej małego synka Huberta uderzającego o podwórko. Dzieciak wypadł z okna. Eva dobrze pamięta jego pogrzeb. Dzień był upalny. Całe Lichtenwalde przyszło pożegnać dzieciaka. Taki był ładny i uroczy, główkę miał w sam raz i proste nóżki. Klara zanosila się rozdzierającym płaczem, zupełnie jakby nie była porządną niemiecką kobietą, co to nie narzuca się światu. W końcu zemdlala przed trumienką ze swoim synkiem. Może od duchoty. Tego dnia naprawdę trudno było wytrzymać.

Mijają jeszcze jeden niewielki grób. Nie ma na nim kamiennego nagrobka, jest drewniany, z niewielką tabliczką:

– A tu leży Erwin – tłumaczy Eva. Ważne, żeby o tego dzieciaka ktoś zadbał, jak jej już nie będzie w Lichtenwalde. – Synek Helgi i Martina. Urodził się chory, od razu było wiadomo, że nie będzie długo żył. Czy możesz czasami odwiedzić jego grób, kiedy będziesz w pobliżu?

Polka kiwa głową. Patrzy na tabliczkę przy grobie Erwina, jakby się jej uczyła na pamięć, żeby go nie pomylić z nikim innym. A Eva rusza już dalej, prosto do celu każdej swojej wyprawy na cmentarz. Pod samym kościołem jest kamienny grób z doczepioną z boku tablicą, z której można wyczytać kilka słów o Franzu i Josefie, żeby nie rozplynęli się w niepamięci.

– Tu leży moja rodzina. Mama i tata. A tu informacja o braciach, którzy pojechali na front wschodni i z niego nie wrócili. Co roku sadzę im wiosną bratki, bo to były ulubione kwiaty mamy. Będziesz pamiętała? Fioletowe i żółte. W tym roku jeszcze zdążę o nie zadbać, ale w przyszłym już raczej nie.

Polka znowu patrzy uważnie. Kiwa głową.

– Dobrze – mówi.

Czy Dorka rozumie, o czym mówi Eva? Czy posadzi na lichtenwaldzkim grobie nieznaną jej niemieckiej kobiety żółte i fioletowe kwiatki? Czy je podleje dla mężczyzny, który tresował swoich synów godzinami, żeby mieli siłę zabijać słowiańskich mężczyzn, kobiety i dzieci? Wszystko w imię wódza. Czy przetrze z kurzu tablicę informującą o tym, że młode, wyćwiczone mięśnie Franza i Josefa zabijały wroga w okopach, póki nie użyźniły radzieckiej ziemi?

Eva nie była pewna, czy Dorka zadba o jej rodzinny grób. Nie mogła tego od niej wymagać. Miała jednak wrażenie, że zostawia swoją przeszłość w dobrych rękach.

Kiedy wróciły do domu, dzieci już spały. Spał też Peter. Eva położyła się obok niego i objęła go ramieniem. Nie odezwał się, nie poruszył. Oddychał spokojnie, równo. Spał.

Co się z tobą dzieje, mężu – zastanawiała się. Niewiele mówisz. W dzień milczysz, nocami męczysz i mnie, i siebie.

Czuła, że chce jej o czymś powiedzieć, ale nie potrafi. Znała go przecież jak nikt inny.

Był dla niej opoką. Jego jedno ramię wystarczyło, by objąć całą ich czwórkę. Nie martw się, Peterze, chciała mu jeszcze powiedzieć, ale on

spał, oddychał spokojnie, równo. Daliśmy sobie radę w Lichtenwalde, damy i gdzie indziej. Nie martw się już tym wszystkim, czym się martwisz.

Obudziła się, kiedy już było całkiem jasno. Wcześniej niż on. Leżała przez chwilę w łóżku. Mąż zerwał się od razu po otworzeniu oczu, wciągał spodnie.

– *Guten Morgen*, Peter – przywitała go. – Co u ciebie słychać?

– *Guten Morgen* – odpowiedział. Uśmiechnął się do niej, ale nic więcej nie powiedział.

Chwilę później słyszała już tylko jego kroki na schodach.

PETER

Ktoś dotyka jego głowy.

Słyszy głos, który zna, i przestaje płakać. Nie trzeba krzyczeć, nie trzeba wołać. Jest ciepło. Można się wtulić. Można zamknąć oczy, przez które i tak niewiele widać.

Siano pachnie. Kręci w nosie. Peter kicha. Zjeżdża ze stogu. Martin śmieje się głośno, Peter też się śmieje. Jest im lekko, jakby nie było na świecie żadnego zmartwienia. Sięgają gwiazd.

Świeże mleko wypełnia usta, płynie do żołądka i już sekundę później w brzuchu rozlewa się ciepło. Pierwszy łyk pachnie latem, słońcem, żniwami, wieczorem przy piecu, pierzyną, którą otula matka.

Pośladki pieką i szczypią. Peter leży na brzuchu i czeka, aż przejdzie. Nie płacze, choć bardzo go boli. Piąstki ma małe, bardzo małe przy rękach ojca. Ale zaciska je z całej siły. Pierwszy raz czuje nienawiść. Ma metaliczny posmak. Pierwszy raz czuje bezradność. Jest słodkawa i mdła. Nie może nic począć, nie może się obronić, sięga ojcu tylko do pasa. Obiecuje sobie, że kiedy dorośnie, przyłoży mu z całej siły tym samym paskiem, którym obrywa on, którym obrywa matka, którym obrywają jego bracia i siostry. Teraz skupia się na odrobieniu lekcji, którą przyniosło mu kolejne lanie. Kiedy boli, Peter już to wie, należy zacisnąć zęby i piąstki. Należy siedzieć cicho i pielęgnować wizję o zemście. Należy przeczekać. Nie wolno pokazać, że boli, bo kiedy się pokaże, to pas pójdzie w ruch jeszcze raz.

Gasthaus zur Düppeler Schanze rozmywa się im przed oczami. Pali przelyk. Stefan zwędził butelkę lichtenwaldzkiej śliwowicy. Skończyli ją w krzakach. Ojciec ciągle powtarza, że to mocna gorzałka dla prawdziwych mężczyzn, dlatego Peter łykał ją łapczywie. A potem Martin wspina się na drzewo przy gospodzie. Stary dąb. Ruszają za nim sekundę później. Martin śmieje się głośno i ostro, ale to nie jest prawdziwa radość, to tylko śliwowica. Są już wysoko, siedzą na gałęziach nad dachem gospody. Co chwilę któryś chwieje się niebezpiecznie – raz Martin, raz Peter, raz Stefan. Gdyby zlecieli na ubitą drogę przed Gasthausem, skreśliliby kark. Ale nie zlecą. Żaden z nich nie zleci. Śmieją się, są młodzi, w ich żyłach płynie krew i śliwowica. Nie umrą nigdy.

Smutek smakuje gorzko jak rozgryziona pestka jabłka. Klara patrzy zalotnie na jego starszego brata, na Petera nie zwraca uwagi. Myśli o niej przed zaśnięciem, myśli po zaśnięciu. Próbuje ściągnąć z niej koszulę, próbuje dotknąć jej brzucha. Klara nawet we śnie nie zaszczycą go jednym spojrzeniem. Napięcie nie daje Peterowi myśleć.

Eva ma miękkie usta, miękkie uda, miękkie biodra, Jej włosy pachną rumiankiem. Leżą na łące. Peter nikomu nie mówi, że jest szczęśliwy, nawet Evie. Od dwudziestu lat nie potrafi mówić o tym, co ma w sercu. Ale czuje, że szczęście pachnie łąką, pachnie rumiankiem.

Deski pomalował na brązowo. Ciemne, grube. Dotyka ich, kiedy wchodzi do domu. Eva jest w kuchni, brzuch ma już naprawdę wielki. Czuje się jak wtedy, kiedy ciepła ręka głaskała go po raz pierwszy po głowie. Jest tak, jak miało być.

Główka Ingi pachnie kosmosem. Spłynęła do ich domu z miejsca, do którego Peter i Martin wysłali swoje dziecięce szczęście. Jest piękniej, niż miało być.

Jeszcze zanim Peter poczuje ból, widzi ucięte przedramię. Leży bledne, obok piły, już nie jego. Krew jeszcze nie trysnęła. To sekunda, w której zdziwione ciało nie może uwierzyć. To sekunda, zanim zacznie boleć, moment, w którym Peter myśli, że zaraz umrze. Boi się o swoją Evę, o swoją Ingę. To sekunda, w trakcie której przez jego głowę przebiegają tysiące myśli. Mieszają się, zawracają, biegną dalej w świat. Zostawiają znaki zapytania, nie zostawiają odpowiedzi. W kolejnej sekundzie z Petera tryska krew. Widzi, zdziwiony, że sika wokół gęstym strumieniem.

A potem powala go tak silny ból, że nie myśli już o niczym. Słyszy tylko swój krzyk. Wyje jak zwierzę.

Wściekłość Martina jest gorzka jak pestki tysiąca jabłek. Powtarza, że Peter niczego nie rozumie, niczego nie widział, niczego nie przeżył.

– To powiedz mi, jak było – mówi czasami Peter, ale wie, że Martin nic nie powie. Porządni niemieccy obywatele wynieśli z domu niechęć do wynurzeń. Peter czuje, że Martin ma do niego żal za to, co spotkało go na froncie. Za te dyskusje o wodzu, za głosowanie w trzydziestym trzecim, za Ruskich, za Amerykanów i za to, że wszystko potoczyło się inaczej, niż miało, niż Peter przewidywał w innym świecie, w innych warunkach, gdy wierzyli w inne prawdy.

Światło w oknach Martina i Helgi świeci się każdego wieczoru i każdego wieczoru Petera boli od niego serce.

Mały synek nie przestaje mówić. *Vati* – powtarza. *Papa* – wyciąga rączki do Petera i drepcze na okrągłych stópkach. *Vater* – robi się nagle poważny. Peter słyszy to pierwszy raz w życiu. Peter słyszy to sercem.

Peter słyszy wrzask Polaka. Dociera do środka, głęboko, ostry jak żyłotka, przedziera się przez mózg.

STACH

– Kurwa! – wrzeszczy Stach i szamocze się po stodole. W prawo. W lewo. Jest! Widzi drabinę. – Kurwa, coś ty narobił, do chuja pana!

Biegnie. Rozstawia drabinę pod nogami Petera, które jeszcze moment wcześniej wisiały bezwładnie w powietrzu. Przez kilka sekund Stach miał wrażenie, że będą tak wisiały całą wieczność, ale kiedy krzyknął, zaczęły rozpaczliwie kopać powietrze i szukać oparcia. Znalazły je na podstawionej przez Stacha drabinie.

– Stoisz? – pyta Polak.

Peter nie jest pewien. Jeszcze przed chwilą patrzył w rozświetlone okna Martina i Helgi. W wierne oczy Ewy. Jeszcze przed chwilą próbował dotknąć brzucha Klary. Jeszcze przed chwilą wachał małą główkę nowo narodzonej Ingi. Czuje zapach swojej stodoly, widzi jej ściany, słyszy podniesiony głos, ale nie rozumie, z jakiej podróży właśnie wrócił.

Polak nie daje za wygraną:

– Stoisz, kurwa? Mów, czy stoisz!

Peter milczy. Coś by może i spróbował powiedzieć, ale gardło ma suche i obolałe.

Stach chce być pewien, że Niemiec stabilnie trzyma się na nogach. Że nie będzie już więcej wymachiwał nimi w powietrzu. Że obudzi się każdego ranka z siłą, która pozwoli mu dotrzeć do wieczora. Że już nigdy nie narazi Stacha na obrazek, na jaki naraził go przed momentem. Że nie będzie więcej dyndał na sznurze przewieszonym przez belkę podtrzymującą dach stodoły.

Stachowi trzęsą się ręce. Trzęsą się kolana. Krew zamarzła mu w żyłach. Wchodzi na rozstawioną drabinę i próbuje pomóc Peterowi wyswobodzić się z zaciśniętej pętli, ale ręce, które manewrują wokół szyi, drżą, więc idzie im kiepsko. W końcu zniecierpliwiony Stach wyciąga z kieszeni scyzoryk, który zawsze ma przy sobie. Często się przydaje. Teraz, na przykład, do odcięcia sznura, na którym postanowił powiesić się niemiecki gospodarz jego domu. Stach piłuje. Scyzoryk nie jest zbyt ostry, ale włókno po włóknie pęka, wyswabdzając Petera z objęć śmierci. Peter z hukiem spada na ziemię.

– Co ty sobie wyobrażałeś, Peter? – pyta Stach. Dociera do niego, jak bardzo jest przerażony, gdy słyszy swój łamiący się głos. Brzmi, jakby się miał za chwilę rozplakać. – Miało mnie tu dzisiaj nie być. Miałem jechać z Piotrowskim do Bystrzycy, ale się nie pojawił. Coś mu pewnie znowu nawaliło w tym jego starym gracie. Chwała Bogu!

Peter siedzi na ziemi i rozgląda się, oszołomiony. Milczy. Z jego szyi zwisa nierówno przecięty sznur. Pętla wyraźnie się rozluźniła, opada na klatkę piersiową. Pozostawiła po sobie grubą, fioletową pręgę. Gdy Stach ją dostrzeżga, podbiegłą krwią, z rozkwitającymi od góry i od dołu siniakami, zaczyna krzyczeć.

– Coś ty, kurwa, narobił! – wrzeszczy, ile ma sił w płucach. – Miało mnie tu dzisiaj nie być!

A potem wybiega przez jedno z wejść do stodoły na zewnątrz, na łąkę, bo nie chce dłużej oglądać fioletowej pręgi na szyi Petera. Nie chce widzieć coraz bardziej jaskrawych krwiaków pod i nad nią. Nie może patrzeć na jego nieprzytomne spojrzenie, na błędzący wzrok. Peter wygląda, jakby

wypił o kieliszek śliwownicy za dużo, a nie próbował wisieć na grubej linie aż po samą wieczność.

Stach opiera się o ścianę budynku i pochyla. Próbuje uspokoić błędnik, który walczy z tym, co zobaczyły oczy. Łąka, pola, góra, stodoła wirują jak karuzela. Musi zamknąć powieki. W głowie kręcą mu się śmigła wojennego bombowca zrzucającego na Berlin płatki róż. Kwiatki spadają na ulice i ścielą się dywanem przed niemieckimi wisielcami. Tymi, którzy zostali odcięci tępyimi scyzorykami od belek, haków, klamek, gałęzi. Tymi, których odnaleziono za późno. Róże układają się barwnie przed tymi, którzy skoczyli z wysokich mostów do niemieckich rzek. Przed tymi, którzy rzucili się z okien na najwyższych piętrach kamienic. Przed tymi, którzy – wzorem wodza – łyknęli trujące kapsułki. A przede wszystkim przed tymi, którzy – jak na niemieckich żołnierzy przystało – przystawili lufy do swoich faszystowskich łbów i pociągnęli za spusty. Na wszystkich razem i każdego z nich z osobna w głowie skulonego Stacha leci kolorowy deszcz pachnących płatków.

Słońce wdziera się pod zamknięte powieki, Stach nie może znieść śmigieł obracających się pomiędzy jego myślami. Robi mu się niedobrze. Siada pod stodołą, obejmuje kolana i chowa między nimi głowę.

Tymczasem od drugiej strony budynku, od podwórka, wpadają do stodoły dwie osoby, jedna za drugą. Dorkę i Evę zwabił pewnie rumor spadającego Petera i krzyk Stacha patrzącego na fioletową pręgę. Przez kilka sekund układają sobie w głowie fragmenty tego, co mają przed oczami. Krwiaki na szyi Petera, jego błędny wzrok, drabina pośrodku stodoły i luźna, krzywo obcięta pętla, zwisająca na koszuli smętnie, jak przedśmiertny krawat.

– *Nein* – mówi Eva, najpierw spokojnie, jakby była zdziwiona.

Potem krzyczy:

– *Nein! Nein!*

Stach siedzi zaledwie kilka metrów od Ewy, niewidoczny za ścianą, wsparty o stodołę. Próbuje uspokoić kręcące się coraz szybciej śmigła bombowca. Z podwórka dobiega stukot kolejnej pary stóp. Pewnie Inga szuka swojej mamy. Tup, tup, tup! – za chwilę dziecięce trzewiki przekroczą próg stodoły. Za moment dziecięce oczy zobaczą fioletową pręgę na szyi ojca.

Zrób coś, Dorka – popędza żonę w myślach Stach. Weź dziecko ze stodoły. Zabierz małą do domu. W tym samym momencie słyszy kroki i próbujący utrzymać spokój głos:

– Chodź, Inga. Wyciągniemy koszyczek. Zobaczymy, czy listki, które haftowałaś wczoraj, są już skończone.

Wychodzą.

W stodole zostaje Eva z Peterem. Tylko ona, jej mąż i – jak niepotrzebny element dekoracji – pętla na jego szyi. Eva stoi nieruchomo i kręci głową jak lalka. *Nein, nein, nein*. Stach chciałby być przy niej, chciałby stać obok. Chciałby ochronić ją przed tym, co właśnie do niej dociera.

Śmigła w jego głowie powoli przestają wirować. Może patrzeć, może wstać. Powoli, powoli robi krok w kierunku bramy. Drugi. Trzeci. Przeciera oczy. Wchodzi do stodoły.

Widzi Petera, który odzyskuje ostrość widzenia, i Evę z okrągłymi, przestraszonymi oczami. On spokojniejszy, w niej coraz więcej przerażenia. Jego już dzisiaj uratował, czas pomóc jej. Podchodzi bliżej, ujmując dłońmi jej twarz i zmusza, żeby oderwała oczy od męża i spojrzała na niego.

– Eva – mówi dobitnie. – Eva, nie bój się. Nie spuszczę z niego oka. Dopóki tutaj jesteście, będę przy nim cały czas, w każdej chwili dnia. Nic mu się już nie stanie. Nie bój się, Eva.

Przez otwarte drzwi do stodoły zagląda Dorka. Zostawiła Ingę w domu z nawleczoną nitką i gdy dziewczynka zajęła się haftem, wyszła. Nie wchodzi do środka, nie ma ochoty opuszczać słonecznego podwórka. Nie ma ochoty zanurzać się w mroku stodoły, nie chce, by ją wchłonął.



MAJ

EVA

Patrzcie, co to się dzieje pod leśniczówką, szepce Lichtenwalde. Kto by uwierzył w całej Porębie w taki obrót sprawy? Kto dałby wiarę jeszcze kilka tygodni wcześniej?

Eva całuje się ze Stachem.

Stoją spleceni w niemiecko-polskim uścisku, w Lichtenwalde, we wsi, która kiedyś była jej domem, a teraz jest domem jego. To ona w jego Porębie czuje się jak intruzka.

Eva całuje się ze Stachem.

Nie przed snem, nie pod powiekami, nie pod pierzyną, odwrócona tyłem do Petera. Od kilku dni, o tej samej porze wymyka się z domu i całuje ze Stachem w stodole, pod grubą belką, przez którą jej mąż zdołał jedną ręką przerzucić sznur. Pod belką, z której zwisała pętla, w którą Peter włożył głowę.

Stach ma miękkie usta, pachnie słońcem i wiatrem, pachnie rozgrzaną trawą. Pachnie bardzo ładnie.

Ale nie dlatego Eva się z nim całuje.

Ma ciepłe ręce, wcale nie takie zaborcze, wcale nie takie wścibskie, jak można by sądzić. Raczej niepchające się tam, gdzie nie zostały zaproszone. Stach jest – i to Evę najbardziej zaskoczyło – delikatniejszy, niż sądziła, niż sam by się do tego przyznał.

Ale nie dlatego się z nim całuje.

Eva całuje się ze Stachem w stodole, żeby choć na chwilę odciąć się od swoich myśli. Ma ich o wiele za dużo, męczą ją, duszą, nie dają równo oddychać. Jedyne moment, w którym znikają z głowy Ewy, to ten, w którym całuje się ze Stachem. Kradnie te chwile spokoju, kilka minut dziennie. Tyle udaje jej się wyrwać dla siebie w trakcie długiego dnia.

Kiedy Eva całuje się ze Stachem, nie myśli o tym, jak bardzo jest wściekła na Petera. Jak wiele w niej złości na nieszczęśliwego męża, który schował się w sobie i nie zamierza wychodzić. Serce Ewy rozpada się na kawałki, ilekroć myśli o otchłani, do której wpadał Peter, kiedy jedyną ręką przygotowywał pętlę na swoją szyję. Złość w niej buzuje. Ma ochotę zrobić mu wielką awanturę, taką, jakiej nie zrobiła jeszcze nigdy. Chciałaby krzyczeć i rzucać talerze, kubki, a nawet filiżanki z czerwonymi

kwiatkami. Może huk tłuczonej porcelany wyrwałby w końcu jej męża z letargu.

Jak możesz uciekać przed życiem, Peter?! – chciałyby krzyczeć. Jak mogłeś chcieć mnie zostawić samą z Ingą, z naszą córką, której nie da się wychować? Jak mogłeś chcieć mnie zostawić z dwoma synkami, którzy dopiero odrastają od ziemi? Jak mogłeś tak bardzo zanurzyć się w sobie, żeby nie widzieć, że przed nami wyprowadzka i rezygnacja z dotychczasowego życia? Czas już ruszyć w drogę, Peter. Jak możesz być taki uparty, taki skupiony na tym, co się dzieje w tobie, żeby nie widzieć tego, co się dzieje w nas. Jak możesz być ślepy na to, że to przedłużające się czekanie wykańcza całą naszą rodzinę.

Eva całuje się ze Stachem, który ma miękkie usta i delikatne ręce, żeby nie myśleć o tym, że Peter chciał ją zostawić samą.

Całuje się z nim także po to, żeby choć przez chwilę nie męczyły jej wyrzuty sumienia. Całuje się ze Stachem, by nie analizować w kółko i w kółko, jak to robi resztę dnia. Minuty pełne rozgorączkowanych myśli dłużą się jak godziny, od kiedy zobaczyła Petera siedzącego na podłodze stodoły.

Każdego dnia przypominają jej się tygodnie po wypadku, kiedy jej mąż stracił rękę. Tak bardzo była wtedy oddana Peterowi. Tak mocno się na nim skupiła. Wyłapywała nawet najdrobniejszy sygnał, który wysyłał do świata, i próbowała na każdy z tych subtelnych sygnałów odpowiedzieć. Malutką Ingę oddała wtedy pod opiekę Heldze i zajmowała się Peterem. Teraz było inaczej. Teraz lawirowała między trójką dzieci, bladą skórą Dorki, niebieskimi oczami Stacha. Po tamtym wypadku było jej łatwiej pomagać Peterowi. Miał rany widoczne gołym okiem.

A co by było, gdyby teraz patrzyła na męża równie uważnie jak wtedy? Gdyby przestała tonąć w błękitach i martwić się bladością? Gdyby skupiła się na nim, może nie musiałby swoją jedyną ręką przeciągać sznura przez surową belkę. Może rozejrzałby się po świecie i znalazł jakieś inne wyjście niż pętla.

Co by było, gdybym z nim rozmawiała? – myśli Eva.

Co by było, gdybym uważnie słuchała, co chce mi opowiedzieć o Martinie?

Co by było, gdybym nie odwracała się tyłem w łóżku?

Może wtedy nie musiałby wieszać się na belce, pod którą Eva całuje się ze Stachem.

Ale zrobił to.

A ona nie znalazła siły na to, żeby w zapracowanej codzienności mu się przyjrzeć i być przy nim wtedy, kiedy tego potrzebował.

Zatem robi to teraz.

Nie spuszcza go z oka. Zadaje pytania, słucha odpowiedzi. Mówi o śniadaniu, o zbliżających się zniwach, o nowej serwetce wyhaftowanej przez Inge. Mówi o wszystkim, tylko nie o tym, o czym myśli najwięcej. Nie mówi o ich przyszłości. Nie mówi o tym, że nadszedł czas na opuszczenie Lichtenwalde. Nie mówi, że jest na niego wściekła i że tak bardzo się boi, że nocami nie śpi, wsłuchując się w jego oddech. Wdech. Wydech. Żyje.

Peter odpowiada:

– Tak, zjem jajecznicę.

– Tak, zboże pięknie nam wyrosło.

– Tak, ładna serwetka.

Ale oczy ma puste.

Pręga na szyi ciągle się jeszcze nie zagoiła, choć każdego dnia jest jaśniejsza. Eva stara się na nią nie patrzeć. Peter ma głębokie bruzdy między nosem a ustami. Często leży na łóżku. Każdego dnia po śniadaniu przez godzinę śpi. Dorka jest wtedy w szkole, a Eva i Stach wymykają się do stodoły. To jest ich czas na całowanie.

Ostatnio jednak miękkie usta Stacha i jego ładny zapach przestają jej wystarczać. Nawet kiedy się całują, natrętne myśli pchają się do głowy Ewy. Zastanawia się, gdzie teraz mogłaby uciec.

Stach jakby to słyszał, przyciąga ją do siebie mocniej. I powoli, trochę nieśmiało, wsuwa ręce pod jej bluzkę. A ona czuje jego ciepły dotyk. Jego skórę na swojej skórze. Czuje, że jej serce znowu bije jak oszalałe. Wysuwa się z jego uścisku, wybiega ze stodoły, wbiega do domu, prosto na schody.

Gwałtownie otwiera drzwi sypialni. Wdech. Wydech. Żyje.

Schodzi do kuchni, a serce ciągle się szamocze. Przy stole siedzi Inga i skubie warkoczyk. Chłopcy bawią się w kącie. Wszystko wygląda identycznie jak kilka minut wcześniej, kiedy wymykała się do stodoły. Nawet bałagan w kuchni jest taki sam. Na podłodze nieład zostawiony przez dzieci. W zlewie brudne naczynia po śniadaniu. Kubki leżą na

suszarce kolejny dzień, swastykami do góry, filizanki powkładane jedna w drugą. Patyki, które chłopcy przynieśli z sadu, niesprzątnięte, stół klei się od miodu z przedwczoraj, na obrusie plama po zupie.

Eva jej nie dostrzega.

W głowie ma chaos. W kuchni – również.

DORKA

– Powiedziałeś, że będziesz go pilnował! – Dorka krzyczy na Stacha. Przez lata nie mówiła nawet, co myśli, a nagle wykrzykuje swoje pretensje. – Mówiłeś, że dopóki tutaj będą, mogą czuć się bezpieczni! Sam mówiłeś! Stałam w drzwiach stodoły i słyszałam wyraźnie! Czy może się przesłyszałam?

Co się stało z małą, chudą Dorką od Kulasów? Gdzie tamta przezroczysta, szara myszka? Ta, która siedziała cicho pod miotłą i starała się schodzić każdemu z drogi? Ta, która zastygała na całe kwadranse w bezruchu? Gdzie jest tamta dziewczynka z cienkim warkoczykiem?

Została w chałupie ojca?

Dorce zdarzało się ostatnio powiedzieć głośniejsze, że coś jej się nie podoba. Tę nową umiejętność wykształciła w Porębie, po doświadczeniu świata, o jakim wcześniej nie miała pojęcia. Razem z obserwowaniem Zosi, z przypatrywaniem się Renate. Razem z coraz silniejszym przekonaniem, że i od niej zależy, co dzieje się z ludźmi wokół.

Siedziała obok Jurka w szkolnej ławce, pokazywała, jak trzyma się ołówka raz, drugi, dziesiąty, piętnasty, aż w końcu i on krok po kroku nauczył się pisać. Siedziała obok Ingi przy stole w kuchni i nie musiała już prowadzić jej ręki. Każdy wyhaftowany przez Ingę kawałek materiału był małym zwycięstwem Dorki. Każdy kwadrans, który Marysia potrafiła przeznaczyć na pracę w skupieniu. Każda spontaniczna wypowiedź Basi. Każda linijka napisana przez Jurka.

Zwycięstwa, jedno po drugim, budowały Dorkę, tę z Poręby, tę z domu na zboczu.

Tę, która teraz krzyczy na Stacha:

– Obiecałeś jej, że nie spuścisz go z oczu! Co takiego pilnego miałeś znowu do roboty, że nie mogłeś pilnować człowieka, który tydzień wcześniej postanowił się powiesić?

Podparła się pod boki i stoi tak z rozchyloną bluzką, z kosmykami wysuniętymi z chudego warkocza. Nogi rozstawiła szeroko, głowę zadarła w górę. Stoi wyprostowana jak struna, ze wściekłym spojrzeniem. Patrzy na męża i czeka na odpowiedź.

Stach nic nie mówi. Spuścił głowę i wzrok wbił w czubki butów. Obiecał, to prawda. Mówił Evie, kiedy stał przed nią w stodole, że będzie pilnował jej męża. I pilnował go. Siedział z Niemcem w kuchni, siedział z nim w stodole. Siedział na łące za domem. Razem cięli drewno na opał, choć szansa, że Peter przeżyje kolejną zimę w domu na zboczu, była już znikoma. Za każdym razem, kiedy Piotrowski go potrzebował, Stach uprzedzał Evę, że ta musi przejąć opiekę nad mężem. A jeśli wiedział, że ma jakieś plany, uprzedzał o nich z wyprzedzeniem.

Na przykład wtedy, gdy zaplanował żonie badanie lekarskie.

Wizytę umówił Dorce osobiście, bez pytania jej o zdanie. Pewnego wieczoru oznajmił po prostu, że trzeba ją zbadać, bo chyba musi być z nią jakiś problem, skoro każda jej ciąża kończy się po kilku tygodniach.

– Pojutrze jedziemy do Długopola. Tam przyjmuje dobry ginekolog.

– A skąd ty się nagle znasz na ginekologach, Stasiu? – zapytała kpiąco. Mur między nimi był już taki wysoki, że prawie nie rozmawiali.

– Nie znam się, Dorka. Ale Piotrowski – tak.

– Ach, ten Piotrowski! Co my byśmy wszyscy bez niego zrobili?

I rzeczywiście.

Piotrowski zawsze gotowy był służyć wspólnocie, którą tworzył. Kiedy dwa dni przed wizytą lekarską zaginął Peter, od razu zorganizował poszukiwania i zapędził do nich całą wieś. Pojawili się wszyscy: i Paweł, i młody Jurgielewicz, i bracia Kwiatkowscy z ojcem, i Wasiluk. Nawet pan Łabowicz, choć ostatnio utykał na prawą nogę, dołączył do szukających Petera, który wyszedł z domu i rozpląnął się w powietrzu. Nie było go wieczorem, nie było przez całą noc. Eva siedziała przy stole w kuchni i patrzyła w wejściowe drzwi do samego rana. Dorka siedziała obok niej.

Stach biegał po Porębie od domu do domu z nadzieją, że się czegoś dowie. Na próżno. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego nie zauważył.

Następnego dnia, kiedy Petera wciąż nie było, mieszkańcy wsi w dwuosobowych drużynach ruszyli przeczesywać las. Tylko pan Łabowicz osobno pokuśtykał pod górę, w kierunku leśniczówki, bo kolano dokuczało mu mocno. I to on przyniósł wiadomość od leśniczego, że poprzedniego dnia widział Petera idącego pod górę. Piotrowski od razu zarządził dokładne przeczesanie lasu, ale choć szukali w nim Petera z oddaniem, nie znaleźli po nim żadnego śladu.

Piotrowski zawiózł również Dorkę i Stacha do lekarza, jak obiecał, chociaż przecież trzeba było koordynować akcję poszukiwawczą. Ale taki właśnie był pan urzędnik – skoro się zobowiązał, to zawiózł. Trzeba dbać o zaufanie ludzi.

Zaparkował przed willą, w której przyjmował doktor. Dorka ze zdziwieniem zauważyła, że Stach wybiera się do gabinetu razem z nią.

– Ty też będziesz się badał? – rzuciła ironicznie.

– Chciałem porozmawiać z lekarzem. W końcu chodzi także o moje dzieci.

Z samej wizyty Dorce w pamięci utkwił moment, w którym leżała na łóżku z przykrytym już brzuchem, a doktor ze Stachem rozmawiali, stojąc jeden po jej prawej stronie, drugi po lewej. Lekarz w kitlu, łysawy, w rogowych okularach, wielkich problemów anatomicznych w Dorce nie znalazł.

– Na pierwszy rzut oka narządy są w porządku – mówił. – Oczywiście pacjentka jest bardzo szczupła, ma wąskie biodra, wręcz dziecięcą budowę ciała. Po wojnie kobiety są niedożywione i to jest częsta przyczyna problemów z płodnością. Ale nie musi tak być w tym przypadku, oczywiście.

– Dobrze, panie doktorze – przytaknął Stach. – Czyli narządy są zdrowe. A czy coś można poradzić na to, że żona nie może donosić ciąży?

– Szanowny panie... – tłumaczył Stachowi doktor, a Dorka czuła się zbędna. – To, czy z narządami żony na pewno jest wszystko w porządku, moglibyśmy stwierdzić tylko w trakcie daleko bardziej zaawansowanej diagnostyki niż proste badanie lekarskie. Ale na pierwszy rzut oka nie widzę nieprawidłowości.

A gdyby tak wyjść? Wstać, obciągnąć bluzkę, poprawić spódnicę i zatrzaskać drzwi gabinetu? Przecież i tak mnie nie potrzebują – pomyślała Dorka, ale nic nie zrobiła. Dotrwała w milczeniu do końca wizyty.

– I co? – Piotrowski palił papierosa oparty o swoje auto. – No i?

Z tym pytaniem zwrócił się nie do Doroty, tylko do Stacha. Zupełnie jakby to wnętrze jego brzucha przed chwilą oglądał łysy doktor w rogowych okularach.

– Nic takiego – odpowiedział Stach, wzruszając ramionami. – Nie widać problemów. Może to przez wąskie biodra.

– To jeść trzeba – zasugerował Piotrowski pogodnie. – Jeść trzeba, Dorotka, i ciała trochę nabrać! Dobrze będzie!

Rzucił peta na ziemię i otworzył przed nią drzwi do samochodu. Ruszyli we troje do Poręby. Dorka nadal się nie odzywała.

Piotrowski był człowiekiem niezastąpionym.

Można było na nim polegać w każdym wypadku. Kto, jeśli nie on, znalazł im piękny dom w Porębie, na zboczu góry? Kto, jeśli nie on, odwiózł Stacha i Dorkę do ginekologa w Długopolu? Kto, jeśli nie on, przywiózł ich z powrotem?

Kiedy we troje weszli do domu, Petera w nim nadal nie było.

Wtedy Dorka pękła i rozkrzyczała się na dobre. Wylewała złość, która zbierała się w niej już od dawna. Krzyczała, nie przejmując się innymi. Ani Piotrowskim, ani Evą. Krzyczała na Stacha, bo trudno jej było znieść wspomnienie badania ginekologicznego, w którym zupełnie nie miała ochoty uczestniczyć. Krzyczała, bo trudno jej było znieść przerażone oczy Ewy i Ingi. Trudno było jej patrzeć na Piotrowskiego, rozpartego za stołem w ich kuchni i zarządzającego z tego miejsca akcją poszukiwawczą. I na Stacha chodzącego nerwowo tam i z powrotem. Trudno było przyglądać się jego wyrzutom sumienia. Co im wszystkim teraz po nich? Co z tego, że jej mąż ma minę jak zbity pies? Wystarczyło, żeby siedział przy Peterze, tak jak obiecał to Evie. Nie trzeba by było mobilizować połowy wioski do poszukiwań, które nie przynoszą skutku. Teren tuż nad leśniczówką był już przeczesany wzdłuż i wszerz. Teraz trzeba by szukać wyżej, tam, gdzie las jest dziki, ciemny, a drzewa bardzo wysokie. Tam, gdzie ludzie rzadko się zapuszczają, bojąc się podmokłego gruntu, bagien i szuwarów.

– No? – krzyczała Dorka dziko, jak nie ona. – No powiedz nam wszystkim, co takiego ważnego musiałeś zrobić, że zostawiłeś Petera samego?

Stach stanął. Zgarbił się. Ręce trzymał w kieszeni i przygryzał wargę.

– No, mów!

– Dorota... – zaczęła Eva łagodnie. Oczy miała czerwone jak królik. Dorka nie chciała jej słuchać.

– No, mów! – krzyknęła jeszcze głośniej do Stacha. – Co takiego ważnego wtedy robiliście, co?!

– A może pan nam powie – spojrzała na Piotrowskiego. – Bo przecież pewnie musieliście właśnie w tamtym momencie budować Polskę, jakby bez was dwóch nie mogła sobie dać rady!

– Ale... – zaczął Piotrowski. – Ale...

– Dorka – odezwał się w końcu Stach. – Słuchaj, Dorka. Ja nie byłem wtedy w pracy.

Tego się nie spodziewała. Zdziwiona popatrzyła na męża. Stał tam bez tej swojej wyprężonej klatki piersiowej i bez bezczelnego uśmiešku. Wyglądał jak jakiś obcy człowiek.

– To co takiego ważnego odciągnęło cię z domu?

– Musiałem porozmawiać.

– Z kim? O czym?

Mucha bzyczy pod sufitem. Słońce wlewa się przez okno. Inga wchodzi do kuchni, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Przemyka się pod ścianą w stronę mamy i zatrzymuje przy niej. Wszystkich bolą głowy. Wszyscy są zmęczeni.

Stach staje przed Dorką, patrzy na nią, prosto w oczy. W murze pomiędzy nimi na moment pojawiła się szczelina, przez którą mogą się porozumieć.

– O tym, że będę miał dziecko – mówi cicho Stach.

Jest bardzo, bardzo cicho, choć mucha pod sufitem już całkiem oszalała. Dorka w końcu przestała krzyczeć. W końcu przestała się wściekać.

– Z Renate? – pyta.

– Co? – Stach jest szczerze zdziwiony. – Zwariowałaś? Z jaką Renate? Będę miał dziecko z Weroniką.

Cisza w kuchni domu na zboczu zrobiła się tak gęsta, że można ją było kroić.

Nawet mucha zamilkła.



LIPIEC

EVA

W Lichtenwalde nie ma już prawie nikogo, kto by pamiętał tamtą kobietę, wysoką i postawną, z włosami jasnymi, zebranymi w gruby warkocz. W Lichtenwalde nie ma już nikogo, kto by pamiętał tamtą kobietę silną i pewną siebie.

Ta w samochodzie Piotrowskiego ma na policzkach smużki od łez, które to płyną, to wysychają. Ta w samochodzie Piotrowskiego ma huragan w sercu i opuszczone ramiona. Chudsza, drobniejsza, z szarą twarzą, na której ostatnie miesiące wyżłobiły zmarszczki. Z twarzą przygaszoną, głosem bardziej matowym, nieruchomym spojrzeniem. Bez blasku.

W Lichtenwalde nie ma już niemal nikogo, kto by pamiętał Lichtenwalde.

Wieś nazywa się Poręba.

Kobieta ma na imię Eva. W tym miejscu była pierwszą kobietą. W tym miejscu nie będzie ostatnia. Siedzi w samochodzie Piotrowskiego otoczona przez swoje dzieci. Po lewej stronie ma córkę, po prawej – starszego synka. Młodszy wierci się na jej kolanach i rozgląda ciekawie wokół. Małe oczka patrzą po raz ostatni na rodzinny dom, a pasji w nich tyle samo co w momencie, kiedy widzą źdźbło trawy, kijek czy łyżkę. I równie szybko się nudzą ostatnim spojrzeniem na sad.

Maluch patrzy na dom, na stodołę, na dach. Jeszcze je widzi. Za moment na te obrazy wyryte w mózgu nałożą się inne. I jeszcze kolejne. Za chwilę zacznie się zapominanie. Po domu, który Peter wybudował dla całej rodziny, nie zostanie w głowach jego synków żadne wspomnienie. Nie zapamiętają zapachu nagrzanego łąki za stodołą, nie zapamiętają chropowatej faktury kuchennego stołu ani ostrego dotyku policzka swojego taty, kiedy ich z rana przygarniał prawą ręką.

Piotrowski pakuje dwie walizki Ewy do gazika. Będzie musiała nieść je sama, zabrała więc tylko to, co niezbędne w czasie podróży i podczas pierwszych dni w nowym miejscu. Ubrania, zabawki, żeby móc czym zająć synków podczas długiej drogi, zdjęcie ślubne jej i Petera. Kilka pierwszych jabłek z jabłoni przy sadzie. Ciasto z dżemem z ubiegłorocznych truskawek. Upiekła je poprzedniego dnia Dorka. Eva od tygodni nie ma głowy do pieczenia.

Nic więcej Eva ze sobą nie zabierze. W domu pod leśniczówką zostawiła obrusy i ścierki, garnki i patelnie. W spiżarni stoją słoiki z dżemem truskawkowym oraz tym z lichtenwaldzkich śliwek, słynnych na całą okolicę. W kredensie za szybką, w dwóch rządach ustawione są filiżanki w czerwone kwiaty, wszystkie całe, niewyszczerbione. Takie same jak w dniu, w którym Eva i Peter przywieźli je ze sklepu Georga Löwy'ego, z Ringu w Glatz.

Glatz też już nie ma.

Miasto nazywa się Kłodzko.

A Georg Löwy, jego żona wielka jak szafa, dwie śliczne córeczki i niemal dorosły syn o czarnych, błyszczących oczach i bladej twarzy już dawno wyfrunęli przez komin i polecili w niebo. Eva spogląda między chmury. Letni poranek w Porębie, jak tyle innych poranków, które przeżyła w tym miejscu, na tym zboczach. Może pan i pani Löwy przysiedli na jakiejś chmurce i przyglądają się temu, co dzieje się w Glatzer Kessel. Może dosiadł się nich Peter i wspominają razem stare, dobre czasy, piękne wystawy w sklepie przy Ringu i tę najwspanialszą drewnianą lalkę z wąsikami, wymachującą ręką i pozdrawiającą swoich żołnierzy. *Heil Hitler!*

Nic z tego. Przez otwartą szybę w samochodzie Piotrowskiego nie widać Petera, Georga Löwy'ego ani jego żony. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

W domu pod leśniczówką zostają ubrania. Kilka koszul i spódnic. Płaszcz zimowy nie zmieścił się w walizce. Bielizna ułożona w szufladach w szafie w sypialni. Po lewej stronie – Ewy, po prawej – Petera. Ubrań po mężu nie posprzątała, nie miała na to siły. Siły ma ostatnio niewiele. Zostawiła Dorce do uporządkowania całej świata swojego męża.

Zostawiła książki w korytarzu przy schodach, choć po co komu w Porębie umlauty i gotycka czcionka. Obrazki na ścianach. Pudełka na ser w schowku za drzwiami. Przynosił je jeszcze ojciec Ewy z fabryczki, w której pracował. Czy ktoś w Porębie będzie wiedział, że w budynku z kominem produkowano niemieckie pudełka do szwajcarskiego sera?

Zostawiła łąkę za domem, która w maju i czerwcu rozkwitała kolorami, i to miejsce w sadzie, z którego patrzyła na wieś. Patrzyła na sąsiednie zbocze. Co roku widziała stamtąd całe piękno świata. Najbliższy październik rozwinie już swoje cuda nie przed Ewą. Rozbłyśnie złotem

i czerwienią, spatynuje zielen, załśni słońcem pomiędzy wirującymi liśćmi. A wszystko to zrobi dla królowej Doroty. Ona, Eva, będzie już wtedy nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Będzie żyła cudzym życiem w nieswoim miejscu.

– *Frau Eva* – mówi do niej Piotrowski. – Ruszamy.

– *Danke* – odpowiada.

Rozmawiają mieszanką polskiego i niemieckiego, nowym językiem tych ziem, który też już niebawem zniknie, bo nie będzie nikomu potrzebny.

Eva patrzy w okno.

Lichtenwalde w lecie. Już po czereśniach, jeszcze przed śliwkami. Droga w dół sucha i zbita, pył unoszący się spod kół. Jak tylko trasa do wsi wyschnie na dobre, można włożyć lżejsze buty, ale po powrocie do domu będą brudne od kurzu. Komin fabryczki od dawna nie wypuszcza dymu. Budynek stoi pusty. Kościół z kwadratową dzwonnica i wspomnienia ślubów, chrzcin, pogrzebów, każdej Wielkanocy i każdego Bożego Narodzenia. Dzięki kalendarzowi stworzonemu przez pokolenia wiadomo było, jak się smucić, jak cieszyć, jak świętować. Kościół z kwadratową dzwonnica porządkował życie.

Piotrowski prowadzi auto jedną ręką, drugą wystawił za okno. Mówi coś do siedzącej z przodu Dorki. Eva z tyłu żegna swoje groby, swoją szkołę, *Gasthaus*, w którym pierwszy raz całowała się z Peterem. Mija dom pani Kohl. Stoi przed nim Renate w pełnym rynsztunku i rozmawia z Pawłem. Ostatnio rozmawiają ze sobą tak często, że pojawiły się plotki. Eva również zaczęła podejrzewać, że z powodu braku innych chętnych być może Renate rozpatruje kandydaturę Pawła na małżonka. W końcu przecież i ona musi się jakoś określić. Czymś uzasadnić swoją obecność w Porębie. Ale jak rozwinie się ta historia – tego się Eva już nie dowie. Paweł i Renate zostali z tyłu, auto mija właśnie dom rodziców, Franza i Josefa, od dawna zajęty przez polską rodzinę.

Zostawiła konia, ulubionego konia Petera, i ich dwie krowy. Zostawiła kury. Wóz, maszyny, piłę, która odcięła Peterowi lewą rękę, czym uratowała go od wyjechania na front. Zostawiła maszynę do szycia. Silnik, który podłączać można do pralki albo do maselnicy. Rurki, którymi woda płynie ze studni do umywalki w kuchni albo do balii w pokoju po drugiej stronie korytarza.

Zostawiła Petera, który wymknął się z domu, poszedł w las i nigdy nie wrócił. Jeziora, bagna, szuwary. Być może jej mąż błąka się między nimi do dzisiaj.

Zostawiła wszystkie pomysły Petera, wszystkie ich wspólne marzenia, z których powstał najpiękniejszy dom.

Koniec Lichtenwalde, przed nimi lasek, a potem Bad Langenau.

Zostawiła Polce swoje miejsce na ziemi.

Nie zostawiła po sobie równiutkich rządów i stosików. Obrusy w szufladach, naczynia w komodzie rozsypują się dokładnie tak, jak myśli Evy, która po raz ostatni wyjeżdża z domu pod leśniczówką. Będzie sobie już z nimi musiała poradzić Dorka, nowa pani jej domu.

Umarł król, królowa opuszcza zamek. Niech żyje nowa królowa.

DORKA

Kiedy Stach powiedział Dorce, a przy okazji Piotrowskiemu i Evie, że będzie miał dziecko, najpierw poczuła strach. Nie smutek. Nie rozpacz. Nawet nie sprzeciw.

Serce tyle razy podczas ostatnich lat tłukło się po klatce piersiowej, tyle razy próbowało z niej wyfrunąć, polecieć wysoko, że trochę się zahartowało. Nie wyrzywa go już z Dorki byle tęsknota za najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziała, a który przez jakiś czas zechciał być jej mężem.

Przez wszystkie tygodnie, miesiące, dni, godziny, kiedy była prawowitą żoną Stacha, czuła, że to nie jest jej miejsce. Ten piękny mężczyzna z uwodzającym uśmiechem nigdy nie pozwolił jej się poczuć bezpiecznie u swojego boku. Ich rozstanie rozpoczęło się o wiele wcześniej, może tuż po ślubie, albo i jeszcze przed nim. Dorka zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Stach ma na tyle szerokie ambicje w dziedzinie kontaktów damsko-męskich, że ona jedna mu nie wystarczy.

Może gdyby urodziła dziecko, wszystko mogłoby się toczyć tak, jak do tej pory. On znikałby na całe dni nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Chodziłby do pracy, do cudzych łóżek, do kolejnych kobiet. Ona natomiast mogłaby uciekać – to do koszyka, to do kołyski.

Ale kiedy Hania wypłynęła z brzucha, Stach stracił cierpliwość i wziął życie we własne ręce. Wreszcie mógł się pogrzać w ciepłe rodzinne. Stary Łabowicz i pani Wanda oferowali mu o wiele więcej niż Kulasowie z Podhala. Mógł się skupić na własnym dziecku, które rosło w brzuchu Weroniki. Mógł przygarnąć Jaśka z oczami jak węgielki i zanurzyć się w jego sprawy tak, żeby wygnały z głowy Stacha ostatnie myśli o Rózi, swoich siostrach i braciach w rozlatującym się domku na Podhalu.

– A Kuba i Grażyna? – zapytała go Dorka któregoś dnia.

– Czasami żałuję, że nie zostałem z nimi wtedy, kiedy Grażyna powiedziała, że jest w ciąży. Ale wtedy to ty potrzebowałaś mnie bardziej niż ona.

– Ja? – zdziwiła się Dorka.

– Bałem się o ciebie po śmierci Michała. Byłaś taka krucha. Jak dziecko. A Grażyna zawsze dawała sobie radę.

– A teraz ja daję sobie radę, a Weronika jest krucha jak dziecko?

Nie odpowiedział.

Spojrzał na nią tylko przeciągle, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. A potem stopniowo, trochę niepostrzeżenie, wyprowadził się do Łabowiczów.

Dorka była spokojna. Nie płakała, nie rozpaczała, nie wylała nawet jednej łzy. Miała poczucie, że swojego męża Stacha, ich małżeństwo, bliskość między nimi zakopała już dawno na małym cmentarzyku pod kościołem z kwadratową wieżą, który widać z sadu. Czy to było wtedy, kiedy Stach zniknął na całe dni i nie opowiadał jej, gdzie je spędza? Czy może wtedy, kiedy strzelał przez okno z broni, o której nie miała pojęcia? A może resztki uczucia, które ich łączyło, umierały stopniowo za każdym razem, kiedy Stach stroił się w swoje pawie piórka? A może w momencie, w którym deliberował z lekarzem ponad jej brzuchem, a potem przekazywał Piotrowskiemu szczegóły na temat ciała Dorki? Nie była pewna. Wiedziała tylko, że pogrzeb swojemu małżeństwu wyprawiała już dawno, gdzieś pomiędzy grobem rodziców Ewy a mogiłą małego Erwina, którą sprzątała za każdym razem, kiedy znalazła się w pobliżu.

„Kochana Kasiu – napisała do siostry, która wydawała się teraz odleglejsza niż kiedykolwiek – u mnie duże zmiany”. Opinia Kulasów już jej nie obchodziła, tu, setki kilometrów od drewnianej chaty. Nie musiała przed nimi niczego udawać. „Stach będzie miał dzieciaka. Mamą jest miła

dziewczyna, moja najbliższa sąsiadka”. Nabrała powietrza, zanim napisała kolejne zdanie. Okrągłe litery wychodziły spod nauczycielskiego pióra Dorki jedna po drugiej. „Stach wyprowadził się z domu. Od początku mieszkali z nami niemieccy właściciele tego gospodarstwa, ale w trakcie ostatnich tygodni on zaginął w lesie, a ona wyjechała do Niemiec. Zostałam zupełnie sama w całym obejściu. Trochę się martwię, jak sobie poradzę, ale jakoś będę musiała. Pozdrów rodziców, kochana Kasiu, i uściskaj Baśkę”.

Serce nie bolało Dorki ze smutku. Serce kurczyło jej się ze strachu.

Bała się o codzienność. Bała się o zwierzęta. Wiedziała, jak zajmować się krowami, koniem czy kurami. W rodzinnej wiosce pod okiem Kulasa nauczyła się wszystkiego, co potrzeba. Problem w tym, że zupełnie nie miała na to ochoty. Prowadzenie gospodarstwa zabrałoby jej czas, który chciała przeznaczyć na naukę i pracę w szkole. Zosia na zakończenie roku szkolnego wymusiła na Piotrowskim obietnicę, że od września Dorka będzie miała regularną pensję.

– Panie Piotrowski – powiedziała wyraźnie zirytowana, że tę samą rozmowę musi przeprowadzać kolejny raz. – Do szkoły chodzi ponad trzydzieścioro dzieci w różnym wieku i na różnym etapie rozwoju. Może pan umie sam nauczyć taką gromadę pisania i czytania, ale ja tego nie potrafię. Musi być w szkole drugi nauczyciel. Dorota Bąk uzupełnia wykształcenie, zna tę pracę i zna dzieci. Załatwi pan dla niej pieniądze, czy mam się sama o to postarać?

Zgrzytnął zębami. Załatwił.

Na razie nic się nie zmieniło. Stach przychodził od Łabowiczów każdego dnia. Oporządzał, karmił, doił. Przynosił Dorce do kuchni mleko i stawiał je na stole nawet wtedy, kiedy jej nie było w domu. Podczas żniw zajął się i polem Łabowiczów, i Petera. Korzystał z jego maszyn, najmował chłopaków do pomocy, kiedy była najbardziej potrzebna. Wspierał Łabowicza w prowadzeniu jego gospodarstwa. Wspierał i Dorcę.

Wiedziała jednak, że nie będzie mogła na niego liczyć zawsze. Wiedziała, że coraz mocniejsze więzy będą go łączyły z gospodarstwem Łabowiczów, a coraz luźniejsze z domem po Evie i Peterze. Wiedziała, że musi podjąć jakąś decyzję.

Nocami w dużym domu czuła się niepewnie. Wiatr uderzał w okna, budził ją. Zastanawiała się, czy to może Peter wrócił z gór, by pilnować swojego gospodarstwa. Czy to on zagląda do pomieszczeń, w których

konserwował maszyny rolnicze i układał drewno na najbliższą zimę? Drogi Peterze, mówiła do niego w myślach, bardzo chcę dbać o twoje piękne gospodarstwo, ale obawiam się, że sama nie dam sobie rady. Nie licz na to, że dla krów zostawię szkołę. Rozmawiała z nim częściej niż wtedy, kiedy był żywy, cały, ciepły, w pokoju obok. Czasami się denerwowała: jeśli taki jesteś mądry, Peter, to może mi pomożesz coś wymyślić?

Pomógł.

Któregoś razu, kiedy siedziała na ganku od strony sadu i po raz kolejny starała się znaleźć rozwiązanie, bez konieczności wyprowadzenia się z domu pod leśniczówką, podniosła zmęczoną głowę i spojrzała na sad i drogę prowadzącą do wioski. Ktoś nią szedł. Ktoś dziarski, rzutki, znany od zawsze. Ktoś machał do Dorki, ktoś się do niej uśmiechał, ktoś biegł w jej kierunku:

– Kaśka! Kaśka, co ty tu robisz?! – zawołała.

– Przyjechałam! Do ciebie przyjechałam!

EVA

W wagonie było wygodnie.

Rozsiedli się na drewnianych ławkach, nie brakowało im miejsca. Chłopcy przez chwilę marudzili, nie mogli się uspokoić. Tego dnia przytłoczył ich z pewnością nadmiar wydarzeń i emocje, które buzowały w ich mamie. W końcu – głaskani po głowach w takt odgłosów pociągu – wtulili się w Evę i zasnęli obaj twardym snem.

Inga siedziała naprzeciwko, wyciszona, uważnie śledziła krajobraz, który uciekał za oknami. W rękach ścisnęła prezent od Dorki. Żegnała się – Eva nie wiedziała z kim i z czym.

Otoczył ich język niemiecki. Ktoś w ławkach z tyłu opowiadał komuś o problemach z pakowaniem walizek, które zabrał ze sobą. Młode dziewczyny naprzeciwko rozmawiały przyciszonymi głosami i co chwilę wybuchały śmiechem.

Spokój śpiących synków, skupienie Ingi i niemieckie słowa otulające ich z każdej strony uspokajały Evę. Wyrównała oddech. Zamknęła oczy. Przez chwilę miała wrażenie, że leży na plecach na środku ciemnego jeziora.

Woda otacza ją z każdej strony i wlewa się do wszystkich zakamarków jej ciała. Przez chwilę miała wrażenie, że to nie ona odpowiada za życie trojga dzieci, z których dwoje jest bardzo małych, a trzecie już zawsze będzie wymagało jej opieki. Przez chwilę miała wrażenie, że to ona jest dzieckiem, jeszcze przed urodzeniem, w brzuchu mamy. Nie musi się o nic martwić, nie musi o niczym myśleć. Przez wody płodowe docierają do niej niemieckie słowa, łagodne, kojące jak kołysanka.

A chwilę potem pod powiekami pojawia się ten, o którym myśli i kiedy śpi, i kiedy się budzi.

Gdzie jesteś, Peterze? Dlaczego mnie zostawiłeś? Dlaczego uciekłeś, a mnie wysłałeś w świat do walki samą, z dziećmi u boku? Dlaczego pozostawiłeś po sobie tyle pytań, na które nie ma odpowiedzi? Nie wiedziałeś, że będą mnie one męczyły już zawsze?

Wody płodowe zamieniają się w czarny wir. Wciąga Evę do środka. Otacza ją z każdej strony.

Od momentu, w którym Eva usłyszała krzyk Stacha dochodzący ze stodoły, Peter rządzi tym, co dzieje się w jej głowie. Pozwalał jej odetchnąć tylko na krótkie chwile, tylko w ramionach Stacha i tylko przez jakiś czas.

I potem, kiedy zaginął, jedynym lekarstwem na Petera, jakie przyszło jej do głowy, był Stach. W tamtym czasie jej potrzeba odcięcia się od własnych myśli stała się jeszcze bardziej paląca. Wciąż tlił się w niej strzęp nadziei, że Peter wróci. Myślała, że może coś zatrzymało go w lesie, może musiał tam spędzić kolejne mijające godziny. Ciągle analizowała, co się mogło wydarzyć i dlaczego. Gdzie Peter może być i z jakiego powodu. Myśli pojawiały się same, nie miała na nie żadnego wpływu. Kiedy już nie mogła ich znieść, szła do stodoły o tej porze, co zawsze. O porze jej i Stacha.

Czekał na nią. Wzrok miał spuszczone, nie patrzył jej w oczy. Ach, piękny Polaku, gdzie twój bezczelny urok, gdzie uśmieszek? Nawet błękit w twoich oczach poszarzał. Petera nie było od dwóch dni i niepokój rozrywał całe ciało Ewy.

Podeszła do Stacha i wsunęła mu ręce pod koszulę. Wiedziała, że pocałunki nie wystarczą, by odciąć się od swojej głowy choć na chwilę. Nie wystarczyło i to, co działo się potem. Stach rzucił się na nią całym ciałem. Oboje byli zmęczeni, przerażeni, rozedrgani. Przytłoczeni nadmiarem myśli. Śpieszyło im się do niemyślenia tak bardzo, że nawet się nie

rozebrali. Eva uniosła spódnicę, Stach opuścił spodnie. Rozchełstał jej koszulę na piersiach.

Ale i to nic nie dało.

Gdy zamykała oczy, od razu pojawiał się pod nimi Peter. Kiedy je otwierała, nad głową Stacha widziała belkę, na której mąż próbował się powiesić. Zamykała je więc z powrotem. Czuła się, jakby nie leżał na niej piękny Stach, tylko jej Peter. Jakby kochała się z nim po raz ostatni. Tych kilka minut, które spędziła z Polakiem w stodole, było jak pożegnanie z mężem. Kiedy poprawiała spódnicę i koszulę, wiedziała już, że Peter z lasu nie wróci.

Pociąg z każdą minutą oddala się od Glatz. Z każdą minutą Eva jest bliżej nowego życia. Otwiera oczy i patrzy na swoją Inge. Jest taka podobna do Petera, ma prosty nos i drobne usta, tak jak on. Spokojnie posapuje przez sen.

Na dworcu nie chciała się odkleić od Dorki. Stały już przytulone dobrą chwilę, aż Eva poczuła się nieswojo. Nie pamięta, kiedy jej córka wtulała się w nią tak intensywnie. Mijały sekundy, minuta, a Inga stała.

W końcu Eva się odezwała:

– Inga, musisz wsiadać. Zaraz ruszy pociąg.

Inga pokręciła głową. Nie. Nie chciała się rozstawać.

– Inga, posłuchaj mamy – powiedziała łagodnie Dorka. – Musisz mnie puścić. A ja mam dla ciebie prezent.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę wtulała się mocno w Polkę, ale w końcu ją puściła. Dorka pochyliła się nad swoją torbę i wyciągnęła z niej koszyczek, mniejszy od tego, który stał w szafce nocnej w pokoju naprzeciwko kuchni, ale tak jak tamten wypełniony kolorowymi nitkami i igłami.

– To dla ciebie. Żebyś mogła haftować.

Inga patrzyła z niedowierzaniem – to na koszyczek, to na Dorkę.

– Jest dla ciebie – zaśmiała się Polka. – Proszę.

A kiedy koszyczek był już w rękach uśmiechniętej Ingi, Polka pochyliła się nad swoją torbę jeszcze raz.

– A to dla waszej czwórki.

Wyciągnęła rękę z kawałkiem materiału, na którym Eva zobaczyła całe swoje mijające właśnie życie. Dorka użyła najbardziej kolorowych nitek, jakie miała. Wyhaftowała nimi domek pod leśniczówką, sad przed domem, z którego w październiku widać całe piękno świata. Wyhaftowała Inge i dwóch maluchów na trawie, a za nimi – Evę i Petera. Peter obejmował ją jedną ręką. Drugiej na materiale nie miał, tak jak w życiu.

DORKA

Czas terazniejszy się dopełnił.

Dorka siedzi na schodach prowadzących do domu i wystawia twarz do słońca. Pierwsze jej lato w Porębie rozkwitło. Przed nią na rozłożystych drzewach dojrzewają powoli jabłka. Zjadają je już z Kašką i ciągle czekają na więcej. Kolejna pora roku prezentuje przed Dorką Porębę w nieznanej, pięknej odsłonie. Popołudniowy spokój w sadzie wywołuje spokój i w niej.

W głowie wyświetla film, który odtwarzała każdego dnia przed wyjazdem z Podhala. Pamięta dokładnie. Wszystko dokładnie zaplanowała. Mieli mieć swoje królestwo – ona, Dorka, miała być królową, a Stach – królem świata, jaki mieli dla siebie stworzyć. A po umeblowaniu i ustawieniu miały się też pojawić królewiatka – rumiane, tłuściutkie, uśmiechnięte. A przede wszystkim żywe. Mieli żyć długo i szczęśliwie, jak to w bajkach.

Nie ma królewiatek i nie ma króla Stacha. Zniknął z jej życia, z jej łóżka, z jej serca tak samo szybko i niespodziewanie, jak się w nich pojawił. Bajka się skończyła.

W zamian jest spokój.

Od kiedy Dorka przekroczyła próg domu na stoku, ciągle było w nim pełno ludzi. Była tym zmęczona przez wszystkie jesienne, zimowe i wiosenne miesiące. Peter wchodził. Stach wychodził. Chłopcy płakali. Eva próbowała ich uciszyć piosenką. Stach się śmiał. Peter o coś pytał po niemiecku. Inga zbiegała po schodach, tupiąc. Ktoś coś opowiadał, ktoś czegoś szukał, ktoś gdzieś szedł. Spod bramy odjeżdżał gazik Piotrowskiego. Nie dało się schować przed tym harmidrem. Nie dało się uciec od emocji, które wypełniały całą przestrzeń.

Przelewały się między kuchnią a pokojem, między piętrem a parterem. Kwitła niechęć Evy do Dorki i Dorki do Evy. Kwitła ich nienawiść. Mężczyźni oglądali maszyny. Kobiety spoglądały w przyszłość. Kobiety oglądały filiżanki w czerwone kwiaty. Mężczyźni spoglądali w przyszłość. Dzieciom wyrastały mleczne zęby. Mężczyźni próbowali znaleźć porozumienie, kobiety próbowaly się wesprzeć, Inga starała się wyjść ze swojej skorupy prosto do wiklinowego koszyka z kolorowymi nitkami. To był koniec. To był początek.

Przez te wszystkie miesiące, przez całą piękną, górską jesień, przez mroźną dolnośląską zimę, przez wiosnę aż po lato Dorka marzyła o tym, by przez chwilę posiedzieć w ciszy i spokoju. Chciała się schować, nie czuć, nie chłonać wszystkiego, co czuli pozostali domownicy, odciąć się od tego, co działo się w niej samej.

Teraz jest spokój. Kaśka pobiegła coś załatwić we wsi i cisza dzwoni w uszach. Odeszli ci, którzy zakłócali ją przez kolejne miesiące. Nie wszyscy wynieśli się daleko. Stach przeniósł się do bliźniaczego gospodarstwa, siedzi pewnie dwieście metrów od Dorki i całkiem możliwe, że też wystawia twarz do słońca. Peter też jest niedaleko. Jakieś kilka, może kilkanaście kilometrów od swojego gospodarstwa. Nie wiadomo tylko, co dzieje się z Evą i dziećmiakami.

Tymczasem w domu wciąż czuć jej obecność. Czasami Dorka wchodzi do kuchni i przez sekundę ma wrażenie, że widzi Evę w fotelu z ciastem i herbatą. Czasami rano wydaje jej się, że słyszy „*Guten Morgen, Dorota*”. Czasami w powietrzu wylapuje ostatnie nutki jej zapachu i pamięta dokładnie czujne spojrzenie padające na Inge. Czasami ma wrażenie, że Eva nigdy nie wyjedzie ze swojego domu pod leśniczówką.

Na ścianie w kuchni wisi mała pocztówka, oprawiona i podpisana „Lichtenwalde”. Jest na niej gospoda i droga we wsi. Kaśka chciała schować ten obrazek, ale Dorka ją powstrzymała. Na razie będzie sobie wisiał tam, gdzie wisi. Kaśka kiwnęła głową. To Dorka jest królową tego miejsca. To ona podejmuje decyzje.

Siedzi na schodach prowadzących do domu i wystawia twarz do słońca. Nauczyła się od Evy spędzać czas w sadzie z widokiem na wieś i przeciwległy stok. Nauczyła się od Evy czerpać siłę z ziemi.

Nastał czas przyszły.

Zamyka oczy, grzeje się w popołudniowym słońcu i podnosi do ust kubek. Ma wrażenie, że w całej Porębie, w całej Kotlinie Kłodzkiej, na całym świecie nie ma nikogo poza nią. Przechyla kubek, żeby wlać do ust ostatni łyk kawy.

Popołudniowy promień odbija się od czarnej swastyki.

EVA

A cóż to się dzieje na dworcu w Glatz? Zamieszanie na peronie? Jakiś tłok? Z daleka widać dwóch młodych mężczyzn. Obaj w mundurach *feldgrau*, ostatni krzyk mody sprzed czterdziestego piątego. Nad prawą pierśią każdemu z nich mieni się orzeł z rozłożonymi szeroko skrzydłami. Chciał nimi objąć całą Trzecią Rzeszę, ale mu się to nie udało. Pod pazurami orła – swastyka. Żołnierze jak malowani, roześmiani, rozgadani, choć jeden bez oka i połowy głowy, a drugi podziurawiony jak sitko. Można mu obejrzyć żebra, a przez nie dalej zobaczyć budynek dworca.

To Josef i Franz, prawie żywi.

Jest i ojciec Ewy, tuż za nimi. Kaszle i rzezi, jak za życia. Zrzędzi, również jak za życia:

– Nie ma co marnować czasu. Możecie jeszcze parę pompek machnąć, zamiast dowcipkować i bąki zbijać.

Matka, w swojej spłowiałej sukience, tej samej co zawsze, przepasana tym samym co zawsze fartuszkiem, stoi z boku i przypatruje się synom oraz mężowi.

– Daj im już spokój – mówi. – Zaraz przyjedzie pociąg. Musimy pilnować, żeby wsiąść, bo nie będzie długo czekał. Jeśli odjedzie bez nas, to zostaniemy w Lichtenwalde i będziemy na zawsze straszyć tych, którzy zajęli nasze domy.

Ojciec kaszle w rękaw i nic nie mówi. Nie komentuje. Nigdy nie komentował. Wychodzi na skraj peronu i wpatruje się w tory. Josef chce pójść za nim, sprawdzić, czy pociąg już wjeżdża, ale ktoś ciągnie go za nogawkę. Mężczyzna spogląda w dół i krzywi się mimowolnie. Zapomniał, jak brzydkie było to dziecko.

– Erwin, to ty?

– Tak, wujku.

– Co tu robisz?

– Możesz mnie wziąć na ręce? Takie mam krzywe kolanka, całe poobijane i podrapane. Trumna od środka była nieoheblowana. Zresztą i tak nie zdążyłem się nauczyć chodzić. Zabierzcie mnie ze sobą. Nie chcę zostać sam w Lichtenwalde.

Josef podnosi bobasa i przytula go do niemieckiego orła ze swastyką w pazurach dokładnie w momencie, kiedy na torach pojawia się pociąg.

Wchodzą do niego sprawnie: mama i tata, bracia i mały Erwin. Franz, pierwszy w korowodzie nieboszczyków, otwiera drzwi do przedziału i widzi, że ktoś zajął już miejsce przy oknie. Nikogo się tu nie spodziewał, więc przypatruje się przez moment trochę zdziwiony, ale twarz mu się rozpogadza, kiedy kobieta odwraca się w jego stronę.

– Kuzynka z Köslin! Jedziesz z nami?

Kuzynka uśmiecha się do wszystkich i zaprasza, żeby rozsiedli się wokół niej. Ma podbite oko, napuchnięte wargi i zmasakrowany policzek. Cały czas trzyma poły rozerwanej koszuli i poprawia spódnicę, na której zakrzepła plama krwi.

Obsiadają ją wokół i chcą jej zadać mnóstwo pytań, o to, gdzie ją dopadli, kto to był, co z mężem, co z dziećmi, ale zanim padnie pierwsze pytanie, słyszą gwizd. Konduktor daje sygnał do odjazdu. Chcą ostatni raz popatrzeć na swoje miasto Glatz. Znali je dobrze. Lubili je bardzo. Już go więcej nie zobaczą.

Franz zrywa się pierwszy i szarpie okno.

– Stop! – krzyczy do konduktora. – Ktoś tam jeszcze biegnie!

Pociąg rusza dokładnie w momencie, w którym za Peterem zamykają się drzwi. Pozostali patrzą na niego bez słowa. Twarz ma fioletową, napęczniałą, usta sine. Brzuch i klatka piersiowa napuchły tak bardzo, że koszula ledwie je trzyma. Do włosów przyczepiły mu się liście, źdźbła trawy, gałązki. Nie wygląda za dobrze. Ale jest. Najważniejsze, że są wszyscy razem.

Pociąg nabiera pędu. Jest lekki jak piórko, jak natrętna myśl, jak wspomnienie, które budzi każdej nocy.

Mogą już jechać prosto do celu. Do głowy Ewy. Do jej serca. Już im nie ucieknie. Dogonią ją wszędzie, znajdą na całym świecie. I nie opuszczą jej.

Aż do śmierci.

PODZIĘKOWANIA

Opowieści o małej, pięknej Porębie słyszałam od dzieciństwa.

Wioska pod Bystrzycą Kłodzką często pojawia się we wspomnieniach mojego taty. Kiedy był chłopcem, spędzał wakacje w poniemieckim gospodarstwie swoich dziadków. Zachwycił się nowoczesnymi rozwiązaniami technicznymi, maszynami i „całym pięknem świata”, które widział z sadu.

Stanisława i Paweł Posiakowie, moi pradziadkowie, byli pionierami. Po drugiej wojnie światowej przeprowadzili się z Dąbrowy Górniczej do Kotliny Kłodzkiej. Pierwszy rok po przesiedleniu spędzili pod jednym dachem razem z niemieckimi właścicielami gospodarstwa, w którym zamieszkali. Losy Dorki i Stacha, Ewy oraz Petera są luźno zainspirowane ich przeżyciami.

Sama odwiedziłam Porębę po raz pierwszy, kiedy zaczęłam pisać tę książkę. W gospodarstwie moich pradziadków mieszka dzisiaj polsko-niemieckie małżeństwo.

Bardzo dziękuję za pomoc panu Przemysławowi Czubale, mieszkańcowi Poręby, niestrudzonemu badaczowi i kronikarzowi losów mieszkańców Lichtenwalde i Poręby. Jego archiwum jest pełne zdjęć, dokumentów, notatek i relacji Niemców, którzy zamieszkiwali wioskę do końca wojny, a także powojennych polskich pionierów. Hojnie dzielił się ze mną efektami swojej wieloletniej pracy.

Spośród mnóstwa książek, które przeczytałam, aby zrozumieć specyfikę polskiego powojnia oraz życia na terenach przyłączonych po 1945 roku do Polski, największe wrażenie zrobiły na mnie dwa zdania, które znalazłam w książce *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947: ludowa reakcja na kryzys* Marcina Zaremby: „Strach przed gwałtem ze strony radzieckich żołnierzy to jedna z najsilniejszych emocji lękowych powojnia. Ponieważ był to strach głównie kobiet, do polskiej «męskiej» historiografii wojny praktycznie się nie przebił”.

Dziękuję także Wioli Rębeckiej-Davie, psychoanalytyczce i aktywistce badającej skutki gwałtu wojennego u osób, które go doświadczyły, i ich otoczenia. Dziękuję za jej pracę, wywiady, których udzieliła, za poświęcony mi czas i za metaforę sarkofagów, które zaczynają kruszeć, kiedy słabnie ciało.

Przede wszystkim chcę jednak podziękować mojemu mężowi Łukaszowi Baksikowi za wspieranie mnie na wszelkich polach. Za jego wyrozumiałość, cierpliwość, setki rozmów. A przede wszystkim za to, że nieustannie wierzy w moje pisanie.